

Robert Ludlum

Droga do Omaha

Tom 2

Przełożył ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

AMBER

Tytuł oryginału THE ROAD TO OMAHA

Co takie go?! - wrzasnął przeraźliwie sekretarz stanu. Jego krzyk tak bardzo przestraszył stenografistkę, że aż zerwała się z krzesła, niechcący ciskając notatnik prosto w głowę szefa; sekretarz stanu od niechcenia złapał go lewą ręką, którą od dłuższej chwili walił się z całej siły w skroń, usiłując przywołać do porządku zbuntowane lewe oko. - Co zrobili?!... Jak to możliwe?!... Nie chcę nic o tym słyszeć!

Ogarnięty szałem, począł uderzać notatnikiem na przemian w swoją głowę i kraweź biurka, tak że kartki zaczęły fruwać w powietrzu.

- Proszę pana, niech pan przestanie! - błagała stenografistka, biegnąc wokół biurka i zbierając kartki. •- To są ściśle tajne notatki!

- Ściśle? A może ściśnięte? Na pewno nie tak bardzo jak twoje cycki! - wyrzaskiwał szef Departamentu Stanu, wybałuszając oczy, z których jedno przez cały czas wyczyniało przedziwne harce. - Żyjemy w pochrzanionym świecie, dziewczuszko! Ty masz w cyckonoszu orzechy kokosowe, a my huśtamy się na bambusach!

Nagle dziewczyna zatrzymała się, spojrzała surowo na pracodawcę i powiedziała spokojnie, ale bardzo dobitnie:

- Przestań, Warren. Uspokój się.

- Warren? Kto to jest Warren? Do mnie się mówi panie sekretarzu, rozumiesz? Panie sekretarzu!

- Jesteś Warren Pease i z łaski swojej zasłoń mikrofon, bo jak nie, to powiem mojej siostrze, że poprzestawiało ci się pod kopułą, a ona powtórzy to Arnoldowi Subagaloo.

- Arnoldowi? O mój Boże! - Sekretarz stanu Warren błyskawicznie odsunął słuchawkę i zakrył szczelnie mikrofon. Zapomniałem, Tereso!

- Nazywam się Regina Trueheart, a Teresa, moja młodsza siostra jest asystentką Subagaloo.

- Nigdy nie potrafię zapamiętać nazwisk, ale zawsze pamiętam orzechy koko... to znaczy, twarze. Nie mów nic siostrze.

A ty powiedz temu komuś, kto do ciebie zadzwonił, że skontaktujesz się z nim za jakiś czas, jak tylko zdołasz zebrać myśli.

- Nie mogę! On dzwoni z budki telefonicznej na wybiegu dla więźniów w Quantico!

- Więc niech ci poda swój numer i zaczeka na telefon od ciebie.

- Dobrze, kokosku... to znaczy Tereso... Regino... pani sekretarko...

- Przestań, Warren. Rób, co ci mówię!

Sekretarz stanu zrobił to, co mu kazała Regina Trueheart, po czym położył ręce na biurku, oparł na nich głowę i zaczął rozpaczliwie szlochać.

- Ktoś nawalił, a wszyscy mają do mnie pretensję! - zagul-gotał. - Odesłali ich do bazy w plastikowych workach!

- Kogo?

- Paskudną Czwórkę. To okropne!

- Nie żyją, kimkolwiek są?

- Nie, w workach były zrobione otwory. To gorsze niż śmierć, bo zostali skompromitowani. Wszyscy zostaliśmy skompromitowani! - Pease podniósł mokrą od łez twarz, jakby prosił o przyśpieszenie egzekucji.

- Warren, złotko, opanuj się wreszcie. Masz mnóstwo roboty, a ludzie tacy jak ja mają dopilnować, żebyś ją wykonał. Pamiętasz Fern z North Mali, naszą patronkę i źródło inspiracji? Ona nigdy nie dopuściła do tego, żeby któryś z jej szefów rozpadł się na kawałki, i ja też do tego nie dopuszczę.

- Ale ona była sekretarką, a ty jesteś tylko stenografistką.

- Kimś znacznie więcej, Warren - przerwała mu Regina. - Jestem oszałamiająco pięknym motylem wyposażonym w żądło pszczoły. Przenoszę się z jednego ściśle tajnego zadania na drugie, mając was wszystkich na oku i pomagając wam w ciężkich chwilach. Takie zadanie zlecił Bóg wszystkim Trueheartom.

- A nie mogłabyś zostać moją osobistą sekretarką?

- I odebrać pracę naszej wspaniałej antykomunistycznej matce, Tyranii? Chyba żartujesz.

- Tyrania jest twoją matką?...

Ostrożnie, Warren. Pamiętaj o Subagaloo.

- Boże, znowu Arnold... Przepraszam, naprawdę serdecznie przepraszam. To rzeczywiście wspaniała kobieta, godna czci i szacunku.

- W takim razie myślę, że możemy wrócić do rzeczy, panie sekretarzu - powiedziała kobieta, siadając ponownie na krześle, z odzyskanymi notatkami w dłoni. - Jak pan wie, jestem dopuszczona do tajemnic państwowych najwyższego stopnia, więc w jaki sposób mogłabym panu pomóc?

- Cóż, tu nawet nie chodzi o...

- Rozumiem - przerwała mu natychmiast Regina Trueheart. - Plastikowe worki na zwłoki z otworami, zwłoki, które nie są zwłokami...

- Prawie cały personel dostał ataku serca! Dwóch pielęgniarzy wyładowało w szpitalu, trzech poprosiło o natychmiastowe zwolnienie ze służby w związku z problemami psychiatrycznymi, a czterech zostało uznanych za nieobecnych bez usprawiedliwienia, ponieważ uciekli przez główną bramę, krzycząc coś o zmartwychwstających żołnierzach... Mój Boże, jeśli to kiedykolwiek wydostanie się na zewnątrz...

- Rozumiem, panie sekretarzu. - Stenografistka Trueheart podniosła się z krzesła. - Wszyscy wiemy, czym jest kompromitacja... Dobra, Warren, tkwimy w tym razem. Od czego zaczynamy wynoszenie?

- Wynoszenie? - Lewe oko Pease'a poruszało się w lewo i prawo z szybkością lasera.

- Z pewnością będziemy musieli usunąć pewne dokumenty - odparła Regina, po czym, bez choćby śladu zmysłowości, zadarła spódnicę powyżej pasa. - Jak widzisz, jestem w pełni przygotowana do wyniesienia ich poza teren urzędu.

- Hej?... - Sekretarz stanu ze zdumieniem przekonał się, że w rajstopach panny Trueheart, od kolan aż do bioder, znajdują się specjalne nylonowe kieszenie. - To... niesamowite! - wykrztusił z trudem.

- Oczywiście należy usunąć metalowe zszywki i spinacze, a gdyby było trzeba więcej miejsca, możemy upchnąć parę kartek w podwójnych miseczkach mojego biustonosza. Na większe dokumenty mam specjalną kieszeń w figach...

- Nic nie rozumiesz... - zaczął sekretarz stanu, ale nie skończył, gdyż podążając wzrokiem, a także ruchem głowy, za opadającą spódnicą panny Trueheart, grzmotnął brodą w blat biurka. - Auu!

- Nie rozpraszaaj się, Warren. Czego nie rozumiem? My, dziewczęta Trueheartów, jesteśmy przygotowane na każdą sytuację.

- Nie ma nic na piśmie! - wyjaśnił ogarnięty paniką sekretarz stanu.

- Aha... Nie ewidencjonowane przedsięwzięcie o maksymalnym stopniu utajnienia, tak?

- Co? Pracowałeś w CIA?

- Ja nie, ale moja siostra Clytemnestra. To bardzo cicha i spokojna dziewczyna... A więc twój problem wynika z powstania przecieków, które dotarły do niepowołanych uszu.

- Na to wygląda, choć to zupełnie niemożliwe! Nie ma nikogo, kto mógłby odnieść

jakieś korzyści ujawniając informację o tym, że wysłaliśmy do Bostonu tych czterech kretynów!

- Czy, nie ujawniając żadnych szczegółów, które, ma się rozumieć, w przyszłości mogą zostać ogłoszone przez Pentothal, choć na pewno nie przed żadną nieludzką komisją Kongresu, mógłbyś naszkicować mi ogólny plan operacji? Możesz to zrobić, Warren? Jeśli ci to pomoże, pokażę ci znowu moje kieszonki.

- Na pewno nie zaszkodzi. - Stenografistka ponownie uniosła spódnicę, a oszalałe oko Pease'a natychmiast zaprzestało harców. - Tak, no więc, było to tak... - zaczął, a spomiędzy rozchylonych warg zaczęła kapać mu ślina. - Pewne antypatriotyczne męty pod wodzą kompletnego szaleńca chcą zniszczyć naszą pierwszą linię obrony, to znaczy najpierw przemysł zbrojeniowy, a zaraz potem najważniejszą część Sił Powietrznych, która działa także na rzecz społeczności międzynarodowej.

- W jaki sposób, kochanie? - zapytała Trueheart, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę.

- Uuuu...

- Słucham? Zapytałam: w jaki sposób?

- Tak, oczywiście... Otóż ci szaleńcy twierdzą, jakoby teren, na

9

którym znajduje się bardzo duża i bardzo ważna baza lotnicza, należał do bandy dzikusów, a to w związku z jakimś zakichanym traktatem sprzed stu lat, który naturalnie w ogóle nie istnieje. To czyste szaleństwo!

- Nie wątpię, panie sekretarzu, ale czy to prawda? - Obnażone nogi Reginy ponownie wykonały kilka •-- dokładnie pięć - manewrów przykuwających uwagę.

- O Boże!

- Siadaj! Czy to prawda?

- Sąd Najwyższy właśnie się nad tym zastanawia. Ze względu na wymogi bezpieczeństwa narodowego przewodniczący utrzyma sprawę w tajemnicy jeszcze przez pięć dni, a za cztery dni te padalce mają stawić się przed Sądem, żeby złożyć ustne wyjaśnienia. Mamy więc cztery dni na odnalezienie sukinsynów i posłanie ich do Krainy Wiecznych Łowów, gdzie dla nikogo nie będą stanowić zagrożenia. Pieprzone dzikusy!

Regina Trueheart natychmiast opuściła spódnicę.

- Wystarczy!

- Aaaaaj... Słucham?

- My, dziewczęta Trueheartów, nie akceptujemy wulgarnego słownictwa, panie sekretarzu. Świadczy ono wyłącznie o brakach w ogólnym wykształceniu i obraża uczucia porządnych obywateli.

- Daj spokój, Yergyno...

- Regino!

- Całkowicie się z tobą zgadzam, ale każdemu może się czasem wymknąć jakieś ostrzejsze słówko. Wszystko przez te stresy.

- Mówisz jak ten okropny francuski pisarz Anouilh, który potrafił na wszystko znaleźć usprawiedliwienie.

- Annie... kto?

- Nieważne. Czy krąg wtajemniczonych osób, znających kulisy tej sprawy, był ograniczony jedynie do osób zajmujących najwyższe stanowiska w państwie oraz do nielicznych ludzi z zewnątrz?

- Do tak nielicznych, jak tylko możliwe.

- A czy te worki z aż nadto żywymi trupami zostały potajemnie zaangażowane do wykonania zadania, którego jak widać, nie potrafiły wykonać?

- Tak potajemnie, że nawet nie wiedzieli, co mają zrobić. Zresztą nie musieli wiedzieć - to szaleńcy. ,, x.

- Zostań tu, Warren - poleciła Trueheart, kładąc notatnik na biurku i wyglądając spódnice. - Zaraz wrócę.

- Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z twoją sekretarką, a moją matką. Za chwilę wrócę, a ty ani się waż dotknąć telefonu!

- Oczywiście, Kieszonko... To znaczy...

- Zamknij się wreszcie! Doprawdy, Warren, z kim ty pracujesz? - Wypowiedziawszy te słowa, stenografistka wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Warren Pease, sekretarz stanu i właściciel jachtu, właściciel, któremu ogromnie zależało, aby jego jacht był przechowywany w odpowiednio wysoko cenionym klubie, nie bardzo wiedział, czy zacząć walić pięściami w stół, czy raczej zadzwonić do swojej byłej firmy brokerskiej i zaproponować mnóstwo tajnych informacji rządowych w zamian za ponowne przyjęcie go do pracy. Dobry Boże, dlaczego dał się namówić swojemu byłemu koledze z pokoju, a obecnemu prezydentowi, i przyjął posadę w jego Administracji? Rzecz jasna, pod względem towarzyskim miało to pewne zalety, ale i sporo wad. Na przykład trzeba było zachowywać się uprzejmie wobec ludzi, których się prywatnie nie znosiło, a poza tym zmuszano go do uczęszczania na obrzydliwe przyjęcia, podczas których często nie tylko musiał siedzieć obok Murzynów, ale nawet fotografować się z nimi i pozwalać, by te zdjęcia publikowano w gazetach! Och, nie, to nie było życie usłane różami. Poświęcenia, na które należało się zdobyć, wymagały cierpliwości świętego, a teraz jeszcze to! Plastikowe torby na trupy z żywymi szaleńcami i niedawni kumple nastający na jego życie! Życie zamieniło się w groteskę. Oczywiście nie miał przy sobie brzytwy i nie odważył się skorzystać z telefonu, więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać, pocąc się obficie. Po kilku okropnych minutach oczekiwanie dobiegło końca; jednak zamiast Reginy Trueheart do gabinetu wkroczyła jej matka, Tyrania, i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Głowa klanu Trueheart była jedną z tych osób, o których powstają legendy. Mierząca ponad metr osiemdziesiąt wzrostu kobieta o ostrych germańskich rysach twarzy i błyszczących, jasnoniebieskich oczach, trzymała się prosto i dumnie, zadając kłam swoim pięćdziesięciu ośmiu latom. Podobnie jak jej matka, która pojawiła się w Waszyng-

10

tonie podczas drugiej wojny światowej wraz z falą sekretarek i urzędniczek, Tyrania była weteranką stołecznej biurokracji, obdarzoną zdumiewającą wiedzą na temat wszystkich istniejących skrótów, bocznych alejek, objazdów i ślepych uliczek. Również wzorując się na matce, wychowała córki po to, by służyły monsturalnej maszynie rządowych biur, departamentów i agencji. Tyrania wierzyła, iż przeznaczeniem kobiet w jej rodzinie jest przeprowadzanie aktualnych oraz potencjalnych przywódców przez pola minowe Waszyngtonu, tak by mogli w pełni wykorzystać te skromne umiejętności, którymi akurat przypadkiem dysponowali. W głębi serca wiedziała doskonale, że w rzeczywistości poczynaniami rządu kierują kobiety takie jak ona i jej córki. Mężczyźni ponad wszelką wątpliwość stanowili słabszą płęć, niezwykle podatną na wszelkie pokusy i skłonną do błaznad. Ocena ta zapewne nie pozostała bez wpływu na fakt, że w rodzinie Trueheartou od trzech pokoleń nie urodziło się żadne dziecko płci męskiej. Byłoby to czymś nie do przyjęcia.

Tyrania spojrzała na roztrzęsionego sekretarza stanu wzrokiem, w którym politowanie było wymieszane pół na pół z rezygnacją.

- Moja córka przekazała mi wszystko, co jej powiedziałaś, oraz wspomniała o twojej nadmiernej pobudliwości seksualnej - powiedziała spokojnie, lecz surowo, niczym dyrektorka szkoły do małego, przestraszonego chłopca.

- Przepraszam, pani Trueheart! Naprawdę ogromnie mi przykro. To był okropny dzień, a ja nie chciałem zrobić nic złego!

- W porządku, Warren, tylko nie płacz. Jestem tu po to, żeby ci pomóc, a nie po to, aby wpędzić cię w depresję.

- Dziękuję, pani Trueheart!

- Ale by ci pomóc, muszę najpierw zadać ci bardzo ważne pytanie. Czy odpowiesz mi szczerze?

- Tak, oczywiście!

- To dobrze... W takim razie powiedz mi, czy wśród tych nielicznych cywilów spoza kręgów rządowych, którzy wiedzą o całej sprawie, są tacy, którzy czerpią zyski z tej zagrożonej bazy lotniczej?

- Wszyscy, na miłość boską!

- Wobec tego to jeden z nich, Warren. Jeden z nich sprzedał pozostałych

- Co takiego?... Dlaczego?

- Na razie nie mogę udzielić ci wiążącej odpowiedzi, ponieważ

11

nie dysponuję wystarczającą liczbą danych, ale tymczasowe wyjaśnienie jest wręcz oczywiste.

- Doprawdy?

i

- Nikt z kręgów rządowych, może tylko z wyjątkiem ciebie, nie zdecydowałby się na rozwiązanie wymagające użycia ludzi trzymanyh pod ścisłym nadzorem w wojskowym szpitalu psychiatrycznym ze względu na ich skłonności do stosowania brutalnej przemocy. Lekcje Watergate i Iran-contras nie poszły w zapomnienie, przede wszystkim z powodu odrazy, jaką te afery wzbudziły w społeczeństwie. Krótko mówiąc, zbyt wiele głów trzeba było wystawić na ścięcie.

- A dlaczego ja mam być wyjątkiem?

- Ponieważ jesteś nowy w tym mieście i nie masz doświadczenia. Nie wiedziałbyś, w jaki sposób nakłonić doradców prezydenta do przedsięwzięcia tego rodzaju tajnej operacji. Na pierwszą wzmiankę o czymś takim pochowałiby się w mysie dziury, może poza wiceprezydentem, który nie rozumiałby, o czym mówisz. Więc pani myśli, że to jeden z tych... cywilów?

- Rzadko się mylę, Warren. To znaczy, raz popełniłam błąd, ale to dotyczyło mojego męża. Kiedy dziewczęta wyrzuciły go z domu, uciekł na Karaiby i teraz wypożycza swój sfatygowany jacht turystom na Wyspach Dziewiczych. Odrażający osobnik.

- Doprawdy? A dlaczego?

- Ponieważ twierdzi, że jest całkowicie szczęśliwy, co jak wszyscy wiemy, jest niemożliwe w naszym skomplikowanym społeczeństwie.

- Serio?

- Panie sekretarzu, czy możemy skoncentrować się na problemie, który nas teraz bezpośrednio dotyczy? Sugeruję, aby umieścić pan „torby na zwłoki” w ścisłej izolacji, rozpuścił wiarygodne pogłoski, że wszystkie przecieki, jakie wyszły z Quantico, stanowią wyłącznie efekt zamroczenia alkoholowego, a następnie dyskretnie skontaktował się z 000-006 w Fortcie Benning.

- Co to jest, do diabła?

- Nie co, tylko kto - odparła Tyrania. - Nazywają ich Samobójczą Szóstką...

- To prawie jak Paskudna Czwórka - skrzywił się Pease.

- Są od nich o całe lata świetlne lepsi. To aktorzy.

- Aktorzy? A na cholerę mi aktorzy?

- Są jedyni w swoim rodzaju - ciągnęła Trueheart,

12

głos - Zabijają po to, żeby otrzymać dobre recenzje, których nigdy nie mieli w nadmiarze.

- A w jaki sposób dostali się do Fortu Benning?

- Za niepłacenie czynszu.

- Słucham?

- Przez wiele lat nie mieli stałego zajęcia, tylko ciągle chodzili na kursy, a dorabiali sobie jako kelnerzy.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co pani mówi!

- To naprawdę bardzo proste, Warren. Wstąpili razem do wojska, żeby założyć stały teatr i zacząć regularnie jadać. Pewien bystry oficer z G-2 natychmiast dostrzegł wiążące się z tym możliwości i zapoczątkował nowy program tajnych operacji.

- Dlatego że byli aktorami?

- Według generała sprawującego nad nimi opiekę byli i są w dalszym ciągu w znakomitej formie fizycznej. Wiesz, to dzięki drugoplanowym rolom w filmach z Rambo. Aktorzy potrafią być bardzo próżni w sprawach dotyczących wyglądu zewnętrznego.

- Pani Trueheart! - wykrzyknął sekretarz stanu. - Czy może mi pani powiedzieć, do czego zmierza nasza rozmowa?

- Do rozwiązania twoich problemów, Warren. Będę mówiła bardzo ogólnie, bez wymieniania nazwisk i szczegółów, ale jestem pewna, że twój nadzwyczaj chłonny i inteligentny umysł pozwoli ci odgadnąć co mam na myśli.

-- No, wreszcie coś, co się jako tako trzyma kupy!

»- Samobójcza Szóstka może się upodobnić, do kogo zechce. To mistrzowie fizycznej charakteryzacji i naśladowania dowolnych akcentów, dzięki czemu mogą penetrować obszary, które z założenia są nie do spenetrowania!

- To szaleństwo! Z tego wynika, że mieliby nas penetrować!

- Dobra uwaga. Pozazdrościć orientacji.

- Zaraz, chwileczkę... - Pease odwrócił się wraz z fotelem i wpatrzył u skrzyżowane flagi Stanów Zjednoczonych i Departamentu Stanu, oczami wyobraźni widząc wiszący nad nimi portret Geronima ubranego w generalski mundur. - To jest to! - wykrzyknął. - Żadnych oskarżeń, żadnych przesłuchań w Kongresie... Tak, to doskonałe!

- O co chodzi, Warren?

- Aktorzy!

- Oczywiście.

- Aktorzy mogą być, kimkolwiek zechcą. Ich zawód polega na przekonywaniu ludzi, że są kimś zupełnie innym, niż tamtym się wydaje, prawda?

- Owszem. Tego się uczą.

- A więc obejdzie się bez zabójców, rozpraw i cholernych przesłuchań przed komisjami Kongresu.

- Cóż, mimo wszystko nie zaniedbałabym przekupienia kilku senatorów, na co z pewnością znajdą się odpowiednie środki...

- Już ich widzę! - przerwał jej Pease, odwracając się z powrotem twarzą do biurka, z oczami rozjaśnionymi podnieceniem i wpatrzonymi nieruchomo przed siebie. - Widzę, jak przylatują na lotnisko Kennedy'ego: czerwone szarfy, brody, filcowe kapelusze... Cała delegacja!

- Delegacja? Skąd?

- Ze Szwecji! Delegacja wysłana przez komitet Nagrody Nobla. Przystudiowali całą historię wojen XX wieku i przyjechali do nas, żeby odszukać generała MacKenziego Hawkinsa i wręczyć mu Pokojową Nagrodę Nobla jako największemu żołnierzowi naszych czasów!

- Warren, może powinnam wezwać lekarza?

- Ależ skąd, pani Trueheart! Przecież sama mi pani to podsunęła. Nie rozumie pani? Ten wariat ma *ego* większe niż Mount Everest.

- Kto taki?

- Grzmiąca Głowa.

- A kto to jest?

- MacKenzie Hawkins, a któż by inny? Dwa razy dostał od Kongresu Medal za Odwagę.

- Myślę, że powinniśmy odmówić po cichu modlitwę, dziękując Bogu, że stworzył go Amerykaninem, a nie komunistą...

- Gówno prawda! - wybuchnął sekretarz stanu. - To największy kutas w dziejach ludzkości! Przybiegnie galopem nie wiadomo z jak daleka, żeby tylko odebrać tę nagrodę. Usiądzie do samolotu do Szwecji i polecą daleko na północ, a potem sprawa będzie prosta - nieszczęśliwy wypadek, katastrofa, może w Laponii, a może na Syberii... Kogo to obchodzi?

; - Pomimo tego, okropnego języka muszę przyznać, Warren, że w twoich słowach słyszę czyste brzmienie prawdy, naszej prawdy. Co mogę zrobić, panie sekretarzu?

14

- Na początek proszę się dowiedzieć, gdzie możemy złapać oficera dowodzącego tymi aktorami, a potem proszę kazać przygotować do startu mój samolot. Osobiście polecę do Fortu Benning...

- Znakomicie!

Dwa wynajęte samochody pędziły szosą numer dziewięćdziesiąt trzy w kierunku Bostonu. Paddy Lafferty prowadził pierwszy, jego żona zaś drugi, jadący mniej więcej kilometr z tyłu. Aron Pinkus siedział z przodu, obok swojego kierowcy, podczas

gdy Sam Devereaux, jego matka i Jennifer Redwing zajmowali miejsca Z tyłu wozu. W drugim pojeździe znajdowali się generał MacKenzie Hawkins oraz Desi pierwszy i Desi Drugi, grający na tylnym siedzeniu blackjacka kartami zabranymi z narciarskiej chaty. ! - A teraz słuchaj mnie uważnie! - powiedziała do telefonu pulchna Erin Lafferty. - Mały zbój ma dostać talerz płatków owsianych z prawdziwym mlekiem - z p r a w d z i w y m , a nie z tymi popłuczynami, które pija jego dziadek! A panienka musi schrupać dwa plasterki chleba namoczone w jajku i przysmażone na patelni. Zrozumiałaś?... Dobra, zadzwonię później.

i - To pani dzieci? - zapytał niepewnie Jastrząb, kiedy pani Lafferty odłożyła słuchawkę.

- Człowieku, czy ty masz sieczkę we łbie? Wyglądam na kobietę, która ma takie maluchy?
- - Po prostu niechcący podsłuchałem rozmowę i...
- To moja najmłodsza córka, Bridget. Opiekuje się brzdącami mojego najstarszego syna, bo rodzice wybrali się na wakacje... Wyobrażasz pan sobie? Na w a k a c j e !
- Pani mąż nie sprzeciwił się temu?
- A w jaki sposób? Dennis jest wielkim panem księgowym i wstawił sobie chyba ze trzy inicjały między imię i nazwisko. Zajmuje się naszymi podatkami.
- Rozumiem.
- Jeśli pan rozumiesz, to znaczy, że diabeł pierdzi perfumami! Wolałabym mieć bachory nie mądrzejsze od pana. Z tymi mądrymi jest masa kłopotów. - Rozległ się brzęczyk telefonu i pani Lafferty podniosła słuchawkę. - O co chodzi, Bridgey? Nie możesz znaleźć lodówki,, A, to ty, Paddy. Twoje szczęście, że nie mam cię tu pod

15

ręką, bo wsadziłabym ci łeb do beczki ze starym olejem. - Erin Lafferty podała słuchawkę Hawkinsowi. - Paddy mówi, że pan Pinkus chce z panem rozmawiać.

- Dziękuję pani... Komendancie?

Tu jeszcze Paddy, wielki generale. Zaraz dam panu szefa, ale chciałem tylko powiedzieć, żeby nie zwracał pan uwagi na moją kobietę. To dobra dziewczyna, ale nigdy nie była na pierwszej linii, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Naturalnie, artylerzysto. Jednak na twoim miejscu dopilnowałbym, żeby „mały zbój” dostał swoje płatki owsiane z prawdziwym mlekiem, a „panienka” dwie kromki chleba namoczone w jajku i przysmażone na patelni.

- A co, znowu marudziła coś o śniadaniu dla dzieciaków? Babcie mogą każdego wpędzić do grobu, generale... Daję panu pana Pinkusa.

- Generale?

- Komendancie? Jakie mamy bieżące koordynaty?

- Bieżące co?... Aha, dokąd jedziemy? Otóż właśnie zorganizowałem dla nas kwaterę w Swampscott, w letniskowym domu mojego szwagra. Dom stoi przy samej plaży i jest bardzo piękny, a szwagier wyjechał z siostrą Shirley do Europy, więc nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Dobra robota, komendancie Pinkus. Nic nie wpływa lepiej na morale żołnierzy niż komfortowy biwak przed rozstrzygającą bitwą. Zna pan adres? Muszę przekazać go Małemu Józefowi w Bostonie, ponieważ już wkrótce dołączą do nas posiłki.

- Dom jest znany jako dwór Worthington, stoi przy Beach Road, a obecnie należy do Sidneya Birnbauma. Nie jestem pewien, jaki to numer, ale ma cały front pomalowany na błękit królewski, co bardzo spodobało się siostrze mojej żony.

- To wystarczy, komendancie Pinkus. Nasze posiłki bez wątplenia zostaną wybrane spośród doborowych jednostek i znajdą nas bez trudu. Coś jeszcze?

- Proszę tylko powiedzieć żonie Paddyego, dokąd jedziemy, drogę, więc trafi nawet wtedy, gdybyśmy się rozdzielili.

Jastrząb przekazał informację Erin Lafferty, na co usłyszał odpowiedź:

- Na rany Jezusa, znowu ci koszerni chłopcy! Ale jedno

16

muszę im przyznać, generale: jak mało kto wiedzą, gdzie zdobyć najlepsze mięso i najświeższe warzywa!

- Przypuszczam, że już tam pani była?

- Czy tam byłam? Niech pana ręka boska broni, żeby powiedział pan to mojemu pastorowi, ale wielki Sidney i jego wspaniąta Sarah poprosili mnie, żebym była matką chrzestną ich chłopca, Joshui - według żydowskiego obrządku, ma się rozumieć. Traktuję Josha jak własne dziecko i modlimy się z Paddym, żeby spiknęli się z Bridgemy, jeśli pan wie, co mam na myśli.

- A czy pani pastor...

- Co on może wiedzieć, do diabła?! Chła bez przerwy te swoje francuskie wińska i zanudza wszystkich kazaniami. Facet przegrał życie.

- Poplątanie z pomieszaniem... - zauważył cicho Jastrząb, po czym niespodziewanie zachichotał. - Myślała pani kiedyś, żeby zostać papieżem? Znałem kiedyś jednego, który na pewno by panią polubił.

No wiesz pan? Ja, głupie irlandzkie babsko, miałabym myśleć o czymś takim?

- Pokorni i cisi odziedziczą ziemię, bo to z nich czerpie ludzkość swą moralną siłę.

- Jaja pan sobie ze mnie robisz? Nie radzę, bo mój stary złamie pana jak patyczek!

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło, szanowna pani - odparł Hawkins. spoglądając na profil Erin Lafferty. - Jestem pewien, że mogłby to zrobić - dodał po chwili najlepszy specjalista od walki wręcz, jaki kiedykolwiek służył w amerykańskiej armii. - Wdeptałby mnie w ziemię.

No, może jest trochę za stary, ale mój chłopak ma krzepę jak trzeba!

- Przede wszystkim ma panią, a to jest najważniejsze. O czym pan gadasz?

Przecież ze mnie też już stara baba!

- Ja na pewno jestem starszy od pani, ale to nie ma żadnego znaczenia. Po prostu chcę powiedzieć, że czuję się zaszczycony, mogąc panią poznać.

- Mącisz mi pan w głowie, panie żołnierzu.

- Nie miałem takiego zamiaru.

Erin Lafferty przycisnęła mocniej pedał gazu i samochód raptownie zwiększył prędkość.

Wolfgang Hitluh, urodzony jako Billy-Bob Bayou, wyszedł z rękawa i skierował się szerokim korytarzem budynku dworca lotniczego im. Logana w kierunku taśmociągu z bagażami. Jako jedna trzecia specjalnego oddziału ochroniarzy miał spotkać swoich dwóch *Kameraden* na krytym parkingu za postojem taksówek. W celu identyfikacji miał nieść w rękę zwinięty egzemplarz „Wall Street Journal” z kilkoma artykułami zakreślonymi czerwonym flamastrem, choć on osobiście starał się usilnie, aby był to egzemplarz *Mein Kampf*.

Gdyby tak bardzo nie zależało mu na pieniądzach, z pewnością uniósłby się honorem i odrzucił ofertę. „Wall Street Journal” stanowił symbol dekadencjonalnej, goniącej za zyskiem demokracji, i powinien zostać spalony razem z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami wszystkich gazet i czasopism ukazujących się w tym kraju, poczynając od odrażających „Amsterdam News” oraz „Ebony”, wydawanych w Harlemie i dla Harlemu, cuchnącego gniazda wstrętnych czarnych rozrabiaków. Wall Street z kolei stanowiła warowny obóz wrogiej armii uzbrojonej za żydowskie pieniądze. Tak się jednak niefortunnie złożyło, że Wolfgangowi bardzo zależało na tej robocie, ponieważ skończył mu się zasiłek - za sprawą parszywego czarnego urzędnika w biurze zatrudnienia! w związku z czym musiał schować zasady do kieszeni i przyjąć zaliczkę w wysokości dwustu dolarów oraz bilet lotniczy do Bostonu.

Wiedział tylko, że on i jego dwaj *Kameraden* mają chronić składającą się z siedmiu osób grupę, której trzej członkowie są zawodowymi żołnierzami. Oznaczało to, że sześciu profesjonalistów ma pilnować czterech cywilów - bułka z masłem albo raczej strudel, który niezmiernie polubił podczas wspaniątych dwóch miesięcy szkolenia w górach Bawarii u boku swego *Meistera* z Czwartej Rzeszy. Wolfgang Hitluh, z egzemplarzem „Wall Street Journal” w jednej ręce i torbą podrózną w drugiej, przekroczył dwupasmową jezdnię dzielącą go od zadaszonego parkingu. Nie wolno mu zwrócić na siebie uwagi! Powtarzał to sobie w pamięci, idąc w blasku popołudniowego słońca w kierunku szeroko otwartych drzwi wielkiego garażu. Operacja była otoczona tak ścisłą tajemnicą, że nie mógłby pisać ani słowa nawet samemu *Führerowi*, gdyby ten żył, czego nie można wykluczyć, *natürlich!* Widocznie zadanie polegało na ochronie niezwykle ważnych

osób, których życia nie można było powierzyć słabym osobnikom niearyjskiego pochodzenia, od jakich ostatnio zaroilo się w Siłach Specjalnych. . Gdzie są moi *Kameraden!* - zastanawiał się, spoglądając dokoła.

- Ty jesteś Wolfie? - zapytał ogromny czarny mężczyzna, który ! niespodziewanie wyszedł zza okrągłego filaru i podszedł do Hitluha.

- Co?... Kto? Co ty powiedziałeś?

! - Przecież słyszałeś, maluchu. Masz w łapie gazetę, a jak przechodziłeś przez jezdnie, zobaczyliśmy, że pomazałeś ją na czerwono. - Ciemnoskóry olbrzym uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Miło cię poznać, Wolf. Tak przy okazji, to cholernie klawe imię.

- He?... Tak, chyba rzeczywiście.

Nazista dotknął dłoni Murzyna z taką miną, jakby bał się, że zakazi go jakąś nieuleczalną chorobą.

- Zanosi się na niezłą zabawę, bracie.

- Bracie?

- Pozwól, że przedstawię cię naszemu partnerowi - ciągnął czarny gigant, wskazując kogoś stojącego za plecami Wolfganga. - Niech cię nie zmyli jego wygląd. Jak tylko się wydostaliśmy na wolność, od razu pogonił do swoich. Powiadam ci, Wolfie, nie uwierzył byś jak potrafią nawijać te stare wróżbitki i ich mężowie z wąsiskami po pachy!

- Wróżbitki?...

- Dalej, Roman, przywitaj się z naszym przyjacielem! Druga postać wyszła z cienia rzucanego przez filar. Był to silnie umięśniony mężczyzna w jedwabnej jaskrawopomarańczowej koszuli, i owinięty w pasie jedwabną błękitną szarfą, w obcisłych czarnych ; spodniach, z czarnymi kędziorami opadającymi na czoło. W jego uchu tkwił złoty kolczyk.

Cygan! - przemknęła Wolfgangowi rozpaczliwa myśl. - Mołdawski pokurcz, gorszy od wszystkich Żydów i czarnuchów razem wziętych! *Deutschland iiber alles!*

- Halo, paniczu Wolfowitz! - wykrzyknął człowiek z kolczykiem, wyciągając swoją dłoń i obdarzając Wolfganga olśniewającym uśmiechem, który odsłonił dwa rzędy śnieżnobiałych zębów pod kruczoczarnym wąsem. Osobnik ten stanowił dokładne przeciwieństwo wyobrażeń Hitluha dotyczących jego nowych *Kameraden*. - Widzę po kształcie pańskiego ucha, że czeka pana bardzo długie życie, pełne dostatku

i powodzenia! Tej cennej informacji udzielam panu za darmo, bo> przecież mamy razem pracować, *zgadza* się?

Wielki *Flthrerze*, czemuś mnie opuścił? - jęknął pod nosem Hitluh, odruchowo potrząsając ręką Cygana.

Co jest, Wolfie? - zapytał ciemnoskóry olbrzym, kładąc wielką dłoń na jego ramieniu.

Nic takiego... Na pewno się nie pomyliliście? Przyszyła was Plus-Plus?

- We własnej osobie, bracie, a z tego, co wygłótkowaliśmy z Romanem, wygląda na to, że robota będzie łatwiejsza niż zrywanie jabłek z drzewa. Aha, przy okazji - nazywam się Cyrus, Cyrus M. Mój kumpel to Roman Z., a ty jesteś Wolfie H. Ma się rozumieć, nigdy nie pytamy o pełne nazwiska, co zresztą i tak nie sprawiłoby większej różnicy, bo przecież mamy ich od metra, no nie?

Jawohl. - Wolfgang skinął głową, po czym dodał z pobladłą twarzą: - Masz całkowitą rację... *Bruder*.

- Co?

Bracie - poprawił się natychmiast Hitluh. - To znaczy po prostu bracie, naprawdę nic więcej...

- Hej, nie denerwuj się tak, Wolfie. Zrozumiałem cię. Ja też mówię po niemiecku. Naprawdę?

- No jasne. Jak myślisz, dlaczego wpakowali mnie za kratki?

- Dlatego że mówisz po niemiecku?... No, w pewnym sensie, maluchu - zgodził się czarnoskóry

olbrzym. - Widzisz, jestem chemikiem pracującym dla rządu. Wypo-
zyczlił mi do Stuttgartu, żebym pomógł im przy pracy nad jakimś nowym nawozem, tylko że to wcale nie było to.

- Co nie było czym?
- Ten nawóz. Też gówno, ale nie nawóz, tylko gaz. Bardzo niezdrowy gaz, który miał zostać wysłany na Bliski Wschód.
- *Mein Gott!* Chyba istniał jakiś powód...
Jasne, a jakże. Chodziło o forszę i wysłanie na tamten świat mnóstwa ludzi, których ci na górze uznali za zbyt mało ważnych, żeby pozwolić im żyć. Trzej z nich znaleźli mnie pewnej nocy w laboratorium, kiedy pracowałem nad końcową reakcją. Wyzwali mnie od *Schwarzerów* i rzucili się na mnie z bronią gotową do strzału.. I tę właśnie było to.

20

- To znaczy c o?
- Wrzuciłem wszystkich trzech do zbiorników z odczynnikami, związku z czym nie mogli stawić się na rozprawie, by potwierdzić swoją wersję o działaniu w obronie własnej... Tak więc, w imię utrzymania dobrych stosunków dyplomatycznych, wybrałem pięć lat tutaj zamiast piętnastu tam. Ja sam wyceniłem się maksimum na trzy miesiące, więc wczoraj w nocy daliśmy z Romanem drapaka.
- Ale to robota dla najemników, nie dla chemików!
- Człowiek potrafi robić w życiu wiele rzeczy, maluchu. Żeby skończyć w ciągu siedmiu lat dwa uniwersytety, musiałem od czasu do czasu wziąć parę miesięcy wolnego. Angola - po obu stronach, nawiasem mówiąc - Oman, Karaczi, Kuala Lumpur. Na pewno nie sprawie ci zawodu, Wolfie.
Paniczu Wolfowitz - wtrącił się Roman Z., wypinając okrytą pomarańczową koszulą pierś i stając w lekkim rozkroku, jakby miał zamiar rozpocząć jakieś cygańskie płąsy. - Widzisz przed sobą człowieka, który najlepiej na świecie posługuje się śmiercionośnym nożem Najlepiej i najciszej, nie spotkasz drugiego, kto by to potrafił! Rach. ciach, siach! - Słowom towarzyszyły raptowne uniki i podskoki Zapytaj, kogo chcesz, w górach Serbii!
Ale przecież siedziałeś tu w więzieniu...
Pech, po prostu okropny pech - odparł Roman Z. żalonym tonem Człowiek robi wszystko, żeby wyemigrować do obcego kraju, po czym okazuje się, że jest zupełnie sam, bo nikt go nie rozumie.
- Dobra, Wolfie - przerwał mu donośnym głosem Cyrus M. - Ty już wiesz sporo o nas, więc może powiedziałbyś nam coś o sobie? Widzicie, chłopcy... To znaczy, jestem tym, kogo niektórzy nazywają samotnym wywiadowcą...
- Widzę, że pochodzisz z południa. Chłopak z południa, który mówi po niemiecku...
- mruknął w zamyśleniu Cyrus M. »*- Nie uważasz, że to dość dziwna kombinacja?
- Skąd wiesz?
- *Zdradza* cię akcent, kiedy jesteś zdenerwowany. Dlaczego jesteś zdenerwowany maluchu?

Mylisz się, Cyrus. Ja po prostu nie mogę się doczekać, kiedy weźmiemy się do roboty!

Weźmiemy się i to zaraz, niech cię o to głowa nie boli.

21

Najpierw jednak chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o naszym partnerze. Sam rozumiesz, przecież nie możemy wykluczyć, że od ciebie będzie zależało nasze życie. Rozumiesz to, prawda? No, to bądź grzecznym chłopcem i powiedz nam, gdzie nauczyłeś się niemieckiego? Może wtedy, kiedy działałeś jako samotny wywiadowca?

- Tak, tak, właśnie! - wykrzyknął Wolfgang, na którego przerażonej twarzy pojawił się rozpaczliwy uśmiech. - Miałem za zadanie penetrować niemieckie miasta, w tym Berlin i Monachium, i szukać komunistycznych agentów, ale wiecie, o czym się przekonałem?

- O czym się przekonałeś, *mein Kleiner!*

- Że nasz pieprzony rząd bimba sobie na to i patrzy w inną stronę!

- Masz na myśli tych wszystkich komunistycznych drani przy Bramie Brandenburskiej i na Unter den Linden?

- Tak, oczywiście! Właśnie tych!

- *Się sprechen nicht sehr gut Deutsch.*

- Eee... Nie mówię płynnie, ale mogę się jakoś dogadać. Wiesz, najważniejsze zwroty i wyrażenia...

- Jasne, rozumiem. Najważniejsze zwroty i wyrażenia. - Niespodziewanie czarny olbrzym wyprężył się na baczność i wyciągnął ukosem w górę prawe ramię. - *Heil Hitler!*
- *Sieg Heil!* - ryknął Wolfgang tak głośno, że kilka osób, które właśnie wysiadły z samochodów, spojrzało w ich stronę, po czym szybko opuściło miejsce wydarzeń.

- Popełniłeś drobny błąd, Wolfie. Przed zburzeniem muru Brama Brandenburska i Unter den Linden były po t a m t e j stronie. Tam byli sami komuniści.

Cyrus M. raptownie wciągnął oniemiałego Wolfganga w cień filaru i celnym ciosem w podbródek pozbawił przytomności.

- Dlaczego to zrobiłeś, do wszystkich diabłów?! - wykrzyknął ze zdumieniem pomarańczowo-błękitny Cygan, podążając za kolegą z więzienia.

- Wyczuwam tych sukinsynów na dwa kilometry - odparł ogromny chemik, jedną ręką przytrzymując nieprzytomnego nazistę w pozycji pionowej, drugą zaś wrywając mu jego torbę podróżną. - Otwórz to i wysyp wszystko na ziemię.

Roman Z. postąpił zgodnie z poleceniem. Wśród rzeczy, które wypadły z torby, najbardziej zwracał uwagę egzemplarz *Mein Kampf* w krwistoczerwonej oprawie.

22

To nie jest miły facet - stwierdził Cygan, podnosząc książkę. – Co znim teraz zrobimy, Cyrus?

Wczoraj w celi usłyszałem przez radio o czymś, co bardzo mi się spodobało. Nie uwierzysz, ale to zdarzyło się tutaj, w Bostonie.

THE BOSTON GLOBE NAGI NAZISTA ZNALEZIONY PRZED DRZWIAMI KOMISARIATU

Egzemplarz Mein Kampf przyklejony do piersi

Boston, 26 sierpnia. Miasto opanowała plaga nagich przestępców. Wczoraj wieczorem o godzinie 20.10 dwaj ludzie porzucili przed komisariatem policji na Cambridge Street rozebranego mężczyznę. Miał skrepowane ręce i nogi, usta zaklejone taśmą samoprzylepną, a na piersi egzemplarz *Mein Kampf* przyklejony taką samą taśmą. Siedmiu świadków tego wydarzenia, z których żaden nie zgodził się na ujawnienie personaliów, twierdzi, że do krawężnika podjechała taksówka, z której wysiedli dwaj mężczyźni - jeden w bardzo jaskrawym stroju, drugi czarny i silnej postury - zanieśli nagie ciało przed drzwi komisariatu, wrócili do taksówki i odjechali w nieznanym kierunku. Ofiarą okazał się niejaki Wolfgang A. Hitluh, poszukiwany w całym kraju nazista, urodzony w Serendipity Parish w stanie Luizjana jako Billy-Bob Bayou. Największe zdumienie oficjalnych czynników wzbudził fakt, że pan Hitluh, podobnie jak czterej nadzy mężczyźni z hotelu Ritz-Carlton, domaga się natychmiastowego zwolnienia z aresztu utrzymując, że pracuje dla rządu Stanów Zjednoczonych i wykonuje tajną misję najwyższej wagi. Rzecznik prasowy Federalnego Biura Śledczego zaprzeczył kategorycznie, jakoby Biuro miało jakiegokolwiek związku z tym osobnikiem, a na koniec dodał: „Bez względu na okoliczności nasi agenci mają kategoryczny zakaz pozbywania się ubrania, w tym także krawatów”. Z kolei rzecznik prasowy Centralnej Agencji Wywiadowczej, także odżegnawszy się od działań pana Hitluha, wydał następujące oświadczenie: „Jak powszechnie wiadomo, ustawa z roku 1947 zakazuje Agencji prowadzenia jakiegokolwiek działalności na terenie Stanów Zjednoczonych. W wyjątkowych wypadkach, kiedy władze są zmuszone skorzystać z informacji, którymi dysponujemy, udziela ich jedynie dyrektor Agencji, a i to pod ścisłym nadzorem Kongresu. Jeśli nawet nieodżałowanej pamięci Vincent Mangecavallo został ostatnio poproszony o taką pomoc, to nic nam o tym nie wiadomo. W tej sytuacji wszelkie pytania związane z tą sprawą powinny być kierowane do tych (dwa niecenzuralne określenia) w Kongresie”.

23

THE BOSTON GLOBE

(Strona 72, Wiadomości Lokalne)

wczesnych godzinach wieczornych skradziono 18a
krótco taksówkę należącą do Abula Shiraka mieszkającego przy Center Avenue 3024. Pan Shirak poszedł na kawę do „Liberation Diner”, a kiedy po wyjściu z lokalu stwierdził, że ktoś ukradł jego samochód, natychmiast zawiadomił policję. Jednak już o godzinie 20.55 zadzwonił ponownie i poinformował, że samochód został zwrócony. Podczas przesłuchania zeznał,

że siedział w barze obok mężczyzny w pomarańczowej koszuli i z kolczykiem w uchu, który wciągnął go w rozmowę. Po jej zakończeniu pan Shirak przekonał się, że nie ma kluczyków do samochodu. Policja umorzyła śledztwo, ponieważ pokrzywdzony stwierdził, że wynagrodzono mu już wszelkie straty.

Żądam odpowiedzi, ty wymuskany angielski psie! - ryknął przyozdobiony rudą peruką Vinnie Bam-Bam w budce telefonicznej na Collins Avenue w Miami Beach na Florydzie. - Co się stało, do nagłej cholery?

- Vincenzo, to nie ja zaangażowałem tego szaleńca, tylko ty - odparł Smythington-Fontini z apartamentu w nowojorskim hotelu Carlyle. - Jeśli sobie przypominasz, ostrzegałem cię przed nim.

- Nie zdążył nawet nic zrobić! Tych kretynów można tak zaprogramować, żeby wsadzili dupę do dziupli z szerszeniami, ale jego załatwili, zanim zdążył znaleźć swoją dupę!

- A czego się spodziewałeś, tworząc zespół z Murzyna, Cygana i fanatycznego hitlerowca? Zdaje się, że o tym też ci wspomniałem.

- Wspomniałeś też, jeżeli mnie pamięć nie myli, że te pajace interesują się wyłącznie forszą, niczym innym!

- Cóż, wygląda na to, że muszę zrewidować swoje poglądy. Mam jednak dla ciebie także dobrą wiadomość. Otóż dwaj pozostali członkowie zespołu skontaktowali się już z generałem, dotarli do miejsca, w którym się ukrywa, i właśnie w tej chwili zajmują wyznaczone pozycje.

- Skąd o tym wiesz, u diabła?

- Ponieważ poinformowałem mnie o tym Plus-Plus. Cyrus M znalazł ich telefonicznie w jakimś Swampscott i powiedział, że wszy jest pod kontrolą. Wspomniał też, że nie zależy mu na tym,

24

by koniecznie zostać pułkownikiem mianowanym przez generała. Czy t[^]raz jesteś już zadowolony, Vincenzo?

\ - Nie, do diabła! Czytałeś, co te matoly z Agencji napisały o mnie? Że zorganizowałem wszystko zupełnie sam, bez niczyjej wiedzy! Co to znowu za pieprzenie?

* - Nic nowego, Vincenzo. Najlepiej zwalić winę na nieboszczyka, oczywiście jeżeli w ogóle można mówić o czymś takim jak wina. A nawet jeśli zmartwychwstaniesz na SuchejTortugas, pewne rzeczy nie ulegną zmianie. Ty n a p r a w d ę to zorganizowałeś.

- Razem z tobą!

- Ale ja jestem niewidzialny, Bam-Bam. Jeżeli masz zamiar ujrzeć jeszcze w życiu coś więcej niż Suchą Tortugas, musisz pracować dla mnie, *capiscel* Jesteś teraz mój, Vincenzo.

- Nie wierzę ci!

- Dlaczego? Przecież sam powiedziałeś, że jestem nieodrodnym synem swojej matki... Kontynuuj starania na Wall Street, przyjacielu. Ja w tym czasie zajmę się jatkami na wielką skalę, a ty... Cóż, o tym zadecydujem) później.

- *Mamma mia!*

Świetnie powiedziane, staruszk.

19

;\: n

:

Kilkoro rozsuwanych szklanych drzwi, przez które było widać otwarte morze, raczyło ogromny salon letniskowego domu Birnbauma z wąską werandą z drewna sekwojowego, biegnąca wzdłuż całej ściany budynku. Było już jasno, ale niebo zasnuło się chmurami, a rozciągający się w dole ocean falował niespokojnie, chłoscząc piasek

gniewnymi uderzeniami grzywaczy.

- Zapowiada się paskudny dzień - powiedział Sam Deveraux wychodząc z kuchni z dzbankiem kawy w ręku.

- Rzeczywiście, nie wygląda zachęcająco - odparł potężny < mężczyzna, który przedstawił się poprzedniego wieczoru jako Cyt

- Nie spał pan całą noc?

- To z* przyzwyczajenia, panie mecenasie. Znam Romana nic nie wiem o tych dwóch hiszpańskich facetach, Desim Pierwszym i Drugim. A w ogóle, co to za ksywy, na litość boską?

- A co to za imię Cyrus M.?

- Właściwie to jestem Cyril, a M dodaję dla uczczenia mamuśki, dzięki której wyrwałem się z zapadłej dziury w Missisipi. W znacznej mierze osiągnąłem to dzięki książkom zapewniam pana, że na początku trzeba mnie było do nich gonić.

- Przypuszczam, że mógłby pan grać w NFL.

- Albo machać kijem do baseballu, albo boksować, albo nawet zostać Czarnym Behemotem wrestlingu... Dajmy sobie sr. panie mecenasie. To dobre dla przygłupów, a jeśli nie jest

26

się lepszym, to po pewnym czasie ląduje się w rynsztoku z mnóstwem sińców i uszkodzoną połową mózgu. Ja nie mógłbym być najlepszy, bo nie potrafiłbym poświęcić temu całej duszy.

- Wyraża się pan jak wykształcony człowiek.

- Bo nim jestem.

- To wszystko, co powie pan na ten temat?

- Ustalmy to sobie już na początku, mecenasie - odparł uprzejmym tonem Cyrus.

- Jestem tu po to, żeby was chronić, a nie po to, by opowiadać panu historię mojego życia.

- W porządku. I przepraszam... Skoro właśnie za to panu płacimy, to jak ocenia pan obecną sytuację?

- Sprawdziłem teren od plaży przez wydmy aż do drogi. Jesteśmy odkryci, jednak najdalej w południe już nie będziemy.

- Co pan przez to rozumie?

- Zadzwoiłem do mojej firmy, to znaczy do firmy, która mnie wynajęła, i kazałem im przysłać bateryjne szperacze z półtorametrowymi antenami. Ustawimy je w wysokiej trawie od strony wody i będziemy mieli spokój.

- Co to znaczy, do wszystkich diabłów?

- Tylko to, że każdy obiekt o masie ponad dwadzieścia pięć kilogramów,, który przekroczy ich linię, wywoła alarm słyszalny w promieni u siedmiu kilometrów.

- Widzę, że znasz się na swoim fachu, Cyrusie M.

- A ja mam nadzieję, że ty znasz się na swoim - wymamrotał strażnik podnosząc do oczu lornetkę i omiatając wzrokiem horyzont.

- Dziwna uwaga...

- Zapewne chciał pan powiedzieć: impertynencka. - Na twarzy Cyrusa M. pojawił się szeroki uśmiech.

- Owszem, to także, ale przede wszystkim dziwna. Czy mógłby ją pan wyjaśnić?

- Jestem starszy, niż się panu wydaje, panie D., i mam dobrą pamięć. - Cyrus poprawił ostrość i od niechcenia mówił dalej. - Kiedy zostaliśmy przedstawieni wczoraj wieczorem, naszymi *noms de guerre*, ma się rozumieć, i kiedy otrzymaliśmy polecenia od generała, sięgnąłem myślą kilka lat wstecz... Ponieważ spędziłem trochę czasu na Dalekim Wschodzie, czytam prawie wszystko, co piszą w gazetach o tym rejonie świata Wasz generał to ten sam gość, którego wywalono z Chin za zbezczeszczenie jakiegoś narodowego pomnika w Pekinie,

27

zgadza się? Przypomniałem sobie nawet jego nazwisko: generał MacKenzie Hawkins, co znakomicie pasuje do dowódcy H., jak go nazywacie, tyle że co chwila ktoś z was zwraca się do niego: panie generale, więc jest zupełnie jasne, jaki ma stopień. Tak, to ten sam człowiek, który sprawił, że cały Waszyngton dostał rozwolnienia z powodu tamtego zatargu z Chińczykami.

- Nie potwierdzam ani jednego faktu z tego steku bredni, które pan wygłosił, ale

chciałbym wiedzieć, do czego pan zmierza?

- Ma to związek ze sposobem, w jaki zwerbowano mnie do wykonania tego zadania - odparł Cyrus, bez przerwy poruszając lornetką w lewo i w prawo. Górna część jego ciała wyglądała jak posąg, któremu nadano pozory życia; groźny, choć o kamiennej twarzy. - Widzi pan, pracowałem już parę razy dla tych ludzi, może trochę częściej w dawnych czasach niż ostatnio, ale znam ich dość dobrze i wiem, że podstawowe reguły nie ulegają zmianie. Przy każdym normalnym zadaniu otrzymujemy zwięzłą, lecz dokładną informację na jego temat...

- To znaczy? - przerwał mu Sam.

- Nazwiska, ogólny zarys sytuacji, charakterystykę zadania...

- Dlaczego? - przerwał mu ponownie Devereaux.

- Hej, mecenasie! - Cyrus opuścił lornetkę i spojrzał na Sama. - Teraz naprawdę bawi się pan w prawnika?

- A czemu to pana dziwi, skoro już pan wie, że nim jestem?... A tak przy okazji: skąd się pan tego dowiedział?

- Wszyscy jesteście tacy sami! - odparł strażnik, nie mogąc stłumić chichotu. - Nie potrafiliście ukryć tego, nawet gdybyście nagle oniemieli. Machalibyście rękami jak wariaci, kłócąc się w języku migowym!

- Pan mnie słyszał?

- Słyszałem was troje: starszego faceta, opaloną damulkę, która wcale nie musi się opalać, żeby mieć taki kolor skóry, i pana*. Jeśli pan pamięta, generał kazał mi pokręcić się po domu i sprawdzić wszystkie wejścia i okna. Dowódca H. i pańska matka mi się przynajmniej wydają, że to pańska matka - poszli spać i zostaliście tu na dole tylko we trójkę. Kilka razy w moim dorosłym życiu otarłem się o prawo, więc potrafię rozpoznać prawnika pierwszym zdaniem, które wypowie.

- W porządku - poddał się Devereaux. - W takim razie

28

wracam do pierwszego pytania: dlaczego wy, zwykli strażnicy, jesteście informowani o szczegółach operacji?

- Ponieważ nie jesteśmy zwykłymi strażnikami, lecz najemnikami. (- Co takiego?! - wrzasnął Sam.

Żołnierzami do wynajęcia. Czy musi pan tak krzyczeć? Och, mój Boże! - Ponieważ tej najkrótszej z możliwych modlitw towarzyszył gwałtowny ruch ręki, część zawartości dzbanka znalazła się na spodniach Sama. - Rety, to gorące!

- Dobra kawa zazwyczaj jest gorąca.

- Daruj pan sobie te głupie uwagi! - syknął zgięty wpół Devereaux, na próżno usiłując oczyścić spodnie. - Najemnicy?

- Słyszał pan, co powiedziałem. Powinno to panu wyjaśnić, dlaczego jesteście informowani o szczegółach operacji, w których bierzemy udział. W społeczeństwie pokutuje rozpowszechniony pogląd, że najemnik podejmie się każdej roboty, za którą mu dobrze zapłacą, ale to nieprawda. Walczyłem raz po jednej stronie, a raz po drugiej, gdy nie miało to większego znaczenia, ale nie wtedy, kiedy od tego mogło coś zależeć. Wówczas po prostu rezygnowałem z roboty. Robię to także wtedy, kiedy nie podobają mi się ci, z którymi mam pracować - właśnie dlatego zjawiliśmy się tu we dwójkę, a nie we trójkę.

- Miał być ktoś jeszcze?

- Ale go nie ma, więc nie musimy zaprzętać sobie nim głowy.

- Dobrze, dobrze... - Devereaux wyprostował się i ciągnął z resztkami godności, jakie udało mu się zachować: - W związku z tym przejdźmy do mojego drugiego pytania, które brzmiało... Jak ono brzmiało, do cholery?

- Nie postawił go pan, mecenasie, choć wiem, jak miało brzmieć.

- Naprawdę?

- Dlaczego tym razem nie otrzymaliśmy żadnych informacji o czekającym nas zadaniu? Postaram się odpowiedzieć na nie, opierając się na moim długoletnim doświadczeniu.

- Bardzo proszę.

- Powiedziano nam tylko, że jest was siedmioro, w tym trzech wojskowych, przy czym ten drugi fakt miał stanowić swego rodzaju zachętę. Żadnych okoliczności, żadnego opisu potencjalnych przeciwników, ani odrobiny polityki w najszerszym znaczeniu tego

słowa, czyli informacji o legalności lub nielegalności zadania. Krótko mówiąc,

29

nic poza suchymi liczbami, które równie dobrze mogły okazać się bez znaczenia. Czy to coś panu mówi?

- Oczywiście - odparł Sam. - Że okoliczności i szczegóły tego zadania muszą pozostać tajemnicą.

- Tak mówią ludzie z rządu, ale nie najemnicy.

- Co pan przez to rozumie?

- Podejmujemy duże ryzyko za duże pieniądze, ale nie mamy obowiązku działać w ciemno, bez rozpoznania terenu. To dobre dla narwańców, którzy kamuflują się w Kambodży albo Tanganicy i mogą się uważać za prawdziwych szczęśliwców, jeśli ich rodziny otrzymają ich żołd, kiedy oni nie wrócą do domu. Dostrzega pan już różnicę?

- Nie jest trudna do wychwycenia, choć ciągle nie wiem, do czego pan zmierza.

- W takim razie powiem to panu wprost: brak szczegółowych wyjaśnień można wyjaśnić na dwa sposoby. Pierwszy to przypuszczenie, że jest to tajna operacja rządowa, co oznacza, że nikt nie może nic wiedzieć, bo każdy, kto się czegoś dowie, skończy w Leavenworth albo jakimś płytkim bezimiennym grobie... Druga możliwość jest jeszcze mniej zachęcająca.

- Doprawdy? - mruknął Devereaux, wpatrując się z niepokojem w niewzruszoną twarz Cyrusa M.

- Resekcja, mecenasie.

- Resekcja?...

- Tak, ale nie jedna z tych subtelnych, polegających na unieszkodliwieniu jakiegoś groźnego wariata albo złapaniu nieuczciwych ludzi biorących łapówki wtedy, kiedy nie powinni, lecz znacznie groźniejsza. Niektórzy nazywają ją ostateczną.

- Ostateczna?...

- Bo nie ma po niej powrotu.

- Czy to znaczy...

W odpowiedzi potężny najemnik zamruczał kilka początkowych taktów *Marsza żałobnego Chopina*.

- Co takiego?! - wrzasnął Sam.

- Ciszej! Po prostu staram się wyjaśnić drugą możliwość. Nie jest wykluczone, że wybudowano mur ochronny, by ukryć za nim prawdziwe intencje, czyli egzekucję.

- Jezu przenaajświętszy!... Dlaczego mi pan to mówi?

30

- Bo zastanawiam się, czy wyciągnąć Romana i siebie z tego bagna.

- Dlaczego?

- Nie spodobał mi się trzeci człowiek, którego wybrali, a teraz, kiedy już wiem, kim jest naprawdę dowódca H., widzę, że ktoś rzeczywiście uwziął się na jego dupę, a prawdopodobnie na dupy was wszystkich, bo przecież siedzicie w tej samej piaskownicy. Może i jesteście szurnięci, ale z tego, co widzę, wynika, że nie zasługujecie na taki los, a już na pewno nie zasługuje dziewczyna, więc nie mam ochoty brać w tym udziału... Cóż, poustawiam szperacze, jeśli nam je przyślą, a potem zastanowimy się, co robić dalej

- Mój Boże, CyrusL.

- Zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy, a nawet wrzaski - powiedziała Jennifer Redwing, wchodząc do salonu z filiżanką herbaty. - Samie Devereaux! - wykrzyknęła, spojrzawszy na spodnie prawnika. - Znowu to zrobicie!

Sześciu mężczyzn liczyło sobie od dwudziestu sześciu do trzydziestu pięciu lat, niektórzy mieli więcej włosów, inni mniej, część była wyższa, a część niższa, ale mieli trzy wspólne cechy: każda twarz była w jakiś sposób szczególna - czy to dzięki ostrym, czy łagodnym rysom albo przenikliwym lub rozmarzonym oczom. Każde ciało było znakomicie wytrenowane dzięki długoletniemu ćwiczeniu akrobatyki, szermierki, tańca (współczesnego i dawnego), sztuk walki (w celu otrzymania dodatku kaskaderskiego), bezbolesnych upadków na pośladki (nieodczownych podczas wystawiania komedii i fars), ruchu scenicznego (co było szczególnie ważne w sztukach

Szekspira i greckich tragiców). Wreszcie każda para strun głosowych mogła wydawać dźwięki o ogromnej skali w dowolnym dialekcie i z każdym znanym akcentem (niezbędną sprawność przy pracy nad reklamami radiowymi i telewizyjnymi). Wszystkie te umiejętności były konieczne w rzemiośle, a raczej sztuce uprawianej przez sześciu mężczyzn, i jako takie zostały szczegółowo wyliczone w życiorysach wpływających ze znaczną częstotliwością na biurka doskonale obojętnych agentów i producentów. Ludzie ci byli aktorami, czyli najbardziej wykorzystywanymi i najmniej rozumianymi istotami zamieszkującymi Ziemię -

31

szczególnie kiedy nie mieli żadnego zajęcia. Mówiąc krótko, byli jedyni w swoim rodzaju.

Ich zespół także nie miał odpowiednika w historii tajnych operacji. Został utworzony w Forcie Benning przez pewnego starszego wiekiem pułkownika z G-2, fanatycznego miłośnika filmu, telewizji i teatru. Zdarzało się, że odwoływał całonocne ćwiczenia tylko dlatego, że w tym samym czasie chciał obejrzeć jakiś film w Pittsfield, Phoenix albo Columbus. Wielokrotnie wykorzystywał także służbowe środki transportu powietrznego, by obejrzeć jakieś atrakcyjne przedstawienie w Nowym Jorku lub Atlancie. Ulubionym narkotykiem tego fanatyka była jednak telewizja, przypuszczalnie ze względu na swoją dostępność. Jego czwarta żona zeznała podczas procesu rozwodowego, że często spędzał przed telewizorem całą noc, przełączając odbiornik z kanału na kanał i oglądając dwa albo trzy filmy z rzędu. Nic dziwnego zatem, że kiedy w Forcie Benning zjawiono się sześciu aktorów z krwi i kości, wyobraźnia pułkownika zaczęła działać na najwyższych obrotach - kilku jego kolegów stwierdziło nawet, że doprowadziło to do nieodwracalnego uszkodzenia skrzyni biegów.

Śledził uważnie postępy, jakie czynili podczas szkolenia podstawowego, zachwycając się ich indywidualnymi zdolnościami fizycznymi jak także kolektywną umiejętnością zwracania na siebie uwagi, lecz zawsze w najlepszym znaczeniu tego pojęcia. Zdumiewała go łatwość, z jaką każdy z nich w razie potrzeby potrafił błyskawicznie upodobnić się do otoczenia, bez cienia wysiłku przeistaczając się a to w chłopaka z wielkiego miasta, to znów w wiejskiego osiłka.

Pułkownik Ethelred Brokemichael - dawniej generał brygady Brokemichael, dopóki ten skretyniały prawnik z Harvardu zatrudniony w biurze inspektora generalnego nie oskarżył go omyłkowo o handel narkotykami w Azji Południowo-Wschodniej. Narkotyki? Przecież nawet nie potrafiliby odróżnić koki od coca-coli! Nadzorował tylko transport leków, a kiedy dostawał jakieś pieniądze, przeznaczał większość na sierocińce, zatrzymując resztę z myślą o biletach do teatru. W chwili gdy ujrzał tych aktorów, zrozumiał natychmiast, że oto znalazł sposób, by odzyskać wysoki stopień, na który w pełni sobie zasłużył. (Często się zastanawiał, dlaczego jego kuzyn Heseltine zdecydował się na odejście z czynnej służby, kiedy to on otrzymał ostrą reprymendę i został zdegradowany. On, nie Heseltine, ten jęklivy nuworysz, myślący tylko o tym, w jaki sposób wskoczyć

32

^ najpiękniejszy mundur w całym cholernym przedstawieniu). Tak czy inaczej, znalazł wreszcie to, czego szukał! Całkowicie nową koncepcję przeprowadzania tajnych operacji: zespół wyszkolonych zawodowych aktorów, kameleonów zdolnych do błyskawicznej zmiany wyglądu i zachowania w zależności od rodzaju i przebiegu akcji. Żywa, oddychająca, profesjonalna grupa *agents provocateurs*! Bingo!

W związku z tym zdegradowany generał Ethelred Brokemichael sprawił, wykorzystując swoje znajomości w Pentagonie, że mała grupka została podporządkowana wyłącznie jemu. Tylko od jego decyzji zależało, czy i kiedy skieruje ją do działań operacyjnych. Początkowo miał zamiar nazwać ją Zespołem Z, ale aktorzy, jak jeden mąż, odrzucili tę nazwę. Nie zgadzali się na ostatnią literę w alfabecie, a ponieważ pierwsza z pewnością została już przez kogoś zastrzeżona, uparli się, by otrzymać jakąś inną nazwę, gdyby bowiem kiedyś miał powstać o nich serial filmowy, chcieli uzyskać wpływ na obsadę głównych ról, na scenariusz, montaż i dystrybucję.

Właściwa nazwa pojawiła się po ich trzeciej akcji, jaką przeprowadzili w ciągu dziewięciu miesięcy działania, kiedy to we Włoszech przeniknęli do wnętrza oddziału

Czerwonych Brygad i uwolnili amerykańskiego dyplomatę przetrzymywanego w charakterze zakładnika. Osiągnęli to dzięki umieszczeniu w lokalnej gazecie ogłoszenia, w którym przedstawili się jako najlepsi komunistyczni dostawcy artykułów spożywczych w całym mieście, w związku z czym zostali wynajęci przez Brygady do obsługi urodzinowego przyjęcia dowódcy oddziału, które to przyjęcie miało się odbyć w tajnej kwaterze głównej terrorystów. Reszta, jak mawiają sypiący frazesami nudziarze, była prosta iak drut. Mimo to w światku tajnych agentów i kontragentów narodziła się nowa legenda; Samobójcza Szóstka stała się siłą, z którą należało się liczyć.

Kolejne operacje przeprowadzone w Bejrucie, Strefie Gazy, Osace, Singapurze i Basking Ridge w stanie New Jersey ugruntowały reputację oddziału. Udało im się wniknąć w środowiska przestępcze i pochwylić wielu najgroźniejszych zbrodniarzy, poczynając od handlarzy narkotykami i bronią, kończąc na płatnych zabójcach i malwersantach finansowych. Osiągnęli to bez żadnych strat własnych.

Nie oddali też ani jednego strzału, nigdy nie użyli noża, nie rzucili żadnego granatu. O tym jednak wiedział tylko jeden człowiek - właśnie generał brygady Ethelred Brokemichael. Cóż za samobójcza Szóstka, otoczony legendą wzór dla wszystkich

33

szwadronów śmierci na całym świecie, nie zabiła nawet muchy, wychodząc cało z najgorszych opresji wyłącznie dzięki sile perswazji i giętkości języków. Doprawdy, trudno sobie wyobrazić większe upokorzenie!

Kiedy sekretarz stanu Warren Pease przybył do Fortu Benning i dotarł dwuosobowym jeepem do najodleglejszego miejsca na obejmującym dziewięćdziesiąt osiem tysięcy akrów terenie, stanowiącym wyłączną własność armii Stanów Zjednoczonych, by dostarczyć Brokemichaelowi ściśle tajne rozkazy, Ethelred ujrzał wreszcie światło na końcu tunelu, dostrzegł szansę dokonania własnej, osobistej zemsty. Rozmowa przebiegła w następujący sposób:

- Ustaliłem już wszystko z naszymi ludźmi w Szwecji - powiedział Pease. - Wyjaśnią komitetowi Nagrody Nobla, że to dla nas sprawa najwyższej wagi państwowej, a poza tym wspomną mimochodem, że właściwie moglibyśmy się doskonale obejść bez ich cholernych śledzi. Potem wasi chłopcy przylecą z Waszyngtonu - nie ze Sztokholmu - rzekomo po rozmowie z prezydentem, a burmistrz Bostonu zorganizuje uroczyste powitanie na lotnisku, z konferencją prasową, limuzynami, eskortą motocyklistów i wszystkimi tymi bajerami.

- Dlaczego akurat Boston?

- Bo to są Ateny Ameryki, miasto uczonych, idealne miejsce do przyjęcia takiej delegacji.

- A nie dlatego, że akurat tam ukrył się Hawkins?

- Uważamy to za całkiem prawdopodobne - odparł sekretarz stanu. - Jednego natomiast jesteśmy całkowicie pewni: że nie będzie uciekał przed tą nagrodą.

- Boże, on byłby gotów przepłynąć Pacyfik, żeby tylko ją dostać! Jezus, Maria - Żołnierz Stulecia! Stary Georgie Patton chyba przewróci się w grobie!

- Jak tylko Hawkins pojawi się na horyzoncie, wasi chłopcy pakują go do wora i lecimy na północ, daleko na północ, razem z tymi antypatriotycznymi sukinsynami, którzy z nim współpracują.

- A kto to jest? - zapytał bez większego zainteresowania generał Brokemichael.

- Przede wszystkim adwokat z Bostonu, który bronił Hawkinsa w Pekinie, niejaki Devereaux...

- Aaaaa! - ryknął generał. Odgłos, jaki wydał, można porównać jedynie z grzmotem wybuchu nuklearnego. - Ten z Harvardu?! - wrzasnął przeraźliwie. Żyły na jego pomarszczonej

- 34

szyi nabrzmiały tak bardzo, iż sekretarz stanu zaczął się poważnie obawiać, czy stary żołnierz lada chwila nie dokona żywota w pobliskiej kępie rosnących dziko kwiatów.

- Tak, wydaje mi się, że studiował w Harvardzie.

- Jest trupem! Trupem! Trupem! - krzyczał generał, młóćąc powietrze pięściami i kopiąc ziemię ciężkimi butami o grubej podeszwie, które nosił z tylko sobie znanego powodu. - Jest już przeszłością, daję panu moje słowo!... Bran Donlevy powiedział to do Zindelneufa w *Beau Geste*.

-Marlon, Dustin, Telly oraz Księżę siedzieli naprzeciwko siebie w czterech obrotowych fotelach Air Force II, natomiast Sylvester i sir Larry zajęli miejsca przy małym stoliku w środkowej części samolotu. Wszyscy uczyli się na pamięć nowych ról oraz zapoznawali się z kwestiami, które miały służyć jako zagajenia do improwizowanych rozmów. Kiedy rządowa maszyna zaczęła podchodzić do lądowania w Bostonie, rozległ się gwar sześciu głosów. Każdy z mężczyzn starał się mówić z silnym szwedzkim akcentem, każdy też spoglądał w prostokątne lusterko o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, sprawdzając jakość charakterystyki, na którą składały się w sumie trzy rzadkie brody, dwa wąsy i tupecik dla sir Larry'ego.

- Jak się macie! - wykrzyknął młody jasnowłosy człowiek, wyłaniając się z zamkniętej przez cały czas lotu kabiny w ogonie odrzutowca - Pilot powiedział, że mogę już wyjść.

Kakafonia nieco przycichła, kiedy uśmiechnięty wiceprezydent Stanów Zjednoczonych dotarł do szerokiej, środkowej części kadłuba.

- Fajowo tutaj, no nie? - zapytał radośnie.

- Kto to jest? - zdziwił się Sylvester.

- Kim on jest - poprawił go sir Larry, przesuując nieco tupecik, - Kim on jest, Sly.

- Tak, jasne. Ale tak w ogóle, to co to jest?

- To jest mój samolot - wyjaśnił z błogim zadowoleniem drugi człowiek w państwie. - Świetny, prawda?

- Siadnij sobie, wędrowcze - odezwał się Duke. - Jeśli chcesz coś wtrząchnąć albo łyknąć jakiegoś kwasu, tryknij jeden z tych knopfli, które widzisz.

- Wiem, wiem! Ci wszyscy chłopcy to moja załoga!

35

- On... on... on... jest wice... wice... wice... No, wiecie czym - wykrztusił Dustin, odchylając głowę do tyłu i kręcąc nią w lewo i prawo. - Urodził się dokładnie... dokładnie... dokładnie o jedenastej dwadzieścia dwie rano, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, równo sześć... sześć... sześć lat, dwanaście dni, siedem godzin i dwadzieścia dwie... dwie... dwie minuty po tym, jak Japończycy podpisali akt... akt... akt kapitulacji na pancerniku... pancerniku... pancerniku „Missouri”.

- Wal się, Dusty! - warknął Marlon, drapiąc się prawą ręką pod lewą pachą. - Mam po dziurki w nosie tego twojego jąkania, odbierasz? Chyba wiesz, skąd jestem, co, Dusty?

- Stąd, skąd i twój... twój... twój tramwaj!

- Hej, dzieciaku, chcesz lizaka? - zapytał Telly. Uśmiechał się do wiceprezydenta, ale jego oczy pozostały śmiertelnie poważne. -- Fajny z ciebie maluch, usiądź na tyłku i zamknij jadaczkę, dobra? Mamy tu sporo do zrobienia, chwytasz?

- Powiedzieli mi, że jesteście aktorami! - wykrzyknął wiceprezydent, przycupnąwszy w fotelu po drugiej stronie przejścia, dokładnie naprzeciwko czterech mężczyzn. - Czasem sobie myślę, że ja też powinienem zostać aktorem. Mnóstwo ludzi mówi mi, że jestem podobny do tego gwiazdora...

- On w ogóle nie potrafi grać! - oświadczył sir Larry z nienagannym brytyjskim akcentem. - Zrobił karierę wyłącznie dzięki ślepemu szczęściu, znajomościom i tej swojej głupiej, pustej twarzy nie zmałonej choćby jedną myślą!

- Ale za to jest niezłym... niezłym... niezłym reżyserem - zauważył Dustin.

- Chyba ci odbiło! - huknął Marlon. - To tylko *montaż a* aktorzy robili, co chcieli.

- Posłuchajcie mnie, wędrowcy - przemówił Duke, spoglądając, na kolegów spod zmrużonych powiek. - Wszystko zostało załatwione w gabinetach wszetecznych, nieuczciwych, zaplutyh agentów. Oni nazywają to transakcjami wiązаныmi. Jak chcesz dostać gwiazdę, to dostaniesz, tyle że z całą kupą śmieci na dokładkę.

- Rety, to prawdziwe aktorskie nawijanie! - pisnął z entuzjazmem wiceprezydent.

To prawdziwe gówno, chłopcze, więc lepiej trzymaj z swoją śliczną buźką.

36

- Telly! - wykrzyknął sir Larry. - Ile razy mam ci powtarzać, niektórym ludziom takie odezwania uchodzą na sucho, ale w twoich ustach są zawsze podwójnie obraźliwe?

- A co według ciebie miał powiedzieć? - zapytał Marlon, krzywiąc się przeraźliwie do lusterka. - „Niech się stanie, jak chcesz, wielki Cezarze”? Próbowałem tego parę razy, ale nie chwyciło.

- Bo źle to mówiłeś, Marley - zauważył Sylvester, przyklejając sobie brodę. - Jak się

gada takie głupoty, to trzeba włożyć w to całą duszę.

- Co ty możesz o tym wiedzieć!

- Tyle samo co o tym piwsku, które żłopiesz litrami, a do którego mnie nie chciałoby się nawet naszczać!

- Znakomicie powiedziane, Sly! - wykrzyknął Marlon z zupełnie normalnym akcentem ze środkowego zachodu. - Naprawdę wspaniale!

- Interesująca riposta, chłopcze - stwierdził z uznaniem Telly głosem, którym mógłby przemawiać dystyngowany nauczyciel języka angielskiego.

- Nie ma dla nas nic niemożliwego, panowie! - oznajmił Dustin, gładząc swoje sztuczne wąsy.

- Byłoby znakomicie, gdybyśmy potwierdzili to na lotnisku Loganu - zauważył Książę głosem wysokiego urzędnika jakiegoś banku, pudrując jednocześnie nos.

- Jesteśmy w dechę, nieboraczki! - zawołał sir Larry.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Sylvester i wybałuszył oczy na wiceprezydenta. - Ty naprawdę jesteś on?

- Ty naprawdę jesteś nim, Sly - poprawił go Larry, przerzucając się ponownie na arystokratyczny angielski. - W każdym razie tak mi się wydaje - dodał nieco ciszej.

- Często powtarzane błędy językowe po pewnym czasie stają się obowiązującą normą - stwierdził Sylvester, wciąż gapiąc się na wiceprezydenta. - Jesteśmy bardzo zobowiązani, że zechciał pan użyć nam swego samolotu, ale jak do tego doszło?

- Sekretarz stanu Pease powiedział mi, że to wywrze dobre wrażenie na bostończykach, a ponieważ akurat nie miałem nic do roboty - to znaczy, ja zawsze mam dużo do roboty, ale akurat w tym tygodniu było tego trochę mniej niż zwykle - więc powiedziałem: Proszę bardzo, czemu nie? - Drugi człowiek w państwie nachylił się

37

konspiracyjnie do swego rozmówcy. - Nawet podpisałem „obie-gówkę”.

- Co takiego? - zapytał Telly, odrywając wzrok od swego odbicia w lusterku.

- Zezwolenie wywiadu na przeprowadzenie waszej akcji.

- Wiemy, co to jest, młody człowieku - odparł Książę, który tym razem wszedł w rolę wysokiego urzędnika państwowego. - Wydaje mi się jednak, że tylko prezydent może podpisać taki dokument?

- No, tak, ale akurat siedział w łazience, a ja byłem pod ręką, więc powiedziałem: Jasne, czemu nie?

- Koledzy, mistrzowie sztuki aktorskiej! - przemówił Telly głębkim, drżącym głosem. - Jeśli tego nie załatwimy, Kongres wyda na cześć tego młodego człowieka takie przyjęcie pożegnalne, że biedak zapamięta je do końca życia.

- Rzeczywiście, ostatnio poznałem tam paru miłych ludzi...

- Z nim jako... jako... jako głównym daniem - uzupełnił Dustin, wykonując gwałtowne ruchy głową. - Wsadzą go do piekarnika na... na... na cztery godziny, dwadzieścia dwie... dwie... dwie minuty i trzydzieści dwie sekundy. Będzie miał... miał... miał pyszną chrupiącą skórkę.

- Pieczyste? Uwielbiam! Tak, chyba istotnie bardzo mme tam lubią

- Przedstawi nas pan podczas konferencji prasowej na lotnisku? - zapytał z powątpiewaniem Marlon.

- Ja? Nie, skąd. Przywita was burmistrz. Ja mam wyjść z samolotu dopiero godzinę później, jak już nie będzie dziennikarzy.

- W takim razie po co w ogóle wysiadać z samolotu? - zainteresował się erudyta z Yale o zimieniu Sylvester. - Korzystamy z samolotu Sił Powietrznych, żeby dotrzeć do...

- Nic mi nie mówcie! - zaskrzeczał wiceprezydent, zasłaniając sobie uszy. - Mam o niczym nie wiedzieć!

- Ma pan o niczym nie wiedzieć? - zainteresował się Książę. --Przecież podpisał pan zezwolenie.

- Jasne, czemu nie? I tak nikt nie czyta tych głupich papierzyk

- „Umarł stary Żyd, świeczka w jego ręku lśni...” zanucił Telly ciepłym bas-barytonem, znakomicie pasującym do wruszającej piosenki Rodgersa i Hammersteina.

- Powtarzam - powtórzył Sylvester. - Po co w ogóle wysiadać z samolotu?

38

- Muszę. Widzicie, jakiś drań ukraść mojej żonie samochód - samochód, nie mój - i

teraz muszę go zidentyfikować.

- Żartuje pan! - wykrzyknął Dustin zupełnie normalnym głosem. - Jest tutaj, w Bostonie?

- Podobno jeździły nim jakieś typki spod ciemnej gwiazdy.

- I co zamierza pan zrobić? - zapytał Marlon.

- Nakopać jakiemuś palantowi w dupę, tak żeby pokicał do osiemnastego dołka i z powrotem!

Zapadło milczenie. Przerwał je Książę, który wstał z fotela, wyprostował się, spojrzął na kolegów wpatrzonych, jak jeden mąż, w wiceprezydenta, po czym oświadczył:

- Kto wie, czy nie jesteś *rancho correcto*, wędrowcze. Może uda nam się ci pomóc.

- No, ja nigdy nie klnę, to znaczy prawie nigdy...

- Jasne, chłopczyku - przerwał Telly, podając mu lizaka. - Masz coś słodkiego i nie rób z siebie mazgaja. Właśnie zdobyłeś paru nowych przyjaciół. Coś mi się wydaje, że możesz ich potrzebować

- Proszę przygotować się do lądowania na lotnisku Logana W Bostonie - przemówiły głośniki na pokładzie Air Force II. - Nasza podróż dobiegnie końca za mniej więcej osiemnaście minut.

- W sam raz tyle czasu, żeby się jeszcze napić, panie wiceprezydencie - powiedział łagodnie Marlon, przyglądając się uważnie jasnowłosemu politykowi. - Wystarczy, żeby wezwał pan stewarda.

- Czemu nie, do diabła? - Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych z buntowniczą miną nacisnął guzik i już po chwili - może po nieco zbyt długiej chwili - pojawił się niezbyt rozentuzjasmowany steward.

- Co jest? - warknął niecierpliwie.

- Co powiedziałaś, wędrowcze? - zapytał Książę, wciąż stojąc.

- Proszę?...

- Czy wiesz, kim jest ten człowiek?

- Oczywiście, proszę pana!

- W takim razie usiądź prosto w siodle i ruszaj galopem! W znacznie krótszym czasie, niż należało się spodziewać, steward i jeszcze jeden członek załogi przynieśli wszystkim drinki. Szklanki powędrowały w górę, a na twarzach pojawiły się uśmiechy.

- Pańskie zdrowie, panie wiceprezydencie - powiedział Dustin wyraźnie i bez zająknięcia.

39

- Pańskie zdrowie - zawtórował mu Telly. - I proszę zapomnieć o tym lizaku.

- Pańskie... , «.

- Pańskie...

- Pańskie...

- Pańskie... - zakończył Książę, po czym skinął głową w ten niepowtarzalny sposób, w jaki potrafią to czynić prezesi wielkich firm.

- Rety, fajne z was chłopaki!

- To dla nas wielki i niepowtarzalny przywilej, zaprzyjaźnić się z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych - oznajmił łagodnie Marlon, po czym spojrzął na pozostałych i przyłożył szklankę do ust.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Czuję się tak, jakbym był jednym z was!

- Bo jesteś, wędrowcze, bo jesteś - odparł Książę, unosząc szklankę po raz drugi. - Ciebie też zrobili w balona.

Jennifer Redwing, przy entuzjastycznej pomocy Erin Lafferty oraz współpracy obu Desich, przygotowała na sekwojowej werandzie małe międzynarodowe przyjęcie. Ponieważ stalowy ruszt miał aż cztery paleniska, których temperaturę regulowało się oddzielnymi pokrętłami, mogły zostać zaspokojone wszystkie gusty. Żona Paddy'ego zadzwoniła do żydowskich sklepikarzy w Marblehead i kazała im przysłać najlepszego łososia i najświeższe kurczęta, po czym zamówiła w Lynn najznakomitsze befsztyki, jakie mieli na składzie.

- Nie mam pojęcia, co zrobić z tobą, ślicznotko! - wykrzyknęła Erin, spoglądając na Jennifer krzątającą się po kuchni. - Mam szukać mięsa z bizona?

- Nie trzeba, droga Erin - odparła z uśmiechem Jenny, obierając wielkie ziemniaki z

Idaho, które znalazły w piwnicy. - Usmażę sobie parę plasterków łososia.

- Aha, tak jak te ryby, coście łapali w rwących strumieniach, i w ogóle?

- Znowu nie, Erin. Jak żywność o niskiej zawartości cholesterolu, którą wszyscy powinniśmy jeść możliwie często.

- Dałam kiedyś coś takiego Paddy'emu, i wiesz, co mi powie-

40

dział?... Kazał mi zapytać pana Boga, po co w ogóle stworzył zwierzaki, z których się robi befsztyki, jeśli nie życzy sobie, żeby jego gorącokrwiści chłopcy zażerali się nimi?

- I co, dostał odpowiedź?

- Jego zdaniem tak. Dwa lata temu, dzięki panu Pinkusowi, odwiedziliśmy krewnych w Irlandii, i wtedy Paddy pocałował Kamień z Blarney *, po czym wstał z klęczek i powiedział do mnie: „Właśnie dostałem wiadomość, żonko. Jeśli chodzi o befsztyki, to ja jestem wyjątkiem, i taka jest święta prawda!”

- A ty w to uwierzyłaś?

Erin Lafferty uśmiechnęła się słodko, choć wcale nie niewinnie.

- Daj spokój, ślicznotko. Przecież to mój chłop, jedyny, jakiego chciałam przez całe życie. Po trzydziestu pięciu latach miałabym nie wierzyć w jego wizję?

- W takim razie smaź mu befsztyki.

- Robię to, Jenny, ale obcinam cały tłuszcz, a on wtedy się drze wniebogłosy, że albo rzeźnik znowu go oszukał, albo ja oduczyłam się gotować.

- I co ty na to?

- Wystarczy dodatkowa szklaneczka whisky albo parę głośnięć tu i ówdzie, i już po krzyku.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Erin.

• Nie chrzań, dziewczyno! - parsknęła śmiechem żona Paddy'ego Lafferty, szatkując sałatę. - Kiedy znajdziesz swojego chłopca, ty też nauczysz się paru rzeczy. Po pierwsze: żeby utrzymywać go przy życiu. Po drugie: żeby nigdy nie rozładować mu akumulatora. I to wszystko, ślicznotko!

- Zazdroszczę ci, Erin. - Redwing przez chwilę wpatrywała się w nieco zbyt otyłą, ale wciąż bardzo urodziwą twarz pani Lafferty. - Masz w sobie coś, czego ja chyba nigdy nie będę miała. > *

Erin znieruchomiała przy desce do krojenia.

- Dlaczego tak uważasz, dziecko?

- Nie wiem... Może dlatego, że muszę być silniejsza od każdego mężczyzny, który będzie chciał się ze mną ożenić. Nie potrafię się podporządkować

- **Kamień, z Blarney** - kamień znajdujący się w zamku Blarney w Irlandii. Według legendy len. kto go pocałuje, zyskuje **niezrównaną** zdolność prawienia pochlebstw. (przyp. tłum.).

41

- Chodzi ci o to, że, uczciwszy uszy, nie będziesz potrafiła być pod nim?

- Tak, właśnie o to chodzi. Nie umiem być subordynowana.

- Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale przypuszczam, że to coś takiego, jak być klasę albo dwie niżej, prawda?

- Dokładnie.

- Naprawdę myślisz, że nie ma lepszego sposobu? Spójrz, na przykład, jak ja to robię z Paddym, z którym chcę spędzić resztę moich dni. Zgodziłam się, żeby żarł te swoje befsztyki, ale daję mu je bez odrobiny tłuszczu, on jednak przestaje się awanturować, bo wydaje mu się, że postawił na swoim. Rozumiesz? Daj goryłowi mały kawałeczek tego, na czym mu zależy, i masz święty spokój.

- Czy sugerujesz, że my, kobiety, manipulujemy naszymi partnerami?

- Zawsze tak było, już parę tysięcy lat przedtem, zanim przyszedł na świat. Można im mówić, co się chce, byle to ładnie przyperfumować.

- Zdumiewające... - mruknęła w zadumie córka plemienia Wo-potami.

Nagle z salonu dobiegły przeraźliwe wrzaski. Nie sposób było stwierdzić, czy miały świadczyć o czymś wielkim cierpieniu, czy równie ogromnej radości. Jennifer upuściła ziemniak na podłogę, a Erin wykonała gwałtowny ruch ręką, co spowodowało, że główka sałaty poszybowała w górę i stłukła świetlówkę, której ostre fragmenty, posypały się do miski z poszatkowanymi liśćmi. Huknęły kopnięte z wielką siłą drzwi i w przejściu do salonu pojawił się Desi Pierwszy, tylko po to, by zaraz zniknąć, gdyż drzwi

odbiły się od ściany i grzmotnęły go w twarz, nieco naruszając niedawno wstawione zęby.
- Chodźcie tu! - ryknął. - Chodźcie tu i patrzcie na *teledifusion!*
To locol To szalone jak vacas z testiculos!

Obie kobiety wbiegły do salonu i wpatrzyły się z niedowierzaniem! w ekran telewizora. Na lotnisku w Bostonie właśnie witano sześciu ważnych gości; byli elegancko ubrani, niektórzy mieli krótkie rzadkie bródki, inni napomadowane wąsy, a każdy trzymał w ręku filcowy kapelusz. Przemawiający burmistrz miasta najwyraźniej miał poważne kłopoty z wyartykułowaniem serdecznych uczuć, jakie mieszkańcy Bostonu żywili do swoich znakomitych gości.

- ...Tak więc witamy was w Bostonie* szanowni panowie z komitetu Nobela ze Szwedlandii, i dziękujemy wam ogromnie za to, że

42

zechcieliście wybrać nasz Uniwersytet Harvarda na miejsce swojego seminarium poświęconego stosunkom międzynarodowym oraz potakiwać u nas Żołnierza Stulecia, niejakiego generała MacKenziego Hawkinsa, który waszym zdaniem przebywa na naszych zachodnich rubieżach i powinien obejrzeć lub usłyszeć tę transmisję... Kto mi napisał to gównu, do jasnej cholery?!

- Przerwywamy bezpośrednią relację, żeby podać państwu najświeższe wiadomości! - rozległ się podekscytowany głos spikera i burmistrz zniknął z ekranu. - Znakomici członkowie komitetu Nagrody Nobla właśnie przybyli do Bostonu, aby wziąć udział w mającym się odbyć w Harvardzie sympozjum na temat stosunków

[[międzynarodowych. Rzecznik komitetu, pan Lars Olafer, stwierdził [jednak przed kilkoma minutami, że głównym celem przyjazdu gości ze Szwecji jest ustalenie miejsca pobytu generała MacKenziego Hawkinsa, [dwukrotnie nagrodzonego przez Kongres

Medalem za Odwagę, !uznanego przez komitet Nagrody Nobla za Żołnierza Stulecia... Kawalkada samochodów uda się z lotniska do hotelu Cztery Pory Roku,

który będzie stanowił siedzibę delegacji podczas jej pobytu w Bostonie .. Jedną chwileczkę... Właśnie uzyskaliśmy połączenie z rektorem Uniwersytetu Harvarda... Jakie sympozjum? A skąd mam wiedzieć? Przecież to pan tam rządzi, nie ja!... Przepraszam państwa, mamy jakieś kłopoty techniczne... A teraz wracamy do naszego programu, czyli zapraszam do obejrzenia waszego ulubionego teleturnieju *Kto straci, kto zyska*".

MacKenzie Hawkins wyskoczył z fotela jak dźgnięty sprężyną.

- Żołnierz Stulecia! - ryknął. - Niech mnie kule biją! Słyszeliście wszyscy?... Byłem pewien, że prędzej czy później spotka mnie coś takiego, ale teraz kiedy to się stało, jestem najbardziej dumnym oficerem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi! Wiedźcie, chłopcy i dziewczęta, że mam zamiar podzielić się tym zaszczytem z wszystkimi szeregowcami, którzy kiedykolwiek służyli pod moimi rozkazami, ponieważ to oni są prawdziwymi bohaterami, a ja chcę, żeby świat wreszcie się o tym dowiedział!

- Generale... - przerwał mu łagodnie czarnoskóry najemnik. - Musimy porozmawiać.

- O czym, pułkowniku?

- Ja nie jestem pułkownikiem, pan natomiast nie jest Żołnierzem Stulecia. To pułapka.

20

Cisza, która zapadła, była wzruszająca i aż naładowana elektrycznością. Wszyscy zebrani w salonie doznali uczucia, że oto są świadkami bolesnego rozczarowania ogromnego, ufnego zwierzęcia, które zostało zdradzone przez swego niewidzialnego pana i pozostawione na pastwę oszalałego stada wilków. Jennifer Redwing podeszła do telewizora i wyłączyła go, lecz MacKenzie Hawkins wciąż wpatrywał się bez słowa w Cyrusa M.

- Myślę, że powinien pan to wyjaśnić, pułkowniku - przemówił wreszcie generał. W jego głosie można było bez trudu usłyszeć zdziwienie i ból. - Pan i ja przed chwilą

widzieliśmy te!ewiz>jnv program informacyjny i wysłuchaliśmy słów szacownego zagranicznego* gościa, rzecznika szwedzkiego komitetu Nagrody Nobla. Jeżeli słuch mnie nie mylił, powiedział on, że mam otrzymać przyznaną przez tenże komitet nagrodę dla Żołnierza Stulecia. Ponieważ program ten był i zapewne będzie jeszcze oglądany przez wiele milionów ludzi w całym cywilizowanym świecie, wydaje mi się, że jakiegokolwiek fałszerstwo jest nie do pomyślenia.

- Ostateczna resekcja... - powiedział cicho Cyrus-M. - Próbowałem to wyjaśnić pańskim przyjaciółom, panie R. i panu D.

- Więc proszę spróbować ponownie, pułkowniku.

- Powtarzam po raz kolejny, że nie jestem żadnym pułkownikiem generale...

- A ja nie jestem Żołnierzem Stulecia - przerwał mu To zapewne także będzie pan chciał powtórzyć?

44

Nie wątpię, że zasługuje pan na ten tytuł, ale nie przyznał go nikt mający jakikolwiek związek z komitetem Nagrody Nobla.

- Co takiego? *

Mówię to głośno i wyraźnie, żeby nie było żadnych nie-

Czy pan może jest prawnikiem? - wtrącił się Aaron Pinkus. ^- Nie, ale między innymi jestem chemikiem.

- C h e m i k i e m?! - wykrzyknął zdumiony Hawkins. - W takim razie co pan może wiedzieć o czymkolwiek?

- Cóż, na pewno nie dorównuję Alfredowi Noblowi, który także był chemikiem, wynalazł dynamit, a następnie - tak przynajmniej głosi legenda - ufundował nagrodę swego imienia, by choć częściowo zetrzeć winę, jaką niektórzy byliby skłonni go obarczyć za stworzenie tak śmiertelnej substancji Ani jedna z wielu Nagród Nobla, które są corocznie przyznawane, nie ma nic wspólnego z wojną. Pomysł uhonorowania Żołnierza Stulecia byłby czymś całkowicie sprzecznym z duchem tego przedsięwzięcia.

- Co pan chce przez to powiedzieć, Cyrus? - przerwała mu Jennifer.

--• To samo, co mówiłem wam dziś rano. To pułapka zastawiona na generała Hawkinsa...

- Zna pan moje nazwisko?! - wykrzyknął Jastrząb.

- Zna, zna... - mruknął Devereaux.

- W jaki sposób...

- To w tej chwili nieważne, generale - wtrąciła się Jennifer. - porządku, Cyrus, to pułapka. Co jeszcze? Z tonu twojego głosu wynika, że jest coś jeszcze.

- Tym razem nie macie już do czynienia z drobnymi szaleńcami obciążonym kompleksem Aleksandra Wielkiego. Tą operacją kieruje jakaś szacha. i z najwyższych kręgów władzy.

- Waszyngton?... - wykrztusił z niedowierzaniem Aaron Pinkus.

- K t o ś w Waszyngtonie - uściślił najemnik. - Żadna większa grupa, bo to byłoby zbyt niebezpieczne, tylko jeden człowiek usadowiony bardzo blisko szczytu piramidy, który mógł zmontować taką *akcję na własną rękę.

- Dlaczego pan tak twierdzi? - nie ustępował Aaron.

- Ponieważ szwedzki komitet Nagrody Nobla jest idealnie czysty, a zabrudzić go, choćby tylko na jakiś czas, mógł jedynie jakiś wielki

45

ważniak. Bądź co bądź każdy szanujący się dziennikarz może zadzwonić do Sztokholmu i poprosić o potwierdzenie informacji. Podejrzewam, że takie potwierdzenie zostało już wydane.

- O mój Boże! - jęknął Devereaux. - Gra stała się niebezpieczna!

- Zdaje się, że powiedziałem to już dzisiaj rano.

- Powiedziałeś też, że zastanawiasz się, czy nie wycofać się z zabawy razem z Romanem Z., jak tylko te zabawki z antenami znajdą się na swoich miejscach. Już je rozstawiłeś, Cyrus. I co teraz? Zostawisz nas?

Nie, mecenasie. Zmieniłem zdanie. Zostajemy.

- Dlaczego? - zapytała Jennifer Redwing.

- Przypuszczam, że oczekujecie teraz jakiegoś głębokiego wyznania, na przykład o

tym, jak to my, czarnuchy, musieliśmy wykształcić w sobie coś w rodzaju szóstego zmysłu, żeby przetrwać prześladowania Ku-Klux-Klanu i cholernie się wściekamy, kiedy rząd zachowuje się tak jak oni. Niestety, muszę was rozczarować: takie gadanie to zwykłe rasowe przesady.

- Hej, ten chłopak dobrze mówi! - wykrzyknęła pani Lafferty.

- Zaczekaj, Erin - powiedziała Redwing, wpatrując się z natężeniem w Cyrusa. - W porządku, panie najemniku, darujmy sobie te rasowe przesady, o których ja też mogłabym co nieco powiedzieć. Dlaczego zostajecie?

- Czy to ważne?

- Dla mnie tak.

- Chyba cię rozumiem - mruknął Cyrus z uśmiechem.

- Ale ja nic nie rozumiem, do jasnej cholery! - wybi MacKenzie Hawkins i z furią wetknął sobie do ust cygaro zgniutwszy je uprzednio w dłoni.

- Więc proszę temu panu pozwolić, żeby nam to wyjaśnił - wtrącił się Aaron Pinkus. - Za przeproszeniem, generale, proszę stulić pysk.

- Jeden dowódca nie może wydawać rozkazów drugiemu!

- Mam to w dupie - poinformował go uprzejmie Aaron, po czym potrząsnął głową, jakby nagle zdziwił się, skąd w jego ustach wzięły się takie słowa. - Mój Boże, bardzo pana przepraszam!

- Zupełnie niepotrzebnie - poinformowały Cyrus, że chciałeś coś powiedzieć?

46

- W porządku, mecenasie - powiedział najemnik, spoglądając na Sama Devereaux. - Jak dużo im powtórzyliście?

- Wszystko, co od ciebie usłyszeliśmy, tyle że nie im, lecz Aaronowi. Uznaliśmy, że nie należy mieszać w to ani generała, ani jego adiutantów, ani tym bardziej mojej matki...

- Niby dlaczego?! - ryknął generał.

- Musimy zorientować się w sytuacji, zanim będziemy mogli wykonywać twoje rozkazy - odparł krótko Sam, by zaraz ponownie zwrócić się do Cyrusa. - Wspomnieliśmy też o twoich kłopotach w Stuttgarcie oraz o ich następstwach, a więc także o „zwolnieniu” z więzienia.

- Nie ma sprawy. Jeżeli naprawdę znaleźliście się w takim bagnie, jak myślę, i jeśli zdołamy wam pomóc wydostać się z niego, to wątpię, czy będziecie chcieli wykorzystać przeciwko nam te informacje.

- Nie zrobimy tego - zapewniła go Jennifer. - Masz moje słowo.

- Ja niczego nie słyszałem - zawtórował jej Devereaux.

- Zgadza się - potwierdził najemnik. - Twoje pytania były zupełnie bez sensu, podczas gdy panna R. pytała o konkretne sprawy i doskonale wiedziała, do czego zmieza. Dała mi jasno do zrozumienia, że po to, by mi zaufać, musi poznać jak najwięcej szczegółów, a ja ich jej dostarczyłem.

- Jeśli o mnie chodzi, to na razie wygląda mi to na nie potwierdzone domysły i przypuszczenia - oświadczył Pinkus.

- Zwykle wyrażam się bardzo precyzyjnie i mam jasno wytyczony cel... - wymamrotał Sam.

- Cóż, tym razem miałeś mnóstwo rzeczy na głowie... a także na spodniach - powiedziała łagodnie Jennifer. - Twierdzisz, że twoja decyzja o pozostaniu nie ma nic wspólnego z rasowymi przesadami - ciągnęła, spoglądając na Cyrusa - ale to właśnie ty poruszyłeś ten temat. Czyżby to jednak był odruch protestu? Jesteś człowiekiem o czarnej skórze, którego niesłusznie wsadzono do więzienia. Gdyby coś takiego przydarzyło się mnie, Indiance, byłabym wściekła jak cholera i długo nic by mnie nie mogło uspokoić. Chętnie wykorzystabym każdą okazję do odegrania się na władzy i bardzo poważnie wątpię, czy zwracałabym uwagę na takie drobnostki jak racje ludzi, do których mam się przyłączyć. Czy właśnie dlatego postanowiłeś zostać?

-- Twoja analiza jest bardzo trafna, ale nie da się zastosować

47

w tym wypadku. Przede wszystkim nie wsadzono mnie do ciupy z powodu koloru mojej skóry, ale dlatego, że jestem bardzo dobrym chemikiem. Być może jacyś kretyni

w Stuttgarcie doszli do wniosku, że *Schwarzer* nie będzie w stanie przeprowadzić analizy ostatniej fazy skomplikowanej reakcji...

- Rety, ale nawija! - wykrzyknęła pani Lafferty.

- Erin, proszę.

Tak czy inaczej - ciągnął Cyrus - mój kontrakt został zaaprobowany przez samego przewodniczącego komisji do spraw kontroli zbrojeń; pisałem potem do niego sążniste listy przesyłane za pośrednictwem kuriera dyplomatycznego, którego nigdy nawet nie zobaczyłem na oczy. Ten cholerny sukinsyn zataił moje ustalenia przed pozostałymi członkami komisji, a mnie zostawił w kompletnej ciemności.

- Jaki związek mają pańskie stuttgarckie perypetie z dzisiejszą konferencją prasową na lotnisku Logana w Bostonie? - zapytał Pinkus. Mając wciąż w pamięci to wszystko, co opowiedziałem pańskim przyjaciółkom o tajemniczych okolicznościach towarzyszących zaangażowaniu mnie do tej akcji, muszę wrócić do sprawy szóstego zmysłu, którego istnieniu tak stanowczo zaprzeczyłem, gdyż cała ta sprawa rzeczywiście nie ma nic wspólnego z przesadami rasowymi, natomiast ma bardzo dużo wspólnego z najzwyczajszą korupcją, i to na szczeblu rządowym. Pewien wpływowy człowiek zdołał wyciągnąć mój czarny tyłek ze szwabskiego więzienia - gdzie musiałbym spędzić piętnaście długich lat - naciskając na niemiecki wymiar sprawiedliwości i jednocześnie zawierając ze mną dżentelmeńską umowę. Nagle sprawa w cudowny sposób ucichła, wszyscy zapomnieli o istnieniu niemieckiej fabryki, moja zaś rola została sprowadzona do trzymania gęby na kłódkę i spokojnego odsiedzenia najwyżej roku z pięciu lat na jakie zamieniono mi szwabską „piętnastkę”. Proszę was, nie próbujcie mi wmówić, że obyło się bez grubego smarowania!

- Ty jednak przystałeś na ten układ - zauważyła Jennifer niezbyt przyjaznym tonem. - Poszedłeś na łatwiznę.

- Niezbyt mi się uśmiechało spędzenie piętnastu lat w niemieckim więzieniu pełnym szalonych skinheadów, którzy tylko czekają na dzień, kiedy ich Adolf wstanie z grobu.

- Rozumiem. Wybacz mi. My też wykształciliśmy w sobie coś w rodzaju szóstego zmysłu.

48

->- Nie musisz mnie przepraszać - odparł łagodnie najemnik. - Kiedy w więzieniu oglądałem telewizję i widziałem tych wszystkich ludzi, którzy zginęli od broni chemicznej, było mi wstyd za samego siebie.

- Chwileczkę, pułkowniku...

- Na litość boską, uspokój się, mecenasie! Nie jestem żadnym pułkownikiem:

- Ale ja mówię zupełnie serio! - nie ustępował Devereaux. - Co to właściwie za różnica, czy wsadzą cię na pięćdziesiąt lat do więzienia, czy po pięćdziesięciu minutach skinheadzi załatwią cię gdzieś w kącie?

- Ja też zadałem sobie to pytanie i właśnie dlatego uciekłem z Romanem Z. To szaleństwo musi się wreszcie skończyć!

- Uważa pan więc, że generałowi grozi teraz coś podobnego do tego, co przytrafiło się panu? - zapytał Aaron, pochylając się do przodu w fotelu. - A dowodem ma być relacja telewizyjna, którą przed chwilą widzieliśmy?

- Powiem panu tylko, że nie wierzę i nigdy nie uwierzę w to, że jakiś Żołnierz Stulecia kiedykolwiek dostanie Nagrodę Nobla. Ponadto dlaczego ta rzekoma delegacja przyjechała właśnie do Bostonu, gdzie zostaliście wcześniej zaatakowani, a więc wytropieni przez machinę rządowego wywiadu? I wreszcie ci czterej szajbnięci psychopaci, którzy próbowali was załatwić w Hooksett, prezentowali poziom umysłowy niewiele wyższy od przeciętnego debila, a więc nigdy nie zdołaliby wykrzesać z siebie tyle inteligencji, żeby samodzielnie 'przekupić strażnika albo zorganizować ucieczkę z wojskowego szpitala psychiatrycznego. O tym, że stamtąd właśnie przybyli, świadczyły oznakowania odzieży wykonane w szpitalnej pralni, co zresztą sami stwierdziliście i dlatego odesłaliście tych nieszczęśników w plastikowych workach.

- Przekłęte niedojdy! - ryknął MacKenzie Hawkins. - W ten sposób przesłaliśmy wiadomość! Czy ktoś wreszcie zechce mnie oświecić, co się tutaj dzieje?

- Za chwilę, Mac, za chwilę... - Sam położył rękę na ramieniu Cyrusa. - Jeśli dobrze cię rozumiem - powiedział - to powinniśmy jak najszybciej dowiedzieć się, kto zorganizował tę operację?

- Dokładnie - potwierdził najemnik. - Ponieważ atak w New Hampshire mógł być przeprowadzony na polecenie tych samych ludzi,

49

co znaczy, że zaczynają się coraz bardziej niepokoić, a to z kolei oznacza, że być może uda nam się przejść do kontraktaku.

- Dlaczego pan tak uważa? – zapytał Pinkus.

- Ci „delegaci” przylecieli na pokładzie Air Force II - odparł Cyrus. - Mimo że są cywilami, a w dodatku cudzoziemcami, udostępniono im maszynę, której używa drugi co do ważności człowiek w kraju. Mogło to nastąpić za zgodą jednej z trzech instytucji: Białego Domu, co jest raczej mało prawdopodobne, ponieważ oni i tak mają dość kłopotów z tym dzieciakiem; CIA, co jest jeszcze mniej prawdopodobne, ponieważ co najmniej połowa ludzi w tym kraju uważa, że ten skrót oznacza „Całkowity Idiocyzm i Amnezję”, więc nikt stamtąd nie ryzykowałby kolejnej kompromitacji, lub Departamentu Stanu, który robi nie bardzo wiadomo co, ale jednak coś tam robi. Przypuszczam, że w grę wchodzi któraś z dwóch ostatnich możliwości. Jeżeli uda nam się ustalić która, to znacznie zawężymy krąg osób, które mogły dysponować tym samolotem. Jedna z nich będzie naszym Niedobrym Jasiem.

- A może Departament Stanu działa wspólnie z CIA? - mruknął Pinkus.

- Niemożliwe. Oni nie darzą się nadmiernym zaufaniem. Poza tym podczas łączonych operacji istnieje zbyt duże niebezpieczeństwo powstania przecieku.

- Przypuśćmy, że ustalimy tych ludzi - powiedział Sam. – Co wtedy?

- Ano, potrząśniemy nimi tak mocno, żeby zadzwonili zębami. Musimy się koniecznie dowiedzieć, kto stoi za tą operacją: nazwisk!; imię, stanowisko, numer służbowy i numer butów. Tylko w ten sposób możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo.

- To znaczy jak?

- Grożąc mu zdemaskowaniem - odparła Jennifer. – Wciąż jeszcze jesteśmy narodem rządzonym przez prawo, a nie przez szaleńców z Waszyngtonu.

- Kto tak twierdzi?

- Nad tym rzeczywiście można dyskutować - zgodziła się dziewczyna. - Jak powinniśmy postąpić, Cyrus?

- Najlepiej byłoby posłać kogoś podobnego do generała do tego hotelu, o którym wspomnieli w telewizji, a ja i Roman towarzyszy-

50

libyśmy mu jako cywilni adiutanci. Nikogo by nie zdziwiło, że emerytowany generał z dwoma Medalami za Odwagę ma adiutantów.

- A co z Desim Pierwszym i Drugim? - zapytał Aaron. - Będzie im przykro.

- Dlaczego? Przecież zostaną u boku prawdziwego Hawkinsa.

- Ach, rzeczywiście. Stary umysł zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa. Wszystko dzieje się tak szybko...

- Poza tym to dobrzy chłopcy, a wam też będzie potrzebna ochrona. - Cyrus umilkł nagle, poczuwszy na sobie świdrujące spojrzenie siedzącej na kanapie Eleanory Devereaux. - Ta dama chyba niezbyt mnie lubi - szepnął do Sama.

- Bo cię nie zna - odparł Sam niewiele głośniejszym głosem. - Jak cię pozna, z pewnością wpłaci znaczną sumę na Murzyński Fundusz Stypendialny. Daję ci za to głowę.

- Jasne, szkoda stracić kogoś tak cennego jak czarny najemnik... Cholera, nie ma tu nikogo, kto mógłby udawać generała. Musimy wymyślić coś innego.

- Chwileczkę! - wtrącił się Pinkus. - Shirley i ja wspomagamy finansowo miejscowe amatorskie teatry - ona bardzo lubi fotografować się podczas premier. Mamy tu ulubieńca, starszego aktora, który kiedyś występował na Bnxi-~~u~~ u. Jest teraz na czymś w rodzaju częściowej emerytury. Jestem pewien, że zdołam go namówić, żeby zechciał nam pomóc - za zapłatą, ma się rozumieć. Zrobię to jednak tylko wówczas, gdy będę miał pewność, że nic mu się nie stanie.

- Ma pan na to moje słowo - powiedział Cyrus. - Nie będzie mu groziło żadne niebezpieczeństwo, ponieważ znajdzie się pod opieką Romana Z. i moją.

- Aktor?! - wykrzyknął Devereaux. - To szaleństwo!

- Szczerze mówiąc, on często grywa dość niezrównoważone postaci...

Zadzwonił telefon stojący obok fotela Pinkusa. Aaron natychmiast podniósł słuchawkę.

- Tak?... Do ciebie, Sam. Zdaje się, że to wasza służąca, Córa.

- Mój Boże! - jęknął Devereaux, podchodząc do aparatu. - Zupełnie o niej zapomniałem.

- A ja nie - odezwała się Eleanora. - Dzwoniłam do niej wczoraj wieczorem, ale nie mówiłam jej, gdzie jesteście, ani nie podałam numeru telefonu.

51

- Córa? Jak... Co takiego, mamó? Dzwoniłaś do niej? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo nie pytałaś. Na szczęście w domu wszystko w porządku. Policja wciąż się tam kręci i mam wrażenie, że Córa karmi ich wszystkich.

- To ty, Córa? Mama mówi, że u was wszystko w porządku.

- Pewnie znów sobie golnęła, Sammy. Ten cholerny telefon urywa się przez cały dzień, ale nikt nie miał zielonego pojęcia, gdzie się podziałas.

- Więc jak się tego dowiedziałaś?

- Od Bridget, córki Paddy'ego Lafferty. Erin zostawiła jej ten numer na wypadek, jakby się coś działo z dziećmi. i - Tak, to nawet ma sens. A o co chodzi? Kto do mnie dzwonił?

- Nie do ciebie, Sambo. Do wszystkich, tylko nie do ciebie.

- To znaczy do kogo?

- Najpierw do tego szurniętego generała, o którym ciągle opowiadasz, a potem do tej długonogiej indiańskiej pannicy, której powinni zakazać chodzić po ulicach. Powiadają ci, ci dwaj faceci dzwoniłi do nich chyba ze dwadzieścia razy, na zmianę.

- Jak się nazywali?

- Jeden nie chciał mi powiedzieć, a co do drugiego, to pewnie mi nie uwierzysz. Ten pierwszy wydawał się mieć okropnego pietra, tak jak to się tobie czasem *zdarza*, Sammy. Powtarzał w kółko, żeby jego siostra natychmiast zadzwoniła do swojego brata.

- W porządku, powiem jej. A ten drugi, który chciał rozmawiać z generałem?

- Pewnie pomyślisz, że coś sobie golnęłam, ale nic z tych rzeczy, za dużo tu gliniarzy... Boże, aż strach myśleć, co będzie, jak przyjdzie rachunek od rzeźnika...

- J a k o n s i ę n a z y w a ł ?

- Johnny Calfnose. I co ty na to, Sammy?

;;

- Johnny Calfnose?... - powtórzył cicho Devereaux.

- Calfnose? - zdumiała się Jennifer.

- Calfnose! - ryknął Jastrząb. - Mój człowiek chce się ze mną skontaktować? Dawajcie go, kapitanie!

- To mój klient, chce ze mną rozmawiać! - wykrzyknęła Redwing, zderzając się z Hawkinsem w drodze do telefonu.

- Nie! - wrzasnął przeraźliwie Devereaux. Odwrócił się do nich

52

plecami i obronnym gestem przycisnął słuchawkę do piersi. - Calfnose dzwonił do Maca, a do ciebie twój brat. Prosił, żebyś się z nim skontaktowała.

- Daj mi ten aparat, chłopcze!

- Nie, najpierw ja!

- Czy mógłbym prosić o chwilę spokoju? - zapytał Pinkus podniesionym głosem. - Mój szwagier doprowadził do tego domu co najmniej trzy, jeśli nie cztery linie telefoniczne i jest tu na pewno kilka aparatów. Niech każde z was znajdzie sobie jeden i wciśnie ten przycisk, który nie będzie podświetlony.

Wybuchło okropne zamieszanie, kiedy Jastrząb i Jennifer rzucili się na poszukiwanie telefonów. Mac dostrzegł wreszcie jeden na werandzie, podbiegł do szklanych drzwi i odsunął je na bok gwałtownym szarpnięciem, wprawiając w drzenie wszystkie szyby, Jennifer zaś popędziła ku aparatowi stojącemu na przytulonym do ściany, zabytkowym stolyczku. W chwilę potem wieczorną ciszę w Swampscott zakłóciła kakofonia podekscytowanych głosów:

- Na razie, Córo.

- Charlie, to ja!

- Calfnose, tu Grzmiąca Głowa!

- Chyba żartujesz, braciszku? Błagam cię, powiedz, że żartujesz!

- Cholera, godzina zero minus cztery dni!

- Naprawdę nie żartujesz?...

- Wyślij moją zgodę i podpisz ją: „Wódz najbardziej uciskanej części tego narodu!”
- Przyślij mi bilet lotniczy na Samoa. Spotkamy się tam.

Jastrząb i Jennifer odłożyli słuchawki - jedno z tryumfalnym błyskiem w oku, drugie ze zrozpaczoną miną. Generał wkroczył do salonu jak wódz rzymskich legionów wprowadzający swoje wojska do Kartaginy, natomiast Redwing odwróciła się od zabytkowego stolika niczym mały, delikatny ptaszek, nie mający dość sił, by walczyć z przeciwnym wiatrem.

- Co się stało, moja droga? - zapytał łagodnie Aaron, poruszony widocznym na pierwszy rzut oka smutkiem dziewczyny.
- Wszystko co najgorsze - odpowiedziała głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Winda do piekła.
- Daj spokój, Jennifer...
- Prywatne odrzutowce i limuzyny, szyby naftowe na Lexington Avenue, fabryki spirytusu w Arabii Saudyjskiej.

53

- O mój Boże... - szepnął Sam. - Sąd Najwyższy.
- Bingo! - ryknął Hawkins. - Cała salwa w celu! Sąd Najwyższy!
- Mamy wracać do ciupy?! - wykrzyknął Desi Pierwszy.
- Henerale, dlaczego pan nam to robi? - wykrztusił Desi Drugi.
- Mylicie się, kapitanowie. Znajdujecie się na najlepszej drodze do wspaniałej wojskowej kariery.
- Ciszka! - wrzasnął Devereaux, po czym z lekkim zdziwieniem stwierdził, że wszyscy go posłuchali. - W porządku, Czerwońcu, ty pierwsza. Co powiedział twój brat?
- To, co właśnie potwierdził ten neandertalczyk. Charlie zadzwonił do Johnny'ego Calfnose'a, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i dowiedział się, że Johnny wychodzi ze skóry, żeby odszukać tego przerośniętego mutanta. Wczoraj rano nadszedł telegram z żądaniem natychmiastowej odpowiedzi przez telefon lub faksem... Generał Armatnie Jaja, alias Grzmiący Dureń, ma w terminie pięciu dni, licząc od trzeciej po południu dnia wczorajszego, stawić się przed Sądem Najwyższym w celu udokumentowania swojego zwierzchnictwa nad plemieniem i potwierdzenia treści zawartych w pozwie. Wszystko przepadło, a nam pozostanie tylko bezczynne obserwowanie, jak nasi ludzie będą stopniowo niszczeni. Przesłuchanie przed Sądem będzie otwarte dla publiczności.
- Udało się, Sam! Stary zespół nic nie stracił ze swoich zalet!
- To nie ja! - zaskrzeczał Devereaux. - To na pewno nie ja! Nie miałem z tobą nic wspólnego!
- Cóż, bardzo mi przykro, mój synu, ale muszę stwierdzić, że nieco rozminąłeś się z prawdą...
- Nie jestem twoim synem!
- Rzeczywiście, jest moim - potwierdziła Eleanor. - Ale jeżeli ktoś chce go sobie wziąć, to bardzo proszę.
- ...gdyż to właśnie ty prowadzisz tę sprawę - Jastrząb nieco mniej donośnym głosem.
- Nieprawda! Wezwanie zostało wystawione na ciebie, nie na mnie!
- Błąd, mecenasie - stwierdziła pośepnie Jennifer. - Wystarczyła jedna zachcianka twojego troglodyty, żebyś zastąpił nie tylko mojego brata, ale i mnie. Charlie powiedział mi to wyraźnie i wcale nie krył

54

radości. W wezwaniu jest wymieniony z imienia i nazwiska niejaki Samuel L. Devereaux, adwokat plemienia Wopotami.

- Nie mogli mi tego zrobić!
 - Ale i Charlie pragnie z całego serca podziękować temu Samuelowi L. Devereaux, kimkolwiek on jest. Konkretnie ujął to « ten sposób: „Chętnie postawiłbym drinka temu kretynowi, ale wątpię, czy będzie żył wystarczająco długo, żeby go wypić”.
 - Genialnie.. - Głos Cyrusa M. był bardzo cichy, lecz mimo to jego słowa zabrzmiały z siłą gromu. - Czy w takim razie zapomnimy o żołnierzu Stulecia?
- Twarz Hawkinsa pobladła, a jego oczy usiłowały zwrócić się jednocześnie we wszystkie strony, świadcząc o natężeniu walki rozgrywającej się we wnętrzu ich

właściciela.

- Na Jezusa i Cezara! - wykrztusił z trudem, po czym usiadł ciężko naprzeciwko Pinkusa. - Mój Boże, co mam zrobić?

- To pułapka, generale. Jestem o tym całkowicie przekonany.

- A jeśli pan się myli?

- W całej dotychczasowej historii Nagrody Nobla nie znajdziemy nic mówiącego autentyczności tej decyzji.

:: -W historii? Na litość boską, człowieku, a czy na przestrzeni ostatnie czterdziestu lat znajdziesz cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że runie mur berliński, a Związek Radziecki rozpadnie się na kawałki Wszystko się zmienia.

* - Chyba jednak nie wszystko. Na przykład Sztokholm, - Niech to szlag trafi! Pułkowniku, całe moje życie poświęciłem armii, w związku z tym bez przerwy byłem kłany przez upierdliwych polityków w eleganckich garniturkach. Czy wiesz, co ta nagroda oznacza nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich żołnierzy, którymi dowodziłem podczas trzech wojen?

- Chwileczkę, generale. - Cyrus przeniósł wzrok na Sama Devereaux. - Czy mogę zadać ci pewne pytanie, Sam? Mówię do ciebie po imieniu, ponieważ wydaje mi się, że nie jest to klasyczna sytuacja z rodzaju podwładny-pracodawca.

- *Massa* brzmiałoby co najmniej głupio, i to dla każdej ze stron. Jasne, o co chodzi?

Czy ta pułapka - bo jestem absolutnie pewien, że to jednak jest pułapka - ma coś wspólnego z awanturą z Sądem Najwyższym, o którym cały czas mówicie? Rozumiem, że musicie zachować ostroż-

55

ność, ale jednocześnie potrzebujecie mojej pomocy, a ja nie mogę jej udzielić, wiedząc tylko tyle, ile wiem teraz. Jako chemik zawsze wymagałem od podwładnych, by dostarczali mi dokładnych danych na temat zapoczątkowanych reakcji, a jako najemnik muszę znać wszystkie aspekty sytuacji, żeby podjąć skuteczne działanie.

Devereaux spojrzał najpierw na Aarona, który bez wahania skinął głową, a potem na Jennifer, która zawahała się przez chwilę, po czym z lekkim ociąganiem powtórzyła ten gest. Sam wstał z fotela i podszedł do siedzącej na kanapie Eleanor.

- Mamo, byłbym bardzo zadowolony, gdybyś poszła z panią Lafferty do kuchni i znalazła tam dla was jakieś zajęcie.

Zadzwoń do Córy - odparła wielka dama z Weston w stanie Massachusetts, nie ruszając się z miejsca.

- Chodź, wypindrzona paniusiu! - zawołała Erin Lafferty. - Muszę wywalić miskę z sałatą, a ty w tym czasie zaparzyłabyś nam herbaty. Wiesz, co znalazłam w spizarni? Hennessy, VSOP!

- Widzę, że ona też miała styczność z naszą bezwstydną kuzynką - powiedziała Eleanor, po czym nie zwlekając wstała z kanapy. - Zdaje się, że już istotnie pora na herbatę. Chodźmy, Aaronie, wypijemy po filiżance.

- Nazywam się Erin, paniusiu...

- Tak, istotnie. Wcale nie wyglądasz na Żydówkę. Lubisz rumianek?

Nie, wolę koniak.

- Tak, to ponad wszelką wątpliwość wpływ Córy. Długo ją znasz?

- Co prawda chodzimy do różnych kościołów, ale spiknęliśmy się w tym Komitecie, który utworzyliśmy po to, żeby ci idioci wreszcie przestali się kłócić i spróbowali się połączyć...

- Porozmawiamy o tym przy herbacie, Errol. Kto *wie*, może ja także wstąpię do waszego komitetu? Ma się rozumieć, należę do Kościoła anglikańskiego.

- Córa nawet nie potrafiłaby tego napisać.

Dwie kobiety w idealnej zgodzie zniknęły za drzwiami kuchni.

- Desi Pierwszy i Desi Drugi! Natychmiast przestańcie się tak wykrzywiać! - polecił Sam. - Generał Mac dotrzyma danego wam słowa. Wiercie mi, potrafię odróżnić dobro od zła, a sprawa, w której wspólnie występujemy, jest najlepsza z możliwych.

- *Privado* - wyjaśnił Jastrząb. - *Confidential, comprenden?*

56

- Jasne, wyjdziemy na krzynekę z tym *romano gitano*. On jest zupełnie szalony, wiecie? Wszędzie go pełno i śmieje się jak głupi, ale na ulicy musi być pierwsza klasa. Klawo by się z nim pracowało.

- Pamiętajcie, kapitanowie, że teraz jesteście pod moimi rozkazami! - wykrzyknął MacKenzie. - Żadnych ulic, żadnych prze-walanek, żadnych kradzieży i żadnych napadów na cywili! Czy jeszcze niczego się nie nauczyliście?

- Masz rację, generale - przyznał ze skrucą Desi Pierwszy. - Czasem wypnie nam się jakaś głupota. Teraz jesteśmy dżentelmenami i oficerami, -wiec musimy zacząć inaczej główkować. Co racja, to racja... Dobra, idziemy na dwór z *loco gitano*.

Desi Pierwszy i Drugi wyszli do wyłożonego terakotą holu, a potem przez frontowe drzwi przed budynek.

- Co to było ? - zapytał Cyrus, odprowadziwszy ich wzrokiem. - Zrozumiałem to, co mówił pan po hiszpańsku, ale nic więcej. Oni są kapitanami? W jakiej armii?

- W armii Stanów Zjednoczonych, pułkowniku... Och, prze-praszam. Pan tego nie lubi... Powiedzmy, że wziąłem ich na prze-} szkolenie, bo bez nich znaleźlibyśmy się w sporych tarapatach. Czarnoskóry \ najemnik potrząsnął głową.

- Nie ma sprawy, generale. Niewiele mnie to obchodzi, a w tej chwili wolałbym skoncentrować się na... właśnie na tej chwili i na tym, na czym stoimy. Czy ktoś mógłby mi to wyjaśnić?

W wyniku krótkiej wymiany spojrzeń głos zabrała Jennifer Red-wing, córka plemienia Wopotami. Opowiedziała o wszystkich znanych sobie szczegółach zwi;iz;mvch z powstaniem pozwu złożonego w Sądzie Najwyższym, po czym w obrazowy sposób przedstawiła rozmiary nieszczęść grożących jej narodowi w wyniku działań, jakie zostaną podjęte przez Sąd, bez względu na ich naturę.

- Przede wszystkim spotkamy się ze wściekłym atakiem ze strony rządu, który uczyni wszystko, żeby przedstawić nas jako zdrajców i wyrzutek, co ostatecznie doprowadzi do zamknięcia rezerwatu i rozproszenia mieszkających w nim ludzi. Waszyngton musi to zrobić, gdyż najważniejsze będzie dla niego ocalenie Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych, a także zaspokojenie apetytów całej gromady przemysłowców pracujących na potrzeby armii, którzy będą żądali naszej krwi... Jednocześnie do rezerwatu zaczną ściągać stada domorosłych polityków różnej maści, korumpujących każdego, kto się

57

znajdzie w zasięgu wzroku, w nadziei na ugryzienie kawałka smakowitego tortu, jakim będzie tak bardzo nagłośniona sprawa. Mój Boże, będą włączyć sobie na plecy, żeby tylko ktoś ich zauważył, bo to może da im szansę w jakichś lokalnych wyborach... Jeżeli chodzi o nas, to przypadnie nam w udziale dekadencji los ludzi, ogarniętych chciwością i pożądaniem, którzy przegrali beznadziejną walkę i nie mają nic, czym mogliby wypełnić pustkę, jaka po niej pozostała. Nie chcę, żeby coś takiego spotkało moich braci i moje siostry, których bardzo kocham. Cóż, powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia, i tylko mam nadzieję, że ty także mnie słuchałeś, zdzienniały generale Dżyngis-chanie.

- Uważam, że było to znakomite podsumowanie sytuacji - stwierdził Aaron Pinkus, siedząc jak przykuty w fotelu. - Może z wyjątkiem ostatniej uwagi... Nie chodzi mi o jej wartość merytoryczną, moja droga, tylko o wrażenie, jakie wywarłaby na sądzie. Obawiam się, że byłoby to wrażenie negatywne.

- A ja wcale nie jestem o tym przekonany, komendancie. - MacKenzie Hawkins także siedział bez ruchu, wpatrując się w oczy córki plemienia Wopotami. - Wydaje mi się, że w tym wypadku ja stanowię część składu sędziowskiego i muszę przyznać, że zakończenie przemowy tej uroczej damy wywarło na mnie jak najlepsze wrażenie.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Mac? - zapytał ostrożnie Devereaux. Z wyrazu jego twarzy można było łatwo wysnuć wniosek, że spodziewa się czegoś zupełnie niespodziewanego.

- Czy mogę zaprezentować swój punkt widzenia, mała damo? - Jastrząb dźwignął się na nogi. - Och, przepraszam. Na pewno pod żadnym względem nie jest pani mała, ale z całą pewnością jest pani damą, a ja nie miałem nic złego na myśli.

- Proszę mówić - odparła Jennifer lodowatym tonem.

- Zapoczątkowałem to przedsięwzięcie przed niemal trzema laty, zaledwie z kilkoma pomysłami w głowie. Żaden z nich nie był do końca sprecyzowany, ponieważ jestem

żołnierzem, a nie myślicielem, z wyjątkiem sytuacji, kiedy w grę wchodzi strategia wojskowa. Chcę przez to powiedzieć, że na pewno nie można mnie nazwać intelektualistą, bo nie marnuję czasu na zastanawianie się nad takimi sprawami, jak motywacja, moralność, zasadność i innymi tego rodzaju. Gdybym to robił, straciłbym w bitwie znacznie więcej młodych ludzi niż się to stało w rzeczywistości. Z pewnością chodziło mi o etos

58

wielkiego - nie potrafię myśleć o małych rzeczach - bo staremu żołnierzowi, którego przed sobą widzicie, małe rzeczy nie wydają się warte zachodu. Poza tym cała ta sprawa powinna też zapewnić mi dobrą zabawę, a ci, którzy źle postąpili, winni ponieść karę za swoje występki. Nigdy nie miałem zamiaru skrzywdzić ofiar - chodziło mi wyłącznie o ukaranie przestępców.

- A jednak krzywdzi pan ofiary! - przerwała mu gniewnie Jennifer. - Krzywdzi pan mój naród i doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę!

- Czy mogę dokończyć?... Kiedy dowiedziałem się o tym, co przydarzyło się Indianom Wopotami ponad sto lat temu, natychmiast skojarzyło mi się to z tym, co przydarzyło się mnie, a także, jeśli właściwie się zorientowałem, obecnemu tu pułkownikowi Cyrusowi. Otóż wszyscy zostaliśmy złożeni w ofierze przez ważniaków z rządu, którzy albo kradli na potęgę, albo zajmowali się zaspokajaniem swoich politycznych ambicji, albo byli najzwyczajszymi w świecie kłamcami, nadużywającymi zaufania, które im okazano. Nie ma żadnego znaczenia, czy to się stało sto lat, rok, trzy miesiące, czy dwa dni temu. Trzeba z tym skończyć, jak to sformułował nasz przyjaciel. Wypracowaliśmy sobie najlepszy system społecznego współzycia, jaki zna świat, ale ktoś ciągle próbuje go rozwalić.

- My też nie jesteśmy aniołami, Mac - zauważył półgłosem Devereaux.

, - Oczywiście, że nie, ale też nikt nas nie wybierał ani nie wyznaczał na wysokie stanowiska i nie przyjmował od nas przysięgi, że będziemy działać ku pożytkowi nie znanych nam bliżej kilkuset [milionów] ludzi. Jeśli obecny tu pułkownik ma rację, wówczas musimy [przyjąć, że tam wysoko jest ktoś, kto usiłuje pozbawić obywatela - lnie konkretnie mnie, ale po prostu obywatela - zagwarantowanego [przez konstytucję] prawa do szukania sprawiedliwości w Sądzie Najwyższym. Jeżeli natomiast nasz przyjaciel się myli i ja naprawdę zostałem Żołnierzem Stulecia, to i tak nie mógłbym przyjąć tej nagrody, ponieważ nie zdołałem ponad wszelką wątpliwość ustalić, ' jakaś wielka rządowa armata nie jest jednak wycelowana w moją swe.

- Nieźle powiedziane, generale - stwierdził Aaron, rozpierając się wygodnie w fotelu. - Nawet znakomicie, jak na człowieka nie obeznanego z prawem.

59

- Jak to nie obeznanego, panie Pinkus? - zaprotestowała Jennifer z odrobiną zazdrości w głosie. - Przecież to on napisał ten przekłety pozew!

- Powiedzmy raczej, że go skonstruował, moja droga. Pracowicie ułożył go z mnóstwa cegiełek, adaptując do swoich potrzeb cytaty z prawniczych książek. To nie jest kreacja w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Wydaje mi się, że ta kwestia jest w tej chwili najmniej istotna - oznajmił Sam, po czym zwrócił się do Jastrzębia: - Zdziwiło mnie, że w swoim znakomitym wystąpieniu nie nawiązałeś do kilku faktów, które, przynajmniej moim skromnym zdaniem, świadczą ponad wszelką wątpliwość o tym, że ktoś cholernie ważny za wszelką cenę usiłuje nas powstrzymać. Pozwól, że ci przypomnę...

- Wiem, co masz na myśli - przerwał mu spokojnie Mac. - Chodzi ci o przedsięwzięte przeciwko nam akcje zbrojne.

- Otóż to. Najpierw w dwóch hotelach, potem czarna limuzyna z mordercami pod moim domem, wreszcie czterej uzbrojeni po zęby goryle w narciarskiej chacie. Kto ich nasał? Przecież nie Święty Mikołaj.

- Nigdy się tego nie dowiemy, chłopcze, możesz mi wierzyć. Nawet nie masz pojęcia, w jaki sposób konstruuje się takie przedsięwzięcia: jest tam tyle luster, dymu i ślepych uliczek, że ustalenie, kto jest kim i jaką rolę pełnił, zajęłoby znacznie więcej czasu niż rozwikłanie afery Iran-contras. Do diabła, Sam, przecież ja osobiście stosowałem tę metodę głęboko na terytorium przeciwnika! Właśnie dlatego robiłem to, co robiłem, i za każdym razem wysyłałem wiadomość, że tego nie da się zrobić.

- Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem - powiedział lekko oszołomiony Aaron.
- Ani ja - dodała z zakłopotaniem Jennifer.
- Kim wy jesteście, prawnikami czy sprzedawcami w sklepie obuwniczym?! - wykrzyknął zdesperowany MacKenzie. - Co robicie jeżeli w trakcie rozprawy znajdujecie się w podbramkowej sytuacji i rozpaczliwie potrzebujecie wiadomości, o której wiecie, że na pewno istnieje, ale nikt nie chce jej wam udzielić?
- Zdobywam ją, biorąc świadka w krzyżowy ogień pytań odparł Pinkus.
- I przypominając o karze grożącej za składanie fałszywych zeznań - uzupełniła Jennifer.

60

- Przypuszczam, że oboje macie rację, ale tym razem nie działamy na sali sądowej. Jest jeszcze jeden, znacznie lepszy sposób...
- Prowokacja! - wykrzyknął Devereaux, przez chwilę patrząc Jastrzębiowi prosto w oczy. - Po prostu wygłaszasz jakieś szokujące stwierdzenie lub kilka stwierdzeń, które prowokują przeciwnika do wrogiej reakcji potwierdzającej istnienie informacji, na której zdobyciu ci zależy.
- Do licha. Sam, zawsze twierdziłem, że jesteś najlepszy! Pamiętasz plac Belgravii w Londynie, kiedy powiedziałem ci, jak masz postępować z tym zawzonym zdrajcą?...
- Nie będziemy teraz zajmować się pańskimi poprzednimi dokonaniem, generale! - zaprotestował stanowczo Pinkus. - Nie chcemy o nich nic słyszeć!
- W dodatku to nie ma w tej chwili większego znaczenia - dodała niezbyt pewnie Jennifer.
- Ach. rozumiem! - Sam uśmiechnął się złośliwie do indiańskiej Afrodyty. - Jesteś wściekła, kiedy okazuje się, że wpadłem na pomysł, który tobie nie przyszedł do głowy!
- Moim zdaniem to po prostu...
- Czy zechce pan wyjaśnić nam swoją strategię, generale? - poprosił Aaron Pinkus. - Naturalnie dopiero wtedy, kiedy dzieciaki przestaną się przekomarzać.
- Jeśli pułkownik - mój pułkownik - ma rację, to odpowiedź na nasze pytanie znajduje się na lotnisku Logana w Bostonie. Air Force II, komendancie! Kto go tu przysłał?... Chyba że jednak naprawdę jestem Żołnierzem Stulecia, a to będzie oznaczać, że wszyscy siedzimy w łodzi desantowej bez silnika, dryfującej w stronę silnie ufortyfikowanej plaży.
- Nawet nie będę próbował tego rozwikłać, ale... - Nagle Aaron umilkł i zaczął rozglądać się we wszystkie strony, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Był to najemnik Cyrus M., a raczej jego ogromne czarne ciało, siedzące z rozdziawionymi ustami na kruchym krześle przy antycznym białym biurku w kącie salonu. - A, jest pan, pułkowniku.
- Proszę?
- Słuchał pan nas?
- Cyrus skinął wielką głową, po czym odpowiedział powoli, wymawiając starannie każde słowo:

61

- Owszem, słuchałem was i właśnie usłyszałem najbardziej nieprawdopodobną historię od chwili, kiedy kilku pajaców oznajmiło wszem i wobec, że przeprowadzili reakcję termojądrową w wannie z wodą... Ludzie, wy zupełnie oszaleliście! Jesteście kompletnie szurnięci! Czy cokolwiek z tego, o czym mówiliście, jest prawdą?
- To wszystko jest prawdą, Cyrusie - odparł Devereaux.
- W takim razie w co ja się, do jasnej cholery, wpakowałem?! - ryknął czarnoskóry chemik. - Proszę mi wybaczyć, panno Redwing. Staram się ułożyć z tego jakieś sensowne równanie, ale to bardzo trudna sprawa.
- Nie ma za co przepraszać, Cyrus. A właściwie to dlaczego nie mówisz mi Jenny? Trochę mnie peszy ta panna.
- Czyste szaleństwo... - mruknął najemnik, wstając z krzesła. Choć zdumiony i pogrążony głęboko w myślach, zachował jednak dość przytomności umysłu, by obejrzeć się i sprawdzić, czy nie roztrzaskał zabytkowego mebla. - Jeśli to rzeczywiście prawda... - ciągnął, zbliżając się powoli do trojga prawników i nawiedzonego Żołnierza Stulecia, którego płonące spojrzenie najwyraźniej wywoływało w nim niezbyt przyjemne skojarzenia. - Jeśli to rzeczywiście prawda, to wydaje mi się, że nie pozostało nam nic

innego, jak tylko sprawdzić ten komitet Nagrody Nobla. Proszę dzwonić po swojego aktora, panie Pinkus. Wkraczamy na scenę.

21

W stojącym na skraju plaży domu w Swampscott w stanie Massachusetts zawarto rozejm - znakomite preludium przed zbliżającymi się bitwami. Aaron Pinkus wystąpił w roli mediatora, stronami umowy zaś byli: generał MacKenzie Hawkins, alias Grzmiąca Głowa, obecnie wódz plemienia Wopotami, oraz Jennifer Jutrzenka Redwing, rzeczniczka wspomnianego plemienia. Na mocy uzgodnionego dokumentu końcowego panna Redwing została uznana za jedyną prawną reprezentantkę interesów narodu Wopotami, natomiast spełniający chwilowo te funkcję Samuel Lensing Devereaux zgodził się zrezygnować ze wszelkich związanych z nią uprawnień zaraz po wspólnym wystąpieniu przed Sądem Najwyższym ze wspomnianą panną Redwing, naturalnie jedynie w wypadku, gdyby takie wspólne wystąpienie okazało się konieczne.

- Wcale mi się to nie podoba - oznajmiła Jennifer.

- Ani mnie! - zawtórował jej Sam.

| Jednak Jastrząb był nieustępliwy.

| - Skoro tak, to niczego nie podpiszę. Zmiana adwokatów W ostatniej chwili na pewno spowodowałyby jakieś opóźnienie, a ja poświęciłem tej sprawie zbyt dużo czasu, krwi, wysiłku i pieniędzy, Żeby się na to zgodzić. Poza tym, panno Redwing, przekazałem pani całkowitą kontrolę nad wszelkimi negocjacjami, więc czego jeszcze pani oczekuje.'

- Czego?... Wycofania pozwu i wyciszenia całej tej awantury!

- Ależ, moja droga - wtrącił się Aaron. - Na to jest już za

63

późno. Wstępne przesłuchanie zostało już wpisane w rozkład zajęć Sądu Najwyższego, a poza tym wycofując się w tej chwili, oddałabyś niedźwiedzią przysługę swemu narodowi. Jestem pewien, że teraz, kiedy przejęłaś sprawy w swoje ręce, ta winda do piekła nie przejedzie nawet pół piętka.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Jennifer. - Jeśli tylko nadarzy się okazja, szybko dogadamy się z Biurem do Spraw Indian, za-inkasujemy pieniądze i po cichutku schowamy się do skorupki. Za dwa albo trzy miliony dolarów moglibyśmy postawić kilka nowych szkół, zatrudnić dobrych nauczycieli...

- Na pewno nie podpiszę! - ryknął Hawkins.

- Dlaczego, generale? Czy nie zadowoli pana wysokie odszkodowanie?

- Czy mnie nie zadowoli? Komu z was powiedziałem, że chodzi mi o pieniądze? Nie potrzebuję pieniędzy - Sam i ja mamy ich więcej na kontach w Szwajcarii, niż zdołalibyśmy wydać przez całe życie...

- Mac, zamknij się!

- ...a każdego centa dostaliśmy całkowicie legalnie od największych drani, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi, i mogę was zapewnić, że żaden z nich nigdy nie upomni się o tę forszę!

- Dość tego, generale! - wykrzyknął Aaron Pinkus, zrywając się na równe nogi. - Nie życzę sobie żadnych aluzji do pańskich wyczynów z przeszłości, o których nie mamy ochoty nic wiedzieć!

- W porządku, komendancie, ale mimo to wyjaśnię, o co mi chodzi. Nie po to poświęciłem trzy lata życia, żeby teraz dać się zatkać jakimś drobnakiem, które najmniejszy z kontrahentów Pentagonu mógłby nam dać, nawet nie sięgając do wewnętrznej kieszeni.

- Na m? - zdziwiła się Jennifer. - Wydawało mi się, że pan niczego nie chce?...

- Nie mówię o sobie, lecz o naszej wspólnej sprawie.
- Doprawdy? - Redwing uśmiechnęła się z sarkazmem. - A jest jakaś różnica?
- Doskonale wiesz, co mam na myśli, młoda damo. Usiłujesz sprzedać szczep - mój szczep, nawiasem mówiąc.
- A co właściwie masz na myśli, Mac? - zapytał zrezygnowany Devereaux, zdając sobie doskonale sprawę, że będzie to rzecz nie podlegająca dyskusji.
- Zaczniemy od pięciuset milionów dolarów. To ładna, okrągła

64

- sumka. Dla Pentagonu tyle co splunąć, a dla nas honorowe wyjście z sytuacji.
- Pięćset milionów... - Brązowa twarz Jennifer pociemniała jeszcze bardziej, - Jest pan wariatem!
- W razie potrzeby zawsze można zmniejszyć ostrzał, natomiast ze zwiększeniem mogą być poważne problemy, szczególnie jeśli nie ma się żadnych rezerw... Pięćset baniek albo niczego nie podpiszę. Może to też powinniśmy dołączyć do tego świstka, jako jakiś załącznik, czy jak wy to nazywacie?
- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, generale - odparł Pinkus, spoglądając jednocześnie na Sama. - Gdyby w przyszłości ktoś zbadał ten dokument, mógłby postawić nam zarzut o celowe działanie w nieczystych intencjach.
- Hawkins zmarszczył brwi.
- W takim razie musimy zawrzeć oddzielne porozumienie. Nie pozwolę jej, żeby sprzedała mój lud mrocznym cieniem kłębiącym się w otchłaniach ciemności.
- Twój... O Boże! - Jennifer opadła bez sił na kanapę. - Mrocznym... Niech cię cholera!
- My, starsi szczepu, nie jesteśmy zachwyceni, kiedy nasze *squaws* posługują się takim językiem.
- Nie jestem żadną... Zresztą, nieważne. Pięćset milionów!... Nie mogę nawet o tym myśleć. Zostaniemy zrujnowani, zmiażdżeni i zdeptani, zniszczą naszą ziemię i odkupią ją od nas za bezcen, nastawią przeciwko nam wszystkich podatników, przedstawią w prasie i telewizji jako bandę chciwych dzikusów i złodziei...
- Panno Redwing!

Poważny głos Aarona Pinkusa oraz fakt, iż zwrócił się do niej tak oficjalny sposób, sprawiły, że Jennifer umilkła i spojrzała ze zdziwieniem na powszechnie poważanego prawnika, który obdarzył ją tak bardzo przyjaznymi uczuciami.

* - Słucham... panie Pinkus?

- Przygotuję specjalne memorandum, w którym stwierdzę wyraźnie, że zobowiązuje się pani podczas prowadzonych przez siebie negocjacji do przedstawienia warunków proponowanych przez wodza Grzmiającą Głowę, znanego także jako generał MacKenzie Hawkins, oraz do podjęcia wszelkich wysiłków w celu uzyskania zgody drugiej strony na ich przyjęcie. Czy zechce pani wziąć na swoje barki ten poważny ciężar?

65

- Tak, do... - Jennifer miała zamiar wykrzyknąć: Tak, do diabła! Powstrzymała się jednak, dostrzegłszy dziwny błysk w oku Aarona. - W porządku, koniec z mocnymi słowami. Potrafię uznać przekonujące argumenty. Podpiszę ten dokument.
- Tak już lepiej, młoda damo. - Hawkins potarł łebek zapałki o nogawkę skórzanych spodni i zapalił zmięte cygaro. - Przekona się pani na własnej skórze, panno Redwing, że odpowiedzialność dowódcy nie kończy się wraz z pierwszym zwycięstwem. Wciąż musimy maszerować naprzód, szukając dobrych żołnierzy, którzy mogliby się do nas przyłączyć.
- Brzmi to bardzo zachęcająco, generale - odparła Jennifer, uśmiechając się słodko.
- Zrobiliście się grzeczni aż do obrzydzenia - zauważył Sam. - Szczególnie ty, Pocahontas.

Aaron Pinkus przeszedł do gabinetu szwagra i zadzwonił do swojej osobistej sekretarki z poleceniem, aby zabrała pieczęć notarialną i kazała się zawieźć Paddy'emu do Swampscott w stanie Massachusetts. Wkrótce potem siwowłosa kobieta zjawiła się w letnim domku - zaczerwienione powieki i opuchnięte oczy świadczyły zapewne o rozwijającej się w najlepsze grypie - i przepisała na maszynie oba dokumenty, które natychmiast zostały uroczyście podpisane. Następnie Aaron Pinkus odprowadził wyraźnie niezdrową sekretarkę do drzwi, dziękując jej, że zechciała spełnić jego prośbę mimo

kłopotów ze zdrowiem.

Panie Pinkus, czy zna pan kogoś o imieniu Bricki? - zapytała kobieta, chwiejąc się lekko na nogach. - Ostatnio pytał o pana.

- Bricki?... A jak nazwisko?

Obawiam się, że nie zapamiętałam. Powtarzał je kilka razy, ale wydawało mi się, że za każdym razem brzmiało inaczej...

- Jesteś chora, moja droga. Weź sobie kilka dni wolnego, a ja powiem mojemu lekarzowi, żeby do ciebie zajrzał. Obarczam cię zbyt wieloma obowiązkami.

- To był bardzo przystojny młody człowiek. Lśniące ciemne włosy, nienaganny strój...

- Uwaga na stopień.

- Bardzo chciał wiedzieć, gdzie pan teraz jest.

- Ostrożnie, teraz będą dwa schodki... Paddy, jesteś tam

- Tak jest, szefie! - wykrzyknął Laferty, wbiegając na

66

wiodącą ku kolistemu podjazdowi. - Coś mi się widzi, że ona nie jest w najlepszej formie, panie Pinkus.

- To grypa, Paddy.

- Skoro pan tak twierdzi.

Lafferty przejął sekretarkę od swego pracodawcy, przerzucił sobie jej ramię przez szyję, objął ją w talii i poprowadził do samochodu.

- „Bricki, mój drogi, mój drogi, mój droooogi!...” - Słowa piosenki uleciały niepewnie w górę, grzęznąc w gałęziach wysokich sosen rosnących dokoła podjazdu. - „Tyś jest miłoooością mą!”

Aaron westchnął z ulgą i odwrócił się, by wrócić do domu, ale nagle zamarł w bezruchu z przechyloną głową. Bricki?... A może Binky?... Binghamton Aldershot, znany także jako Binky, jedyny człowiek w Bostonie zasługujący na miano międzynarodowego finansisty, ukrywający się za żelaznymi wrotami swojego banku... Czy on przypadkiem nie ma siostrzeńca, młodego bawidamka o identycznym przezwisku, trzymanego przez ród Aldershotów na cienkiej finansowej smyczy wyłącznie po to, żeby powstrzymać kretyna przed całkowitą kompromitacją rodziny?... Nie, to niemożliwe. Przecież sekretarka, pracująca dla Aarona Pinkusa już od piętnastu lat, była dojrzałą kobietą, a w dodatku niedoszłą zakonnicą, która zrezygnowała ze złożenia ostatecznych ślubów po to, by żyć w szerokim świecie, ale zachowała głęboką i niczym nie zmaconą wiarę. Tak, to całkowicie niemożliwe. Zwykły zbieg okoliczności. Pinkus otworzył drzwi, wszedł do holu i usłyszał dzwonek telefonu.

- Dobra, Cyrus! - wrzasnął Sam Devereaux. - Ale pamiętaj, że to aktor, więc nie wścieknij się na niego, dobrze? Po prostu przywieź go tutaj, i już... Co takiego? Żąda gwiazdorskiego kontraktu i głównej roli?... I co jeszcze? Mamy wydrukować jego nazwisko taką samą czcionką jak tytuł? A niech go cholera!... A co z pieniędzmi, ^stawiał jakieś żądania?... Tylko afisze? Dobra, zgódź się na wszystko i dawaj go tutaj!... Nie limitowana liczba prób, pełna rekompensata w przypadku odwołania z naszej winy? A co to znaczy, do kurwy .nędy?!... Ja też nie wiem, ale wpisz to do kontraktu.

Godzinę i dwadzieścia dwie minuty później frontowe drzwi otworzyły się z hukiem i do holu wbiegł Cygan w jaskrawo-pomarańczowej koszuli, przepasany błękitną szarfą. Wykonawszy po

67

drodze pełen piruet, wpadł do salonu, gdzie siedziało półkolem troje prawników i generał MacKenzie Hawkins. Wszystkie głowy jak na komendę zwróciły się ku Romanowi Z.

- Przepiękna pani i wy, panowie... eee... jednakowej urody! Oto pułkownik Cypress, człowiek obdarzony siłą drzewa rosnącego na brzegu Morza Śródziemnego, który pragnie wam coś powiedzieć.

- Wystarczy o nim! - dobiegł szept z pogrążonego w półmroku holu. - To mój występ, ty gaduło!

W drzwiach pojawiła się potężna sylwetka czarnoskórego najemnika.

- Cześć wam wszystkim - bąknął Cyrus M., tak speszony i niepewny, jak tylko może

być człowiek, który nigdy do tej pory nie zważył we własne siły. - Chciałem przedstawić wam artystę, który występował w wielu znakomitych przedstawieniach na Broadwayu i zbierał niepodważalne recenzje...

- Niepowtarzalne, idioto!

- Aktora dysponującego niezrównaną techniką i ogłupiającą wrażliwością...

- Oszałamiającą, kretynie! O s z a ł a m i a j ą c ą !

- Cholera, człowieku, staram się, jak mogę!

- Długie wstępy, w dodatku wygłaszane w niewłaściwy sposób, obniżają wartość występu. Zejdź mi z drogi!

Wysoki szczupły mężczyzna wkroczył do salonu z energią zupełnie nieadekwatną do wieku. Jego siwe falujące włosy, wyraziste rysy twarzy i błyszczące spojrzenie, świadczące o tysiącach podobnie elektryzujących wejść na scenę, wywarły ogromne wrażenie na niewielkiej publiczności, podobnie jak niegdyś wywierały na znacznie większych tłumach wypełniających największe sale teatralne w kraju. Aktor dostrzegł Aarona Pinkusa, zbliżył się do niego po czym złożył głęboki ukłon.

- Wezwałeś mnie, *sire*, więc natychmiast przybyłem. Twój sługa i najdzielniejszy błędny rycerz, panie!

- Witaj, Henry! - odparł Aaron, wstając z fotela i potrzęsając dłonią aktora. - To było po prostu wspaniałe! Natychmiast przypomniałem sobie, jak występowałeś dla Shirley Hadassah - wydaje się, że to były fragmenty *Księcia na uniwersytecie*, prawda?

- Wybacz mi, mój drogi, ale nie jestem w stanie pamiętać moich wszystkich występów na prowincji... Jeśli się nie mylę, było to mniej

68

więcej sześć i pół roku temu, bodajże dwunastego marca o drugiej po południu, jak sobie przypominam. Zdaje się, że nie byłem wtedy w najlepszej formie głosowej.

- Oczywiście, że byłeś. Wszyscy oniemieli z zachwytu... Pozwól, że przedstawię ci moich przyjaciół...

- Miałem pewne zastrzeżenia do górnego c, ale to wina pianisty, który był okropny... Co mówiłeś, Aaronie?

- Chciałem cię przedstawić moim przyjaciołom.

- Z przyjemnością ich poznam, a szczególnie tę cudowną istotę. - Sir Henry ujął delikatnie lewą rękę Jennifer, podniósł ją do ust i wpatrując się w jej oczy, pocałował dłoń. - Słodka Heleno, twoje dotknięcie uczyni mnie nieśmiertelnym... Myślała pani kiedyś o karierze teatralnej?

- Nie, ale przez pewien czas pracowałam jako modelka - odparła dziewczyna, z pewnością lekko zaskoczona, ale bardzo zadowolona z komplementu.

- To tylko mały krok, moje dziecko, pierwszy mały krok, lecz uczyniony we właściwym kierunku. Może pewnego dnia zjemy razem lunch? Musisz wiedzieć, że udzielam prywatnych lekcji, w szczególnych przypadkach nie pobierając żadnych opłat...

- Na litość boską, przecież ona jest prawnikiem! - wykrzyknął evereaux, sam nieco zdziwiony gwałtownością swojej reakcji.

- Wielka szkoda - odparł aktor, powoli wypuszczając rękę dziewczyny. - Jak powiedział Wielki Dramatopisarz w *Henryku VI*: „Pierwszą rzeczą, jaką uczynimy, będzie wybicie wszystkich prawników...” Naturalnie nie chodzi o ciebie, Aaronie, bo ty masz duszę artysty.

- Tak, oczywiście... W takim razie pozwól, Henry, że ci przedstawię: znakomita aktorka... to znaczy, znakomity prawnik, panna Redwing.

- *Enchante, mademoiselle...*

- Zanim zaczniesz pan znowu miętosić jej rękę, to nazywam się Devereaux i też jestem prawnikiem.

- Szekspir miewał jednak niegłupie pomysły...

- A ten dżentelmen w indiańskim przebraniu to generał Mac-Kenzie Hawkins.

- Ach, więc to pan! - wykrzyknął aktor, potrzęsając energicznie ręką Jastrzębia. - Widziałem film o panu - jak pan mógł zgodzić się

69

na coś takiego? Miał pan jakiś wpływ na obsadę albo na scenariusz? Mój Boże, człowieku, ten osioł, który grał pana, powinien mieć jakąś charakterystycję!

- Myślę, że ją miał - odparł obojętnie generał.

- A teraz uwaga wszyscy! - ciągnął Pinkus. - Przedstawiam wam Henry'ego Irvinga Suttona z Suttonu w Anglii, dokąd sięgają jego rodzinne korzenie, zwanego także sir Henrym Iryngiem S., a to dla uczczenia wielkiego wiktoriańskiego aktora, z którym go często porównywano. Jest to jeden z najznamienitszych artystów naszych czasów...

- Kto tak twierdzi? - przerwał mu z rozdrażnieniem Sam.

- W małych umysłach zawsze rodzą się największe wątpliwości - zauważył Henry Irving Sutton, obrzucając Sama zde gustowanym spojrzeniem.

- A kto to powiedział? Miś Yogi?

- Nie, francuski dramaturg nazwiskiem Anouilh. Wątpię, czy pan o nim słyszał.

- Naprawdę? A co pan powie na to: „Nie pozostało mi już nic oprócz krzyku”? No, i co?

- To z *Antygony*, ale pański przekład pozostawia nieco do życzenia. - Sutton odwrócił się od Sama i spojrzał na Hawkinsa. - Generale, czy mogę pana o coś prosić? Zwracam się do pana jako były kapitan z afrykańskiego teatru działań wojennych, gdzie często mogłem pana słyszeć, zazwyczaj wygłaszającego płomienne przemowy krytykujące Montgomery'ego.

- Pan tam był?!

- Wywiad Wojskowy, przydzielony do Wydziału Działań Specjalnych w Tobruku.

- Spisaliście się na medal, chłopcy! Tak skołowaliście szkopów, że ganiłi po całej Saharze, szukając naszych czołgów!

- Większość z nas stanowili aktorzy, którzy potrafili trochę mówić po niemiecku. W gruncie rzeczy zadanie nie było takie trudne; to żaden problem odegrać konającego z pragnienia żołnierza, który ostatkiem sił udzieli fałszywych informacji, po czym natychmiast traci przytomność. Szczerze mówiąc, to dziecinna igraszka.

- Działaliście w mundurach nieprzyjaciela! Mogliście zostać rozstrzelani!

- Być może, ale gdzie mielibyśmy szansę *zagrać* takie role?

70

- A niech mnie kule biją! Mów, żołnierzu - spełnię każde twoje życzenie!

- Znowu mnie załatwił.. - wymamrotał Devereaux. - Ciągłe mi to robi.

- Chciałbym, żeby zaczął pan recytować tekst jakiegoś utworu, który obaj znamy. Może to być wiersz albo tekst piosenki. Może pan go mówić normalnie, szeptem albo nawet krzyczeć, cokolwiek przyjdzie panu do głowy.

Hawkins zmarszczył czoło.

- Zaraz, niech się zastanowię... Zawsze lubiłem tę starą żołnierską piosenkę. Wiesz, o której myślę: „Poprzez wzgórze i doliny maszeruje oddział nasz...”

- Proszę nie śpiewać, generale, tylko ją wyrecytować - zażądał aktor. Jego twarz przeszła błyskawiczną metamorfozę, upodabniając się do twarzy starego żołnierza, usta zaczęły się poruszać, początkowo jakby nieśmiało, potem coraz wyraźniej, a głos, który się z nich wydobył, niczym nie różnił się od głosu MacKenziego Hawkinsa. Wreszcie generał umilkł, na placu boju zaś pozostał jedynie aktor, pod każdym względem tak idealnie upodobniony do Jastrzębia, że niemal z nim identyczny. - „».. - A niech mnie! - wykrzyknął Hawkins ze zdumieniem.

- Wspaniale, Henry! I - Całkiem nieźle, muszę przyznać Jest pan wspaniałym aktorem, panie Sutton.

- Och, bynajmniej, drogie dziecko - zaprotestował skromnie sir Henry Irving S. - To nie aktorstwo, tylko najzwyczajniejsze naśladownictwo, które mógłby zademonstrować każdy drugorzędny komik. Gesty i wyraz twarzy fałszują rzeczywistość na równi z głosem... Wyjaśnij ci to później, podczas prywatnych lekcji. Co z lunchem?

- Do cholery, czemu nie obsadzili pana w tym przeklętym filmie?

- Miałem okropnego agenta, *mon general*. Z pewnością nawet pan nie podejrzewa, co to oznacza. Proszę sobie wyobrazić wybitnego oficera, któremu nie wolno wykazać się zdolnościami w bitwie, ponieważ jego tak zwany zwierzchnik obawia się, że zaszkodzi to interesom reprezentowanej przez niego organizacji - w moim przypadku były to stałe wpływy z oper mydlanych.

- Zastrzeliłbym sukinsyna!

- Próbowałem to zrobić, ale na szczęście chybiłem... A więc, co z naszym lunchem, panno Redwing?

- Proponuję, żebyśmy teraz przeszli do najważniejszej sprawy - wtrącił się pośpiesznie Pinkus, zachęcając wszystkich gestem do zajęcia miejsc na kanapie i w fotelach. Zebrani uczynili to, przy czym Sam wykonał błyskawiczny manewr, dzięki któremu znalazł się między Jennifer i Suttonem.

- Naturalnie, Aaronie - zgodził się aktor, spopielaając intruza spojrzeniem. - Po prostu chciałem uspokoić pewien mały umysł, który najprawdopodobniej pochodzi z Małych Antyli, o ile rozumiesz, co się kryje za tą przewrotną metaforą.

- Nie tyle przewrotną, ile pokręconą, ty muppecie! - warknął Devereaux.

- Sam!

- Już dobrze, Jenny. Przyznaję, że reaguję dość nerwowo, ale w sędzie nigdy mi się to nie zdarza.

- Mogę pana prosić? - Pinkus spojrzał zachęcająco na Cyrusa, który celowo usadowił się jak najdalej od Henry'ego Irvinga S. Najwidoczniej podróż z Bostonu w towarzystwie aktora wystawiła na ciężką próbę nie tylko cierpliwość najemnika, ale także jego zdrowe zmysły. - Może pański kolega powinien przyłączyć się do nas? - zapytał Aaron.

- Potem powtórzę mu wszystko, co musi wiedzieć - odparł szeptem Cyrus M. - Wolałbym nie komplikować sytuacji. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby Roman Z. i nasz nowy rekrut mogli kiedykolwiek utworzyć zgrany zespół.

- Ma pan wspaniały głęboki głos, młody człowieku - oznajmił sir Henry, lekko podenerwowany faktem, że nie słyszy wymiany zdań między Cyrusem i prawnikiem. - Śpiewał pan kiedyś *Ol' Mañ River!*

- Odczep się ode mnie, człowieku.

- Mówię zupełnie poważnie. Gdyby ktoś chciał to znowu wystawić...

- Henry, przyjacielu, porozmawiamy o tym później - przerwał mu Aaron, wyciągając błagalnym gestem rękę. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Oczywiście, mój drogi. Kurtyna musi pójść w górę.

- I to najszybciej, jak tylko możliwe - dodał Cyrus. - Może nawet dziś wieczorem. Najlepiej dziś wieczorem.

- Jak, twoim zdaniem, powinniśmy teraz postępować? - zapytała Jennifer.

72

- Najpierw skontaktuję się z tym rzekomym komitetem Nagrody Nobla i przedstawię się jako cywilny adiutant generała - odparł najemnik. - W walizce mam trochę przyzwoitych ciuchów, ale będziemy musieli znaleźć coś dla Romana.

- W szafie mojego szwagra jest mnóstwo ubrań. Powinny pasować jak ulał, bo mimo swego wieku uprawia kulturystykę, a nawet gdyby wynikły jakieś problemy, to pani Lafferty błyskawicznie dokona wszystkich potrzebnych przeróbek...

- W takim razie tę sprawę mamy załatwioną - przerwał mu Cyrus ze zniecierpliwieniem. - Musimy się koniecznie dowiedzieć, kim są ci pajace z Air Force II i jak mamy z nimi postępować!

- Już to zrobiłem - oznajmił MacKenzie Hawkins, ponownie zapalając wymięte cygaro.

- Co takiego?!

- W jaki sposób?

- Kiedy?

Gwar podekscytowanych głosów nie wywarł na Jastrzębiu najmniejszego wrażenia. Stary żołnierz uniósł tylko krzaczaste brwi i wydmuchną kłęb dymu.

- Generale, proszę! - nastawał Cyrus. - To bardzo ważne. Co pan zrobił?

- Wy wszyscy, chemicy i prawnicy, uważacie, że jesteście cholernie sprytni, ale macie bardzo krótką pamięć.

- Mac. na litość boską...

- Szczególnie ty, Sam. Właśnie ty wpadłeś na ten pomysł, naturalnie długo po mnie, ale i tak byłem dumny z twojej umiejętności analizowania sytuacji na polu bitwy.

- O czym ty mówisz, do wszystkich diabłów?!

-- O Małym Józefie, chłopcze! Wciąż tam jest... i - Kto?

- Gdzie?

-- W Czterech Porach Roku. Rozmawiałem z nim pół godziny temu. Jest naprawdę znakomicie zorientowany.

- W czym? Przecież sam powiedziałeś, że nie możesz ufać temu małemu draniowi!
- Teraz już mogę - odparł Hawkins z niewzruszoną pewnością w głosie. - Bezczenie nadużywa swoich tymczasowych przywilejów,

73

co świadczy o twórczym i niezależnym umyśle, oraz wciąż próbuje mnie sprowokować. To człowiek, któremu spokojnie można zaufać. Obawiam się, że nie pojmuję tej logiki - przyznał Aaron Pinkus.

- On zwariował... - szepnęła Jennifer, wpatrując się w generała szeroko otwartymi oczami.

Nie byłbym tego taki pewien - odparł Cyrus. - Dzięki wrogiej reakcji jest jasne, z kim mamy do czynienia. Taki człowiek nie strzeli ci zniemacka w plecy, bo cały czas będziesz go miała na oku.

- Ty też zwariowałeś - poinformował go Sam. Najemnik potrząsnął głową.

- Wcale nie. Istnieje takie powiedzenie, które powstało jeszcze w czasie wojen kozackich: „Zawsze całuj nogę, którą masz zamiar odciąć”.

- Podoba mi się! - wykrzyknął aktor. - Świetna kwestia na zakończenie drugiego aktu!

- Może ja też oszalałam, ale chyba rozumiem, o co ci chodzi - odezwała się córka narodu Wopotami. Sam parsknął śmiechem.

- Oczywiście - powiedział z przekąsem. - Pozwolę sobie jednak zwrócić pani uwagę, pani mecenas, że nie należy obciążać się winą przed popełnieniem przestępstwa.

- Mądrała! - mruknęła Jennifer. - Rozumiem, do czego zmierzasz, Cyrus. W związku z tym co zrobimy?

- Pytanie brzmi: co zrobił generał?

- Och, rzecz jest całkowicie do zaakceptowania - zapewnił Jastrząb. - A znając waszą przeszłość, pułkowniku, jestem pewien, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu... Otóż poleciłem Małemu Józefowi, który, choć już nie najmłodszy, jest urodzonym zwiadowcą, aby przeprowadził szczegółowe rozpoznanie. Zbadał zabezpieczenia obozów przeciwnika, liczbę żołnierzy, siłę ognia oraz znajdzie dla nas drogi odwrotu, gdyby zaszła potrzeba przeprowadzenia takiego manewru, i ustali najlepszy kamuflaż, jakiego będziemy potrzebowali, zbliżając się do celu zero.

- Że jak?! - wykrztusił sir Henry.

Spokojnie, Henry! - wtrącił się pośpiesznie Pinkus. - Jestem pewien, że generał znacznie przesadza. - Oderwał wzrok od twarzy MacKenziego i wbił go w Cyrusa. - Zapewniał pan, że nie będzie żadnych aktów przemocy ani naruszenia zasad bezpieczeństwa!

74

- Bo nie będzie, panie Pinkus. Generał posłużył się terminologią wojskową, ale miał na myśli pokoje hotelowe zajmowane przez rzekomą delegację ze Szwecji i...

- Niewłaściwie mnie zrozumiałeś, Aaronie! - wykrzyknął aktor, zrywając się z fotela. Manewrował w taki sposób, żeby być zwróconym do wszystkich prawym profilem. - Jestem dumny, że mogę wziąć udział w tak szlachetnym przedsięwzięciu, czymkolwiek ono jest ciągnął, a z jego oczu sypały się snopy iskier. - Pamięta pan, generale, jak połączyliśmy się z Angolami i wyrąbaliśmy sobie drogę do El Alamein '.

- Jasne, majorze Sutton! Przed chwilą awansowałem pana o kilka stopni. Na polu walki głównodowodzący ma do tego prawo.

- Dziękuję panu, generale. - Sir Henry zsalutował, a Jastrząb poderwał się z fotela i odpowiedział w ten sam sposób. - Dalej, dawać tu tych drani! Prowadzić atak środkiem i podciągnąć oba skrzydła. Pokażcie im, jak walczą członkowie Stowarzyszenia Aktorów Filmowych Amerykańskiego Związku Artystów Scenicznych i Estradowych! Nikt nie zdoła napędzić nam stracha!... Aż krew gotuje się w żyłach, prawda, generale?

- Tam, na Saharze, naprawdę byliście najlepsi ze wszystkich. Mieliście jaja co się zowie, żołnierzu.

- Jaja? Do licha, to po prostu synteza klasycznej techniki i najlepszych pomysłów Stanisławskiego, a nie jakieś brednie zalecane przez trzeciorzędnych guru, którzy rozgłaszają wszem wobec, że dłubanie w nosie jest lepsze od porządnego smarknięcia!

- Cokolwiek to było, majorze, okazało się skuteczne. A pamięta pan, jak koło Bengazi

cała brygada...

- To kompletne świry! - szepnął Sam do Jennifer. - Wpłynęli przeciekającym kajakiem w środek cyklonu i wiosłują jak diabli!

- Opanuj się, Sam. Oni obaj są... wielcy, i to jest wręcz cudowne!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że dobrze jest wiedzieć, iż w tym świecie zaludnionym przez mięczaków w prądkowanych GARNITURACH zdarzają się jeszcze mężczyźni, którzy polują na tygrysy-ludojady.

- To infantylne, przedpotopowe pieprzenie!

- Wiem o tym - odparła dziewczyna z uśmiechem. - Czy nie jest przyjemnie znowu usłyszeć coś takiego?

- I ty uważasz się za wyzwoloną kobietę?

75

- Owszem, uważam się, ale nigdy o tym nie mówiłam, bo to właśnie jest przedpotopowe, a nie ci starzy ludzie, którzy po prostu opowiadają o takim świecie, w jakim żyli i jaki znali. Doceniam wartości tego świata oraz wszystko, co zrobili, żeby go ulepszyć. Czy można postąpić inaczej?

- Ociekasz przesłodzoną, lepką dobrocią.

- Czemu nie? Do tej pory udało mi się wygrać wszystkie sprawy, w jakich występowałam. Szczerze mówiąc, wygrałam nawet te, których nie powinnam była wygrać, a to znaczy, że cieszę się już pewną renomą.

- Wygrałaś je z pomocą „mnóstwa luster i zasłony dymnej”, jak powiedział nasz generał. „Dołożę najlepszych starań” jest eufemizmem dla „Dobra, spróbuję, ale jeśli się nie uda, to biorę nogi za pas. I to szybko”.

- Powtórz to głośno, a przekonasz się, w jakim stopniu jestem wyzwolona - szepnęła z uśmiechem Jennifer. - Nie masz już niczego, czym mógłbyś zalać sobie spodnie... Dobra, może przerwiemy im te wojenne wspomnienia?

- Mac! - ryknął przeraźliwie Devereaux. Dwaj weterani spojrzeli na niego tak, jakby był obrzydliwym czarnym robakiem, który nie wiadomo skąd pojawił się na półmisku ze spaghetti. - Skąd wiesz, że ten Mały Józef robi, co mu kazałeś? Z twojego opisu wynika, że to szuja - może nie taka, która wsadzi ci nóż w plecy, ale jednak szuja. Przypuśćmy, że powie ci to, co jego zdaniem chcesz usłyszeć?

- Nie robi tego, Sam. Widzisz, rozmawiałem z jego dowódcą, bardzo wysokim dowódcą, który może się równać nawet z komendantem Pinkusem i ze mną. Kto wie, czy nie dysponuje on nieco większymi wpływami tam, gdzie to się naprawdę liczy.

- I co z tego?

- To, że ta bardzo ważna osoba ma silną osobistą motywację, żeby pomóc nam w osiągnięciu naszego celu, a nie uda nam się tego dokonać, jeśli za osiemdziesiąt siedem godzin od tej chwili, z. włączonym odliczaniem, nie stawimy się cali i zdrowi przed Sądem Najwyższym.

- Osiemdziesiąt siedem z czym? - zapytał zdezorientowany Pinkus.

- Odliczanie trwa, komendancie. Od punktu zero dzieli nas w przybliżeniu minus osiemdziesiąt siedem godzin.

- Czy to ma coś wspólnego z celem zero? - nie ustępował znakomity prawnik.

76

- Nie uwierzy pan, majorze Sutton, ale ten człowiek był na plaży Omaha)

- Prawdopodobnie z przymusowego zaciągu, generale.

- Owszem, byłem tam, ale z karabinem, nie z książką szyfrów!

- Cel zero, drogi Aaronie, jest równoznaczny z celem chwilowym - wyjaśnił aktor. - Natomiast punkt zero oznacza cel ostateczny. Na przykład maszerując do Akimein, musieliśmy najpierw zająć Tobruk, który był naszym celem zero, samo Alamein zaś było punktem zero. Nawiasem mówiąc, bardzo podobne terminy można spotkać w kronikach Froissarta, z których korzystał Szekspir, pisząc swoje dramaty historyczne, a także...

- Już dobrze, dobrze! - wykrzyknął zdesperowany Devereaux. - Co wspólnego ma to całe chrzaniecie z jakąś szują o ksywce Mały Józef siedząca w hotelu Cztery Pory Roku? Powtarzam, Mac: na jakiej podstawie twierdzisz, że robi to, co mu kazałeś? Przecież już raz cię okłamał.

- Ale w zupełnie innych okolicznościach - powiedziała Jennifer, uprzedzając Jastrzębia. - Przypuszczam, że teraz jest bardzo uzależniony od swojego dowódcy.

- Znakomicie, panno Redwing. Uzależnienie polega na tym, że tylko od tego dowódcy zależy, jak długo Mały Józef będzie jeszcze przebywał na tym świecie.

- A, skoro tak sprawa wygląda...

-- Właśnie tak, Sam potwierdził Hawkins. - Jak dobrze wiesz, w tej dziedzinie nie popełniam błędów. Czy oprócz placu Beigravii w Londynie mam ci przypomnieć o pewnym klubie golfowym na Long Island, fermie kurcząt w Berlinie lub o szalonym szejku w Tizi Ouzou który chciał odkupić moją trzecią żonę za dwa wielbłądy i mały pałac?

- Wystarczy, generale! - stwierdził stanowczo Pinkus. - Przy pominięciu panu, że nie życzę sobie żadnych wzmianek o wydarzeniach z przeszłości. A teraz proszę, żebyście zechcieli usiąść, tak byśmy mogli zająć się aktualnymi problemami.

- Oczywiście, komendancie. - Dwaj weterani spod Alamein posłusznie zajęli miejsca. - Ale obawiam się, że niewiele uda nam się osiągnąć, dopóki Mały Józef nie złoży nam meldunku.

- A jak on ma to zrobić, jeśli wolno zapytać? - zainteresował się Devereaux - Wyśle gołębia z zaszyfowaną depeszą, który poleci do szejka w Tizi Ouzou?

77

- Nie, synu. Po prostu do nas zadzwoni.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu.

- Ja odbiorę - powiedział Jastrząb, podnosząc się z miejsca. Szybkim krokiem podszedł do małego zabytkowego stoliczka i podniósł słuchawkę. - Tu baza Dymiący Wigwam, odbiór.

- Jak się masz, kapuściany łbie! - rozległ się podekscytowany głos Małego Joeya. - Założę się, że nie uwierzysz, w jakie gówno się wpakowałeś! Przysięgam na grób ciotki Angeliny, że czegoś takiego nie wypiczyłby najbardziej szurnięty kucharz pod słońcem, mojego wuja Guido nie wyłączając!

- Uspokój się, Józefie, i staraj się wyrażać nieco jaśniej. Najlepiej podaj mi wyniki przeprowadzonych obserwacji i namiary celu.

- Co to za kretyńskie gadanie?

- Dziwię się, że nie zapamiętałeś nic z kampanii włoskiej...

- Siedziałem wtedy w mysiej dziurze. O czym ty gadasz, do Cholery?

- Chodzi mi o to, czego dowiedziałeś się w hotelu.

- Nie dziwota, że wy, wojskowi, wyciągacie tyle forsy od podatników. Nikt nie rozumie, co mówicie, ale wszyscy was się boją.

- Józefie, czy mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, czego się dowiedziałeś?

- Przede wszystkim, jeżeli te palanty są Szwedami, to ja nigdy nie jadłem norweskiego befsztyka, a jadałem go raczej często, bo panienka, z którą kiedyś kręciłem, była właśnie z Norwegii i robiła mi go dwa albo i trzy razy w tygodniu, żeby...

- Józefie, czy to długa historia? Chcę natychmiast usłyszeć, czego się dowiedziałeś!

- Już dobrze, dobrze... No więc, zajmują trzy apartamenty a w każdym są dwie sypialnie. Rozdałem parę baksów pokojówkom i kelnerom i dowiedziałem się, że ci pajace gadają między sobą tak jak my, po angielsku, tyle że to jakieś świry, bo bez przerwy gapią się w lusterka i nawijają sami do siebie, jakby nie wiedzieli, kim są.

- A co z odwodami i siłą ognia?

- Nic nie mają! Sprawdziłem wszystkie klatki schodowe, a nawet książkę meldunkową, co kosztowało mnie dwieście papierów, ale nie znalazłem nikogo, z kim mógłbym ich skojarzyć. Wpadł mi w oko tylko jeden gość, jakiś Brickford Aldershotty, ale okazało się, że zatrzymał się na jedną noc.

- Ewentualne drogi ucieczki?

78 - Schody ewakuacyjne, nic więcej.

- A więc twierdzisz, że plaża jest czysta...

- Jaka plaża?

- Cel zero, Józefie! Hotel!

- Można tu wejść jak do kościoła w Palermo w Wielkanoc.

- Coś jeszcze?

- Tak, numery pokojów. - Zastłonka podał je, po czym **dodał**: - Ten, kogo tu przyślesz, musi mieć niełichą krzepę.

- Co masz na myśli, Józefie?

- Pewna bystra pokojówka powiedziała mi, że ci kretyni obtłukują szyjki butelek, stawiają je na sztorc na podłodze i robią **nad** nimi pompki, czasem nawet, -dwieście albo i

więcej. **Mówię** ci, to regularne świry!

22

Miecho d'Ambrosia wszedł przez szklane drzwi do budynku Axela Burlapa przy Wall Street na Manhattanie, wsiadł do windy, pojechał na dziewięćdziesiąte ósme piętro, przeszedł przez kolejne szklane drzwi i podał wizytówkę wyniosłej jak kamienna rzeźba, angielskiej recepcjonistce.

Sahatore D'Ambr osią, consultint. Wizytówkę wydrukował jego kuzyn z Rikers Island.

- Mam się tu spotkać z jakimś Iwanem Salamandrem - powiedział Salvatore.

- Czy jest pan umówiony?

- To nieważne, złotko. Po prostu powiedz mu, że przyszedłem, i wpuść mnie do środka.

- Bardzo mi przykro, panie D'Ambrosia, ale nikt, kto nie umówił się wcześniej na spotkanie, nie może ot, tak sobie, wejść prosto z ulicy do gabinetu prezesa firmy Axel-Burlap.

- A co byś zrobiła, koteczku, gdybym połamał ci biurko?

- Proszę?

- Po prostu powiedz mu, że jestem, *capiscel* ' Pan D'Ambrosia został natychmiast zaproszony do wyłożonego orzechową boazerią sanctum sanctorum Iwana Salamadra, prezesa trzeciej co do wielkości firmy brokerskiej działającej na Wall Street.

- Co... Cooo? - wyskrzeczwał chudy okularnik, ocierając pot, który ustawicznie spływał mu na czoło. - Czy musi pan koniecznie straszyć moją recepcjonistkę, która ma najlepsze referencje na całym

80

Manhattanie, futro z czarnych nerek i pensję, o której moja żona nigdy nie może się dowiedzieć?

- Musimy pogadać, panie Salamander, a właściwie to pan musi wysłuchać, co mam do powiedzenia. Poza tym ta cizia wcale nie wyglądała na przestraszona.

.- Naturalnie! - wykrzyknął Iwan Groźny, tak bowiem nazywano go na Wall Street. - Osobiście poleciłem jej zachować całkowity spokój. Myślicie, że jestem głupi?... Otóż nie jestem, panie silny, i szczerze mówiąc wolałbym, żeby to wszystko, co masz mi do powiedzenia, zostało powiedziane w jakiejś nędznej włoskiej knajpce na Brooklynie!

- Mnie i moim przyjaciółom też nie bardzo się podoba smród twojego salami i śniętych rybek. W całej okolicy cuchnie jak na mielźnie podczas odpływu.

- Skoro już ustaliliśmy różnice między naszymi kulinarnymi gustami, może się dowiem, dlaczego mam poświęcać mój cenny czas jakiemuś ulicznemu rzeźmieszkowi?

- Dlatego że to, co mam powiedzieć, powiedział sam szef, a jeśli masz tu jakiś podsłuch, to on osobiście rozszarpie ci gardło, *capiscel*

- Daję słowo, o niczym takim nie może być mowy! Myślisz, że zwariowałem < więc, co on powiedział?

- Masz kupować akcje firm produkujących sprzęt wojskowy, szczególnie samoloty i... Cholera, zapomniałem. Czeka, zapisałem to sobie. - D'Ambrosia wyjął z kieszeni zmiętą kartkę. - O, jest. Samoloty i oprzyrządowanie. Właśnie to oprzyrządowanie uciekło mi z pamięci

- Szaleństwo, cały przemysł zbrojeniowy idzie na dno! Co chwila mówią o nowych cięciach w budżecie!

* - Czekaj, tu jest jeszcze więcej. Ale pamiętaj, że jeśli to nagrywasz, to jesteś już trupem.

- Daj spokój, nigdy nie robię takich rzeczy.

- Ostatnio sporo się zmieniło. - Mięcho przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kartkę, poruszając bezgłośnie ustami, po czym zaczął recytować, nie zwracając uwagi na intonacje ani znaki przestankowe: - Dobra, słuchaj: nastąpiły alarmujące wydarzenia o których kraj nie może zostać poinformowany ponieważ wywołałoby to szybko roz-pieszczyńajat i się panikę...

- Może rozprzestrzeniającą?

81

- W porządku, skoro tak uważasz.

- Mów dalej.

- Zaobserwowano wzmożenie częstotliwości transmisji przekazywanych z satelitów szpiegowskich oraz stwierdzono pojawienie się maszyn dalekiego zwiadu działających na eks... ekstremalnie dużych wysokościach...

- Coś takiego jak nasze U-2? Ruscy złamali traktat?

- Nie udało się precyzyjnie zidentyfikować tych obiektów - ciągnął Mięcho, odwracając kartkę - niemniej jednak zarejestrowano wiele zdarzeń tego rodzaju, a Rosjanie po cichu potwierdzili, że u nich było to samo... - Salvatore D'Ambrosia, alias Mięcho, schował kartkę i dokończył własnymi słowami: - Więc cała pieprzona planeta, a szczególnie my, jest w stanie tajnego alarmu. Te latające śmieci mogą wysyłać żółtki, Arabowie albo żydziaki...

- Bzdura!

- Albo... - Salvatore zniżył głos i szybko uczynił znak krzyża na szerokiej piersi - albo coś, o czym nic nie wiemy - tam, z góry... - Powiedziawszy to, wbił wzrok w sufit, a na jego twarzy zagościł na chwilę wyraz modlitewnego uniesienia graniczący z błaganiem o litość.

- Co takiego?! - wrzasnął Salamander. - To największa pieprzona bzdura, jaką w życiu słyszałem! Nikt nie... Zaraz, chwileczkę... Ho, ho, genialny pomysł! Mamy teraz zupełnie nowego nieprzyjaciela, przed którym musimy się bronić, a po to, żeby się bronić, potrzebujemy nowego sprzętu!

- Więc skapowałeś, o co chodzi szefowi?

- Czy skapowałem? Zakochałem się bez pamięci!... Zaraz, jakiemu szefowi? Przecież on poszedł spać z rybami?

Właśnie na tę chwilę Mięcho był specjalnie przygotowywany, powtarzając swoją kwestię tak często, że mógłby ją wygłosić nawet z głową zanurzoną w misce chianti. Sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął z niej małą kopertę z czarną obwódką - taką w jakiej zazwyczaj przysyła się zaproszenia na uroczystości pogrzebowe - po czym wręczył ją sprawiającemu wrażenie zahipnotyzowanego Salamandrowi. ze słowami, które tak głęboko wryły się w jego pamięć, że należało się spodziewać, iż powie je także na łożu śmierci:

- Jeśli szepniesz o tym choć słowo, to zaraz potem zamilknieš na zawsze.

Iwan Groźny przez chwilę spoglądał niepewnie to na potężnie zbudowanego posłańca, to na wywołującą nieprzyjemne skojarzenia kopertę. Wreszcie wziął z biurka błyszczący nóż do papieru, rozciął brzeg koperty i wyjął znajdującą się w niej kartkę. Jego wzrok natychmiast padł na podpis widniejący na dole strony - nagryzmolone pośpiesznie inicjały, które znał tak dobrze. Bezwiednie otworzył usta, wybałuszył oczy i spojrzał na Mięcho.

- To niemożliwe! - szepnął.

- Ostrożnie - odparł Salvatore równie cicho jak Salamander, a następnie powoli przeciągnął wskazującym palcem w poprzek gardła. - Jedno słowo i koniec z tobą. Czytaj.

Czując wzbierający błyskawicznie strach, Iwan ponownie skierował wzrok na kartkę i zaczął czytać: „Stosuj się ściśle do instrukcji przekazanych ci ustnie przez kuriera. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby postąpić wbrew nim. Znajdujemy się w trakcie ściśle tajnej, całkowicie poufnej, absolutnie priorytetowej operacji strategicznej. Za jakiś czas otrzymasz dokładniejsze wyjaśnienia. Teraz, w obecności kuriera spal tę kartkę oraz kopertę. Jeśli tego nie zrobisz, on spali ciebie. Wkrótce wrócę.

- Masz zapałki? - zapytał cicho sparaliżowany przerażeniem Salamander. Rzuciłem palenie ze względów zdrowotnych. Byłoby trochę głupio, gdybym zginął tylko dlatego, że

nie pałę.

- Jasne. - Mięcho rzucił pudełko na biurko. - Jak z tym skończysz zrobisz jeszcze jedną drobnostkę.

- Proszę bardzo. Nie sprzeciwiam się poleceniom przysyłanym z tamtego świata.

- Podniesiesz słuchawkę i każesz kupić pięćdziesiąt tysięcy akcji Petrotox Amalgamated.

- Co takiego?! - wyskrzecztał Iwan Groźny, zapominając o otarciu czoła pokrytego grubymi kroplami potu. Jego przerażenie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, że wielka ręka Miecha zaczęła powolną wędrówkę ku wewnętrznej kieszeni marynarki. - Chciałem powiedzieć, oczywiście! Dlaczego nie? Nawet siedemdziesiąt pięć tysięcy, proszę bardzo!

Mięcho złożył jeszcze cztery takie same kurtuazyjne wizyty. Wszystkie przebiegły w bardzo podobny sposób - różnica polegała jedynie na liczbie zduszonych okrzyków przerażenia -

83

i zaowocowały identycznymi rezultatami, to znaczy poleceniami kupować! kupować! kupować! To z kolei zaowocowało największym ożywieniem na giełdzie od czasu, kiedy Dow Jones przekroczył trzy tysiące punktów i ciągle piął się w górę. Taka marchewka musiała podziać na wyobraźnię osłów; kupowano wszystko, co się dało, a niektóre transakcje opiewały na miliardy dolarów. Działo się naprawdę coś wielkiego, więc sprytni chłopcy od obracania pieniędzy postanowili za wszelką cenę wykorzystać szansę i pojechać w górę na huśtawce ekonomicznego bilansu zysku i strat.

„Kupować firmy komputerowe, cena nie gra roli!

Zdobyc pakiety kontrolne wszystkich kooperantów firm zbrojeniowych w Georgii! I nie zawracać mi głowy liczbami!

Idziemy na całego, idioto! Musimy wykupić znaczące udziały McDonnella Douglasa, Boeinga i Rolls-Royce'a. Na litość boską, podbijaj cenę tak długo, aż inni wymiękną!

Kupować Kalifornię!"

W ten sposób, dzięki ogólnonarodowej mistyfikacji, która bez wątpienia wywarłaby ogromne wrażenie nie tylko na Małym Joeyu, ale nawet na Houdinim i Rasputinie, miliardowe wierzytelności przeszły na własność nieprzyjaciół Vincenta Francisa Assisi Mangecavallo. Tragicznie zmarły dyrektor CIA siedział pod parasolem w Miami Beach na Florydzie z kosztownym cygarem w ustach, komórkowym telefonem u jednego boku, przenośnym radiem u drugiego, szklaneczką z rumem na plastikowej tacy przed sobą i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Zabierzcie się z największą falą, zakichani golfiarze - mruknął, jedną ręką sięgając po szklankę, drugą zaś przytrzymując rudą perukę. - A potem ocean nagle wyschnie, tak jak za czasów Mojżesza, niech spoczywa w spokoju, a wy wylądujecie na suchym piasku, sukinsyny! Powinniście się byli porządnie zastanowić, zanim wydaliście na mnie wyrok śmierci. Wszyscy skończycie czyszcząc pisuary w Kairze. To miejsce w sam raz dla was!

Sir Henry Irving Sutton siedział sztywno i z gniewną miną na kuchennym krześle, a Erin LaTerty uwijała się z nożyczkami wokół jego rozwianej korony siwych włosów.

- Tylko trochę przystrzyż, dziewczko, najwyżej odrobinę, bo

84

w przeciwnym razie do końca swego nędznego żywota nie wyjdiesz z kuchni!

- Nie próbuj mnie straszyć, stary pierniku - odparła Erin. - Chyba przez jakieś dziesięć lat oglądałam cię w tym popołudniowym programie, jak mu tam... Aha, Na zawsze wspomnienia, więc znam Cię na wylot, chłopcze

- Słucham?

- No, zawsze wrzeszczałeś i ryczałeś na te bachory, aż prawie odchodziły od zmysłów, a potem zamykałeś się w bibliotece i płakałeś jak bóbr. Mamrotałeś pod nosem, że za łatwo wiedzie im się w życiu i że powinni się przygotować na różne przykrości, jakie niesie ze sobą życie. Jezus, Maria, gadałeś wtedy jak święty! To znaczy, było ci

okropnie żal, że nagadałeś im takich okropnych rzeczy i w ogóle. Tak, tak, pod tą skorupą jesteś straszny mięczak, dziadku Weatherall!

- To była tylko rola, którą odtwarzałem.

- Może pan to nazywać, jak pan chce, panie Sutton, ale ja i wszystkie moje koleżanki oglądałyśmy ten program tylko dzięki panu. Kochaliśmy się w tobie, chłopcze!

- Zawsze przeczuwałem, że ten sukinsyn mógłby wywalczyć lepszy kontrakt! warknął aktor pod nosem.

- Słucham pana?

- Nic takiego, droga pani, nic takiego. Proszę ciąc, ile pani uzna za stosowne. Zdaję się całkowicie na pani gust.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do kuchni wkroczył Cyrus M. Jego ciemna twarz błyszczała podnieceniem.

- Ruszamy, generale!

- Znakomicie, młody człowieku. Gdzie mój mundur? Zawsze było mi do twarzy w wojskowym stroju. ,>.

- Nie będzie żadnych parad ani mundurów.

- Dlaczego, na litość boską?

- Po pierwsze dlatego, że na życzenie Pentagonu oraz wszystkich wpływowych urzędów w Waszyngtonie, Białego Domu nie wyłączając, generał nie jest już generałem. Po drugie dlatego, że zwracalibyśmy na siebie uwagę, czego wolę uniknąć.

- Cóż, nie jest łatwo wczuć się w rolę bez rekwizytów, w tym także bez odpowiedniego stroju... Właściwie jako generał jestem od was starszy stopniem, pułkownika.

- Jeśli chce pan grać w tym przedstawieniu, panie aktorze, to ma

85

pan grać generała. W rzeczywistości jest pan tylko majorem, a to jest o dwa stopnie niżej od pułkownika. Nie ma pan szans, lir Hen%.

- Przekłęci, impertynency cywile...

- Co pan sobie wyobraża, do cholery? Że to druga wojna światowa?

- Nie, ale tylko ja jestem tu artystą! Cała reszta to cywile... i chemicy.

- Kurcze, pana i Hawkinsa łączy o wiele więcej niż El Alamein. Prawdą jest również to, że większość znanych mi generałów przez całe życie była aktorami... Chodźmy już. Oczekują nas o dwa-dwa--zero-zero.

- To jakiś numer telefonu?

- Godzina, majorze, albo generale, jeśli pan woli. W ten sposób w wojsku określa się dziesiątą wieczorem. >&?

- Zawsze miałem kłopoty z tymi cholernymi liczbami... - ;

Komitet Nagrody Nobla zajmował trzy sąsiadujące ze sobą apartamenty. Środkowy wybrano na miejsce spotkania znakomitego generała MacKenziego Hawkinsa, Żołnierza Stulecia, z dostojnymi „gośćmi ze Szwecji”. Adiutant generała, niejaki pułkownik Cyrus Marshall, emerytowany oficer armii USA, uzyskał zapewnienie, że spotkanie odbędzie się w kameralnym gronie, bez udziału prasy, radia i telewizji. Po jego zakończeniu nie przewidywano ogłoszenia żadnego komunikatu. Jak wyjaśnił pułkownik, choć stary żołnierz poczuł się ogromnie zaszczycony tak wielkim wyróżnieniem, to obecnie przebywa on w dobrowolnym odosobnieniu, pracując nad pamiętnikami zatytułowanymi *Pokój poprzez krew* i przed przyjęciem nagrody chciałby najpierw zapoznać się z zakresem czekających go obowiązków i zasięgiem podróży. Lars Olafer, rzecznik komitetu, zgodził się na wszystko z tak wielkim entuzjazmem, że pułkownik Cyrus postanowił na wszelki wypadek uzupełnić osobisty arsenał swój i Romana Z. o broń miotającą pociski z gazem paraliżującym. Należało działać w taki sposób, żeby w pułapkę złapali się ci, którzy ją zastawili, i Cyrus doskonale wiedział, jak to osiągnąć: zwabić szkodniki, unieruchomić je, a następnie poddać przesłuchaniu, znęcając się nad nimi psychicznie, ale nie czyniąc żadnej rzeczywistej szkody. Wśród najbardziej skutecznych metod należało wymienić groźbę wydfubania oczu.

- W mundurze wyglądałbym znacznie bardziej dostojnie! - ^{wa}rknął z wściekłością Sutton, maszerując hotelowym korytarzem, prążkowanym garniturze przywiezionym z jego bostońskiego mieszkania. - Te łachy byłyby dobre do *Milionerów* Shawa, ale nie do tej

akcji!

- Świetnie wyglądasz, ojczulku - zapewnił go Roman Z. i ku zdumieniu starego aktora uszczypnął go w policzek. - **Brakuje ci jeszcze tylko kwiatka w butonierce.**

- Odczep się, Roman - powiedział cicho Cynis. - **Wygląda tak, jak powinien. Jest pan gotów, generale?**

- Rozmawiasz z zawodowcem, chłopcze. **Już czuję adrenalinę żyłach. Uwaga, zaczyna się przedstawienie!... Zapukaj do drzwi! wejdź pierwszy, a potem ja wkroczę na scenę.**

- Mam tylko jedną prośbę - powiedział najemnik, zatrzymując się przed drzwiami. - **Jest pan wspaniałym aktorem, nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale niech pan nie przesadzi i nie napędzi im od razu stracha. Zanim wykonamy nasz ruch, musimy zdobyć maksymalnie dużo informacji.**

- Bawi się pan w reżysera, pułkowniku? W takim razie może pozwoli pan sobie wyjaśnić, bo chyba pan o tym nie wie, że w teatrze najważniejsze są trzy rzeczy: **talent, dobry smak i wytrwałość.** Hamlet uważał, iż aktorowi szczególnie przydaje się ta druga cecha, **Pamiętam, jak pewnego razu w Poughkeepsie...**

- Opowie mi pan to innym razem, panie Sutton. Tymczasem **zaczniemy przedstawienie, dobrze?** - Cyrus wyprężył na baczność potężne ciało i zapukał mocno w futrynę. **Drzwi otworzył siwowłosy mężczyzna z brodą w kolorze pieprzu i soli oraz w binoklach na nosie. - Jestem pułkownik Marshall - przedstawił się Cyrus. - Adiuwant generała MacKenziego Hawkinsa.**

- *l'alkommen*, pułkowniku - odparł rzekomy Szwed. Mówił tak przesadnym skandynawskim akcentem, że bywały w świecie Cyrus aż skrzywił się mimowolnie. - **Jeźdźmy ogromnie radzi, że możemy poznać z nagomidego ugenercła -Przedstawiciel komitetu Nagrody Nobla ukłonił się nisko i cofnął kilka kroków, wpuszczając do pokoju Żołnierza Stulecia, który wkroczył do apartamentu niczym ożywiony Kolos z Rodos. Zaraz za nim wślizgnął się podekscytowany . Roman Z.**

- **To dla mnie wielki zaszczyt, panowie! - zagrzmiał aktor**

87

głosem zdumiewająco podobnym do gardłowego porykiwania Mac Kenziego Hawkinsa. - Jestem wzruszony i zażenowany tym, że was wybór padł akurat na mnie. skromnego uczestnika większości głównych konfliktów zbrojnych naszego stulecia. Starłem się tylko robić jak najlepiej to, co do mnie należało, a jako żołnierz, który większą część życia spędził na polu bitwy, mogę jedynie powiedzieć, że budowaliśmy **szanse z naszych poległych bohaterów, a kiedy tylko nadarzała się okazja, ruszaliśmy do ataku, prac niepowstrzymanie ku zwycięstwu! Nagle w apartamencie wybuchło niesłychane zamieszanie, a spanikowane głosy, które się odezwały, w cudowny sposób utraciły najmniejsze ślady szwedzkiego akcentu.**

- **Boże, to on!**

- **Niesłychane, ale masz rację!**

- **Nie wierzę! Myślałem, że już dawno nie żyje.**

- **Skądże znowu. Gdyby miał zamiar umrzeć, zrobiłby**

to na scenie.

- **Najwspanialszy aktor charakterystyczny naszych czasów! Walts Abel lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych!. Uosobienie doskonałości**

- **Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! - wrzasnął pułkownik Cyrus. Jego potężny, lecz nie wyszkolony głos nie stanowił jednak żadnej konkurencji dla niezbyt zgranego chóru aktorów Ethelrew Brokemichaela. - Czy ktoś może mi to wyjaśnić?! - krzyczał usiłując przekrzyczeć gwar czyniony przez Samobójczą Szóstkę tłoczącą się w komplecie wokół „generała MacKenziego Hawkinsa”. Rzekomi Szwedzi ściskali mu dłońe, klepali po plecach, a jeden ucałował nawet jego sygnet. - Do diabła, niech ktoś mi wreszcie powie, o co tu**

chodzi!

- **Ja spróbuję - zaofiarował się Dustin, spoglądając na Cyrusa**

roziskrzonym wzrokiem. - Widocznie został pan zwerbowany **późniejszym etapie i dlatego nic pan nie wie, ale ten człowiek nie jest tym pajacem Hawkinsem, tylko jednym z najgenialniejszych artystów współczesnego teatru.** Wszyscy oglądaliśmy go, kiedy byliśmy młodzi **analizowaliśmy jego grę, chodziliśmy za nim do „Joego Allena” to bar dla aktorów - i zasypywaliśmy pytaniami, starając zapamiętać wszystko, co nam powiedział, uchylając łaskawie rąbka**

tajemnicy.

- **Jakiego rąbka? O czym pan gadasz, do stu tysięcy diabłów^**

- **Ten człowiek to Henry Irving Sutton! Sutton, ar Henry.]**

- **88**

- **Tak, wiem - przerwał mu z rezygnacją Cyrus. - Dla uczczenia** pamięci niezującego angielskiego aktora, który **nie miał nic wspólnego** ani z bankiem, ani z krawcem na Pierwszej **Alei... Zaraz, chwileczkę!** - wykrzyknął nagle najemnik. - **A kim w takim razie wy jesteście?**

- **Każdy z nas może podać tylko nazwisko, stopień i numer służbowy - odparł Marlon, który usłyszał pytanie Cyrusa i z ociąganiem odwrócił się od rozpromienionego Suttona, z doskonale udawaną skromnością przyjmującego hołdy od młodszych kolegów. - Mówię to z prawdziwą przykrością, pułkowniku, ponieważ kiedyś odtwarzałem niewielką rolę w filmie z Sidneyem Poilier, który także był znakomitym artystą.**

- **Nazwisko, stopień i... Co to ma znaczyć, do cholery?**

- **Dokładnie to, co powiedziałem, pułkowniku. Nazwisko, stopień i numer służbowy, zgodnie z ustaleniami Konwencji Genewskiej. Ani słowa więcej.**

- **Jesteście żołnierzami?**

- **I to znakomitymi - odparł Dustin, zerkając tęsknie na swego idola, który już zaczął porywającą opowieść o swoich minionych sukcesach. - Podejmujemy ryzyko walki bez mundurów, choć jak do tej pory w niczym nam to nie przeszkadzało.**

- **Walki?...**

- **Chodzi o realizację tajnych zadań, szarych i czarnych operacji... Naturalnie to ostatnie określenie nie ma nic wspólnego z uprzedzeniami rasowymi!**

- **Wiem, co to są czarne operacje, ale dalej za cholere nie wiem, kim w y jesteście!**

- **Przed chwilą panu powiedziałem: wojskowym oddziałem specjalizującym się w realizacji poufnych misji o najwyższym stopniu tajności. „ - A ta bzdura z komitetem Nagrody Nobla jest jedną z tych misji? •;’ - Tak tylko między nami dwoma... - powiedział Dustin, zniżając głos do konfidenckiego szeptu i pochylając się w stronę rozmówcy. - Ma pan szczęście, że jesteśmy tym, kim jesteśmy, bo w przeciwnym razie mógłby pan pożegnać się z emeryturą. Ten człowiek nie jest generałem Hawkinsem! Został pan zrobiony w konia, pułkowniku. Wyrolowali pana, jeśli wie pan, co mam na myśli.**

- **Doprawdy?... - wymamrotał Cyrus, wpatrując się przed siebie nie widzącym spojrzeniem, jakby znajdował się w początkowym stadium katatonii.**

- **89**

- **Oczywiście, podobnie jak pana Suttona... to znaczy sir H ry'ego. Przecież nie wystawiałby na szwank swojej znakomitej reputacji. uczestnicząc dobrowolnie w spisku mającym na celu zniszczenie pierwszej linii obrony naszej ojczyzny!**

- **Pierwsza linia obrony?... Spisek?...**

- **••- Tak właśnie nas poinformowano, pułkowniku.**

- **Tego już za dużo! - wycharczał Cyrus, otrząsając się z oś pienia. - Kim właściwie jesteście i skąd się tu wzięliście?**

- **Z Fortu Benning, a dowodzi nami bezpośrednio sam generał brygady Ethelred Brokemichael. Nasze nazwiska są właściwie nie istotne, gdyż jako zespół jesteśmy znani pod nazwą Samobójca Szóstka.**

- **•••;- Samobójca... Mój Boże, najlepszy oddział antyterrorystyczny na świecie?**

- **Słyszeliśmy już takie opinie**

- **Ale przecież... Przecież wy..**

- **Zgadza się, jesteśmy aktorami.**

- **••- Aktorami! - wrzasnął Cyrus tak głośno, że Henry Irvii**

Sutton umilkł nagle, a wraz z nim krąg otaczających go wielbicieli i wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na czarnoskórego najemnika. •
Wszyscy jesteście... aktorami?

- Najbardziej zgraną paczką fachowców w tej dziedzinie, jaką można sobie wyobrazić, pułkownikowi - odparł „generał Hawkins”. Proszę zwrócić uwagę, że wszyscy zadali sobie trud zdobycia europejskich ubrań w eleganckich, stonowanych barwach, najodpowiedniejszych dla szacownych reprezentantów świata nauki. Proszę tylko dostrzec, jak wiele uwagi poświęcili odpowiedniemu dobraniu peruk oraz sztucznych bród i wąsów: trochę siwizny, ale bez przesady. Tylko tyle, żeby dodać nieco lat i sporo powagi. Wreszcie ich sylwetki pułkownikowi - lekko przygarbione plecy, zapadnięte piersi - subtelne szczegóły, takie jak binokle i grube szkła. Wszystko to są maksymalnemu upodobnieniu się do odtwarzanych postaci, a z kolei pozwala na idealne wczucie się w rolę i znakomite oddanie wszelkich psychologicznych niuansów. Tak, to rzeczywiście aktorzy najlepsi, jakich można sobie wyobrazić. •> •*,•:,<• : » " "

- Wszystko zauważył!

- Co za zmysł obserwacji!

- Każdy, nawet najdrobniejszy szczegół... <

90

- Szczegóły, moi panowie - oznajmił Sutton - stanowią naszą tajną broń. Radzę nigdy o tym nie zapominać.

Odpowiedziała mu burza okrzyków:

- Nigdy! <•• : •!..

- Ma się rozumieć!

- Jak moglibyśmy zapomnieć?!

- Stary aktor uniósł obie ręce.

- Naturalnie wiem, że nie muszę wam o tym przypominać. Zdaję sobie sprawę, że swoim występem na lotnisku zdołaliście zwieść kilkanaście milionów ludzi. Znakomita robota, panowie! A teraz chcę was poznać. Wasze nazwiska, jeśli można prosić...

- Cóż... - mruknął Lars Olafer, wskazując ruchem głowy dwóch najemników. - Gdyby nie obecność niepożądanych osób, z radością przedstawilibyśmy się panu naszymi prawdziwymi nazwiskami, ale otrzymaliśmy wyraźne rozkazy, żeby pozostać przy pseudonimach, choć nie ukrywam, że dla mnie osobiście jest to szalenie kłopotliwe. \

- Dlaczego?

- Ze względu na tytuł, na który pan sobie zasłużył, ja natomiast nie. - Nazywają mnie sir Larry, gdyż moje prawdziwe imię brzmi Laurence.

^Przez „u”? - • •>!-•.•••- .»-M." ..v :p •. r?;..- *>-

- Oczywiście.

- W takim razie powiem panu, że całkowicie zasłużył pan sobie na ten przydomek. Wychyliłem z Larrym i Vi\ niejedną kwaterekę, ale muszę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że dostrzegam wyraźne podobieństwo między panem a tym kościstym, choć bardzo miłym człowiekiem. Grałem Pierwszego Rycerza w *Becketcie*, w którym występował razem z Tonym Quinnem.

- Doprawdy nie wiem, co mam powiedzieć...

- Był pan wspaniały!

- Genialny!

- Nadzwyczajny!

- Rzeczywiście, wydaje mi się, że to się dało oglądać.

- Czy możecie skończyć to chrzaniecie?! - ryknął Cyrus. Na jego szyi wystąpiły grube, nabrzmiałe żyły.

- Na mnie mówią Książę.

- A na mnie Sylvester.

- 91

- Jestem Marlon.,

- - Ja jestem... jestem... jestem Dustin. Rozumie mnie pan... pen... pan?

- Siemanko, generale, wołają mnie Telly. Lizaczka?

- Jesteście naprawdę znakomici!

- A to wszystko jest zupełnie niedorzeczne! - ryknął Cyrus, chwytając za kłapy Dustina i Sylwestra. - Słuchajcie mnie, dranie...

- Spokojnie, koleś - wtrącił się Roman Z., poklepując po potężnym ramieniu swojego niedawnego kompana z celi. - Nie krzycz tak strasznie, bo podskoczy ci ciśnienie.

- Pieprzę moje ciśnienie! Powinienem natychmiast rozwalić tych sukinsynów!

- Ależ, wędrowcze, skąd ten zaskakujący prymitywizm? - zdziwił się Książę. - My nie uznajemy przemocy. To nic więcej niż tylko przemijający stan umysłu.

- Stan czego? - ryknął najemnik.

- Umysłu - powtórzył Książę. - Freud nazywał to szaleńczą projekcją wyobraźni. Często ćwiczymy takie zachowania podczas prób, naturalnie podczas zajęć z improwizacji.

- Naturalnie. - Gyrus uwolnił bezradnych więźniów. - Poddaję się... - wymamrotał, opadając na najbliższy fotel. Roman Z. stanął za nim i zaczął masować jego szerokie barki. - Poddaję się! - powtórzył głośniejszym, obrzucając bezsilnym spojrzeniem otaczającą go gromadę szaleńców. - Więc to wy jesteście Samobójczą Szóstką? Tym legendarnym oddziałem, o którym śpiewa się piosenki? Świat chyba postradał zmysły!

- W pewnym sensie ma pan rację, pułkowniku - powiedział Sylvester swoim normalnym głosem, wyćwiczonym w Szkole Aktorskiej w Yale - ponieważ do tej pory nie oddaliśmy jeszcze ani jednego strzału i nikomu nie zrobiliśmy krzywdy, nie licząc pary wykreconych rąk i jednego lub dwóch złamanych żeber. Po prostu my nie pracujemy w ten sposób. Wybraliśmy łatwiejszą metodę. Wcielamy się w różne postaci, najczęściej ośmieszając przeciwników, ale od czasu do czasu zdarza nam się z kimś zaprzyjaźnić.

- Wszyscy uciekliście z domu wariatów - poinformował go Cyrus. - A może w ogóle nie jesteście z tej planety? - dodał nieco ciszej.

- Jest pan dla nas niesprawiedliwy, pułkowniku - zaprotestował Telly. - Gdyby wszystkie armie świata składały się z aktorów, wojny

92

przypominałyby cywilizowane przedstawienia, a nie barbarzyńskie jatki. Nagradzano by indywidualne oraz zbiorowe kreacje: najlepsze przemówienia, najbardziej przekonujące riposty, najgwałtowniejsze reakcje tłumu

- Przyznawano > by także nagrody za najlepsze kostiumy i scenografie - wtrącił się Marlon - jak również za efekty specjalne i symulacje pola bitwy.

- **Oraz** scenariusz - uzupełnił Książę. - Myślę, że pan nazwałby to planowaniem strategicznym.

- Na litość boską, nie zapomnijcie o reżyserii! - wykrzyknął sir Larry.

- I o choreografii - dorzucił Sylvester. - Biorąc pod uwagę okoliczności, choreograf musiałby ściśle współdziałać z reżyserem, a jego praca wcale nie byłaby mniej ważna.

- Cudownie, po prostu cudownie! - zachwycił się Henry Irving Sutton. - Działania na lądzie, wodzie i w powietrzu oceniałoby jury złożone z członków międzynarodowej akademii teatralnej. Rzecz jasna, w celu zachowania autentyzmu *zdarzeń* zatrudniono by wojskowych konsultantów, ale ich rady miałyby drugorzędne znaczenie, gdyż najwazniejszy byłby pomysł, charakteryzacja i kunszt aktorski, czyli po prostu. . sztuka!

- Słusznie, wędrowcze!

- Słyszałaś, Stella? Ale im dosunął!

- Ma pan... pan... pan rację!

- Panie, twe słowa koją me zbolełe serce.

- Nieźle, ślicznotko. Chcesz lizaka?

- Dobrze gada. Obyłoby się bez oficerów

- **móglbyfaty**

se na żółtkach, ile dusza zapagnie. .. •> .

- Co takiego?

- Nie chwytasz? Wszystko jest na niby, nikt nie wyciąga kopyt, więc robisz wszystko, na co ci przyjdzie ochota, no nie?

- Aaaaaaaa! - zawył Cyrus, jakby nagle zapagnął wprowadzić w życie mądrość zawartą w sentencji Anouilha. - Przypomniałem sobie! Pan, sir Henry Narwaniec! Pan był żołnierzem! Ten świrnięty Hawkins mówił, że walczył pan w Afryce Pomocnej i nawet został jakimś chrzanionym bohaterem. Co się stało z człowiekiem, którym był pan wtedy?

- Mówiąc najprościej, jak tylko można, pułkowniku, wszyscy

pdudfcywać

żołnierze są aktorami. Boimy się, ale staramy się tego nie okazywać; wiemy, że w każdej chwili możemy stracić nasze cenne życie, ale przechodzimy nad tym do porządku dziennego, tłumacząc sobie irracjonalnie, że cel, który przed nami postawiono, jest znacznie ważniejszy niż nasze istnienie, choć w głębi duszy doskonale wiemy, że to zaledwie jeden z punktów na mapie. Problem z żołnierzami na polu bitwy polega na tym, że muszą stać się aktorami bez żadnego przygotowania, dosłownie z minuty na minutę. Gdyby wszyscy ci zziębnięci, mokrzy od deszczu żołnierze zrozumieli, na czym polega gra, wydawaliby mrożące krew w żyłach okrzyki i strzelali wysoko nad głowami swoich rówieśników z drugiej strony, których co prawda nie znają, ale z którymi w jakimś innym miejscu lub czasie mogliby pójść do baru na drinka.

- Pieprzenie! A co z wartościami i przekonaniem? Walczyłem po różnych stronach frontu, ale nigdy przeciwko czemuś, w co wierzyłem!

- Cóż, pułkowniku, wynika z tego, że jest pan człowiekiem o wielkiej moralności, za co należysz panu mój najgłębszy szacunek. Tak się jednak składa, że jednocześnie walczy pan powodowany najniższą istniejącą motywacją, to znaczy żądzą zdobycia pieniędzy.

- A jaką motywację mają ci pajace?

- Nie jestem w stanie powiedzieć, ale nie wydaje mi się, żeby były to finansowe gratyfikacje. Podejrzewam, iż są zachwyceni, że mogą zrealizować swe największe zawodowe marzenia. Być może czynią to w dość niezwykły sposób, ale za to odnoszą znaczące sukcesy.

- Tak, to muszę im przyznać - mruknął Cyrus. - Masz wszystko? - zapytał Romana Z.

- Wszystko i wszystkich, mój drogi przyjacielu.

- To dobrze. - Potężnie zbudowany chemik odwrócił się z powrotem do aktorów. - Chodź tu, mały - powiedział, wpatrując się w Dustina, który z kolei spojrzał pytająco na kolegów. - Na litość boską, człowieku, po prostu chcę zamienić z tobą parę słów na osobności. Chyba nie myślisz, że próbowalibyśmy we dwóch załatwić całą Samobójczą Szóstkę?

- Wątpię, czy udałoby ci się załatwić nawet jego, wędrowcze. Może nie dorównuje ci rozmiarami, ale za to ma czarny pas w karate, a to już coś znaczy.

- Daj spokój, Książę. Nigdy nie wykorzystałbym tych umiejętności - no, chyba że znaleźlibyśmy się w poważnych tarapatach - a już na pewno nie przeciwko takiemu miłemu gościowi jak pułkownik. Jest

94

po prostu zdenerwowany, a ja go doskonale rozumiem... Proszę się nie obawiać, pułkowniku, nie zrobię panu krzywdy. O co chodzi?

Dustin i oniemiały ze zdumienia najemnik przeszli w odległy kąt pokoju. Zatrzymali się przy oknie, przez które widać było rozjarzone tysiącami świateł miasto, rzucające jasną poświatę na nocne niebo. Cyrus przez chwilę spoglądał w milczeniu z góry na małego aktora, po czym powiedział cicho

- Chyba miałeś rację kilka minut temu, kiedy powiedziałeś, że będę mógł pożegnać się z emeryturą. Rzeczywiście zwerbowałeś mnie niedawno, zaledwie kilka dni temu, więc nie miałem żadnych podstaw, by przypuszczać, że ten człowiek nie jest Hawkinsem. Do diabła, z tego co pamiętam z telewizji, wygląda i zachowuje się dokładnie tak jak on. Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny, Dustin.

- Nie ma sprawy, pułkowniku. Gdybyśmy zamienili się miejscami, na pewno pitsi, i piłfi \ p . n. tak samo - na przykład gdyby ktoś udawał przede mną Harry'ego Belafonte, a ja bym nie miał o niczym pojęcia.

- Co?... Ach, tak, oczywiście. Jasne, że bym to zrobił, Dustin. Ale na razie, żeby móc się wreszcie zorientować, o co chodzi w tym całym zamieszaniu, tym bardziej że przecież jesteśmy po tej samej stronie. Na czym właściwie polega wasze zadanie?

- Cóż, ponieważ sytuacja rzeczywiście jest nadzwyczajna, a pan ma stopień pułkownika, powiem panu wszystko, co mogę, czyli dokładnie tyle, ile wiem. Mamy nawiązać kontakt z generałem Hawkinsem, uprowadzić go wraz ze wszystkimi osobami towarzyszącymi i odstawić do bazy Strategicznych Sił Powietrznych w Westover - tutaj, w stanie Massachusetts.

- A nie do Air Force II stojącego na płycie lotniska Logana?

- Och nie, to tylko na użytek prasy... Wie pan, ten wiceprezydent to nawet nie JEST taki zły facet. Naturalnie nie chcę przez to powiedzieć, że mógłby być aktorem, ale...
 - On był w tym samolocie?
 - Tak lecz nie pozwolili mu wsiąść razem z nami.
 - W takim razie dlaczego się tam znalazł?
 - Jacyś gangsterzy ukradli jeden z jego samochodów i porzucili go w Bostonie, więc musiał...
 - Już dobrze, dobrze... Chciałem powiedzieć, że to nieistotne. A więc łapiecie generała i wszystkich, którzy mu towarzyszą, po czym odwozicie ich do bazy w Westover. A co potem?

95

- DPU, pułkownika. y , f
 - Proszę?
 - Do późniejszego ustalenia, ale kazano nam zabrać swetry i długie kalesony, więc należy przypuszczać, że polecimy do jakichś chłodniejszych krajów.
 - Szwecja... - mruknął najemnik.
 - Też tak myśleliśmy, lecz Sylvester, który występował kiedyś na „Queen Anne” podczas rejsu dokoła Skandynawii - słyszeliśmy, szczególnie od niego, że był wręcz wspaniały - twierdzi, że latem jest tam pogoda prawie taka sama jak u nas.
 - Zgadza się.
 - Doszliśmy więc do wniosku, że w grę wchodzi dalsza północ...
 - Na przykład fiordy za kręgiem polarnym - uzupełnił Cyrus.
 - Całkiem możliwe. Do tego czasu otrzymalibyśmy konkretne rozkazy.
 - Na przykład takie, żeby zakopać w lodowcu zamrożone zwłoki w celu przechowania do dokładnych badań lekarskich planowanych na dwudziesty drugi wiek.
 - Nic mi o tym nie wiadomo, pułkownika. -
 - Mam nadzieję. Czy oprócz tego generała Broke... Brothela...
 - Brokemichaela, pułkownika. Generał brygady Ethelred Broke-michael.
 - Dobra, niech będzie. A więc, czy oprócz niego znacie kogoś odpowiedzialnego za organizację ataku?
 - Te sprawy nie wchodzą w zakres naszych zainteresowań.
 - Masz cholerną rację, dupku.
 - Słucham?
 - Rozdzielamy się, Roman - powiedział nagle Cyrus i szybkim krokiem skierował się do drzwi. Cygan błyskawicznie znalazł się u jego boku, trzymając jedną rękę ukrytą za plecami. - Nie próbujcie nas śledzić, bo to nie miałoby żadnego sensu. W naszym fachu jesteśmy równie dobrymi specjalistami jak wy na scenie, możecie mi wierzyć. A co do pana, panie Sutton, to nie znam się na aktorstwie, ale wydaje mi się, że naprawdę jest pan jednym z najlepszych w tej dziedzinie, więc proponuję, żeby został pan tutaj i gadał z kolesiami, dopóki pan zechce... Przykro mi, ale zastosowaliśmy wobec was mały podstęp. Na pewno zastanawialiście się, dlaczego mój przyjaciel skacze wokół was jak piłka? Mogę wam to wyjaśnić. Otóż ten czerwony goździk w jego klapie kryje miniaturowy aparat fotograficzny zaopatrzony w film o dużej czułości. Dzięki temu dysponujemy co najmniej dziesięcioma zdjęciami każdego z was. Ja z kolei mam pod marynarką przenośne studio nagrań. Każde słowo, jakie padło w tym pokoju, zostało dokładnie zarejestrowane.
 - Zaraz, chwileczkę!... - wykrzyknął sir Henry.
 - O co chodzi? - Cyrus wyszarpnął z ukrytej pod pachą kabury ogromne magnum kaliber 0,357 cala, Roman Z. zaś wysunął zza pleców rękę, w której pojawił się nóż sprężynowy o ostrzu trzydziesto-centymetrowej długości.
 - O moje wynagrodzenie - wyjaśnił Sutton. - Niech Aaron wyśle posłańca do mojego mieszkania. Byłoby dobrze, gdyby dodał kilkaset dolarów więcej, ponieważ mam zamiar zaprosić przyjaciół do najlepszej restauracji w Bostonie.
 - Sir Henry... - zagadnął nieśmiało Sylvester, dotykając rękawem marynarki wielkiego człowieka. - Czy pan naprawdę przeszedł już na emeryturę?

- Połowicznie, drogi chłopcze. Czasem wystąpię tu albo ówdzie, żeby nie wyjść zupełnie z wprawy. Tak się złożyło, że w Bostonie mieszka mój syn z jednego z moich licznych małżeństw - niestety, nie pamiętam z którego. Powodzi mu się całkiem niezgorzej. Uparł się, żebym wziął sobie jeden z apartamentów, które wybudował w tym mieście. Postąpił jak należało, bo przecież za dawnych lat nie kto inny tylko ja właśnie przepychałem go przez różne uniwersytety, żeby teraz mógł wypisywać te wszystkie tytuły przed swoim nazwiskiem. Miły dzieciak, ale żaden z niego aktor, niestety. Przyznam, że stanowiło to dla mnie spore rozczarowanie.

- A co z wojskiem? Mógłby pan zostać naszym reżyserem! Na pewno od razu zrobiliby pana generałem!

- Pamiętajcie, młodzi przyjaciele, co powiedział Napoleon: „Dajcie mi dość medali, a wygram wam wojnę”. Z kolei dla aktora najważniejsze jest nazwisko i opromieniająca je sława. Działając z wami, nie mógłbym jej zdobyć, bo przecież występujecie *incognito*.

• A niech mnie! - szepnął Cyrus do Romana Z. - Zwijajmy się stąd, i to szybko!

Wyszli z pokoju, ale nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

23

Wszystko tu jest! - wykrzyknęła Jennifer, słuchając nagrania i przeglądając powiększone fotografie przy stoliku do kart w letniskowym domu w Swampscott w stanie Massachusetts. - rzeczywiście spisek, cholerny spisek, obejmujący najwyższe elity władzy!

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości - zgodził się Ai Pinkus ze swego fotela. - Ale w kogo konkretnie powinni uderzyć? Trop się urywa, a my nie wiemy, w którą stronę się zwrócić.

- A co z tym Brokemichaelem? - odezwał się Devereaux. - ten sam sukinsyn, którego przyłapałem w Żółtym Trójkącie...

- ...a następnie pomyliłem z jego kuzynem - uzupełniła Jennifer. - Kretyn.

- Zaczekaj, chwileczkę! Często spotykasz takie imiona, Ethelred i Heseltine? Oba są takie dziwne, że nie sposób ich nie pomylić.

- Być może, ale naprawdę dobry prawnik...

- Daj spokój, dziewczuszko! Nie potrafiłabyś nawet odróżnić ostrego przesłuchania od bezczelnej prowokacji!

- Czy moglibyście przestać? - poprosił zrozpaczony Pinkus.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jemu może chodzić o mnie wyjaśnił Sam. - Jezu, jeśli zobaczył moje nazwisko w papierach Hawkinsa, to chyba zaczął zionąć ogniem!

- Całkiem możliwe, zważywszy na fakt, że jesteś tam wymieniony jako adwokat plemienia Wopotami. - Aaron umilkł i przez zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonymi brwiami i głową 98

pochyloną na bok. - Jest również oczywiste, że Brokemichael nie mógł na własną rękę wprowadzić do akcji swojego niezwykłego oddziału, a już na pewno nie miał dostępu do Air Force II...

- Co oznacza, że otrzymał stosowne rozkazy od kogoś, kto dysponuje odpowiednimi uprawnieniami - dokończyła za niego Jennifer.

- Dokładnie, moja droga. I to jest właśnie w tym wszystkim najdziwniejsze. Brokemichael nie ujawni nazwiska swojego zwierzchnika, nawet gdyby mógł, bo, żeby zacytować naszego generała Hawkinsa, „łańcuch zależności służbowej jest z pewnością tak splątany, że nie uda się go rozwikłać” - a już na pewno nie w czasie, jaki mamy do dyspozycji, czyli w ciągu osiemdziesięciu kilku godzin.

- Mamy przecież dowody - zauważył Devereaux. - Zdjęcia, taśmę z nagraniem rozmową, podczas której dwaj uczestnicy operacji ujawniają jej ogólny zarys... Dlaczego nie mielibyśmy tego wykorzystać?

- Napięcie nerwowe osłabiło twoją zdolność logicznego myślenia - odparł łagodnie

Pinkus. - Nie możemy tego zrobić, ponieważ operację skonstruowano w taki sposób, by stanowiła zaprzeczenie samej siebie. Jak to ujął nasz przyjaciel Cyrus M., który bez wątpienia przebywa teraz na plaży w towarzystwie Romana Z. oraz jednej lub dwóch butelek wódki, „to sami wariaci”. Na tym właśnie polega dowcip, Sam: wariactwo, szaleństwo, idiotyzm, irracjonalność. Aktorzy.

- Zaraz, chwileczkę! Nie będą mogli zaprzeczyć istnieniu Air Force II. Jest na to odrobinę za duży.

« - On ma rację, panie Pinkus. Tylko ktoś bardzo wysoko postawiony mógł wydać zezwolenie na skorzystanie z tego samolotu.

- Dziękuję, Księżniczko.

- Oddaję sprawiedliwość każdemu, komu się ona należy. « •

• Rety, co za wstęp! ~- ;! , , ~

- Odczep się!

• Na Abrahama, wyzywam cię od tumanów, a sam jestem jeszcze gorszy! Masz całkowitą rację...

Właśnie, że jej nie ma - rozległ się donośny głos MacKenziego Hawkinsa, a w chwili potem otworzyły się drzwi prowadzące do kuchni i pojawił się w nich generał we własnej osobie, odziany jedynie w zielono-brązowe maskujące kalesony i bawełnianą koszulkę. - Proszę mi wybaczyć mój wygląd, młoda... to znaczy, panno Redbirci...

- Redwing, generale. - ; •>

99

- Podwójnie przepraszam, ale kiedy o trzeciej nad ranem słyszę jakieś hałasy w obozowisku, instynkt każe mi czołgać się czym prędzej w ciemnościach, żeby ustalić ich przyczynę, a nie stroić się jak na tańce do klubu oficerskiego.

- Ty tańczysz, Mac?

- Sprawdź w moich papierach, synu. Uczyłem moich podwładnych wszystkiego, od mazurka po walc wiedeński. Żołnierze zawsze byli najlepszymi tancerzami, gdyż muszą błyskawicznie zdobywać damy swojego serca. Na przepustce nie ma zbyt wiele czasu.

- Proszę cię, Sam, zajmijmy się pierwszą uwagą generała - powiedział Aaron błagalnym tonem. - Dlaczego mój znakomity pracownik ma nie mieć racji? Przecież Air Force II jest drugim co do ważności samolotem w kraju.

- Dlatego że z różnych, najczęściej kosmetycznych, względów może nim dysponować mnóstwo urzędów i agencji. Bez względu na to, kim jest dany VIP, jego sztab wykorzystuje każdą możliwość, żeby choć na chwilę wywlec go z cienia, na przykład podkreślając jego zasługi i chęć służenia innym pomocą. Pamiętasz, chłopcze, kiedy wylądowałem w Travis po powrocie z Pekinu, po tym sądzie, jaki mi zgotowali kitajce, i wygłosiłem przemówienie o „starych, zmęczonych żołnierzach”? Nawet wtedy musiałem wspomnieć o mojej dozgonnej wdzięczności dla pana wiceprezydenta za to, że wysłał po mnie swój służbowy samolot.

- Pamiętam, Mac. >••*

- A wiesz, gdzie wtedy był wiceprezydent?

- Nie mam pojęcia - odparł Devereaux.

- Zadekowany z jedną z moich żon, pijany jak mucha w butelce whisky i mniej więcej równie jak ona odległy od celu swoich pragnień.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ zorientowałem się, o co chodzi w tej aferze z chińskim sądem i chciałem się dowiedzieć, kto z Waszyngtonu maczał w tym palce. Posłałem moją dziewczynę, żeby to sprawdziła.

- Udało jej się? - zapytał z niedowierzaniem Pinkus.

- Oczywiście, komendancie. W rezultacie ten pokrętny krasomówca zwałił się na ziemię ze spodniami spuszczoneymi do kolan i zaczął błagać Ginny, żeby powiedziała mu, kim właściwie jestem. Dzięki temu wiedziałem już, jak wysoko na drabinie siedzi ten zimny drań, który złapał mnie za ogon i wywijał mną, jakbym był małym psiakiem,

100

a nie starym, zasłużonym żołnierzem. Właśnie wtedy postanowiłem inaczej pokierować swoim życiem i wciągnąłem cię do współpracy, Sam.

- Wolałbym, żebyś mi o tym nie przypominał... Chcesz powiedzieć, że Ginny uwiodła ówczesnego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych?

- Nie słuchałeś mnie, synu. Ta dziewczyna ma dobry gust. Jak mogłaby jej się spodobać taka tłusta, obmierzła gęba?

- Pozostawmy na razie wspomnienia w spokoju - poprosił Aaron, potrząsając głową, jakby chciał usunąć sprzed oczu jakieś niemiłe obrazy - Co pan właściwie miał na myśli, generale?

- Miałem na myśli to, komendancie, że w tej chwili dysponujemy możliwością wyprowadzenia kontrkontrnatarcia, które zneutralizuje kontruderzenie przeciwnika. Sprawa jest trochę śliska, ale myślę, że damy sobie radę.

- Mac, czy mógłbyś mówić po angielsku?

- Do diabła, chłopcze, ta metoda przyniosła wszędzie znakomite wyniki, od wybrzeża Normandii poczynając, na Saipanie kończąc! Tak samo byłoby w Pinchon i delcie Mekongu, gdyby tylko te cholerne, poobwieszane orderami sztabowe kukły nie rozpaplały wszystkiego swoimi kłapiącymi jadaczkami!

- Po a n g i e l s k u , Mac. *

- Dezinformacja, synu. Dezinformacja wprowadzona do łańcucha zależności służbowej nieprzyjaciela.

- Właśnie o tym mówiłem - ucieszył się Pinkus. - Znaczy się, o tym łańcuchu zależności służbowej...

- Wiem - potwierdził Jastrząb. - Słyszałem wszystko, co mówiliście przez ostatnie dwadzieścia minut, z wyjątkiem kilku chwil, kiedy musiałem pójść na plażę i zanieść pułkownikowi Cyrusowi jeszcze jedną butelkę wódki... Nie sądzicie, że ci aktorzy nieźle zależli mu za skórę?

- Co z tą dezinformacją, generale? - przypomniał mu Aaron.

- Jeszcze nie opracowałem wszystkich szczegółów, ale kierunek jest jasny i prosty jak bruzda wyżłobiona w świeżym śniegu: Brokey Bis.

- Co takiego?

- Kto to jest?

- Wydaje mi się, że wiem... - powiedziała powoli Jennifer. - Brokemichael, ale nie Heseltine z Biura do Spraw Indian, tylko ten z Fortu Benning. Ethelred. [!]>

101

- Młoda dama ma rację. Etheired Brokemichael jest chyba najgorszym absolwentem West Point w historii tej uczelni. Właściwie w ogóle nie powinien służyć w armii, ale taka była tradycja rodzinna. Najbardziej żalodne w tym wszystkim jest to, że w gruncie rzeczy Etheired przejawiał większe zdolności dowódcze niż Heseltine, ale miał pewną słabość: obejrzał zbyt wiele filmów, w których generałowie żyli jak królowie, i chciał im dorównać. Niestety, za generalską pensję nie da się wybudować nawet najskromniejszego pałacu.

- A więc miałem rację - zauważył Devereaux. - Dorabiał sobie w Złotym Trójkącie.

- Oczywiście, ale nie był żadną genialną grubą rybą. Pełnił funkcję jednego z wielu pośredników i nic więcej. Wszystko odbywało się jak w filmie: dostawał sterty prezentów i pieniędzy od ludzi, których nawet nie znał, ale którym wyświadczał pewne drobne przysługi.

- Zgarniał mnóstwo forsy.

- Sporo, ale na pewno nie mnóstwo, i nawet w jednej dziesiątej nie tyle, ile mogło ci się wydawać. Gdyby mu udowodniono, że było inaczej, wyleciałby z wojska na zbity pysk. W rzeczywistości jednak przeznaczał większość na sierocińce i obozy dla uchodźców. Wszystko jest czarno na białym, i to ocaliło mu skórę. Inni postępowali znacznie mniej szlachetnie.

- Co jednak nie może być żadnym usprawiedliwieniem - zauważył Pinkus.

- Chyba nie, ale kto z nas ma do czynienia wyłącznie z aniołami? - Jastrząb umilkł na chwilę i podszedł do okna wychodzącego na plażę. - Poza tym to już historia, a ja dobrze znam Brokeya. Nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania, bo znałem Heseltine'a jeszcze lepiej od niego, a oni dwaj z kolei nie bardzo się lubią, ale nie odwraca się do mnie plecami. Tym razem porozmawiamy poważnie i niech mnie nagły szlag trafi, jeśli nie dowiem się, kto stoi za tymi szachraj-stwami! Jeśli mi tego nie powie, rzucę go na pożarcie dziennikarzom, a wtedy już na pewno będzie mógł pożegnać się z mundurem.

- Nie uwzględnił pan kilku drobnostek, generale - wtrącił się Aaron. - Po pierwsze, kiedy okaże się, że Samobójcza Szóstka nie wykonała zadania, Brokemichael zostanie ukryty daleko poza pańskim czy czymkolwiek zasięgiem, a to dlatego, że za jego

pośrednictwem będzie można dotrzeć do osoby, która zezwoliła na lot Air Force II.

- Nic się nie okaże, komendancie - odparł Hawkins, odwracając

102

się od okna. - Przynajmniej nie przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, a ja jestem pewien, że zdoła pan zorganizować dla mnie jeszcze dziś rano przelot prywatnym samolotem do Fortu Benning.

- Dwadzieścia cztery godziny?! - wykrzyknęła Jennifer. - Nie może pan tego zagwarantować! Nawet jeśli ci aktorzy są szaleńcami, to musi pan pamiętać, że są też specjalistami w dziedzinie tajnych operacji!

- Panno Redwing, pozwoli pani, że coś jej wyjaśnię. Otóż moi adiutanci, Desi Pierwszy i Drugi, przez cały czas pozostają w kontakcie radiowym ze mną. W tej chwili sir Henry Sutton i tak zwana Samobójcza Szóstka opuszczają restaurację przy Darmouth Street, zdrowo napici i w znakomitych humorach. Moi adiutanci odwiozą ich nie do hotelu, ale do znanej nam chaty narciarskiej, gdzie będą mogli odzyskać nadwątlone siły. Kiedy już to się stanie, Desi Drugi, który jest nie tylko znakomitym mechanikiem, ale także, wedle słów Desiego Pierwszego, wyśmienitym kucharzem, uświetni ich posiłek sosem złożonym z pomidorów, tequili, ginu, brandy, czystego spirytusu oraz środka uspokajającego o trudnej do określenia, lecz z pewnością dużej mocy. Jeśli okaże się to potrzebne, będziemy mogli uzyskać nie jeden dzień, ale cały tydzień.

- Wydaje mi się, generale - odparła córka szczepu Wopotami - że nawet ludzie pozostający pod wpływem środków odurzających i alkoholu mogą znaleźć w sobie dość siły, żeby skorzystać z telefonu...

- Telefon nie działa. Podczas burzy piorun uderzył w słup i zerwał linię.

- Podczas jakiej burzy? - zainteresował się Aaron.

- Tej, która rozpęta się w chwilę po tym, jak zwałą się do łóżek i pograżą w pijackim śnie.

- Kiedy się obudzą, natychmiast wskoczą do samochodu i odjadą na pełnym gazie - zauważył Devereaux.

- Niestety, w wyniku jazdy po ciężkim terenie układ kierowniczy ulegnie awarii uniemożliwiającej korzystanie z samochodu.

- - Pomyśla, że zostali porwani i użyją przemocy!

- Owszem, takie niebezpieczeństwo istnieje, ale nie należy go przeceniać. D-Jeden wyjaśni im, że pan, komendancie, kierując się swoją głęboką mądrością, doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli cała paczka odeśpi nocne szaleństwa w pańskim domku w górach zamiast ryzykować zamieszanie i kłopoty w hotelu.

103

- Właśnie, a co z hotelem? - zapytał niepewnie Sam. - Założę się, że Brokemichael i spółka będą wydzwaniać tam co pięć minut, żeby dowiedzieć się o przebiegu operacji.

- Mały Józef już teraz dyżuruje przy telefonie.

- A co im powie, jeśli wolno zapytać? Cześć, jestem z Samobójczej Siódemki. Chłopców chwilowo nie ma, bo zalewają pały w knajpie?

- Wcale nie. Da jednoznacznie do zrozumienia, że jego wyłącznym zadaniem jest odbieranie wiadomości, ponieważ ci, którzy go wynajęli, są chwilowo zajęci gdzie indziej.

- Wygląda na to, że pomyślał pan o wszystkim - stwierdził Aaron kiwając głową. - Tylko pozazdrościć.

- Mam to już we krwi, komendancie. Taktyka wielokrotnych zabezpieczeń to zabawa dla dzieciaków.

Na twarzy Devereaux pojawił się złośliwy uśmiech.

- Nieprawda, Mac, jednak o czymś zapomniawsz. W dzisiejszych czasach wszystkie służbowe limuzyny są wyposażone w telefony.

- Słusznie, synu, tylko że Desi Pierwszy zajął się tym już kilka godzin temu.

- Nie mów mi, że urwał antenę. Chyba za bardzo rzucałoby się to w oczy, nie uważasz?

- Nie musiał tego robić. Hooksett w stanie New Hampshire znajduje się poza zasięgiem stacji przekaźnikowych. Desi Drugi przekonał się o tym na własnej skórze, bo dwie noce temu musiał jechać ponad dwadzieścia minut autostradą, żeby połączyć się z Pierwszym i powiedzieć mu, gdzie dokładnie znajduje się chata.

- Ma pan jeszcze jakieś wątpliwości, mecenasie? - zapytała Jennifer z przekąsem.

- Wydarzy się coś okropnego! - zaskrzeczał Sam nieswoim głosem. - Zawsze tak się dzieje, kiedy on wszystko dokładnie obmyśli.

Mały odrzutowiec mknął nad Appalachami, przygotowując się do lądowania w pobliżu Fortu Benning, a dokładnie rzecz biorąc na prywatnym lotnisku położonym dwadzieścia kilometrów na północ od bazy armii USA. Jedynym pasażerem samolotu był MacKenzie Hawkins, ubrany w niepozorny szary garnitur, z okularami w stalowych oprawkach na nosie i ciemnorudą peruką na głowie, znakomicie przystrzyżoną przez Erin Lafferty. Były generał przesiedział

104

przy telefonie w Swampscott niemal równe półtorej godziny - od czwartej do wpół do szóstej rano. Pierwszą rozmowę przeprowadził z Heseltine'em Brokemichael, który z entuzjazmem przyjął propozycję „pogonienia kota” znenawidzonemu kuzynowi Ethelredowi. Siedemnaście następnych rozmów zapewniło wstęp do bazy pewnemu dziennikarzowi publikującemu w poważnych pismach, który ostatnio specjalizował się w analizie możliwości dostosowania doktryny wojennej USA do sytuacji, jaka wytworzyła się w świecie po rozpadzie Związku Radzieckiego. O 8.00 generał brygady Ethelred Brokemichael, oficjalnie pełniący funkcję rzecznika prasowego bazy, został poinformowany przez rzecznika prasowego Pentagonu o spodziewanym przybyciu tego bardzo wpływowego dziennikarza. Brokemichael miał służyć mu jako przewodnik po skomplikowanym labiryncie ogromnej bazy. Dla Brokeya takie zadanie nie było niczym nowym, a w dodatku pozwalało mu doskonalić skromne umiejętności aktorskie - w jego mniemaniu, rzecz jasna, wcale nie takie skromne. O 10.00 Ethelred Brokemichael odłożył słuchawkę służbowego telefonu, poleciwszy sekretarce wprowadzić do jego gabinetu spodziewanego gościa, i przygotował się do odegrania znanej sobie doskonale roli.

Nie zdołał się natomiast przygotować - bo i w jaki sposób - na widok wysokiego, cokolwiek zgarbionego, rudowłosego mężczyzny w podeszłym wieku, w okularach na nosie, który wszedł nieśmiało do pokoju i zatrzymał się, by grzecznie podziękować sekretarce za to, że przytrzymała mu drzwi. Tego człowieka otaczała jakaś bliżej nie sprecyzowana, dziwnie znajoma aura, negująca wrażenie, jakie starał się stworzyć. Gdzieś z bardzo daleka dobiegł stłumiony odgłos gromu - usłyszał go tylko Brokey, ale nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Co takiego było w tym dziwnym starcu, który wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z filmu *Wielkie nadzieje*, w tym dużym, niezgrabnym, zakompleksionym rachmistrzu usiłującym uspokoić zdenerwowaną starą damę... A może to nie on, lecz ten wysoki facet w scenicznej wersji Nicholasa Nickleby?

- To bardzo miło z pańskiej strony, że zechciał pan poświęcić nieco swego cennego czasu, aby dopomóc mi w moich skromnych badaniach - powiedział dziennikarz cichym, choć może cokolwiek chrapliwym głosem.

- Na tym polega moja praca - odparł Brokemichael, obdarzając go uśmiechem, którego - w jego przekonaniu - nie powstydziliby się

105

Kirk Douglas. - Jesteśmy jedynie zbrojnymi sługami narodu i pragniemy tylko, by wszyscy jego członkowie wiedzieli o wkładzie, jaki wnosimy w ciężkie dzieło utrzymania pokoju w naszym kraju i na całym świecie... Proszę siadać.

- Cóż za głębokie, chwytające za serce stwierdzenie. - Rudowłosy dziennikarz usiadł w fotelu stojącym naprzeciwko biurka, wyjął notatnik i długopis i zapisał coś szybko. - Czy zgodzi się pan, że przytoczę jego słowa? Jeśli uważa pan, że tak będzie lepiej, powołam się jedynie na „dobrze poinformowane osoby”.

- Skądże znowu... To *znaczy*, może pan podać moje nazwisko. - I to ma być ten wpływowy pismak, przed którym rzecznik prasowy Pentagonu był gotów fikać koziołki? Przecież na pierwszy rzut oka widać, że to stuprocentowy cywil, trzęsący się ze strachu na widok munduru. - My w armii nie kryjemy się za anonimowymi źródłami, panie...

- Harrison, generale. Lex Harrison.

- R e x Harrison?

- Nie, Alexander Harrison. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice mówili na mnie Lex, więc potem tak właśnie podpisywałem swoje artykuły.

- Tak, oczywiście... Trochę się zdziwiłem, bo wydawało mi się, że powiedział pan Rex.

- Pan Harrison zawsze żartował sobie ze zbieżności naszych imion. Kiedyś zapytał, czy nie zamienilibyśmy się rolami - on napisałby jakiś artykuł, a ja zagrałbym Henry'ego Higginsa. Zdecydo-

wanie zbyt wcześnie zszedł z tego świata. To był uroczy człowiek.

? - Pan znał Rexa Harrisona?

- Dzięki wspólnym przyjaciołom...

- Mielście wspólnych przyjaciół?

- Kiedy jest się pisarzem lub aktorem, Nowy Jork i Los Angeles wydają się bardzo małymi miastami... ale moich wydawców nie interesują ani ja, ani moi kumple od kieliszka z „Polo Lounge”.

- Polo Lounge?...

- To knajpa, w której bywają wszyscy bogaci i znani ludzie., a także ci, którzy dopiero pragną nimi zostać... Wracając do moich wydawców: interesuje ich nasza armia oraz sposób, w jaki dostosowuje się ona do nowych czasów i stawianych przez nie wyzwań. Czy możemy zacząć wywiad?

106

- Tak Tak, oczywiście. Udzielę panu wszystkich potrzebnych informacji, tyle że... Zawsze bardzo interesowałem się teatrem i kinem, a nawet telewizją, więc...

- Moi grający i piszący przyjaciele na pierwszym miejscu wymieniliby telewizją, generale. Nazywają to „pieniędzmi na przetrwanie”. Nie wyżyje pan, występując wyłącznie na scenie, a filmów jest za mało i kręci się je zbyt długo.

- Tak, mówili mi o tym... nieważne kto. Teraz słyszę to jednak od człowieka, który naprawdę zna się na rzeczy!

- Nie zdradzam żadnych tajemnic, może mi pan wierzyć. Greg, Mitch i Michaeli potwierdzą to bez mrugnięcia okiem.

- Och, mój Boże... Naturalnie! - Nic dziwnego, że rzecznik Pentagonu robił w gacie przed tym dziennikarzem. Od razu widać, że siedzi w interesie od wielu lat i zna mnóstwo ludzi, których wojsko zawsze chciało przygarnąć do swoich reklamówek w telewizji. Jezu! Rex Harrison, Greg, Mitch, Michaeli... On zna wszystkich! - Ja też często bywam w... w L. A., panie Harrison. Może pewnego dnia spotkalibyśmy się... w „Polo Lounge”?...

- Czemu nie? Połowę życia spędzam tam, a połowę w Nowym Jorku, ale prawdę mówiąc, serce tego kraju bije na zachodnim wybrzeżu. Gdyby pan tam był, proszę walić prosto do „Polo Lounge” i powiedzieć Gusowi - to barman - że umówił się pan ze mną. Zawsze daję mu znać, kiedy zjawiam się w Beverly Hills. Dzięki temu wszyscy wiedzą, że jestem w mieście... Na przykład Paul, Newman *znaczy* się, Joannę, Peckowie, Mitchum, Caine, a nawet ci nowi, jak Selleck, Cruise, Meryl i Bruce... To porządni ludzie.

- Porządni?...

- No, wie pan, to *znaczy tacy*, z którymi miło jest spędzić czas...

- Ogromnie chciałbym ich poznać! - przerwał mu Brokemichael, wpatrując się w niego oczami przypominającymi dwa wielkie białe spodeczki z filiżankami wypełnionymi czarną kawą. - Jestem gotów lecieć tam w każdej chwili!

- Chwileczkę, generale - powiedział łagodnie dziennikarz. - To zawodowy, a nie wszyscy zawodowcy lubią towarzystwo amatorów

- Co pan ma na myśli?

- Cóż, samo zainteresowanie filmami, telewizją czy czymkolwiek nie oznacza jeszcze, że należy się do bractwa, o ile rozumie pan, co

107

chcę przez to powiedzieć. Do licha, każdy chciałby się spotkać z tymi twarzami - czasem mówią o sobie „twarze”, jakby to był jakiś obraźliwy epitet, choć tak naprawdę to są autentyczni ludzie, którzy pilnują swego terenu i nie lubią, kiedy włóczą się po nim hordy nieznamomych.

- Co to znaczy?

- Krótko mówiąc, generale, nie jest pan zawodowcem, lecz tylko fanem, a takich mogą spotkać na każdym rogu ulicy, ile tylko dusza zapagnie. Zawodowcy nie bratają się z

fanami, oni ich tylko tolerują... Czy teraz możemy już wrócić do wywiadu?

- Tak, tak, oczywiście! - wykrzyknął sfrustrowany Brokemi-chael. - Ja jednak myślę... To znaczy, jestem całkowicie pewien, że nie docenia pan mojego oddania tego rodzaju sztuce.

- Czyżby pańska matka była aktorką w teatrze wiejskim, a ojciec występował w przedstawieniach w szkole średniej?

- Niestety nie, choć matka bardzo chciała zostać aktorką, ale rodzice powiedzieli jej, że spotka ją za to wieczne potępienie, więc tylko zabawiała się naśladowaniem różnych ludzi... Mój ojciec z kolei był pułkownikiem, do cholery, zaszedłem wyżej niż ten sukinsyn!... Ja jednak odziedziczyłem zamiłowania po matce. Naprawdę uwielbiam teatr, dobre filmy i telewizję, a najbardziej właśnie stare filmy. Kiedy widzę coś naprawdę dobrego, czuję mrowienie na grzbiecie i ogromnie się wzruszam - płaczę, śmieję się, staję się jedną z postaci na scenie albo ekranie. To po prostu moje drugie życie!

- Obawiam się, że to raczej emocjonalna reakcja rozmarzonego amatora - odparł uprzejmie dziennikarz, ponownie koncentrując uwagę na notatniku.

- Naprawdę pan tak myśli?! - wykrzyknął zboląłym głosem Brokemichael. - W takim razie coś panu powiem... Możemy to zrobić nieoficjalnie, bez notatek, pozostawiając wszystko tylko między nami dwoma?

- Czemu nie? Przecież przyjechałem tu po to, żeby zdobyć ogólne rozeznanie w...

- *Zamilcz* pan! - szepnął Brokey. Wstał zza biurka, podkradł się do drzwi i przyłożył do nich ucho, jakby był postacią z *Operry za trzy grosze* Brechta. - Dowodzę najbardziej elitarną jednostką bojową złożoną z zawodowych aktorów, jaką zna historia naszej armii! Wyszkoliłem ich i pozwoliłem rozkwitnąć ich talentom, dzięki czemu

108

stali się znakomitym oddziałem antyterrorystycznym, który odnosi sukcesy wszędzie tam, gdzie inni ponieśli klęskę! A teraz pytam pana: czy to jest amatorszczyzna?!

- Generale, jeśli to są żołnierze przyuczeni do...

- Przecież mówię panu, że nie! - Szept Brokemichaela zamienił się w coś w rodzaju syku. - To są aktorzy, zawodowi aktorzy! Kiedy zaciągnęli się całą grupą do wojska, natychmiast dostrzegłem tkwiące w nich możliwości. Kto lepiej potrafi przeniknąć w szeregi nieprzyjaciela i unieszkodliwić w zarodku wroga przedsięwzięcie niż ludzie, których zawód polega na wcielaniu się w role innych ludzi? A kto lepiej może stworzyć wrażenie całkowitej spontaniczności niż grupa aktorów znających doskonale siebie nawzajem i swoje możliwości? Oni zostali stworzeni do tego, żeby uczestniczyć w tajnych operacjach, a ja im to umożliwiłem, panie Harrison!

Dziennikarz zareagował jak człowiek, rozumiejący już, że musi się zgodzić z rozmówcą w sprawie, o której jeszcze niedawno sądził, że jest nieodwołalnie rozstrzygnięta na jego korzyść.

- A niech mnie, generale... To naprawdę niezły pomysł! Właściwie można powiedzieć, że wręcz znakomity!

- I nie ma wiele wspólnego z amatorstwem, prawda? Obecnie wszyscy chcą korzystać z ich usług. Nawet teraz, dokładnie w tej chwili, wykonują zadanie zlecone przez jednego z najpotężniejszych ludzi w tym kraju.

- Doprawdy? - Mężczyzna, który przedstawił się jako Harrison, zmarśłużył lekko brwi, a na jego twarzy pojawił się cyniczny uśmiech. Wynika z tego, że nie będę mógł ich poznać, a ponieważ to jest prywatna rozmowa, zapewne nie życzy pan sobie także, żebym o nich napisał?

- Mój Boże, w żadnym wypadku! Ani słowa na ich temat!

- W takim razie będę z panem szczery, generale. W tej sprawie jest pan dla mnie jedynym źródłem informacji i nawet gdybym chciał o tym napisać, to żaden wydawca nie zgodziłby się zamieścić materiału opartego na wiadomościach pochodzących z jednego, nie potwierzonego źródła natomiast moi przyjaciele z „*Polo Lounge*” uśmialiby się do rozpuku, po czym powiedzieliby mi, że gdyby ta historia była prawdziwa można by zrobić z niej znakomity scenariusz.

- Ona jest prawdziwa!

- Czy może pan przedstawić mi kogoś, kto ją potwierdzi?

- Ja... To znaczy... Nie, nie mogę!

- Wielka szkoda. Gdyby była w niej choć odrobina prawdy, przypuszczalnie udałoby się panu sprzedać pomysł za paręset tysięcy dolarów, a gdyby dysponował pan czymś, co nazywają ogólnym scenopisem, cena prawdopodobnie wzrosłaby do pół miliona. Stałby się pan ulubieńcem Hollywoodu.

- Mój Boże, to prawda! Proszę mi uwierzyć!

- Ja mogę panu uwierzyć, ale moja wiara nie będzie warta nawet jednego drinka w „Polo Lounge”. Przy tego rodzaju sprawach trzeba czegoś więcej, a mianowicie wiarygodności... Wydaje mi się, generale, że naprawdę powinniśmy już wrócić do naszego wywiadu...

- Nie! Znalazłem się zbyt blisko urzeczywistnienia moich marzeń!... Paul i Joannę, Greg, Mitch i Michael - sami porządni ludzie!

- Rzeczywiście, tacy właśnie są.

- Musi mi pan uwierzyć!

- Jak mam to zrobić? - zadudnił dziennikarz. - Przecież nie mogę zapisać ani jednego słowa!

- W takim razie niech pan posłucha! - wykrzyknął Brokey. Oczy płonęły mu gorączką, a po twarzy ściekały strużki potu. - W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin mój oddział unieszkodliwi najgroźniejszych nieprzyjaciół, jakim kiedykolwiek musiała stawić czoło nasza ojczyzna!

- To cholernie poważne stwierdzenie, generale. Ma pan coś, czym mógłby je pan poprzeć?

- A czy istnieje coś pośredniego między tajnym a jawnym?

- Zdaje się, że jest coś takiego jak „możliwość częściowego odtajnienia *post factum*”, co oznacza, że wiadomość może zostać wydrukowana dopiero wtedy, kiedy dane wydarzenie nastąpiło, ale i tak musi zostać poddana maskującemu retuszowi.

- Co to znaczy

- -- Żadnych nazwisk ani źródeł. i - Biorę!

- I dostaniesz... - mruknął pod nosem dziennikarz. , - Słucham? - - Nic takiego. Proszę mówić, generale.

- Oddział znajduje się obecnie w Bostonie - powiedział Breke-michael prawie nie poruszając ustami. • ?

- To miło. ! ;

110

- Czytał pan ostatnio gazety lub oglądał telewizję? - zapytał generał w taki sam sposób.

- Tego nie da się uniknąć.

- Słyszał pan albo czytał o komitecie Nagrody Nobla, który przyleciał do Bostonu samolotem wiceprezydenta? Dziennikarz zmarszczył czoło z zastanowieniem.

- Wydaje mi się, że tak... Było tam coś o wystąpieniu w Harwar-dzie i przyznaniu jakiejś nagród} generałowi czy komuś tam... Żołnierz Dekady albo coś w tym rodzaju. Oglądałem to w wiadomościach.

- Nieźle wyglądali, nie uważa pan?

- Cóż, należało się tego spodziewać po ludziach reprezentujących Fundację Nobla.

- A więc zgodzi się pan, że to grupa znakomitych uczonych i historyków wojskowości?

- Naturalnie. Ci chłopcy od Nagrody Nobla nie zadają się z byle kim. A co to wszystko ma wspólnego z pańskim... aktorskim oddziałem antyterrorystycznym?

- To właśnie oni!

- Kto taki?

- Komitet Nagrody Nobla! To moi ludzie, moi aktorzy!

- Generale, to co w tej chwili powiem, zostanie wyłączone między nami: czy dziś rano zaglądał pan do kieliszka? Nie jestem jakimś młodym dziennikarzyną, któremu można wcisnąć każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną historię. Podobnie jak moi przyjaciele z „Polo Lounge” bywałem już na wozie i pod wozem, czasem z pięcioma centami w kieszeni, i...

- Mówię panu prawdę! - zaskowyczał Brokemichael. Żyły na jego szyi nabrzmiały tak bardzo, iż można było odnieść wrażenie, że lada chwila pękną. - I nigdy w życiu nie wypilem kropli alkoholu przed otwarciem klubu oficerskiego, to znaczy przed południem. Ten cały komitet Nagrody Nobla to mój oddział od zadań specjalnych, moi aktorzy!

- Może będzie lepiej, jeśli przesuniemy naszą rozmowę na inny termin...
- Udowodnię to panu! - Dowódca Samobójczej Szóstki podbiegł do stojącej w kącie pokoju szafy, wyszarpnął jedną z szuflad i wydobył z niej kilka plików papierów w plastikowych okładkach spiętych metalowymi klamerkami. Następnie cisnął je na biurko, tak że niektóre

111

się otworzyły, a z innych powypadały liczne fotografie. - Oto oni! Prowadzimy rejestr kolejnych wcieleń, żeby przypadkiem nie powtórzyć któregoś z nich. Oto najnowsze zdjęcia: włosy, krótko przystryżone bródki, okulary, brwi... To właśnie ludzie, których widział pan w telewizji podczas konferencji prasowej na lotnisku Logana. Proszę patrzeć!

- Niech mnie licho... - wykrztusił dziennikarz, zrywając się z fotela i wpatrując w lśniące zdjęcia formatu piętnaście na dwadzieścia pięć centymetrów. - Zaczynam wierzyć, że może pan mieć rację.

- Oczywiście, że mam! Oto Samobójcza Szóstka, moje dzieło!

- Ale dlaczego są w Bostonie?

- Wykonują zadanie o najwyższym stopniu tajności.

- Cóż, generale... Mówię to z prawdziwą przykrością, ale na razie pokazał mi pan kilka interesujących zdjęć, które jednak bez odpowiednich wyjaśnień pozostaną zupełnie bezwartościowe. Proszę pamiętać, że obowiązuje nas procedura „częściowe odtajnienie *post factum*”, więc może mi pan śmiało wszystko powiedzieć.

- Nie wymieni pan mojego nazwiska nikomu oprócz pańskich przyjaciół z „Polo Lounge”, których o k r o p n i e chciałbym poznać?

- Daję panu słowo dziennikarza - odparł uroczyście człowiek podający się za Alexandra Harrisona.

- W takim razie... Ten generał, o którym pan wspomniał - był generał, otoczony powszechną pogardą - jest zdrajcą ojczyzny. Nie będę wdawał się w szczegóły, ale powiem tylko, że jeśli uda mu się zrealizować jego plan, nasz kraj utraci zdolność natychmiastowej reakcji na uderzenie przeciwnika.

- Kim on jest? Żołnierzem czegoś tam?

- Żołnierzem Stulecia, ale to tylko zasłona dymna, a ściśle rzecz biorąc przynęta, którą wyłożyliśmy, żeby go pojmać. Moi ludzie, moi aktorzy, zajmują się tym właśnie w tej chwili!

- Ogromnie mi przykro to słyszeć, generale. Naprawdę, ogromnie mi przykro.

- Dlaczego? Przecież to czubek.

- Słucham?

- Wariat, człowiek niespełna rozumu... :!

- Skoro tak, to dlaczego jest tak cholernie ważny?

- Ponieważ wspólnie z pewnym przestępcą, prawnikiem z Harvardu - bardziej przestępcą niż prawnikiem, może mi pan wierzyć,

112

bo miałem z nim kiedyś do czynienia - uknuli gigantyczny spisek przeciwko naszemu znakomitemu rządowi. Spisek ten, jeśli się powiedzie, może nas kosztować - a szczególnie Pentagon - więcej milionów, niż zdołalibyśmy wyciągnąć z Kongresu przez najbliższe sto lat!

- Co to za spisek?

- Nie znam szczegółów, tylko ogólny zarys, ale i tak krew *zamarza* mi w żyłach, kiedy tylko o tym pomyślę... Zupełnie jak na *Potworze z Gór Skalistych*. Widział pan ten film?

- Niestety nie - warknął dziennikarz, nawet nie zadając sobie trudu, żeby ukryć niechęć do swego rozmówcy. Jednak Brokey nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. - Kim jest ten generał? - wycodził człowiek podający się za Harrisona.

- Pewien świrnięty sukinsyn nazwiskiem Hawkins. Zawsze były z nim same kłopoty.

- Pamiętam to nazwisko. Czy on przypadkiem nie dostał dwa razy Medalu za Odwagę?

- To także świadczy o tym, że nie jest zupełnie normalny. Osiemdziesiąt procent

ludzi uhonorowanych tym medalem otrzymuje go pośmiertnie. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało mu się przeżyć.

- Aaaaagh! - ryknął dziennikarz. Dziki ogień zapłonął teraz w jego oczach. - Jak to się stało, że ci przebierańcy polecili do Bostonu samolotem wiceprezydenta? - zapytał, z najwyższym trudem narzucając sobie spokój.

- Samolot miał stanowić odpowiednią oprawę konferencji prasowej. Trudno go nie zauważyć.

- Trudno też wypożyczyć go u Hertza. Nikt nie ma do niego dostępu.

- Z wyjątkiem pewnych osób...

- Rzeczywiście, wspomniał pan o jakiejś grubej rybie... „Jeden z najpotężniejszych ludzi w kraju”, tak pan chyba powiedział. Bardzo wysoki rangą, proszę mi wierzyć. To ściśle tajne.

- Taka ściśle tajna informacja wywarłaby wielkie wrażenie na moich przyjaciółach z Hollywoodu. Przypuszczam, że natychmiast ściągnęliby pana do L. A. na kilka spotkań - z zachowaniem daleko posuniętej dyskrecji, ma się rozumieć.

- Spotkań?

Oni patrzą daleko w przód, generale. Muszą to robić. Każdy

113

film zaczyna się od pomysłu, którego realizacja trwa często nawet kilka lat. Mój Boże, wszystkie gwiazdy przemysłu filmowego czołgałyby się u pańskich stóp. Musiałby pan spotkać się z nimi w sprawie obsady głównych ról.

- Spotkać się z nimi... wszystkimi?

- Jasne, ale to raczej wykluczone, ponieważ nie chce mi pan powiedzieć, kim jest ta gruba ryba. Później byle głupiec będzie mógł ujawnić jego nazwisko, i zapewne to zrobi. Ma pan jedyną i niepowtarzalną okazję, żeby zdobyć przewagę. Po fakcie nikt nie zwróci na pana uwagi... No, ale cóż, takie jest życie. Przejdźmy do wywiadu, generale. Niedawne cięcia w budżecie obronnym z pewnością spowodują konieczność redukcji personelu, co z kolei może doprowadzić do obniżenia morale armii...

- Zaraz, chwileczkę! - Bliski apopleksji Brokey przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem, spoglądając na rozrzucone na biurku zdjęcia swojego wspaniałego osiągnięcia i jednocześnie obsesji. - Rzeczywiście, kiedy sprawa wyjdzie na jaw - a pewnego dnia na pewno wyjdzie - nikt nie zwróci na mnie uwagi i lada dureń będzie mógł przypisać sobie moje zasługi. Nakręcą film, a o mnie nie zająkną się nawet słowem! Pewnie będę musiał zapłacić pięćdziesiąt dolarów, żeby dostać się do kina i zobaczyć, co zrobiono z moim arcydziełem... Boże, to okropne!

- Takie jest życie, jak śpiewają w piosence - odparł dziennikarz z długopisem zawieszonym nad notatnikiem. - Słyszałem, że Francis Albert rozgląda się za jakąś dobrą rolą charakterystyczną. Niewykluczone, że zagra właśnie pana.

- Francis Albert?...

- Frank Sinatra, ma się rozumieć.

- Nie! - ryknął zrozpaczony generał. - Ja to wszystko zrobiłem i nikt nie ma prawa się do tego mieszać!

- To *znaczy* co konkretnie?

- Dobrze, powiem panu. - Po czole Brokemichaela spływały grube krople potu. - Później na pewno mi za to podziękuje, może załatwi awans, a nawet jeśli tego nie robi, to przynajmniej będzie musiał zapłacić cholerne pięćdziesiąt dolarów, żeby obejrzeć ten film, mój film!

- Nie rozumiem, o kim pan mówi, generale.

- O sekretarzu stanu! - szepnął Brokey. - To dla niego pracuje

114

w Bostonie moja Samobójcza Szóstka. Wczoraj zjawił się tu *incognito* z fałszywymi dokumentami w kieszeni!

- Bingo! - wrzasnął Jastrząb, wyskakując jak sprężyna z fotela zrywając z głowy rudą perukę. - Mam cię, kutafonie! - darł się, gwałtownie szarpiąc krawat i ściągając z nosa okulary w stalowej oprawie. Co słyhać, stary jełopie, ty nędzny sukinsynu?!

Ethelred Brokemichael oniemiał i doznał częściowego paraliżu. Dopiero po dłuższej chwili z jego rozdziawionych ust, zajmujących większą część przeraźliwie wykrzywionej twarzy, wydobyły się jakieś dziwne pochrząkiwania połączone ze zduszonym

popiskiwaniam.

- Gggggh... Agrrrr... liiiiep!

- Czy tak wita się starego kolegę, nawet jeśli jest niepoczytalnym wariatem i nie zasłużył sobie na żaden z dwóch Medalów za Odwagę?

- Aiiii!... liiiiaj!

- Ach, zapomniałem: jest także zdrajcą, mąciwodą i nie wiadomo w jaki sposób uchwycił się przy życiu - prawdopodobnie dekowal się gdzieś w okopach, a walczyli za niego inni. *

- NaaaahL. Burglp!

- Czy mógłbyś się wyrażać trochę jaśniej, ty karaluchu?!

- Mac, przestań! - zaskrzeczał Brokey, odzyskawszy wreszcie mowę. Nawet nie masz pojęcia, przez co ostatnio przeszedłem... Rozwód - ta suka puściła mnie z torbami - walka z Waszyngtonem o fundusze, utrzymywanie oddziału w dobrej formie... Boże, muszę im organizować otwarte próby z udziałem publiczności, więc upycham w sali rekrutów, którzy nie rozumieją ani słowa z tego, co tamci mówią, i w efekcie palą trawkę albo opowiadają sobie dowcipy. Mac, ja po prostu staram się przeżyć! Co ty byś zrobił na moim miejscu? - Powiedział sekretarzowi stanu, żeby kazał się wypchać?

- Przypuszczam, że tak.

- Widocznie nigdy nie musiałeś płacić alimentów.

- Oczywiście, że nie. Nauczyłem moje żony, jak mają się troszczyć same o siebie. Okazały się bardzo pojętymi uczennicami i znakomicie sobie radzą.

• Nigdy nie zrozumieję, jak to możliwe.

• Sprawa jest bardzo prosta: troszczyłem się o nie i usiłowałem pomóc im stać się lepszymi. Ty nigdy o nikogo się nie troszczyłeś i nikomu nie starałeś się pomóc.

Dobra, nieważne... Posłuchaj, Mac, ten zezowaty Pease narobił

115

wokół ciebie nielicznego zamieszania, a kiedy jeszcze wspomniał, że jest z tobą ten cholerny Devereaux, dosłownie świece stanęły mi w oczach.

- To wielka szkoda, Brokey, ponieważ właśnie „ten cholerny Devereaux” namówił mnie, żebym tu przyjechał i pomógł ci wykaraskać się z najgłębszego gówna, jakie kiedykolwiek widziałeś w latrynie.

- Jak to?

- Nadszedł czas, żebyś okazał nieco miłosierdzia, generale. Sam Devereaux zdaje sobie sprawę, że trochę przesadził, formułując akt oskarżenia przeciwko tobie, i teraz chce naprawić dawne błędy. Czy naprawdę sądzisz, że pchałbym się w sam środek obozu przeciwnika, gdyby nie jego ośli upór?

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Wrobili cię, Brokey. Sam odkrył to i kazał mi natychmiast przylecieć tu, żeby cię ostrzec. z

- Co takiego? Jak to?

- Ten pozew, który złożono przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych, sam w sobie nie jest niczym nadzwyczajnym - przez cały czas ktoś kogoś oskarża i świat nie kończy się z tego powodu - ale dla Warrena Pease'a to jest prawdziwa zdra w dupie. Chce jak najprędzej ukreść sprawę łeb, więc angażuje ciebie i twój oddział, żebyście wykonali za niego brudną robotę. Wmawia wam, że chodzi o sprawę mającą pierwszorzędne znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego, ale kiedy zrobicie swoje, natychmiast zapomni o waszym istnieniu. Pozew nie zostanie rozpatrzony, ponieważ powodowie nie stawiają się w sądzie, ktoś natychmiast zaprotestuje, zacznie się dochodzenie, a wszystkie ślady będą prowadziły do Samobójczej Szóstki... i do ciebie. Do generała, który już raz w Złotym Trójkacie z trudem uniknął sądu wojennego. Jesteś już martwy, Brokey.

- Cholera! Może powinienem ich odwołać?

- Na twoim miejscu sporządziłbym również służbową notatkę - najlepiej z wczorajszą datą - w której stwierdzisz wyraźnie, że po namyśle wycofałeś swój oddział, ponieważ doszedłeś do wniosku, że zadanie, jakie wam wyznaczono, przekracza konstytucyjne uprawnienia sił zbrojnych. Jeżeli Kongres rozpocznie dochodzenie, niech powiesz Pease'a, nie ciebie.

- Do licha, tak właśnie zrobię!... Mac, skąd tyle wiesz o „Poło Lounge” i o tych wszystkich rzeczach, o których mi mówiłeś?

- Zapomniałeś, przyjacielu, że nakręcono o mnie film. Przez

dziesięć zwariowanych tygodni byłem tam konsultantem, a to dzięki jakimś kutasinom z Pentagonu, którzy myśleli, że dzięki temu zwiększy się nabór do armii.

- Nic im z tego nie wyszło, wszyscy o tym wiedzą. To był najgorszy knot, jaki w życiu widziałem, a przecież znam się trochę na tym. Naprawdę okropny i choć serdecznie cię nienawidziłem, to było mi ciebie cholernie żal.

- Mnie też się nie podobał, ale przynajmniej miałem rekompensatę w postaci tych dziesięciu tygodni... Odwołaj swoich ludzi, Brokey. Paru niemiłych facetów prowadzi cię na smyczy prosto w przepaść.

- Zrobię to, tylko muszę znaleźć jakiś sposób.

- Wystarczy, jeśli podniesiesz słuchawkę i wydasz rozkaz.

- To nie takie proste, Mac. Mój Boże, sprzeciwię się sekretarzowi stanu! Może będzie lepiej, jeśli pójdę na zwolnienie...

- Pękasz, Brokey?

- Na litość boską, muszę się zastanowić!

- Skoro tak, to ja w tym czasie zastanowię się nad tym... - Jastrząb rozpiął marynarkę, odsłaniając przypasany do piersi magnetofon - To pomysł pewnego pułkownika, którego niedawno awansowałem do tego stopnia. Każde słowo, które padło w tym pokoju, zostało nagrane.

- Jesteś cholernym draniem, Mac!

- Daj spokój, generale. Obaj jesteśmy steranymi weteranami, a ja też staram się jakoś przeżyć, podobnie jak ty... Jak to się mówi? „Nawet jeśli uciekniesz przed diabłem, to i tak prędzej czy później utoniesz”.

- Pierwsze słyszę.

- Ja też, ale to dobre powiedzenie, nie uważasz?

24

Vincent Mangecavallo przeszedł przez wyłożony białym marmurem salon w apartamencie w Miami Beach na Florydzie, zmierzając ku małej salce gimnastycznej. Po raz któryś z rzędu skrzywił się na widok wszechobecnych różowych mebli. Wszystko było różowe: krzesła, kanapy, lampy, dywany, a nawet wielki żyrandol, składający się z mnóstwa muszelek, który wyglądał tak, jakby miał zamiar lada chwila spaść z hukiem na czyjąś głowę. Vinnie nie był dekoratorem wnętrz, ale powtarzane w nieskończoność połączenia bieli i różu podsunęły mu graniczące z pewnością podejrzenie, że słynny architekt zaangażowany przez jego kuzyna Ruggio jest także wielkim miłośnikiem baletu.

- To wcale nie jest różowe, Vin - powiedział mu Ruge dwa dni temu przez telefon. - To kolor brzoskwiniowy, tyle tylko, że mówi się na niego *peche*.

- Dlaczego?

- Dlatego że różowy jest tani, brzoskwiniowy droższy, a za *peche* płaci się tyle, że mózg staje. Ja tam nie widzę żadnej różnicy i myślę, że Rosę też jej nie widzi, ale przynajmniej jest zadowolona, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Patrząc na to, jak żyjesz, *cugino*, podejrzewam, że twoja żona jest zawsze zadowolona. Tak czy inaczej, jestem ci bardzo wdzięczny, że pozwoliłeś mi skorzystać z tego mieszkania.

- Korzystaj sobie, ile tylko chcesz, Vin. Na pewno nie przyjedziemy tam wcześniej niż za miesiąc, a do tego czasu już dawno będziesz

z powrotem wśród żywych. Mamy teraz trochę kłopotów z rodziną z El Paso... Musisz koniecznie zobaczyć salkę gimnastyczną i saunę.

- Właśnie mam zamiar tam iść, jak tylko odłożę słuchawkę. Jsfawet założyłem na siebie jakiś cholerny różowy szlafrok.

- Różowe są dla dziewcząt. W salce znajdziesz parę niebieskich.
- A co to za problemy z chłopcami z El Paso? - zapytał Vincent.
- Chcą przejąć kontrolę nad całym handlem skórzanymi siodłami, co *oznacza* nie tylko pokazowe farmy dla turystów w Nowym Jorku i Pensylwanii, ale też kluby jeździeckie w zachodnim New Jersey i Nowej Anglii.
- Z całym szacunkiem, Ruge, konie kojarzą się z Dzikim Zachodem, więc może siodła też powinny być robione na zachodzie?
- Pieprzenie, Vin. Większość sodeł robi się w Brooklynie i Bronksie. Daj tym wieśniakom palce, to od razu będą chcieli całą rękę, a na to nie możemy pozwolić.
- Rozumiem Przysięgam na grób mojej matki, że nigdy nie ośmieliłbym się wchodzić ci w drogę.
- Przecież twoja matka żyje! Mieszka w Lauderdale. . . . ^
- To tylko taka figura retoryczna, kuzynie.
- Wiesz co, Vin? Jutro idę na twój pogrzeb! Niezłe, co?
- Będziesz przemawiał?
- Nie, przecież nie jestem żadną szyczą. Ale podobno **kardynał** ma powiedzieć parę słów. Sam kardynał, Vinnie!
- Nie znam go.
- Zadzwoiła twoja matka, wyplakała mu się przez telefon i walnęła sporo grosza na tacę.
- Walnie jeszcze więcej, kiedy zmartwychwstanę... Jeszcze raz wielkie dzięki za chatę, *cugino*.

Mangecavallo przystanął pod żyrandolem z różowych muszelek, przypomniawszy sobie rozmowę, jaką przeprowadził z Ruggiem przed dwoma dniami. Podobnie jak wtedy teraz także szedł do małej, ale znakomicie wyposażonej sali gimnastycznej, nie zamierzając jednak nawet dotknąć żadnego z nowych przyrządów. Nagłe wspomnienie tamtej rozmowy, wywołane widokiem wnętrza przypominającego wielkanocną pisanekę, sprawiło, że Vincent uświadomił sobie, iż nadszedł już czas, by zadzwonić do kogoś innego. Perspektywa tej rozmowy nie napawała go zbyt radością, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że musi ją przeprowadzić. Poza tym istniała szansa, że

119

informacja, którą w jej trakcie uzyska, uczyni go równie szczęśliwym jak człowieka, który przypadkiem rozbił bank w kasynie w Las Vegas. Istniało jednak pewne niebezpieczeństwo; fakt, że on, Mangecavallo, nie tylko żyje, ale ma się znakomicie i pociąga za sznurki, wprawiając w ruch nie podejrzewające niczego marionetki, był znany jedynie bardzo ograniczonemu gronu osób, a mianowicie kilku fachowcom z Wall Street pozostającym pod kontrolą Miecha, który w razie czego błyskawicznie pośle ich w cementowych butach na dno kanału, gdzie nie ujrzą ani centa z wielkich pieniędzy, na jakie ostrzą sobie zęby, oraz kuzynowi Ruggio. Ruge został dopuszczony do tajemnicy jedynie z konieczności, ponieważ Vincent \ potrzebował prywatnej rezydencji, w której mógłby się bezpiecznie ukryć aż do chwili, kiedy Smythington-Fontini zawiezie go samolotem na miejsce jego cudownego odnalezienia w archipelagu Suchej Tortugas.

Abul Khaki nie znajdował się na tej ekskluzywnej liście i nigdy by na nią nie trafił, gdyby nie konieczność nieco innego rodzaju. W świecie międzynarodowej finansjery Abul był rekinem równie wielkim jak Iwan Salamander; groźniejszym - albo bardziej predysponowanym do odnoszenia sukcesów, zależnie od punktu widzenia - czynił go fakt, że nie był obywatelem Stanów Zjednoczonych i miał więcej firm zarejestrowanych na Bahamach i Kajmanach niż w przeszłości najlepsi piraci kufrów ze skarbami zakopanych na Wyspach Karaibskich. Oprócz tego, ponieważ Khaki był Arabem pochodzącym z jednego z tych szejkanatów, którym Waszyngton zawsze starał się za wszelką cenę podlizać, dysponował pewną wiedzą, dzięki której mógł liczyć na daleko posuniętą pobłażliwość, graniczącą wręcz chwilami z nietykalnością, a w dodatku znał ludzi gotowych wymienić trzy tysiące pocisków ziemia-powietrze i Biblię króla Jakuba za trzech skazańców i prostytutkę z Damaszku. Jeśli kiedykolwiek istniało coś takiego jak chodzący immunitet, to Abul Khaki stanowił jego najnowszą wersję.

Kiedy Mangecavallo dowiedział się o tych jego ogromnych zaletach, wszedł z Arabem w układ przynoszący im obu znaczne korzyści. Khaki dysponował wieloma statkami handlowymi, w tym także tankowcami, które często przewoziły coś więcej niż tylko

ropę. Po kilku nieprzyjemnych scysjach z celnikami Vinnie dał mu do zrozumienia, że on i jego przyjaciele mają znaczne wpływy w portach „od

120

Jorku do Nowego Orleanu i między tymi miastami, panie Cocky".

- Khaki, panie Mangecuvulo. •»

- Mangeca- alio.

- Jestem pewien, że szybko nauczymy się naszych nazwisk.

Tak też się stało. Współpraca przebiegała bez zarzutu, a o tym, że odbywała się z korzyścią dla obu stron, świadczyły pewne finansowe usługi, jakie Khaki robił, nowemu przyjacielowi Vincentowi. Kiedy donowie z trzech sąsiadujących stanów i z Palermo postanowili, że Mangecavallo powinien zostać dyrektorem CIA, Vinnie natychmiast udał się do Khakiego.

- Mam kłopot, Abul. Donowie mają śmiałe plany, i to jest dobre, ale zupełnie nie zwracają uwagi na szczegóły, i to jest bardzo złe.

- Na czym polega twój kłopot, przyjacielu o wzroku i szybkości pustynnego sokoła... Choć, szczerze mówiąc, nigdy nie byłem na pustyni. Podobno panuje tam straszny upał.

- Właśnie to jest ten problem, brachu. Upał... Mam w całym kraju sporo kont pootwieranych na fałszywe nazwiska, a na nich całkiem niezłą kupkę szmalu. Jak dostanę tę robotę w Waszyngtonie, a na pewno ją dostanę, nie będę mógł pętać się po trzydziestu ośmiu stanach, żeby \\ \ mieć trochę gotówki, której istnienie, nawiasem mówiąc, chciałbym utrzymać w tajemnicy.

- Całkowitej, jak się domyślam.

- To się wie. ;

- Masz książeczki czekowe?

Vinnie pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Wszystkie cztery tysiące dwieście dwanaście.

- Ach, jedno spojrzenie wielbłąda zawiera więcej treści, niż można by wywnioskować z burczenia jego wszystkich żołądków...

- Coś w tym rodzaju, jak mi się wydaje.

- Czy ufasz mi, Vincent?

- Jasne, bo muszę. Dokładnie tak samo jak ty mnie, *capiscel*

- Oczywiście. Ogon psa Beduina kiwa się ze szczęścia, że ocalał... Widział; . kiedyś Beduina? Zresztą, nieważne. Możesz mi wierzyć, że kiedy zbiorą się na targu, smród jest wprost nie do wytrzymania.

- A więc, co będzie z moimi kontami?

- Wypisz na kilkunastu czekach pełne sumy, jakie masz na

121

danych rachunkach, i zaznacz, że likwidujesz konto. Mam wśród swoich ludzi prawdziwego artystę, człowieka o niesłychanych zdolnościach, który potrafi podrobić podpis każdej osoby, żyjącej lub martwej i czynił to już wielokrotnie, osiągając w ten sposób znaczne profity. Zajmę się osobiście twoimi pieniędzmi, korzystając z nieograniczonego pełnomocnictwa, choć dla niepoznaki posłużę się kilkoma najbardziej poważanymi firmami na Manhattanie.

- W s z y s t k i m i pieniędzmi?

- Nie bądź śmieszny. Tylko taką ich częścią, którą może posiadać dobrze prosperujący przedsiębiorca. Reszta zostanie w ukryciu, ale zapewniam cię, że nie poniesiesz najmniejszych strat.

Abul Khaki został nieoficjalnym osobistym księgowym Vincenta, *zarządzając* prawie czterema milionami dolarów funkcjonującymi oficjalnie na rynku oraz mniej więcej siedmiokrotnie większą sumą ulokowaną w zagranicznych firmach. Jednak do tego, by teraz zwrócić się do Abula, nie skłoniła Mangecavalla ani przyjaźń zbudowana na wzajemnych korzyściach, ani świadczone sobie nawzajem usługi. Chodziło po prostu o to, że spośród wszystkich osób znanych Vincentowi właśnie Khaki dysponował najgłębszą znajomością prawideł rządzących międzynarodowym rynkiem w ogóle, a wielkimi giełdami w szczególności. Przeważająca część tej wiedzy została zdobyta bardzo nielegalnymi sposobami, pozostała zaś wynikała bezpośrednio z faktu obracania ogromnymi sumami pieniędzy. Poza tym jeśli istniał człowiek potrafiący

naprawdę dochować tajemnicy, to był nim właśnie Abul Khaki, gdyż od tego zależało także jego własne istnienie. Wziąwszy wszystko pod uwagę, można mu było darować nawet powiedzonka o psie Beduina.

- Nie wierzę! - wrzasnął Arab, kiedy po podaniu jednego z obowiązujących haseł Vincent wreszcie zlokalizował go w Monte Carlo.

- • Lepiej uwierz, Abul. Później zdam ci szczegółową relację...

- - Nic nie rozumiesz! Wczoraj przesłałem dziesięć tysięcy dolarów na wieniec dla ciebie i kazałem napisać na szarfie, że jest ode mnie i od rządu Izraela!

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Zarobiłem z Likudem parę szekli, a w ten sposób dałbym im do zrozumienia, że jestem otwarty na dalszą współpracę.

122

- Rzeczywiście, to nie zaszkodzi - przyznał Vincent. - Ja też zawsze jakoś dogadywałem się z Mosadem.

- Wcale się nie dziwię... Ale, Vin, przecież ty z m a r t w y c h w s t a ł e ś' Jestem wstrząśnięty, drżą mi ręce... Zaraz czeka mnie partia bakaruci, a w tym stanie nie mam szans na wygraną, co będzie mnie kosztowało setki tysięcy dolarów!

- Wiec nie graj.

- Kiedy przy stoliku już czekają trzej Grecy, z którymi robię grube interesy. Oszalałeś?... A w ogóle, co ty właściwie vyrabiasz, Vincent? Co się dzieje? Szalejąca pustynna burza przesłoniła mi cały wszechświat'

- Abul, przecież ty nigdy nie byłeś na pustyni.

- Ale widziałem zdjęcia, które wywarły na mnie ogromne wrażenie, podobnie jak twój głos, dobiegający do mych uszu nie wiadomo skąd, choć przypuszczam, że raczej nie z tamtego świata.

- Powiedziałem ci już, że wszystko wyjaśnię później, po moim ocaleniu

- Po ocaleniu?... Bardzo ci dziękuję, mój drogi Vincencie, ale nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

- W takim razie wyobraź sobie, że to nie ja, tylko jakiś inwestor pragnący zasięgnąć twojej opinii. Co słyszać na giełdzie w Stanach?

- Co słyszać? Panuje niesamowite zamieszanie. Jakieś tajne negocjacje, błyskawiczne transakcje, wykupywanie pakietów kontrolnych... powiadam ci," czyste szaleństwo!

- Co mówią wróżbici?

- W ogóle nie chcą rozmawiać, nawet ze mną. W porównaniu z sytuacją na giełdzie świat, który Alicja odkryła po drugiej stronie lustra, jest oazą logiki i spokoju. Przestałem cokolwiek rozumieć.

- A co z firmami produkującymi na zamówienia Pentagonu?

- Szaleństwo do kwadratu! Zamiast po cichu usyskać w związku z przewidywanymi redukcjami uzbrojenia, idą gwałtownie w górę, bijąc wszelkie dotychczasowe rekordy. Dzwonili do mnie ludzie z Moskwy, wściekli, ale i przerażeni. Chcieli poznać moje zdanie na ten temat, lecz nic im nie mogłem powiedzieć. Moi informatorzy z Białego Domu donieśli mi, że prezydent kilka razy rozmawiał przez telefon z Kremlm, zapewniając każdego, kogo się dało, że hossa jest zapewne związana z otwarciem dostępu do wschodnioeuropejskich rynków i nie ma nic wspólnego z budżetem Pentagonu, który zostanie

123

drastycznie zmniejszony... Powiadam ci, Vincent, wszystko stało na głowie!

- Wcale nie, Abul. Wszystko jest tak, jak powinno... Jeszcze odezwę się do ciebie. Teraz muszę już iść do sauny.

Sekretarz stanu Warren Pease nie posiadał się z niepokoju, balansując na krawędzi wytrzymałości nerwowej. Jego lewe oko całkowicie wymknęło się spod kontroli, wykonując szybkie ruchy w lewo i prawo, jak laserowy dalmierz przeszukujący teren w poszukiwaniu celu.

- Co to znaczy, że nie możecie znaleźć generała Ethelreda Brokemichaela?! - wrzasnął do telefonu. - Przecież on podlega bezpośrednio moim rozkazom... to znaczy

rozkazom prezydenta Stanów Zjednoczonych, który czeka na raport od niego pod swoim ściśle tajnym numerem telefonu. Tak, właśnie tym, który podawałem wam już chyba z dziesięć razy! Jak długo prezydent Stanów Zjednoczonych ma czekać na jakiegogo pieprzonego generała?

- Robimy wszystko co w naszej mocy, panie sekretarzu - odparł przerażony głos z Fortu Benning. - Niestety, nie potrafimy dostarczyć czegoś, czego nie ma.

- Wysłaliście grupy poszukiwawcze?

- Tak, do wszystkich kin i restauracji w rejonie od Cuthbert do Columbus i Hot Springs. Sprawdziliśmy dziennik służbowy i rejestr rozmów telefonicznych przeprowadzanych z jego biura...

- Znaleźliście coś?

- Nic konkretnego, choć zdziwiło nas trochę, że w ciągu niespełna dwóch i pół godziny generał Brokemichael dzwonił dwadzieścia siedem razy do pewnego hotelu w Bostonie. Naturalnie skontaktowaliśmy się z recepcją i zapytaliśmy, czy zostawił jakieś wiadomości...

- Jezus, Maria! Chyba nie powiedzieliście, kim jesteście?

- Tylko tyle, że to sprawa wagi państwowej, ale bez żadnych szczegółów.

- I co?

- Bardzo rozbawiło ich jego nazwisko, ale nigdy o nim nie słyszeli. Zdaje się, że nie bardzo chcieli uwierzyć, że ktoś taki w ogóle istnieje.

- Szukajcie dalej!

124

Pease odłożył z trzaskiem słuchawkę, wstał z fotela i zaczął przechadzać się nerwowo po swoim gabinecie w budynku Departamentu Stanu. Co zrobił ten dureń Brokemichael? Gdzie się podział? Jak śmiał zniknąć w leśnym gąszczu wojskowo-wywiadowczych powiązań, w którym było więcej zakamarków i wertepów niż w Parku Narodowym Sekwoi? A wreszcie, co takiego przyszło mu do głowy, że odważył się wystawić do wiatru samego sekretarza stanu?... Może umarł, pomyślał Pease. Nie, to nic by nie pomogło, a raczej przeciwnie, skomplikowałoby tylko sytuację. Gdyby jednak coś takiego nastąpiło, to przecież nie istniał żaden ślad łączący jego, Warrena Pease'a, z ekscentrycznym generałem, twórcą najgroźniejszego oddziału antyterrorystycznego na świecie, czyli Samobójczej Szóstki. Warren zjawił się w bazie z dokumentami uprawniającymi go do wejścia na jej teren, tyle że wystawionymi na inne nazwisko, a w dodatku przykrył swoje rzędzące włosy niewielką rudą peruczką. W książce wejść i wyjść pozostał wpis świadczący o przybyciu jakiegogo niepozornego urzędniczyny z Pentagonu, który wpadł na chwilę, by złożyć generałowi wyrazy szacunku... Skorzystanie z rudej peruczki było pociągnięciem godnym geniusza, gdyż dzięki wysiłkom licznych karykaturzystów mocno przerzedzone owłosienie sekretarza stanu stanowiło tę jego cechę, która najbardziej utkwiała w pamięci opinii publicznej.

Gdzie się podział ten sukinsyn?

Rozmyślenia sekretarza stanu przerwał brzęczyk dobiegający z konsoly telefonicznej. Doskoczył do niej dwoma susami-i zobaczył, że świecą się trzy linie, a w chwilę potem zapłonęła także czwarta lampka. Podniósł słuchawkę, mając nadzieję, że usłyszy głos sekretarki informujący go o rozmowie z Fortem Benning. Po niemal trzydziestu najdłuższych sekundach w jego życiu ta suka powiedziała lodowatym tonem:

- Ma pan trzy... teraz już cztery rozmowy przypuszczalnie natury osobistej, ponieważ żadna z tych osób nie chciała powiedzieć, w jakiej sprawie dzwoni, a ich nazwiska - o ile to są nazwiska - niestety nic mi nie mówią.

- Jakie nazwiska?

- Brick, Froggie, Moose i...

- Już dobrze, dobrze - przerwał jej Warren, zdezorientowany i wściekły zarazem. Przecież jego koledzy z klubu golfowego Fawning Hill doskonale wiedzieli, że w żadnym wypadku nie wolno im dzwonić

125

do niego do pracy! Widocznie to nie oni dzwoniли, tylko wydali swoim sekretarkom polecenie odnalezienia go za wszelką cenę, a one posłusznie wykonały zadanie. Co się stało, na litość boską, że wszyscy nagle zapragnęli z nim rozmawiać? - Proszę ich kolejno łączyć, matko Tyrano - powiedział, waląc się pięścią w skroń, by uspokoić oszalałe lewe

oko.

- Nie jestem Tyranią, panie sekretarzu, lecz jej najmłodszą córką, Andromedą Trueheart.

- Nowa?

- Pracuję od wczoraj, proszę pana. Rodzina doszła do wniosku, że w obecnej sytuacji potrzebuje pan wyjątkowo sprawnej obsługi, a mama przebywa chwilowo na wakacjach w Bejrucie.

- Naprawdę? - Niewielką, nie zajęta jeszcze część wyobraźni Pease'a wypełniła wizja rajstop z kieszonkami. - Więc pani jest najmłodszą córką?...

- Rozmówcy czekają, panie sekretarzu.

* - Tak, oczywiście... *Zacznę* od pierwszego. Brick, *zgadza się?* > - Tak, panie sekretarzu. Powiem pozostałym, żeby poczekać.

- Co ty wyrabiasz, Brick? Dlaczego tu dzwonisz?

- Ech, ty mały chytrusku! - zagruchał bankier z Nowej Anglii, emanując nieziemskim czarem. - Zrobię z ciebie honorowego gościa na zjeździe absolwentów naszej szkoły.

- Przecież powiedziałeś, że nie mogę się tam pokazać...

- Wszystko się zmieniło, rzecz jasna. Nie miałem pojęcia, jaki genialny plan narodził się w twoim niezwykłym umyśle. Nasza klasa może być z ciebie dumna, stary draniu... Dobra, nie będę zwracał ci głowy, bo wiem, że jesteś zajęty, ale gdybyś potrzebował jakiejś pożyczki, po prostu podnieś słuchawkę i zadzwoń do mnie. Aha i nie krępuj się, jeśli miałaby to być jakaś większa suma... Myślę, że wkrótce pójdziemy gdzieś razem na lunch. Na mój koszt, ma się rozumieć.

Froggie, co się dzieje, do diabła? Przed chwilą rozmawiałem z Brickiem i...

- Komu jak komu, ale tobie na pewno nie muszę nic tłumaczyć,

126

ty Midasie wcielony, a już na pewno nie przez ten telefon - odparł jasnowłosy cynik z Fawning Hill. - Rozmawialiśmy o tobie i chcę, żebyś wiedział, że Daphne i ja bardzo liczymy na obecność twoją i twojej żony na balu w Fairfax, który odbędzie się w przyszłym miesiącu. Będziesz gościem honorowym, ma się rozumieć.

- Ja?

- Naturalnie. Przecież musimy trzymać się razem, nie uważasz?

- To bardzo miłe z twojej...

- Miłe, Człowieku, nie żartuj sobie ze mnie. Jesteś niesamowity, po prostu niesamowity. No, na razie, jeszcze się jakoś odezwe.

Moose, czy mógłbyś...

""

- Do licha, Warren, możesz korzystać z mojego klubu, kiedy tylko przyjdzie ci ochota! - wykrzyknął prezydent Petrotoxic Amal-gamated. - Zapomnij o tym, co bredziłem. To będzie dla mnie wielki zaszczyt, jeśli zechcesz zagrać ze mną partyjkę.

- Naprawdę nie rozumiem...

- Jasne, że rozumiesz, a ja doskonale wiem, dlaczego nie możesz o tym mówić. Po prostu pamiętaj, stary druhu, że jesteś na pierwszej stronie w moim notesie z nazwiskami najbliższych przyjaciół... Dobra, na razie muszę kończyć, bo mam spotkanie. Właśnie mianowałem się prezesem zarządu, ale gdybyś tylko chciał, ta posada jest twoja.

Uoozie, właśnie rozmawiałem z Brickiem, Froggiem i Moose'em, i muszę powiedzieć, że nie posiadam się ze zdumienia.

- Doskonale cię rozumiem, cwaniaczku. Masz kogoś w gabinecie? Powiedz tylko „tak”, to będę gadał jak trzeba.

- Mówię „nie”, a ty możesz gadać, co tylko chcesz!

- Podśluch?

- Absolutnie wykluczony. Gabinet jest sprawdzany codziennie rano, a ściany są

wyłożone ołowianymi płytami, żeby uniemożliwić działanie mikrofonów kierunkowych.
- Znakomicie, cwaniaczku. Widzę, że trzymasz ich tam twardą

- To standardowa procedura. Doozie, co właściwie się dzieje, do diabła?

127

- Sprawdzasz mnie, kolego?

Sekretarz stanu umilkł na chwilę. Skoro wszystko zawiodło, może ten sposób okaże się skuteczny...

- Powiedzmy, że tak, Doozie. Przypuśćmy, że chcę sprawdzić, czy wszystko zrozumieliście.

- W takim razie ujmijmy to w ten sposób, panie sekretarzu, stary byku: jesteś facetem o najtęższej mózgowicy w całym naszym gronie od czasu, kiedy w latach dwudziestych rozbiliśmy związki zawodowe. Ty osiągnąłeś znacznie więcej, w dodatku nie oddając ani jednego strzału do żadnego zakichanego socjalisty ani lewicującego kongresmana!

- To mi nie wystarczy, Doozie - wychrypiał Warren Pease, czując, jak spod rzednących włosów wypływają mu strumyczki potu. - W jaki dokładnie sposób to osiągnąłem?

- UFO! - zapał Doozie. - Jak to ujął ten okropny Iwan Salamander - absolutnie nie do przyjęcia towarzysko, nawiasem mówiąc - teraz będziemy musieli uzbroić cały świat! Genialne posunięcie, chłopie, po prostu genialne!

- UFO? O czym ty gadasz, do cholery?

- Wspaniały pomysł, stary draniu, naprawdę wspaniały pomysł!

- UFO?... O, mój Boże!

Mały odrzutowiec niosący na pokładzie MacKen-ziego Hawkinsa wylądował na lotnisku w Manchester w stanie New Hampshire około szesnastu kilometrów na południe od Hooksett. Decyzję o ominięciu Bostonu podjął Sam Devereaux, motywując ją tym, że już raz generał został zidentyfikowany na lotnisku Logana przez jakichś tajemnicznych obserwatorów, więc po co ryzykować ponownie? Poza tym, ponieważ wypadki toczyły się coraz szybciej, ważne były nawet te dwie godziny jazdy samochodem, które udało się zaoszczędzić. Kolejne posunięcie Jastrzębia miało polegać na zdemontowaniu Samobójczej Szóstki, która, wedle słów Desiego Pierwszego, znajdowała się w opłakanym stanie, a to dzięki kulinarnym zdolnościom Desiego Drugiego. Reszta zależała od umiejętności perswazji Hawkinsa.

Paddy Lafferty, dumny jak paw i jeszcze bardziej pełen uwielbienia niż dotąd, czekał przed budynkiem dworca lotniczego w limuzynie

128

Aarona **Pinkusa**. Jego dobre samopoczucie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że wielki generał postanowił zająć miejsce w fotelu obok kierowcy.

- Powiedzcie mi, artylerzysto, co wiecie o aktorach - zagadnął Jastrzęb, kiedy limuzyna popędziła na północ w kierunku Hooksett. - O prawdziwych aktorach, ma się rozumieć.

- Oprócz sir Henry'ego nie znam żadnego osobiście, generale.

- Cóż, przypuszczam, że on nie jest typowy, bo zapisał się już na trwałe w annałach tego zawodu. Chodzi mi o tych, którym to się jeszcze nie udało.

- Sądząc po tym, co czytałem w różnych pismach, które pan Pinkus czasem zostawia w samochodzie, to wydaje mi się, że oni wszyscy tylko czekają, kiedy zostaną odkryci, żeby też zapisać się w annałach. Może to niezbyt mądre, ale tak właśnie myślę.

- To bardzo mądre, Paddy. To także najlepszy sposób, jaki moglibyśmy wymyślić.

- Sposób na co, panie generale?

- Na to, żeby skłonić pewnych ludzi do zmiany zdania, nie pozwalając im jednocześnie zbyt wiele myśleć.

Osiem minut później Jastrzęb wkroczył do narciarskiej chaty. Było słoneczne letnie popołudnie, a Desi Drugi niedawno podał małą przekąskę. Rezultaty dały się bez trudu dostrzec gołym okiem: groźni członkowie Samobójczej Szóstki wyglądali jak mocno zleżałe zwłoki, balansując niebezpiecznie blisko granicy między życiem i śmiercią. Siedzieli w salonie, wpatrując się pustymi oczami w coś, czego nie mógł

dostrzec nikt oprócz nich, z minami podobnymi do tych, które mają śnięte ryby na nabrzeżu portu w New Bedford. Jedyne wyjątkiem stanowił sir Henry Sutluu; jego zdecydowanie nie pasująca do ogólnego nastroju żywotność upodabniała go do nachalnej wrony, która wepchała się na siłę na spotkanie zwołane w celu kolektywnego leczenia gigantycznego kaca.

- Panowie, ocknijcie się! - wykrzykiwał, chodząc dokoła pokoju, poklepując nieprzytomne twarze i szturchając żebra. - Nasz wielokrotnie odznaczony generał z kampanii północnoafrykańskiej przyjechał tutaj, żeby zamienić z wami kilka słów!

- Ładnie powiedziane, majorze - pochwalił go Jastrząb. - Nie zamierzam zabierać wam zbyt dużo czasu. Chcę tylko dostarczyć wam najświeższych informacji.

129

- Konfirmacji?

•&•

- Jakiej konsekracji?

- Mówiłeś coś o defekacji, Marlon?

- Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

- A kto to w ogóle jest?

- Daj mu lizaka, dziecińco.

;

Jednak po dłuższej chwili wybałuszone oczy sześciu półprzytomnych ryb zwróciły się mniej więcej w kierunku Hawkinsa, który podszedł do schodów, wspinał się na drugi stopień i stamtąd zwrócił się do członków znakomitego oddziału antyterrorystycznego:

- Dżentelmeni - zaczął swoim najwspanialszym stentorowym głosem. - Mówię tak do was, ponieważ bez wątplenia zasługujecie na to miano, podobnie jak bez ryzyka popełnienia błędu można was nazwać znakomitymi aktorami i żołnierzami. Nazywam się Hawkins, MacKenzie Hawkins, i jestem emerytowanym generałem, którego mieliście pojmać i uwięzić.

- Na Boga, to rzeczywiście on!

- Wygląda zupełnie jak na zdjęciu...

- Niech ktoś coś zrobi!

- Daj sobie spokój.

- Nawet nie mogę ruszyć nogą, wędrowcze.

- Wstrzymajcie się! - krzyknął Jastrząb. - Choć sądząc z tego, co widzę przed sobą, nie wydaje mi się, żeby ten rozkaz był potrzebny... Właśnie wróciłem z Fortu Benning, gdzie spotkałem się z moim dobrym przyjacielem i wieloletnim towarzyszem broni, a waszym dowódcą, generałem Ethelredem Brokemichaelem. Za moim pośrednictwem przesyła wam gratulacje z okazji wspaniałego wykonania kolejnego zadania oraz kilka nowych, zwięzłych poleceń. Otóż wasza misja została anulowana, wstrzymana, skasowana i nieodwoalnie skreślona.

- Chwileczkę, wędrowcze! - wykrzyknął Książę, waląc się z całej siły pięścią w kolano, jednak bez żadnego rezultatu. - Kto tak mówi?

- Generał Brokemichael.

- Dlaczego do nas sam nie... nie... nie zadzwonił?

- Ty chyba jesteś Dusty, zgadza się?

- Właśnie że nie, stary przyku! - syknął groźnie Sły. - Sterczysz przed nami jak marna imitacja Rozenkranca w Elsinorze, ale skąd się

130

^{tu} właściwie wzięłeś i niby dlaczego mielibyśmy ci wierzyć? Czemu on sam nam tego nie powiedział?

- Próbowaliśmy kilka razy dodzwonić się do was z Fortu Benning, ale chyba nawalił telefon.

- Niby dlaczego, kiciusiu?

- Z powodu burzy.

- Burzy? Jakiej burzy? Nie przypominam sobie żadnej wichury ani piorunów

^ - Sir Larry?...

H - Nie wciskaj nam tu kitu, koleś. I bez tego mamy dość kłopotów.

- Marlon?..

- Chodzi o to, wędrowcze, że nie mamy żadnego powodu, dla którego mielibyśmy ci wierzyć. Indianie ciągle próbują jakichś podstępów. Na przykład przestają walić w bębny, więc człowiek myśli, że będzie miał trochę spokoju, a oni akurat ruszają do ataku.

Okropnie nas to denerwuje i dlatego od czasu do czasu *zdarza*, nam się urządzić jakąś małą masakrę.

- Powinieneś nad tym trochę popracować, Książę. Spotkałem twojego imiennika, kiedy kręcili ten film o mnie, i wiesz, co ci powiem? To był najbardziej pokojowo usposobiony człowiek na świecie.

- Spotkałeś Księcia?...

- Słuchajcie! - ryknął Hawkins tak przeraźliwym głosem, że sześciu mężczyzn natychmiast umilkło i skierowało na niego bardziej lub mniej przytomne spojrzenia. - Generał Brokemichael i ja nie tylko uzgodniliśmy warunki honorowego rozejmu, ale doszliśmy także do wspólnego wniosku, opartego na solidnych podstawach. Krótko mówiąc, chodzi o to, że obaj zostaliśmy zrobieni w konia przez skorumpowanych polityków, którzy postanowili wykorzystać nasze unikatowe zdolności do realizacji swoich ambicji. Jak doskonale wiecie, nie istnieją żadne dokumenty dotyczące przeprowadzanych przez was operacji. Wszystkie polecenia zawsze otrzymywaliście drogą ustną, więc, kontynuując tę tradycję, zostałem upoważniony przez mego dobrego przyjaciela Brokeya - to takie pieszczotliwe zdrobnienie - do przekazania wam informacji, że wasza misja zostaje odwołana. W związku z tym, a także po to, by dać wyraz zadowoleniu przełożonych z waszej nienagannej, trwającej już pięć lat służby, zostaniecie natychmiast przewiezieni do apartamentów hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku.

131

- Po co? - zapytał Marlon zupełnie zwyczajnym głosem.

- Dlaczego? - zawtórował mu Dustin, zrezygnowawszy z jękania i potrząsania głową.

- To bardzo zachęcająca propozycja - dodał sir Larry.

- Sprawa jest bardzo prosta - odparł Jastrząb. - Za pół roku kończy się wam okres służby, na jaki podpisaliście kontrakt, w uznaniu kolosalnego wkładu, który wnieśliście w rozwiązywanie ogólnoswiatowych napięć, generał Brokemichael zorganizował wam spotkanie z szefami głównych wytwórni filmowych. Przylecą specjalnie dla was z Hollywoodu, bo cholernie zależy im na sfilmowaniu waszych przygód.

- A co ze mną?! - wykrzyknął mocno zaniepokojony sir Henry.

- Zdaje się, że ma pan grać generała Brokemichaela. Chyba że tak...

- Zaprawdę, wędrowcy, zbrakło mi słów - powiedział Książę.

- Właśnie tego zawsze pragnęliśmy - oznajmił Marlon nienaganą angielszczyzną. - To spełnienie naszych marzeń!

- Wspaniale!

- Cudownie!

- Będziemy grać samych siebie!

- I zostaniemy razem!

- Niech żyje Hollywood!

Niczym stado lwów przywiezionych w uśpieniu z afrykańskiej sawanny mężczyźni tworzący Samobójczą Szóstkę z trudem z najwyższym dźwignęli się z krzesel, kanap i foteli i ruszyli ku sobie, by objąć się ramionami i utworzyć coś, co przy sporej dozie dobrej woli można by uznać za koło. Kiedy im to się udało, rozpoczęli dziwne, nieskoordynowane płąsy, przeszkadzając sobie nawzajem, lecz mimo to co chwila wybuchając szaleńczym śmiechem. Narciarska chata stała się miejscem, w którym po raz pierwszy na świecie wykonano nowy taniec stanowiący połączenie tarantelli, hory oraz dzikich podskoków pijanych poszukiwaczy złota.

- Z pana to naprawdę wielki człowiek, henerale! - powiedział Desi Pierwszy, przekrzykując radosne wrzaski aktorów. - Niech pan spojrzy, jacy są szczęśliwi. Pan to zrobiłeś!

- Taaak... Coś ci powiem, D- Jeden - odparł MacKenzie, wyjmując z kieszeni zmięte cygaro. - Ja sam wcale nie czuję się zbyt

132

dobrze. Szczerze mówiąc, czuję się jak wielki ściekowy szczur, w dodatku wydaje mi się, że jestem od niego dziesięć razy trudniejszy

Po raz pierwszy od spotkania w męskiej toalecie na lotnisku jgana w Bostonie Desi

Pierwszy zmierzył Jastrzębia spojrzeniem dezaprobaty. Długim i ciężkim.

Ubrany w piżamę Warren Pease zbiegł po schodach na parter swego umiarkowanie eleganckiego domu w Fairfax, prze-cwałował przez salon oświetlony jedynie blaskiem wpadającym z holu, grzmotnął w ścianę obok drzwi prowadzących do gabinetu, odbił się, po czym, ogarnięty paniką, wpadł do środka i rzucił się do telefonu. Dopiero za trzecim razem udało mu się trafić we właściwy migający przycisk; wduślił go, włączył stojącą na biurku lampę, by wreszcie opaść ciężko na fotel.

- Gdzie byłeś, do cholery?! - wrzasnął do telefonu. - Jest czwarta rano, a przez cały dzień i wieczór nigdzie nie mogłem cię znaleźć! Każda godzina przybliży nas do katastrofy, a ty znikasz sobie, jakby nigdy nic! Żądam wyjaśnień!
- Zaczęło się od tępego bólu, panie sekretarzu.
- Co takiego? - zaskrzeczał Pease. * ;
- Kłopoty z żołądkiem. Gazy, panie sekretarzu.
- Nie wierzę! Kraj balansuje na krawędzi nieszczęścia, a ty masz gazy?
- Tego nie da się kontrolować...
- Gdzie byłeś? Gdzie się podział ten twój przeklęty oddział? Co się dzieje?
- Odpowiedź na pańskie pierwsze pytanie ma bezpośredni związek z odpowiedziami na drugie i trzecie.
- Co to ma znaczyć?
- Otóż moja przypadłość, to znaczy gazy, została spowodowana niemożnością skontaktowania się z oddziałem przebywającym w Bostonie, w związku z czym musiałem wyruszyć *incognito* na jego poszukiwanie
- Dokąd?
- Do Bostonu, ma się rozumieć. Zabrałem się wojskowym samolotem z bazy w Macon i dotarłem na miejsce około trzeciej po

133

południu - wczoraj po południu. Oczywiście natychmiast udałem się do hotelu. To bardzo dobry hotel...

- Szalenie się cieszę z tego powodu. I co dalej?
- Cóż, musiałem zachować daleko idącą ostrożność, bo chyba zgodzi się pan ze mną, że nie zależy nam na rozgłosie...
- Zgadza się z tobą każdy rozedrgany nerw mojego ciała! -. zawył sekretarz stanu.
- Na litość boską, chyba nie polazłeś tam w mundurze?!
- Ależ, panie sekretarzu... Przecież już powiedziałem, że wyruszy, łem *incognito*. Założyłem cywilny garnitur, a na wypadek gdybym spotkał jakiegoś znajomego z Pentagonu, zajrzałem do szafek mojego oddziału i wybrałem sobie zgrabną perukę. Może odrobinę za bardzo rudą, jak na mój gust, ale za to z pasemkami siwizny i...
- Już dobrze, dobrze! - przerwał zniecierpliwiony Pease. - I co znalazłeś?
- Dziwnego małego człowieczka urzędującego w jednym z apartamentów - naturalnie znałem numery pokoi, które zajmował oddział. Natychmiast rozpoznałem jego głos, ponieważ to właśnie z nim kilka razy rozmawiałem przez telefon z Fortu Benning. To nieszkodliwy starszy gość, którego chłopcy zatrudnili do odbierania informacji przez telefon, co było z ich strony szalenie sprytnym posunięciem. Nie miał zbyt wiele oleju w głowie, lecz akurat w tym wypadku to stanowiło znaczną zaletę. Po prostu odbierał informacje, nic więcej.
- Rany boskie, co ci powiedział?!
- Powtórzył dokładnie to samo, co przedtem usłyszałem od niego, dzwoniąc z biura. Jego chwilowi pracodawcy musieli na jakiś czas wyjść w pilnych sprawach służbowych. Nie wiedział nic więcej.
- I to wszystko? Po prostu zniknęli i już?
- Przypuszczam, że szykują się do decydującego uderzenia, panie sekretarzu. Jak już panu wcześniej wyjaśniłem, przed wyruszeniem do akcji otrzymują tylko ogólnie zdefiniowane parametry działań, ponieważ i tak ostateczny sukces zależy od spontanicznej reakcji w ogniu walki.
- Kretyński bełkot! - Wcale nie. My nazywamy to improwizacją, w skrócie „improv”.
- Z tego, co mówisz, wynika, że nie masz zielonego pojęcia, co się właściwie dzieje!

Straciłeś z nimi łączność!

134

- W pewnych sytuacjach nie można ufać telefonom, i to zarówno cywilnym, jak i rządowym.
- A to kto wymyślił? Różowa Pantera? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?
- Z wojskowego transportowca lecącego do Bostonu? Chce pan, żeby dowództwo lotnictwa znało pański prywatny numer telefonu?
- Oczywiście, że nie!
- A kiedy już dotarłem do Bostonu, skąd miałem wiedzieć, że chce się pan ze mną skontaktować?
- Nie sprawdziłeś w biurze, czy w tym czasie nie zameldował się twój zagubiony oddział?
- Działamy z zachowaniem maksymalnej dyskrecji, panie sekretarzu. Moi ludzie znają tylko dwa numery: tajnego aparatu zainstalowanego w mojej łazience w Forcie Benning oraz drugiego, ukrytego w szafie z ubraniami w moim mieszkaniu. Rzecz jasna do obu są podłączone automaty zgłoszeniowe, ale nikt nie zostawił żadnej wiadomości
- Właściwie powinienem podciąć sobie żyły. Cały ten techniczny bełkot znaczy tylko tyle, że nawet gdybyście chcieli, to też nie moglibyście się ze sobą dogadać!
- Lepiej schować się dwa razy za dużo niż raz za mało... To kwestia z *Rue Madeleine numer trzydzieści dwa*. Widział pan ten film? Naprawdę znakomity, z Cagneyem i Ablem...
- Nie chcę słyszeć ani słowa o żadnych cholernych filmach, żołnierzu! Chcę natomiast usłyszeć, że twoja banda goryli złapała Hawkinsa i dostarczyła go do bazy Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych w Westover! Tylko to chcę usłyszeć, bo jeśli już wkrótce tego nie usłyszę, to będzie koniec dla nas wszystkich! Wystarczy, żeby ci dwaj niepewni sędziowie Sądu Najwyższego spiknęli się z tymi dwoma lewicującymi radykałami, i już po nas!
- Po nas wszystkich, panie sekretarzu, czy tylko po niektórych? Na przykład takich jak pewien niegdyś zdegradowany generał i znakomity oddział, który osobiście stworzył?
- Co?... Tylko nie próbuj zgrywać przede mną mądrali, żołnierzu!
- Czy pozwoli pan, panie sekretarzu, że zapytam, dlaczego tak bardzo interesują pana poczynania MacKenziego Hawkinsa? Świat się zmienia, wygasa wrogość między wielkimi mocarstwami, a jeśli chodzi o te mniejsze, to możemy w każdej chwili zdmuchnąć je z powierzchni

135

ziemi, tak jak zrobiliśmy z Irakiem. Wszędzie następują cięcia, redukcje personelu i sprzętu... Nie dalej niż wczoraj rano w moim gabinecie zjawił się pewien słynny dziennikarz, żeby przeprowadzić ze mną wywiad. Pisze właśnie artykuł o reakcji armii na nowe warunki ekonomiczne, jakie nastąpiły po rozpadzie Związku Radzieckiego i zakończeniu zimnej wojny.

- Żak... Żak... Zakończeniu zimnej wojny? - wykrztusił sekretarz stanu, prostując się raptownie za biurkiem. Spływający po jego czole pot zalewał mu rozbiegane lewe oko. - Nie żartuj, żołnierzu! Stoimy teraz w obliczu znacznie większego zagrożenia, największego, jakie można sobie wyobrazić!

- Chiny?... Libia?... Izrael?...

- Nie, idioto! Zielone ludziki... Kto wie, jak daleko się posuną?

- Kto?!

- UF... UF... UFO!

25

Jennifer Redwing wyszła z morza po porannej kąpieli, poprawiła kostium - jeden z wielu, jakie znalazła w przeznaczonych dla gości pokojach domu w Swampscott - i pobiegła po piasku w kierunku schodków wiodących na taras, gdzie zostawiła ręcznik przewieszony przez poręcz. Dotarłszy tam zajęła się energicznym wycieraniem ramion, nóg oraz włosów. Kiedy uporała się z włosami i otworzyła oczy, zobaczyła Sama Devereaux uśmiechającego się do niej z plastikowego krzeselka stojącego na tarasie.

- Świetnie pływasz - powiedział.

- Nauczyłam się tego, kiedy zwabialiśmy osadników do rwących górskich rzek, po czym dopływaliśmy do brzegu, a oni tonęli, porwani przez wodę - odparła wesoło.

- Chyba ci wierzę.

- Bo to chyba prawda. - Jennifer owinięła się ręcznikiem i wspięła po schodkach na taras. - Jak miło - dodała, spoglądając na stolik z mlecznego pleksiglasu. - Dzbanek z kawą i trzy filiżanki.

- Raczej kubki. Nie lubię pić kawy z filiżanki.

- Tak samo jak ja - odparła Jenny, siadając na krzeselku. - Niemniej jednak uparcie nazywam kubki filiżankami. Mam ich w mieszkaniu z dziesięć albo piętnaście, w tym najwyższej kilka takich samych

- Ja mam ponad dwadzieścia i tylko cztery są od kompletu. Naturalnie dostałem je od matki. Zrobiono je z jakiegoś zielonego kryształu, ale nigdy ich nie używam.

137

- To się nazywa szkło irlandzkie i jest potwornie drogie. Mam takie dwa, ale też nigdy z nich nie korzystam.

Oboje parsknęli śmiechem, patrząc sobie prosto w oczy. Nie trwało to długo, ale też nie uszło uwagi żadnej ze stron.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Sam. - Rozmawiamy już prawie minutę i jeszcze nie zaczęliśmy sobie dokuczać! Trzeba to uczcić filiżanką... to *znaczy* kubkiem kawy.

- Chętnie. Czarną, jeśli można.

- Znakomicie, bo nie przyniosłem mleka, śmietanki ani tego białego proszku, którego staram się unikać, bo wygląda tak, jakby za jego posiadanie można było trafić do pudła.

- Dla kogo jest trzecia filiżanka... to znaczy kubek? - zapytała indiańska Afrodyta.

- Dla Aarona. Matka jest na piętrze. Zakochała się w Romanie Z., który powiedział, że przyniesie jej do pokoju cygańskie śniadanie. Cyrus wolałby do tego nie dopuścić, ale niewiele może *zdziałać*, bo leczy w kuchni kaca.

- Nie sądzisz, że powinien jednak mieć Romana na oku?

- Nie znasz mojej matki.

- Znam ją chyba lepiej od ciebie i właśnie dlatego pytam. Ponownie popatrzyli sobie prosto w oczy, a śmiech, który rozbrzmiał zaraz potem, był głośniejszy... i cieplejszy.

- Jesteś paskudną indiańską dziewczuchą. Właściwie powinienem zabrać ci kawę.
- Tylko spróbuj. Szczerze mówiąc, to chyba najlepsza kawa, jaką piłam w życiu.
- Zgadza się. Przyrządził ją Roman Z. Wczesnym świtem poszedł na plażę i pozbiarał trochę nadpsutych jeżowców, które włożył do dzbanka, ale jeśli w związku z tym zaczniesz krzyczeć, wezmę brzytwę i ogolę ci brodę.
- Och, Sam... - Jenny zakrztusiła się i odstawiła kubek na stolik. - Potrafisz być zabawny, choć jednocześnie jesteś jednym z najbardziej nieznośnych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam.
- Ja - nieznośny? Co też przyszło ci do głowy?... Czy jednak słowo zabawny oznacza, że zawarliśmy rozejm?
- Czemu nie? Wczoraj wieczorem trochę myślałam przed zaśnięciem i przyszło mi do głowy, że czeka nas niebezpieczna wspinaczka na skaliste szczyty i że raczej nie uda nam się ich zdobyć, jeżeli

138

będziemy ciągle boczyć się na siebie. Od tej pory znajdziemy się pod bezpośrednim ostrzałem, i to nie tylko w przenośnym znaczeniu tego wyrażenia

- W takim razie dlaczego nie pozwolisz mi „przeprowadzić decydującego uderzenia”, jak by powiedział Mac? Na pewno nie będę próbował cię okantować.
- Wiem, że tego nie zrobisz, ale na jakiej podstawie sądzisz, że dasz sobie radę lepiej ode mnie? Tylko nie mów, że dlatego, iż jesteś mężczyzną, bo znowu się pogniewamy.
- Przypuszczam, że to także gra pewną rolę, choć nie najważniejszą. Dużo istotniejsze jest to, że znam Hawkinsa i wiem, jak może się zachować w ekstremalnych sytuacjach. Chyba nawet potrafię przewidzieć jego reakcje i możesz mi uwierzyć, kiedy ci powiem, że jest on właśnie tym człowiekiem, którego chciałbym mieć u boku, gdy zrobi się naprawdę gorąco.
- Innymi słowy, uważasz, że tworzycie znakomity zespół.
- Naturalnie on odgrywa wiodącą rolę. Nazwałem go przebiegłym sukinsynem więcej razy, niż potrafiłby zliczyć największy komputer, ale kiedy przychodzi co do czego, dziękuję Bogu i wszystkim świętym za tę jego cudowną przebiegłość. Nauczyłem się już wyczuwać moment, kiedy zamierza wyciągnąć jakąś nową sztuczkę z tego swojego cholernego wojskowego plecaka. Wyczuwam to i daję się unieść prądowi wydarzeń.
- W takim razie musisz mnie nauczyć tego samego. Devereaux umilkł, wpatrując się w swój kubek. Po dłuższej chwili podniósł wzrok na dziewczynę i powiedział:
- Czy nie obrazisz się na mnie, jeśli ci odpowiem, że to byłoby nieroztropne, a nawet niebezpieczne?
- Inaczej mówiąc, sądzisz, że pętałabym się pod nogami silnym, dzielnym chłopcom?
- Coś w tym rodzaju.
- W takim razie będziemy musieli zaryzykować i zaufać mojej niekompetencji
- Znowu zaczynamy walczyć?
- Daj spokój, Sam. Doskonale wiem, co robisz i doceniam to, łącznie z twoim wykluwającym się heroizmem. Szczerze mówiąc, odczuwam nawet sporą pokusę, bo przecież nie jestem idiotką i zdaję sobie sprawę, że nie nadaję się na komandosa w spódnicy, ale to

139

jednak są moi ludzie. Nie mogę nagle zniknąć - oni muszą wiedzieć że byłam i jestem z nimi. Wysłuchają mnie i robią, co im powiem tylko wtedy, kiedy będą mnie szanować, jeśli natomiast schowam się w mysiej dziurze i zaczekam, aż kto inny odwali całą robotę, nie zechcą na mnie nawet spojrzeć.

; - Rozumiem cię. Zupełnie mi się to nie podoba, ale cię rozumiem.

: Z wnętrza domu dobiegło skrzypnięcie drzwi, a zaraz potem rozległ się odgłos zbliżających się kroków i na tarasie pojawił się Aaron Pinkus w białych obszernych szortach, błękitnej koszuli z krótkimi rękawami i żółtej golfowej czapeczce. Zmrużył oczy przed silnym słonecznym blaskiem i podszedł do stolika.

- Dzień dobry, łaskawy pracodawco - powitał go Sam.
 - Dzień dobry - odparł Aaron, siadając na krzeselku. - Dziękuję, moja droga... - dodał, odbierając od Jennifer kubek ze świeżo nalaną kawą. - Wydawało mi się, że słyszę jakąś rozmowę, ale ponieważ odbywała się bez akompaniamentu krzyków i inwektyw, więc nie spodziewałem się, że zastanę tu akurat was dwoje.
 - Wynegocjowaliśmy rozejm - poinformował go Devereaux. - Na bardzo niekorzystnych dla mnie warunkach. Znakomity prawnik skinął z aprobatą głową.
 - Dobry początek dnia. - Podniósł kubek do ust. - Cóż za wyśmienita kawa! - wykrzyknął.
 - Doprawiona meduzami i stęchłymi wodorostami.
 - Słucham?
 - Proszę nie zwracać na niego uwagi, panie Pinkus. Zaparzył ją Roman Z., a Sam jest po prostu zazdrosny.
 - Z powodu Romana i mojej matki? Daj spokój, to nie w moim stylu!
 Aaron wybałuszył oczy skryte w cieniu daszka golfowej czapeczki.
 - Roman Z. i Eleanor? Chyba powinienem wrócić do środka i wyjść raz jeszcze. Wszystko jest takie jakieś dziwne.
 - Nieważne, to tylko głupie gadanie.
 - Jeżeli rzeczywiście, moja droga, to wręcz niewyobrażalnie głupie... Prawie tak głupie jak myślowe wygibasy, jakie wyczynia nasz wspólny przyjaciel, generał Hawkins. Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon.
 - Co się dzieje? - zapytał szybko Devereaux. - Jak mu poszło w chacie?

140

na to, że cała jej zawartość, łącznie ze wszystkimi problemami, została przeniesiona do „obozu” w trzech apartamentach hotelu Waldorf-Asturia w Nowym Jorku.

- Że co?
 - Zareagowałem w identyczny sposób.
 - To znaczy, że uporał się z kłopotami stwierdziła z przekonaniem Jennifer
 - Stwarzając kilka nowych - uzupełnił Pinkus, spoglądając na Sama. - Poprosił, żebyś uruchomił szybką linię kredytową do kwoty stu tysięcy dolarów i niczym się nie martwił, bo on sam zajmie się przeniesieniem jakichś pieniędzy z Berna do Genewy, o czym ja nic nie wiem i nie chcę wiedzieć... Możesz to zrobić? Zresztą, nieważne.
 - To bardzo prosta sprawa. Wystarczy zwykłe komputerowe polecenie dokonania przelewu wydane na podstawie...
 - Wiem, jak to się robi i nie o to pytałem!... W ogóle o nic nie pytałem!
 - To jeden kłopot zauważyła Redwing. Na czym polegają pozostałe?
 - Tego nie jestem pewien. Zapytał mnie, czy znam jakichś producentów filmowych.
 - Na co mu oni?
 - Nie mam pojęcia. Kiedy powiedziałem mu, że poznałem raz pewnego aplikanta nawiasem mówiąc, nie pozwolono mu nawet dokończyć aplikant, który potem zajął się robieniem trzeciorzędnych filmów pornograficznych, odpowiedział, że nic nie szkodzi i że poszuka gdzie indziej.
 - To właśnie jedna z tych chwil, kiedy czuję, że lada moment wyciągnie z plecaka kolejne krętactwo.
 - Szósty zmysł! - zapytała Jennifer.
 - Raczej zwykłe prorocтво. Coś jeszcze, Aaronie?
 - Najdziwniejsze zostawiłem na koniec. Chciał wiedzieć, czy mamy jakiegoś klienta z kłopotami z lewym okiem, najlepiej takiego, który potrzebuje szybkiego przypiływu gotówki.
 - To ma być dziwne? - zainteresowała się dziewczyna. - To czyste wariactwo!
 - Nigdy nie lekceważ siły działania podstępny, jak mówi Ewangelia według Olivera Northa - odparł Devereaux. - Nikt taki nie przychodzi mi na myśl, ale gdybym znalazł odpowiedniego gościa, bez

141

wahania podesłałbym go Macowi... Dobra, szefie, darujmy sobie te błahostki. Co teraz robimy? Rozmawialiście na ten temat?

- Zamieniliśmy kilka zdań. Dokładnie za dwa i pół dnia ty, Jennifer i generał wysiądziecie z samochodu, wejdziecie po schodach do budynku Sądu Najwyższego,

przejdziecie przez hol, miniecie strażników i zostaniecie przyjęci przez przewodniczącego.

- Zupełnie, jakbym słyszał Maca - zauważył Sam.

- Zgadza się - potwierdził Pinkus. - Powtórzyłem dokładnie jego słowa, pomijając jedynie wulgaryzmy. Powiedział mi też, że macie się przygotowywać tak, jakby to miało być wyprzedzające uderzenie trzyosobowego oddziału desantowego wymierzone w newralgiczny punkt obrony nieprzyjaciela usytuowany daleko za linią frontu.

Jennifer z trudem przełknęła ślinę.

- Miło mi to słyszeć. Czego ode mnie oczekuje? Że złożę stanowczy protest, kiedy odstrzelą nam głowy?

- Jego zdaniem nie spotkacie się z otwartą przemocą, gdyż mogłoby to się okazać zbyt ryzykowne dla przeciwnika.

- Dzięki Bogu choć za tyle - mruknęła Jenny.

- Nie wykluczył jednak działań nieprzyjaciela zmierzających do tego, by uniemożliwić jemu lub Samowi - albo obu jednocześnie - stawienie się na przesłuchanie, które wówczas nie mogłoby się odbyć, gdyż wymagana jest obecność zarówno strony skarżącej, jak i jej adwokata.

- A co ze mną?

- Ty, moja droga, postanowiłaś tam pójść z własnej woli jako zainteresowana strona. A jednak, o czym doskonale wiesz, podpisana przez ciebie i sporządzona w obecności notariusza umowa między tobą a generałem i Samem ma w dalszym ciągu moc prawną. W tej sytuacji ty, jako zainteresowana strona, angażujesz się w sprawę po stronie strony skarżącej - w praktyce często spotykamy się z taką sytuacją.

- Na przykład w czasie rozpraw z udziałem publiczności, kiedy widzowie prawie wchodzą ci na biurko - mruknął Devereaux do Jenny, by następnie ponownie zwrócić się do Aarona. - Może po prostu zostaniemy tu do pojutra, a potem polecimy do Waszyngtonu, wsiądziemy do taksówki i każemy zawieźć się do gmachu Sądu Najwyższego? Nie widzę w tym żadnego problemu. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy, z wyjątkiem człowieka, który zaangażował Cyrusa i Romana,

142

żeby uzupełnili naszą ochronę. Teraz nawet Cyrus *zgadza* się z Jastrzębiem kimkolwiek jest tamten człowiek, na pewno dobrze nam życzy i chce utrzymać nas przy życiu.

- Ale Cyrus chciałby też wiedzieć dlaczego - wtrąciła Red-wing. - A może nie wspomniał o tym?

- Mac wszystko mu wyjaśnił. Byłem przy tym. Otóż ów dowódca ma pewne porachunki z ludźmi, którzy za wszelką cenę chcą nie dopuścić do rozprawy, a mogą to osiągnąć jedynie wówczas, gdy uniemożliwią nam dotarcie do sądu.

- Wszystko wskazuje na to, moja droga, że nasz anonimowy dobroczyńca współdziałał z nimi aż do chwili, kiedy przekonał się, że knują coś przeciwko niemu - na przykład postanowili złożyć go w ofierze jako polityka, a kto wie, czy nie jako człowieka. Według naszego generała w Waszyngtonie takie działania wcale nie należą do rzadkości.

- Ale, panie Pinkus... - Na ślicznej twarzy Jennifer pojawił się grymas częściowo spowodowany blaskiem słońca, a częściowo jakąś niepokojącą myślą. - Czegoś mi tutaj brakuje, czegoś bardzo ważnego... Być może do wszystkich spraw, w których uczestniczy wódz Grzmiąca Głowa, podchodzę z paranoiczną podejrzliwością, ale chyba mam ku temu ważne powody. Przecież wczoraj Hawkins powiedział nam tylko tyle, że „wszystko jest pod kontrolą”. Pod kontrolą, nic więcej. Co to znaczy? Zgoda, udało mu się jakoś odwieść tych zmilitaryzowanych aktorów od zamiaru poszatkania nas na kawałki, ale w jaki sposób? Co się stało w Forcie Benning? Byliśmy tacy zachwyceni, że możemy spać spokojnie, iż nawet go o to nie zapytaliśmy!

- Niezupełnie, Jennifer. Wcześniej ustaliłem z nim, że nie będziemy rozmawiać przez telefon o żadnych szczegółach, ponieważ zwrócił mi uwagę, że już raz wysłano za nami do Hooksett oddział zawodowych morderców, więc jest całkiem prawdopodobne, że założono także podsłuch

- Wydawało mi się, że linia została zerwana? - zauważył Devereaux

- Teoretycznie, ale nie w praktyce. Wczoraj wieczorem nie mógł powiedzieć tego, co powiedział dzisiaj rano.

- Zdjęto podsłuch? Skąd może o tym wiedzieć?

- Dzisiaj nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ dzwonił

Z automatu w zajeździe „Obiad u Sophie” przy szosie numer dziewięć. dziesiąt trzy. Zachwalał mi nawet tamtejszą jajecznicę na kielbasie.

- Panie Pinkus, proszę... - powiedziała Jennifer błagalnym tonem. - Co powiedział panu o Forcie Benning?

- Irytująco mało, moja droga, ale *zarazem* wystarczająco dużo, by siedzący przed wami stary prawnik zaczął się zastanawiać nad zmianami w sposobie pojmowania prawa, zmianami, jakie na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci zaszły w mentalności tych, których zadanie polega na czuwaniu, żeby było ono przestrzegane... Z drugiej strony zastanawiam się, dlaczego mnie to jeszcze dziwi.

- Mówisz o bardzo poważnych sprawach, Aaronie.

- Bo to, co powiedział mi generał, miało nielichą wagę, młody człowieku. Parafrazując tego znakomitego żołnierza można stwierdzić, że wroga akcja, jaką podjęto przeciwko nam - a właściwie przeciwko podstawowym prawom obowiązującym w tym kraju - została zapoczątkowana w gabinecie jednej z najbardziej wpływowych postaci naszego życia politycznego, która tak gorliwie zatarła wszelkie wiodące do niej ślady, że właściwie przestały one istnieć. Nie możemy przedstawić temu człowiekowi żadnych dowodów, ponieważ ich po prostu nie ma...

- Niech to nagła cholera! - wybuchnął Devereaux.

- Musi coś być, przecież tyle się zdarzyło! - wykrzyknęła Jennifer. - Chwileczkę... A ten gangster z Brooklynu, ten, którego Hawkins znokautował w hotelu, Cezar-jakiś-tam... Wsadzono go do aresztu!

- I stwierdzono, że działał na polecenie tragicznie zmarłego dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej - poinformował ją Pinkus.

- Skąd my to znamy... -• mruknął Sam.

- A ci nadzy ludzie w Ritzu? "

- Odciął się od nich cały Waszyngton, łącznie z dyrekcją ogrodu zoologicznego. Zaraz potem zostali zwolnieni za kaucją, którą złożył jakiś osobnik podający się za członka kalifornijskiej organizacji nudystów, i zniknęli bez śladu.

- Do licha... - W głosie Jenny słychać było zarówno gniew, jak i przygnębienie. - Popelniliśmy błąd, pozwalając Hawkinsowi usunąć z chaty tamtych czterech uzbrojonych szaleńców. Mieliśmy wszystko: napad z bronią w ręku, naruszenie własności, maski, broń palną,

144

granaty, a nawet wytatuowane czoło. Zachowaliśmy się jak idioci, bo ustąpiliśmy przed argumentami Grzmiącego Cygara!

-- Moja droga, oni absolutnie nic nie wiedzieli. Przesłuchiwaliliśmy ich, ale wydobyliśmy tylko stek bredni. To byli zaprogramowani psychopaci, jeszcze mniej wiarygodni od nudystów. Gdybyśmy przekazali ich policji, ujawnilibyśmy miejsce naszego pobytu. Przykro mi to powiedzieć, ale ponieważ oficjalnie właścicielem chaty jest moja firma, sprawą na pewno zainteresowałyby się środki przekazu.

- Nie mam powodu, żeby obrzucać Maca naręczami kwiatów, ale akurat wtedy miał rację - dodał Sam. - Pozbywając się ich doprowadziliśmy do tego, że w Bostonie zjawiła się ta zwariowana Samobójcza Szóstka.

- A my nawiązaliśmy znajomość z generałem Ethelredem Broke-michaeliem - uzupełnił Aaron z czymś, co w jego wykonaniu stanowiło najbliższy odpowiednik przebiegłego uśmiechu.

- Co pan chce przez to powiedzieć, panie Pinkus? Wczoraj dał pan jasno do zrozumienia, że Brokemichael zniknie z horyzontu, odesłany do jakiejś bazy, której nie ma nawet na najdokładniejszych mapach. Wspomniał pan, że Waszyngton nie dopuści do ujawnienia nazwiska dygnitarza, który zezwolił na lot Air Force II. Doskonale to pamiętam, bo uważałam tak samo.

- Oboje mieliśmy rację, Jennifer, tyle że zabrakło nam przebiegłości generała Ten znakomity wojskowy taktyk nagrał całą rozmowę z Ethelredem Brokemichaeliem. Pentagon nie znajdzie wystarczająco odległego miejsca, żeby schować tam Brokeya... Muszę jednak przyznać, iż generał Hawkins wcale nie ukrywa, że pomysł z magnetofonem podsunął mu nasz najemnik-chemik, pułkownik Cyrus.

- Przypuszczam, że nazwisko tego dygnitarza znajduje się na taśmie? - powiedział

Sam z wyrazem »mściwej nadziei na twarzy.

- Naturalnie. Podobnie jak wyraźne stwierdzenie faktu, że korzystając z fałszywych dokumentów, dostał się na teren bazy.

- Kto to jest, do diabła?

- Przykro mi, ale nasz generał chwilowo nie może ujawnić jego tożsamości.

- Nie wolno mu tak postępować! - wykrzyknęła Jennifer. - Tkwimy w tym razem! Mamy prawo wiedzieć!

- Twierdzi, że gdyby Sammy się dowiedział, to... „dostałby amoku, wskoczył na najszybszego konia i poprowadził kawalerię do

145

ataku", niwecząc tym samym strategiczne plany Hawkinsa. Muszę się zgodzić z jego oceną sytuacji, ponieważ wielokrotnie osobiście byłem świadkiem takiego zachowania Sama.

- Nigdy nie dostałem amoku! - zaprotestował Devereaux.

- Mam ci przypomnieć, ile razy głośno podawałeś w wątpliwość uczciwość sądu?

- Zawsze miałem ku temu konkretne powody!

- Nie twierdzą, że tak nie było. Gdybyś ich nie miał, pracowałbyś już w innej firmie. Na twoją korzyść muszę jednak przyznać, że w samym Bostonie odesłałeś na wcześniejszą emeryturę co najmniej czterech sędziów.

- A widzisz?

- Widzę, podobnie jak generał. Powiedział mi, że kiedyś wsiadłeś na tego swojego konia w Szwajcarii, po czym, kradnąc śmigłowce i przekupując pilotów, poleciałeś prosto do Rzymu, a on wolałby uniknąć powtórki.

- Musiałem to zrobić!

- Dlaczego, Sam? - zapytała spokojnie Jennifer. - Dlaczego musiałeś to zrobić?

- Bo on postępował niewłaściwie. Moralnie i etycznie niewłaściwie, w niezgodzie ze wszystkimi cywilizowanymi prawami.

- Boże, lepiej nic nie mów! Myślę, że mógłbyś mnie przekonać, więc lepiej już nic nie mów.

- Co takiego?

- Daj spokój... A więc Grzmiący Bęben nic nam nie powie, panie Pinkus. Co zrobimy?

- Zaczekamy. Generał sporządził kopię nagrania, którą Paddy Lafferty dostarczy nam dziś wieczorem. Potem, jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie da znaku życia, zrobię wszystko, żeby dodzwonić się do prezydenta Stanów Zjednoczonych i odtworzyć mu tę taśmę przez telefon.

- To będzie strzał z grubej rury - zauważył cicho Sam. **

- Z najgrubszej - potwierdziła Jennifer.

Okno w mknącej na południe w kierunku Nowego Jorku limuzynie Aarona Pinkusa panował dość duży tłok - członkowie Samobójczej Szóstki siedzieli po trzech na tylnej kanapie

146

i rozkładanej ławeczce, zwróceniu twarzami do siebie, Jastrząb natomiast zajmował miejsce z przodu, obok Paddy'ego - to jednak w czasie podróży udało się załatwić kilka rzeczy. Pierwszą z nich było nabycie podczas postoju przed centrum handlowym w Lowell w stanie Massachusetts dwóch dodatkowych magnetofonów i pudła z jednogodzinnymi kasetami; Hawkins uznał, że tyle powinno wystarczyć do Nowego Jorku. Dodatkowo kupił kabel przyłączeniowy, dzięki któremu można było przegrać zawartość kasy z magnetofonu na magnetofon.

- Pozwoli pan, że zademonstruję, jak to się robi - zaproponował sprzedawca. - To naprawdę bardzo proste...

- Synu - odparł Jastrząb, któremu ogromnie zależało na czasie - ja na długo przed wynalezieniem radia zakładałem łączność w prehistorycznych jaskiniach

Znalazłszy się z powrotem w limuzynie, generał uruchomił pierwszy magnetofon i odwrócił się do ludzi Brokemichaela.

- Panowie - zaczął. - Ponieważ będę osobiście pośredniczył w negocjacjach między wami a fachowcami z przemysłu filmowego, których już niedługo poznacie, wasz dowódca, a mój przyjaciel, Brokey, zaproponował, żebyście opowiedzieli mi dokładnie o swoich

sukcesach, i to zarówno tych indywidualnych, jak i osiągniętych w rezultacie wspólnego działania waszej znakomitej Samobójczej Szóstki. Dzięki temu będę miał się na czym oprzeć podczas rozmów z producentami... I proszę nie krępować się obecnością pana Lafferty'ego, a właściwie sierżanta artylerii Lafferty'ego. Walczyliśmy razem w Europie.

- Mógłbym teraz paść tu trupem, bo moja dusza już jest w niebie! - wyszeptał Paddy.
- Co takiego, sierżancie?

Nic, generale. Zawiozę was tak, jak nauczył pan nas we Francji, Będziemy szybsi od błyskawicy!

Przez następne cztery godziny, podczas których ogromny samochód mknął przed siebie z wielką prędkością, trwała nieprzerwana opowieść o wyczynach oddziału zwanego Samobójczą Szóstką - nieprzerwana z wyjątkiem dość częstych krzyków, kiedy jego kipiący niepowstrzymaną energią członkowie wpadali sobie nawzajem w słowo. Gdy limuzyna dotarła do Bulwaru Brucknera i wjechała na most wiodący na Manhattan, generał Hawkins podniósł lewą rękę, prawą zaś wyłączył magnetofon

147

- Wystarczy, panowie - powiedział, potrząsając głową, w której aż dźwięczało mu od melodramatycznego zgiełku dobiegającego z tylnych siedzeń. - Mam już pełen obraz sytuacji i dziękuję wam za współpracę zarówno w imieniu waszego dowódcy, jak i własnym.

- Mój Boże! - wykrzyknął sir Larry. - Właśnie sobie przypomniałem... Nasze ubrania! Są w bagażach, które pańscy adiutanci przywieźli nam z hotelu, i pilnie wymagają prasowania. Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczono nas wchodzących w pomiętych strojach do Waldorf-Astorii albo do Sardiego.

- Słuszna uwaga. - Był to rzeczywiście poważny problem, którego Jastrząb nie wziął wcześniej pod uwagę, co prawda nie mający nic wspólnego z wygniecionymi ubraniami. Należało za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której ktoś zobaczyłby sześciu aktorów-koman-dosów wchodzących gdziekolwiek, a już szczególnie promieniujących zadowoleniem i święcie przekonanych o tym, że oto nadeszła godzina ich tryumfu. Mój Boże! - pomyślał MacKenzie, przypominając sobie dni spędzone w Hollywoodzie. Każdy aktor - a szczególnie poszukujący zatrudnienia - dysponował czymś w rodzaju szóstego zmysłu pozwalającego mu wychwycić nawet najśłabsze sygnały świadczące o tym, że ktoś nosi się z zamiarem powierzenia mu jakiejś roli, i natychmiast zaczynał puszyć się jak paw, czyniąc mnóstwo zamieszania wokół swojej osoby. Generał doskonale rozumiał, że nie docenione talenty szukają wsparcia w nadmiernej pewności siebie, ale teraz był akurat najmniej odpowiedni moment na takie zachowanie. Do Sardiego, Jezus, Maria! - Wiecie co? - rzucił od niechcienia Jastrząb. - Jak tylko wejdziemy do pokoi, odeślemy wszystkie rzeczy do pralni.

- Kiedy nam je oddadzą? - zapytał Książę.

- To właściwie nie ma znaczenia, bo ani dziś, ani jutro nie będziemy nigdzie wychodzić.

- Co takiego? - zdumiał się Marlon.

- Ejże, daj spokój! - wykrzyknął Sylvester.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem w Nowym Jorku! - poskarżył się Dustin.

- A pan Sardi jest naszym bliskim przyjacielem - dodał Telly. - Nawiasem mówiąc, służył kiedyś w komandosach, więc...

- Przykro mi, panowie - przerwał mu Jastrząb. - Obawiam się, że nie wyraziłem się wystarczająco jasno, choć wydawało mi się, że sami się domyślicie.

148

- Czego się domyślimy? - warknął niezbyt przyjaźnie Sly. - Mówi pan jak agent.

- Dla dobra czekających was negocjacji musimy utrzymać wasze przybycie w ścisłej tajemnicy. Choć wasz dowódca, generał Brokemi-chael, pomoże rozmawiać z producentami, to nie zapominajcie, że według przepisów wciąż jesteście żołnierzami. W wypadku najmniejszego przecieku sprawa może stać się zupełnie nieaktualna, dlatego też otrzymać 'zakaz opuszczania kwater aż do odwołania.

- Możemy do niego zadzwonić... - zaproponował nieśmiało Marlon

- Wykluczone! Obowiązuje całkowita cisza w eterze.
- Tak się robi tylko wtedy, kiedy nieprzyjaciel dostanie się na naszą częstotliwość - zauważył Dustin.
- O tym właśnie mówię! Ci sami zepsuci politycy, którzy próbowali nas na siebie poszczuć, teraz czynią wszystko, żeby zrujnować wasze kariery. Chcą zgarnąć wszystko dla siebie!
- Cholerne dranie! - wykrzyknął Książę. - Rzeczywiście, większość z nich to aktorzy, ale bez choćby krzty talentu.
- Kierują się płytkimi motywacjami - dodał Sylvester.
- W ich grze nie ma odrobiny autentyzmu - stwierdził stanowczo Marlon
- Dysponują niezłą techniką - przyznał sir Larry - ale nauczyli się tego tak jak psy Pawłowa.
- Otóż to! - potwierdził Telly. - Zaprogramowane gesty i wiecznie te same miny, gdy zapominają tekstu. Kiedy ludzie wreszcie przejrzą na oczy?
- Starają się, jak mogą, ale nie mają tego we krwi! - wykrzyknął Książę. - Niech mnie szlag trafi, jeśli uda im się zabrać nam tę robotę!... Zgoda, generale: zostajemy w kwaterach i robimy wszystko, co pan nam każe.

MacKenzie Hawkins, schludny, lecz nie sprawiający zbyt imponującego wrażenia w szarym garniturze, okularach w stałych oprawkach, z rudawą peruką na głowie i lekko pochylonymi ramionami, przeciskał się przez zatłoczony główny hol hotelu Astoria, rozglądając się w poszukiwaniu automatu telefonicznego. Było kilka minut po pierwszej po południu, cała Samobójcza Szóstka

149

przebywała zaś w trzech stykających się ze sobą apartamentach na jedenastym piętrze. Uwolnieni od konieczności spożywania owoców kulinarnego talentu Desi Drugiego, odkarmieni potrawami przyniesionymi z hotelowej restauracji, wypoczęci po nocy przespanej w wygodnych łóżkach i bez towarzystwa pajaków wędrujących po ścianach, wszyscy członkowie oddziału znajdowali się w znakomitej formie zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Zapewnili Hawkinsa, że mają ze sobą polowe mundury i że pozostaną w zamknięciu, nie kontaktując się ze światem zewnętrznym nawet przez telefon, choćby pokusa była nie do wytrzymania. W czasie kiedy lokowali się w apartamentach, Jastrząb przegrał na drugą kasetę całą rozmowę z Brokeyem, wręczył ją Paddy'emu i polecił mu dostarczyć ją do Swampscott, teraz zaś miał zamiar przeprowadzić z hotelowego automatu kilka rozmów: pierwszą z Małym Józefem w Bostonie, drugą z pewnym emerytowanym admirałem, który zaprzedał duszę Departamentowi Stanu i który jednocześnie miał wobec Hawkinsa dług wdzięczności za to, że ten uratował mu dupę, kiedy dowodzony przez admirała okręt ostrzelał niewłaściwy brzeg w zatoce Wonsan w Korei, a trzecią z jednym ze swoich najlepszych przyjaciół, czyli z pierwszą spośród czterech byłych żon - Ginny, mieszkającą w Beverly Hills w Kalifornii.

Wcisnął guzik z cyfrą zero, podał numer karty kredytowej i wystukał numer.

- Mały Józefie, tu generał.
- Ty, *fazool*, gdzieś się podziewał tak długo? Szef chce z tobą gadać, ale nie zadzwoni do tamtej dziury nad morzem, bo nie wie, czy ktoś nie siedzi na drutach.
- To znakomicie zązębia się z moimi założeniami taktycznymi, gdyż ja także chcę z nim rozmawiać. - Jastrząb zerknął na numer automatu. - Możesz go złapać?
- Pewnie. Co pół godziny kręci się koło budki na Collins Avenue w Miami Beach. Teraz będzie tam za jakieś dziesięć minut.
- Mam do niego zadzwonić?
- Nie ma mowy, koleś. On przedrynda do ciebie.
- W porządku. Podaj mu mój numer w Nowym Jorku, ale powiedz, że dotrę tam nie wcześniej niż za jakieś dwadzieścia minut.

Mac podyktował numer automatu telefonicznego zainstalowanego w holu hotelu Waldorf, po czym odwiesił słuchawkę, sięgnął do

150

kieszeni marynarki, wyjął z niej mały notes i odszukał nazwisko człowieka, z którym

musiał teraz porozmawiać.

- Jak się masz, Angus - powiedział, powtórzywszy rytuał i recytowaniem numeru karty kredytowej. - Co słyszeć u najznakomitszego dowódcy marynarki wojennej, który przez pomyłkę ostrzelał nasze stacje namiarowe w zatoce Wonsan, a potem posadził okret na brzegu?

- Kto mówi, do diabła? - warknął zaimpregnowany już trzema szklankami martini emerytowany admirał.

- Zgadnij, Frank, ale masz tylko jedną szansę. Chcesz przeciwżyć podawanie współrzędnych?

- J a s t r z ą b ? To ty?

- A któż by inny, żeglarzu?

- Doskonale wiesz, że otrzymałem błędny raport wywiadu...

- Albo pomyliłeś się, odczytując cyferki.

- Daj mi wreszcie spokój! Skąd miałem wiedzieć, że ty też tam jesteś? Poza tym co to za różnica parę kilometrów w tę czy w tamtą stronę

- Różnica dotyczy mego życia i życia moich ludzi. Byliśmy na naszym terytorium.

- To już przeszłość! Przeszedłem na emeryturę!

- Ale w dalszym ciągu jesteś doradcą, Frank. Poważnym, szanowanym ekspertem Departamentu Stanu, specjalistą od sytuacji wojskowej na Dalekim Wschodzie. Ach, te przyjęcia, zabawy, przeloty prywatnymi samolotami i wspaniałe wakacje fundowane przez wdzięcznych dostawców uzbrojenia...

- Zasłużyłem sobie na to!

- Tylko że nie potrafisz odróżnić jednej plaży od drugiej. To ma być ekspert?

- Mac, daj mi wreszcie spokój! Wywlekanie starych spraw nic nie da ani mnie, ani tobie. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Przecież widziałem w telewizji, że dostajesz jakąś szwedzką nagrodę! Co w tym złego, że zbieram, co mi spadnie i troszczę się o swój reumatyzm?

- Zadajesz się z Departamentem Stanu.

- Owszem, i staram się dostarczać im najlepszych analiz. ••'

- Dostarczysz im coś jeszcze, Frank, bo jeśli tego nie zrobisz, to Żołnierz Stulecia ujawni największy skandal, jaki został wywołany podczas wojny w Korei.

151

Zaraz potem Jastrząb sprecyzował swoje żądania. Rozmowa z Beverly Hills zaczęła się nie najlepiej.

- Czy mogę mówić z panią Greenberg?

- Przykro mi, ale tutaj nie mieszka żadna pani Greenberg -^ odpowiedział lodowaty męski głos z wyraźnym brytyjskim akcentem.

- Przepraszam, widocznie pomyliłem numer...

- Raczej pomylił pan nazwiska. Pan Greenberg wyprowadził się ponad rok temu. Być może chce pan rozmawiać z panią Cavendish?

- To Ginny?

- To lady Cavendish. Mogę wiedzieć, kto mówi?

- Jastrząb.

- Jastrząb? Tak jak ten odrażający drapieżny ptak?

- Bardzo odrażający i cholernie drapieżny. A teraz **powiedz lady** Caviar, czy jak jej tam, że czekam przy telefonie!

- Powiem jej, ale niczego nie gwarantuję. Zapadła cisza, którą po pewnym czasie przerwał podekscytowany głos pierwszej żony Hawkinsa:

- Jak się miewasz, mój słodki?!

- Miałem się znacznie lepiej, dopóki nie porozmawiałem z tym pajacem, który powinien wyciąć sobie migdałki. Kto to jest, do diabła?

- Och, przyjechał razem z Chaunceyem. Od wielu lat jest jego kamerdynerem.

- Chauncey?... Cavendish?...

- L o r d Cavendish, najdroższy. Mnóstwo pieniędzy i ozdoba przyjęć. Zajmuje pierwsze miejsce na wszystkich listach.

- Listach?

- Listach gości, ma się rozumieć.

- A co się stało z Mannym?

- Znudzilo go towarzystwo starej kobiety, więc za okrągłą sumkę zwróciłam mu

wolność.

- Do licha, Ginny, przecież ty wcale nie jesteś stara!
- Według Manny'ego każda dziewczyna, która skończyła szesnaście lat, stoi nad otwartym grobem... Ale nie mówmy już o mnie, kochanie. Jestem z ciebie taka dumna! Nasz Jastrząb Żołnierzem Stulecia! Wszystkie jesteście z ciebie dumne!
- Na razie nie otwieraj jeszcze szampana, dziecino. Niewykluczone, że to fałszywka.
- Co takiego? Niemożliwe!

152

- Ginny, nie mam teraz czasu. Wypierdki z Waszyngtonu znowu dobrały mi się do tyłka. Potrzebuję pomocy.
 - Jeszcze dziś po południu skrzyknę wszystkie dziewczęta. Co i komu możemy zrobić?... Wątpię, czy uda mi się dotrzeć do Annie, bo znowu pojechała do jakiejś kolonii trędowatych, a Madge siedzi na wschodnim wybrzeżu - zdaje się, że w Nowym Jorku albo Connec-ticut - ale zorganizuję z nią i z Lillian małą telekonferencję.
 - Zadzwoń mi właśnie do ciebie, Ginny, ponieważ myślę, że tylko ty możesz mi pomóc.
 - Ja? Mac, doceniam twoje dobre wychowanie, ale ja n a p r a w d ę jestem najstarsza. Wcale mnie to nie cieszy, ale wydaje mi się, że Midgey i Lii łatwiej będą mogły sprostać twoim wymaganiom. Wciąż jeszcze przyjemnie na nie spojrzeć. Naturalnie Annie jest w tej konkurencji nie do pobicia, ale podejrzewam, że stroje, które ostatnio preferuje, nie dodają jej zbyt wiele wdzięku.
 - Jesteś wspaniałą i szlachetną kobietą, Ginny, choć akurat w tej chwili zupełnie się mylisz... Kontaktujesz się jeszcze z Mannym?
 - Tylko za pośrednictwem prawników. Chce zabrać kilka obrazów z tych, które kupił, ale niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę temu draniowi choćby dotknąć palcem ramy któregoś z nich.
 - Cholera, to fatalnie!
 - Mac, wyduś wreszcie z siebie, czego właściwie potrzebujesz?
 - Jednego ze scenarzystów, których zatrudnia u siebie w studio.
 - Czyżby kręcili następny film o tobie?
 - Do licha, nie! Nigdy więcej!
 - Cieszę się, że to słyszę. W takim razie po co ci scenarzysta?
 - Musi mi przygotować zupełnie niewiarygodny, choć całkowicie autentyczny materiał, którym chcę pomachać przed nosami tych tłuściochów z Hollywoodu. Problem polega na tym, że jest na to bardzo mało czasu, dokładnie jeden dzień.
 - J e d e n d z i e ń ?
 - Jeśli będzie się streszczał, to wyjdzie mu tego najwyżej pięć albo dziesięć stron, ale za to „czystego dynamitu"! Mam wszystko nagrane na kasetach. Manny na pewno zna kogoś, kto mógłby to zrobić..., •,
 - Ty też, kochanie! Nie pomyślałeś o Madge?
 - O kim? ;• i
 - O twojej trzeciej żonie, *mon general*.
 - Midgey? A co z nią?

153

- Nie czytujesz gazet?
- Jakich?
- „The Hollywood Reporter" i „Daily Variety". Tutaj, w naszym pomarańczowym stanie, uważa się je za coś w rodzaju Biblii.
- Z prawdziwą Biblią też jestem raczej na bakier. No wiec, co' z nimi?
- Madge jest jedną z najlepszych scenarzystek w Hollywoodzie! Na tyle dobrą, że mogła sobie pozwolić na to, żeby wyjechać z miasta i pisać w Nowym Jorku albo w Connecticut. Jej ostatni scenariusz, *Lesbijskie robaki mutanty atakują*, zrobił prawdziwą furorę!
- A niech mnie! Zawsze wiedziałem, że Midgey ma skłonności do literatury, ale żeby aż...
- Nie używaj słowa literatura! Tutaj to oznacza śmierć... Podam ci jej numer, ale musisz dać mi kilka minut. Zadzwoń do niej pierwsza i powiem, żeby czekała na telefon od ciebie. Wyobrażam sobie, jaka będzie podniecona!

- Ginny, ja jestem właśnie w Nowym Jorku.
- Ma dziewczyna szczęście! Jest pod dwieście trzy.
- A co to?
- Kierunkowy do Greenwich, ale nie tego w Anglii. Zadzwoń do niej za pięć minut, kochanie. A kiedy wszystko się skończy, cokolwiek to jest, koniecznie musisz przyjechać do nas i poznać Chaunceya. Będzie zachwycony, bo ogromnie cię podziwia. Służył kiedyś w Piątej Dywizji Grenadierów... A może w Piętnastej albo Pięćdziesiątej? Nie mogę zapamiętać.
- Grenadierzy stanowili chlubę naszej armii, Ginny! Widzę, że nabrałaś rozsądku. Przyjadę, możesz być tego pewna!
- MacKenzie Hawkins wydrapał końcówką długopisu numer swojej trzeciej żony na blacie ze sztucznego marmuru i odwiesił słuchawkę. Był tak zadowolony z nieoczekiwanej pomyślnego przebiegu wydarzeń, że sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej cygaro, zgniół je, a następnie zapalił, potarłszy zapałkę o blat. Postawna matrona w sukience w kolorowe wzory, stojąca przy aparacie z lewej strony generała, zaniósła się donośnym kaszlem.
- Tak przyzwoicie wygląda, a takie okropne maniery! - wykrztusiła między kolejnymi atakami kaszlu, obrzucając Jastrzębia miażdżącym spojrzeniem.
- Nie gorsze niż pani, madam. Dyrekcja hotelu byłaby bardzo

154

wdzięczna, gdyby przestała pani zapraszać do swego pokoju tych młodych kulturystów.

- Dobry Boże, kto panu?... - Matrona pobladła i umknęła w popłochu. Zaraz potem zadzwonił telefon Hawkinsa.
- Dowódca Y? - zapytał cicho Jastrząb.
- Generale, nadeszła chwila, kiedy powinniśmy się spotkać.
- Całkowicie się z panem zgadzam. Ale jak to zrobimy, skoro pan w dalszym ciągu jest martwy?
- Dysponuję tak znakomitym przebraniem, że nie poznałaby mnie nawet rodzona matka, niech spoczywa w spokoju.
- Przyjmij wyrazy współczucia, kolego. To okropne przeżycie stracić matkę.
- Tak, teraz mieszka w Lauderdale... Słuchaj pan, mam mnóstwo spraw na głowie, więc musimy się streszczać. Przede wszystkim, jak chcecie dotrzeć pojutrze na przesłuchanie? Macie jakiś plan?
- Jestem w trakcie jego opracowywania, dowódco. Dlatego właśnie chcę się z panem spotkać. Chciałem także podziękować za posiłki, które pan nam przysłał...
- Posiłki? Jakie posiłki? **
- Myślę o najemnikach.
- O najemnikach?
- O dwóch ludziach, których zatrudnił pan, żeby nas chronili.
- A, ci... Mam mnóstwo spraw na głowie. Przepraszam za tego hitlerowca, ale wydawało mi się, że ogoli się świńskim gównem, jeśli dostanie taki rozkaz.
- Za jakiego hitlerowca?
- Ach, zapomniałem, zgubił się gdzieś. Dobra, co to za plan?
- Przede wszystkim muszę poprosić pana o zgodę na wykorzystanie posiłków
- Wykorzystujcie sobie, co chcecie... Jakich znowu posiłków? - Strażników, których pan nam przysłał.
- Ach, tak. Naprawdę przykro mi z powodu tego Szwaba. Słuchaj pan, mam mnóstwo spraw na głowie, więc musimy się streszczać. Ponieważ wasz plan nie jest jeszcze gotów, więc myślę, że pan i pański szurnięty prawnik powinniście jak najszybciej do mnie przyjechać.
- Sam? Zna pan Sama Devereaux?
- Trochę inaczej wymawiali, ale wiem, że jak szczy z Pentagonu dowiedziały się o tym, że ten Deveroxx jest pańskim adwokatem, to

155

mało ich szlag nie trafił, jakby ktoś wetknął im odbezpieczony granat w hemoroidy. Zdaje się, że w Kambodży czy gdzieś tam zeżarł banany nie z tego drzewa co należało.

- Wszystko zostało już wyjaśnione, a błąd naprawiony.

- Pan tak może myśli, ale nie szefowie sztabów. Kilku z nich mają wielką ochotę powiesić tego sukinkota. Jest razem z panem na samym szczycie ich czarnej listy.

- Nie spodziewałem się takich komplikacji - odparł Jastrząb. - Doprawdy trudno mi zgadnąć, skąd się bierze to wrogie nastawienie...

- Hu-ha, jak by powiedział Mały Joey! - wykrzyknął Vinnie Bam-Bam. - Widocznie zapomniał pan, co jest na końcu tego pieprzonego labiryntu, w który się pan wpakowałeś! Dowództwo Lotnictwa Strategicznego, a to już nie w kij dmuchał!

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, niemniej jednak uważam, że istnieje jeszcze niewielka szansa pokojowego rozwiązania konfliktu. Wydaje mi się, że warto spróbować.

- A teraz powiem panu, co ja uważam - przerwał Mangec"aval-to. - Otóż chcę, żeby jeszcze dziś wieczorem zjawił się pan w Waszyngtonie razem z tym prawniczym kapuścianym łbem. Ja też tu przylecę i przechowam was aż do chwili, kiedy pojedziecie opancerzonym wozem do sądu. I co, potrafiłby pan wymyślić coś lepszego?

- Od razu widać, że nie ma pan doświadczenia w przeprowadzaniu tajnych operacji, dowódco Siłowe przełamanie linii nieprzyjaciela to bułka z masłem; najtrudniej jest przeniknąć przez nie tak, żeby nikt tego nie zauważył. Należy precyzyjnie skalkulować każdy krok wiodący do celu zerowego.

- Gadaj pan po angielsku, do cholery!

- Trzeba zneutralizować wszystkie przeszkody, które wzniesiono na drodze prowadzącej do sali posiedzeń Sądu Najwyższego. Wydaje mi się, że istnieje na to sposób.

- Wydaje się panu? Nie mamy czasu na takie rzeczy!

- Chyba jednak mamy. Zgadzam się, że powinniśmy spotkać się jeszcze dzisiaj w Waszyngtonie, tylko że to ja zadecyduję gdzie... Przy pomniku Lincolna, dwieście kroków z przodu i dwieście kroków w prawo, punktualnie o ósmej. Ma pan, dowódco?

- Co mam mieć? Mam jedno wielkie gówno, i nic więcej!

- Przykro mi, ale czas mnie nagli - odparł MacKenzie Haw-kins. - Ja też mam wiele spraw na głowie. Proszę tam być!

156

Brokey, tu Mac - powiedział Hawkins, usłyszawszy w słuchawce głos Brokemichaela.

- Boże, ty chyba nawet nie wiesz, co mi zrobiłeś! Ten cholerny sekretarz stanu chce dobrać mi się do tyłka!

- Zaufaj mi, Brokey, a ty mu się dobraćiesz. Teraz słuchaj uważnie i zrób dokładnie to, co każę. Złap pierwszy samolot do Waszyngtonu i...

Trank, tu Jastrząb. Zrobiłeś, co ci powiedziałem? Skontaktowałeś się z sekretarzem stanu, czy może jesteś już pośmiewiskiem armii?

- Zrobiłem to, ty draniu, a on chce dostać mnie na talerzu! Załatwiłeś mnie na amen!

- *Au contraire*, admirał, być może czeka cię jakiś niespodziewany awans. Podałeś mu czas i miejsce?

- Kazał mi wsadzić to sobie w dupę i nigdy więcej do niego nie dzwonić!

- Znakomicie. Będzie tam.

MacKenzie Hawkins odsunął się od aparatu, ponownie zapalił cygaro i spojrzął w kierunku baru usytuowanego po drugiej stronie holu, pod gołym niebem. Odczuwał wielką pokusę, żeby przejść do tego zacienionego sanktuarium wspomnień sprzed wielu lat, kiedy był młodym, zakochanym oficerem - zawsze autentycznie i zawsze do szaleństwa, choć nigdy na długo w tej samej osobie - lecz zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma teraz na to czasu... Madge, jego trzecia żona, równie piękna i równie dla niego ważna jak pozostałe; kochał je wszystkie, nie tylko za to, kim były, ale także za to, kim miały się dopiero stać. Pewnego razu, kiedy wraz z pewnym nadmiernie wykształconym kapitanem ukrywał się w północnowiet-namskiej jaskini w pobliżu szlaku Ho-Szi-Mina, przegadał z nim szeptem bez przerwy kilkanaście godzin. Nie mieli nic innego do roboty - inną możliwością było dać się złapać i zginać.

- Wie pan, na co pan cierpi, pułkowniku?

- Na co, chłopcze?

- Na kompleks Galatei. Usiłuje pan przemienić każdy piękny posąg w żywą myślącą

- Skąd wam się biorą takie głupstwa, kapitanie?
- Studiowałem psychologię na Uniwersytecie Michigan, panie pułkowniku.
- Nawet jeśli tak właśnie wyglądała prawda, to czy było w tym coś niewłaściwego? Madge, podobnie jak pozostałe, miała wielkie marzenie: pragnęła zostać pisarką. W głębi duszy Mac nie był tym zachwycony, choć musiał przyznać, że potrafiła każdego zainteresować losem wymyślonych przez siebie postaci. A teraz nadszedł jej czas... Co prawda nie był to Tołstoj, ale *Lesbijskie robaki mutanty atakują* także znalazły dla siebie miejsce; pozostawało jedynie mieć nadzieję, że jego trzecia żona utrzyma odpowiedni dystans do swojej pracy i nie zapomni o zachowaniu właściwej perspektywy.
- MacKenzie ponownie odwrócił się do aparatu, powtórzył rytuał z kartą kredytową i wystukał numer. Niemal natychmiast ktoś podniósł słuchawkę.
- Na pomoc! Na pomoc! - rozległ się przerażony kobiecy głos. - Robaki wypełzają ze ścian i z podłogi! Są ich tysiące! Atakują mnie! Chcą mnie wykorzystać!
- Głos raptownie umilkł i zapadła złowróżbna cisza.
- Trzymaj się, Midgey, już do ciebie jadę! Podaj mi adres, do cholery!
- Och, daj spokój, Mac - odpowiedziała Madge zupełnie normalnym tonem. - To tylko reklamówka.
- Co?...
- Nadają ją w telewizji i w radio. Dzieciakom strasznie się podoba, a ich rodzice chcą mnie deportować na Antarktydę.
- Skąd wiedziałaś, że to ja?
- Kilka minut temu rozmawiałam z Ginny, a poza tym ten numer znają tylko dziewczęta i mój agent, który dzwoni do mnie jedynie wtedy, kiedy jest jakiś problem, czyli nigdy, bo nie uwierzysz, ale wszystko idzie jak po maśle! To twoja zasługa, Mac! Zawsze będę twoją dłużniczką.
- Więc Ginny nic ci nie powiedziała?
- Chodzi o ten dziesięciostronicowy zarys scenariusza? Jasne, że powiedziała. Samochód z firmy kurierskiej czeka pod moim domem. Jak tylko przywiezie mi taśmy, natychmiast siadam do roboty i do rana wszystko będzie gotowe. Przynajmniej w ten sposób mogę ci się odwdziżyć.

158

- Jesteś wdechową dziewczyną, Midgey.
- Wdechowa dziewczyna... To takie typowe dla ciebie, Mac. Jeśli jednak mam być zupełnie szczerą, to ty jesteś najbardziej wdechowym facetem, jakiego kiedykolwiek miałyśmy okazję poznać. Czasem tylko wydaje mi się, że posunąłeś się trochę za daleko z Annie.
- Ja tego nie zrobiłem...
- Wiem, wiem. Od czasu do czasu daje znać o sobie, a my obiecałyśmy dochować tajemnicy. Mój Boże, kto by w to uwierzył...
- Ona jest teraz szczęśliwa, Madge.
- Wiem, Mac. Właśnie na tym polega twój geniusz.
- Nie jestem geniuszem... Może z wyjątkiem pewnych zagadnień czysto wojskowej natury.
- Tylko nie próbuj tego wmawiać czterem dziewczynom, które nie wiedziały, co ze sobą zrobić, dopóki ty nie pojawiłeś się na horyzoncie.
- Jestem teraz w Waldorfie - odparł szorstko Hawkins, ukradkiem ocierając łzę, która pojawiła się w kąciu jego oka. - Powiedz kurierowi, żeby przyszedł prosto do apartamentu dwanaście A. Gdyby go ktoś zatrzymał, niech powie, że jest umówiony z panem Devereaux.
- Devereaux? Sam Devereaux? Ten miły, cudowny chłopiec?
- Spokojnie. Midgey. Znacznie się postarzał, a oprócz tego ma teraz żonę i czworo dzieci.
- Co za drań! - wykrzyknęła trzecia eks-żona MacKenziego Hawkinsa Jak mógł mi to zrobić!

Dzień w Swampscott minął bez żadnych wydarzeń. Nuda i bezczynność sprawiły, że cała trójka prawników bez przerwy wydzwaniła do swoich biur w nadziei, że ktoś będzie potrzebował ich opinii, oceny... czegokolwiek. Niestety, uzyskiwali jedynie okruchy informacji odnoszące się do bardzo mało istotnych problemów. Wymuszona gnuśność w połączeniu z brakiem wiedzy o poczynaniach Hawkinsa doprowadziły do pojawienia się pewnych napięć, szczególnie między Samem a Jennifer, która ponownie zaczęła psioczyć na bezsens sytuacji, w jakiej się znaleźli.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego ty i twoja myślowa permutacja w postaci tego zwariowanego generała w ogóle pojawiliście się w moim życiu?
- Ejże, chwileczkę! To nie ja pojawiłem się w twoim życiu, tylko ty pojechałaś taksówką do mojego domu!
- Nie miałam wyboru.
- Oczywiście. Kierowca wyciągnął pistolet i powiedział, że nie jedzie nigdzie indziej...
- Musiałam znaleźć Hawkinsa.
- O ile mnie pamięć nie myli, a raczej nie myli, Charlie Zachód Słońca znalazł go pierwszy, ale zamiast powiedzieć mu: Przykro nam, ale nie pozwolimy ci bawić się w naszej piaskownicy, zaprosił go do wspólnego stawiania babek.
- Nieprawda! Został podstępnie oszukany.

160

- W takim razie jako prawnik powinien pilnie trenować biegi sprinterskie, bo tylko w ten sposób może liczyć na zdobycie klienta.
- Nie mam zamiaru cię słuchać! Jesteś bigotem.
- Na pewno, szczególnie jeśli chodzi o mało wiarygodne usprawiedliwienia
- Idę popływać.
- Nie powinnaś tego robić.
- Dlaczego? Czyżbyś uważał, że w morzu jest za mało wygłodniałych rekinów?
- Jeśli rzeczywiście są, powiedz *adios* Aaronowi, mojej matce, Cyrusowi i Romanowi Z.
- Wszyscy pływają?
- Matka i Aaron wpadli na ten genialny pomysł, a nasi najemnicy doszli do wniosku, że muszą im towarzyszyć.
- To miłe z ich strony.
- Widocznie nie dostaną zapłaty, jeśli ich podopieczni utoną.
- Dlaczego nie powinnam do nich dołączyć?
- Ponieważ znakomity Aaron Pinkus powiedział, że masz nauczyć się na pamięć pozwu Hawkinsa. Jako *amicus curiae* możesz zostać poproszona przez Sąd Najwyższy o złożenie wyjaśnień.
- Czytałam go już tyle razy, że mogę cytować całe fragmenty.
- I co o nim myślisz?
- Jest genialny... Po prostu genialny i właśnie dlatego zupełnie mi się nie podoba!
- Moja pierwsza reakcja była dokładnie taka sama. Nie mam ' pojęcia, w jaki sposób Mac zdołał go spłodzić... Myślisz, że to prawda?
- Całkiem możliwe. Legendy, których słuchaliśmy od dziecka, były przekazywane z pokolenia na pokolenie, w związku z czym na pewno uległy wielu zmianom, ale można w nich znaleźć wiele melodramatycznych, a nawet symbolicznych odniesień do faktów, o których mówi Hawkins.
- Jak to, symbolicznych?
- Chodzi mi o antropomorfizację zwierząt. Okrutny wilk albinos zwabił podstępem kozy na górską przełęcz, z której uciec można jedynie przez płot,;•. > ". Ogień rozszerzał się błyskawicznie, obejmując także pola i łąki, niszcząc wszystko, co napotkał na swojej drodze.
- Pożar banku w Omaha? - mruknął z zastanowieniem De-veraux

- Kto wie?
- Wiesz co? Chodźmy popływać - zaproponował Sam.
- Przepraszam za mój wybuch...
- Wulkan musi od czasu do czasu wybuchać, żeby ostudzić swoje wnętrze. To stare indiańskie przysłowie... Wydaje mi się, że plemienia Nawaho.
- Jennifer roześmiała się łagodnie.
- Prawnik o ostrym języku ma końskie ogony zamiast rozumu. Nawaho żyją na równinach i nigdy nie widzieli żadnej góry niewspominając już o wulkanie.
- A czy nigdy nie widziałaś wściekłego wojownika Nawału którego żona ofiarowała naramiennik z turkusów młodzieńcowi z sąsiedniego wigwamu?
- Jesteś niemożliwy, Sam. Chodźmy po kostiumy.
- Pozwól, że zaprowadzę cię do kabiny kąpielowej. Co prawda nie jest to dom schadzek w Casablance, ale musi nam wystarczyć.
- W takim razie ty pozwól, że przytoczę prawdziwe indiańskie przysłowie: *Wanchogagog manchogagog...* W odniesieniu do kostiumów kąpielowych znaczy to, że zawsze są dwie - jedna dla dziewczyn i jedna dla chłopców. „Ty łowisz ryby po swojej stronie, ja po swojej, a nikt nie łowi pośrodku”.
- Jakież ezoteryczne i zarazem wiktoriańskie w swym przestaniu W ten sposób nikt nie ma żadnej przyjemności.
- Kuchenne drzwi otworzyły się z łoskotem i do salonu wpadli zadyszani Desi Pierwszy i Drugi.
- Gdzie jest duży czarny Cyrus? - zapytał Desi Pierwszy.
- Musimy się zwijać!
- Zwijać? Dokąd? <.*- "-.;••••.
- Do Bostonu, panie Sam - odparł Desi Drugi. - Dostaliśmy rozkazy od generała!
- Rozmawialiście z generałem? - zdziwiła się Jennifer. - Nie słyszałam, żeby dzwonił telefon.
- Nie dzwonił, bo to my kręcimy co pół godziny do hotelu i pytamy Josego *Pocito*, co mamy robić - wyjaśnił Desi Pierwszy
- Po co jedziecie do Bostonu? - zapytał Devereaux.
- Po tego szurniętego aktora, pana majora Sootona, żeby go zawieść nalotnisko. Wielki generał rozmawiał już z nim i powiedział, żeby na nas czekał.

- Co się właściwie dzieje?! - wykrzyknęła Jennifer.
- Mam wrażenie, że nie powinnaś pytać... - ostrzegł ją Sam.
- Musimy się śpieszyć - oznajmił Desi Pierwszy. - Major Soton powiedział, że jeszcze trzeba będzie zatrzymać się przy jakimś Dużym sklepie, bo ma zrobić zakupy... Gdzie jest pułkownik Cyrus?
- Na plaży - odparła mocno zaniepokojona Redwing.
- D-Dwa, ty idziesz po samochód, a ja po pułkownika. Spotkamy się w garażu - rozkazał Desi Pierwszy. - *Prontol*
- *Si, amigo!*
- Adiutanci Hawkinsa rozbiegli się w przeciwnie strony - jeden pognał przez taras w kierunku plaży, drugi przez hol w stronę garażu znajdującego za kolistym podjazdem.
- I co, czy nie wspominałem ci o prorocztwie Devereaux? - zapytał Sam, spoglądając na Jenny:
- Dlaczego on o niczym nas nie informuje?
- To najbardziej diaboliczna część jego diabolicznej strategii.
- Proszę?
- Nie powie ci, co robi, dopóki nie zabrniesz tak daleko, że nie sposób już się z tego wycofać.
- Wspaniale! - wykrzyknęła dziewczyna. - A jeśli okaże się, że nie miał racji, że się pomylił? >:
- Jest przekonany, że to niemożliwe. ; ;•
- A ty?
- Jeśli pominąć podstawową przesłankę, która z samego założenia musi być błędna, to reszta wygląda całkiem nieźle.
- To za mało!

- Moim zdaniem trudno wymagać czegoś więcej.
- W takim razie, dlaczego nie czuję się uspokojona, do jasnej cholery?
- Bo ta jasna cholera oznacza, że on doprowadził cię na krawędź unicestwienia, a pewnego dnia zrobi jeszcze jeden krok i wszyscy polecimy za nim w przepaść.
- Zapewne poleci panu Suttonowi, żeby wcielił się w jego postać?
- >- Też tak sądzę. Już go widział w akcji.
- Ciekawe gdzie?...
- Nawet nie próbuj o tym myśleć. Będzie ci dużo łatwiej.

163

Johnny Calfnose, ubrany w bogato zdobione skórza ne spodnie i taką samą kurtkę, siedział w Wozie-Wigwamie Przyjaźni Indian Wopotami i smętnie wpatrywał się w spływające po szybie strugi deszczu. Wóz-Wigwam stanowił przedziwną konstrukcję w kształcie wozu osadników, którego boki okrywały skórzane płachty koło rowego indiańskiego tipi. Kiedy wódz Grzmiąca Głowa zaprojektował ten przybytek i sprowadził z Omaha cieśli, którzy zaczęli go wznosić mieszkańcy rezerwatu nie posiadali się ze zdumienia.

- Co ten wariat wymyślił? - zapytał Orle Oko Johnny'ego Calfnose'a. - Co to ma być?

- Według niego ta budowla łączy dwa symbole najczęściej kojarzone z Dzikim Zachodem: wóz osadniczy i indiańskie tipi w którym mieszkały dzikie plemiona walczące z przybyszami.

- Chyba do końca poprzestawiało mu się w głowie. Powiedz mi że musimy wynająć kilka spychaczy, kupić parę kosiarek, co najmniej dziesięć mustangów i zatrudnić jakiś tuzin robotników.

- Po co?

- Trzeba uporządkować pomocne pastwisko i zacząć przedstawiać tam scenki rodzajowe dla turystów.

- Na mustangach?

- Mówię o koniach, nie o samochodach. Jeżeli mamy galopować dokoła wozów białych ludzi, to musimy nauczyć naszych chłopców jazdy konnej, a te nieliczne chabety, które nam zostały, nie przebiegłyby nawet z jednego końca pola na drugi.

- Dobra, a po co ci robotnicy?

- Może jesteśmy dzikusami, Calfnose, ale szlachetnymi dzikusami. Nie zajmujemy się prymitywną pracą fizyczną.

To zdarzyło się wiele miesięcy temu, a teraz nie było deszczów popołudnie bez choćby jednego turysty, który zechciałby kupić jakąś indiańską pamiątkę dostarczoną prosto z Tajwanu. Johnny Calfnos podniósł się ze stołka ustawionego przed okienkiem kasowym, odchylił skórę zasłaniającą wąski otwór, przeszedł do wygodnie urządzonej części mieszkalnej i włączył telewizor. Ustawivszy kanał, na którym nadawano transmisję z meczu, opadł na miękki fotel, by oddać się nieskomplikowanej przyjemności śledzenia przebiegu gry. Niestety zaledwie w kilka sekund później jego spokój zakłócił dzwonek telefonu C z e r w o n e g o telefonu. Grzmiąca Głowa!

- Jestem, wodzu! - krzyknął Johnny do słuchawki.

164

- Wykonać plan A-1.

- Chyba żartujesz?... Na pewno żartujesz!

- Generał nigdy nie żartuje w obliczu nieprzyjaciela. Czerwony alarm! Zawiadomiłem już załogę samolotu i firmy autobusowe w Omaha i Waszyngtonie. Wszystko jest gotowe. Wyruszać o świcie, więc zacznij już zwoływać ludzi. Do dwudziestej drugiej zero-zero bagaże mają być spakowane, a oddziały nakarmione. Zrozumieście, żołnierzu? Nie chce w mojej brygadzie żadnych czerwonoookich czerwonoskórych!

- Jesteś pewien, że nie chcesz przemyśleć sobie tego przez kilka tygodni?

- Otrzymałicie rozkazy, sierżancie Calfnose. Do waszych obowiązków należy ich natychmiastowe wykonanie.

- I to właśnie jest najgorsze, szefie...

Słońce skryło się za horyzont i potężny, budzący lęk posąg Lincolna zalały

strumienie światła z reflektorów. Onieśmieleni turyści machali do siebie, podziwiając pomnik ze wszystkich stron. Jedyne wyjątkiem stanowił pewien sprawiający dość dziwne wrażenie osobnik, który ani na chwilę nie oderwał wzroku od trawy przed swoimi stopami, kilka razy maszerując w linii prostej od cokołu pomnika, przeklinając pod nosem turystów, którzy stanęli mu na drodze. Co kilka kroków nerwowo poprawiał niezbyt dobrze umocowaną rudą perukę, wytrącając przy tym ludziom z rąk aparaty fotograficzne i wbijając im łokcie w żołądki.

Vincent Mangecavallo urodził się i wychował w brooklyńskim *Itondo Italiano*, co pozwoliło mu nauczyć się kilku rzeczy. Wiedział na przykład, kiedy należy stawić się na spotkanie długo przed wyznaczoną godziną, aby uniknąć losu świńskich półtuszy sunących na hakach pod sufitem rzeźni. W tej chwili jednak największy problem Vinniego Bam-Bam polegał na zdefiniowaniu słowa krok. Co to jest, do cholery? Pół metra, metr, półtora, a może coś pomiędzy? Słyszał opowieści o dawnych czasach na Sycylii, kiedy podczas pojedynków strzelano do siebie na odległość co prawda także wyznaczoną krokami, tyle że takimi, których długość precyzyjnie określał arbiter. Nikt nie zwracał na to uwagi, ponieważ było powszechnie wiadomo, że wygrać może tylko ten, kto oszuka. Ale tutaj była Ameryka. Powinno istnieć jakieś precyzyjne określenie pojęcia krok. , • •

165

Poza tym jak, do wszystkich diabłów, można dokładnie liczyć kroki, przedzierając się w ciemności przez taki tłum? Wystarczyło, ^ po, powiedzmy, sześćdziesięciu trzech krokach zderzył się z jakimś kretynem, co powodowało natychmiastowe zsuniecie się peruki na oczy i konieczność jej poprawienia, a już mógł wracać do pomnika i zaczynać od początku. Cholera! Dopiero za szóstym razem udało mu się dotrzeć do dużego drzewa z przybitą do pnia tabliczką, na której umieszczono informację, kiedy zostało posadzone i przez którego prezydenta. Drzewo było Vincentowi zupełnie obojętne, ale otaczała je laweczka, na której mógł usiąść i nie budząc niczyich podejrzeń zaczekać na świrniętego generała, z którym miał się spotkać, aby wymienić ważne informacje.

Vinnie, rzecz jasna, postanowił jednak odejść od drzewa i czekać w cieniu innego. Nie chciał zostać zauważony pierwszy. Będzie znacznie lepiej, jeśli pozostanie w ukryciu, aby ujawnić się wtedy, kiedy nabierze pewności, że nic mu nie grozi. Wiedział, kogo ma szukać w tłumie turystów: wysokiego, starego pajaca kręcącego się wokół tamtego drzewa, prawdopodobnie w pióropuszu na głowie.

Ubrany w mundur generał Ethelred Brokemichael zdumiał się na widok postaci krążącej wokół umówionego miejsca. Nigdy nie lubił MacKenziego Hawkinsa - wręcz przeciwnie, odczuwał do niego głęboką niechęć, a to ze względu na zażyłe stosunki łączące Jastrzębia ze zniechęconym Heseltine'em - ale zawsze darzył starego żołnierza głębokim szacunkiem. Teraz jednak wyglądało na to, że podziw i szacunek nie miały żadnego uzasadnienia. Brokey był świadkiem groteskowego przedstawienia, urągającego wszelkim zasadom przeprowadzania tajnych operacji. Wyglądało na to, że Hawkins pożyczył od kogoś za dużą co najmniej o kilka numerów marynarkę, wypchał ją czymś, a w celu ukrycia swojego wysokiego wzrostu poruszał się na ugiętych nogach, maszerując w tę i z powrotem jak wytresowana małpa wśród tłumów oblegających pomnik Lincolna. Przypominał pomrukującego gniewnie pod nosem goryla, który ze wzrokiem wbitym w ziemię szuka jagód na spóźniony obiad. Twórca Samobójczej Szóstki poczuł, że na ten widok ogarnia go obrzydzenie. Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce, gdyż Hawkins miał na głowie tę swoją kretyńską perukę, która w wilgotnym waszyngtońskim

166

*

powietrzu odlepiła się i co chwila zsuwała mu się na oczy. Najwidoczniej nigdy w życiu nie słyszał o specjalnym kleju w płynie, doskonale znanym każdemu, kto choćby przelotnie zetknął się z teatrem. MacKenzie Hawkins zachowywał się nawet nie jak amator, ale jak zdeorientowany neofita!

Peruka Brokeya, zbiegiem okoliczności także rudawa, wpadająca w kolor dojrzałych kasztanów, trzymała się dzięki taśmie Maxa Factora w kolorze skóry, prawie niemożliwej do odróżnienia od ciała, a już na pewno w takim jak tu, przyćmionym oświetleniu - „słaby bursztyń”, jak mawiają aktorzy. Dziś po raz kolejny zatryumfuje profesjonalizm - pomyślał

Brokemichael. Postanowił zrobić niespodziankę Jastrzębiowi, który tymczasem zajął pozycję pod rozłożystym japońskim klonem odległym o prawie dziesięć metrów od miejsca spotkania. Brokey nie posiadał się z radości: w Forcie Benning Mac zrobił z niego durnia, a teraz on odwzajemni mu się tym samym. Cofnął się i ruszył szerokim łukiem, co chwila odpowiadając na honory oddawane mu przez licznie zgromadzonych wokół pomnika oficerów. Kiedy zbliżył się do klonu, po raz kolejny przyszło mu do głowy pytanie: dlaczego Jastrząb kazał mu stawić się na ważne spotkanie w mundurze? Gdy zapytał go o to wcześniej, usłyszał tylko tyle „Po prostu zrób to i nie zapomnij przypiąć wszystkich pieprzonych medali, jakie dostałeś albo sam sobie przyznałeś! Pamiętaj, że nasza rozmowa z Fortu Benning jest na taśmie. Na m o j e j taśmie”.

Brokey dotarł wreszcie do klonu, przycisnął się plecami do pnia i powoli okrążył drzewo, aż wreszcie stanął tuż za starym żołnierzem, który niedawno zrobił z niego głupca, a teraz wpatrywał się jak sroka w gnat w umówione miejsce. Najgłupsze było to, że zamiast wyprostować się, w celu uzyskania lepszej widoczności, stary kretyn pozostał w płytkim półprzysiadzie, starając się za wszelką cenę wtopić w cień rzucany przez liście klonu. Całkowita amatorszczyzna!

- Czekasz na kogoś? - zapytał cicho Brokey.
- Cholera! - wykrzyknął nieudolnie przebrany mężczyzna i odwrócił się tak raptownie, że ruda peruka obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, w związku z czym baczki znalazły się nagle pośrodku czoła. - To pan'!... Jasne, przecież jest pan w mundurze!
- Możesz już stanąć po ludzku, Mac.
- Stać? A co ja robię?
- Na litość boską, przecież nikt nas tu nie zobaczy! Ledwo widzę własne stopy, ale wydaje mi się, że założyłeś perukę tyłem naprzód.

167

- Twoja też nie jest w idealnym porządku, G. I. Joe! - odparł mężczyzna w cywilnym ubraniu, poprawiając perukę. - Mnóstwo starych łysych donów kupuje sobie te taśmy Maxa Factora, ale to też gówno daje, bo facetowi nagle znikają z czoła zmarszczki, które miał tam prawie całe życie. Od razu widać, co jest grane, ale ma się rozumieć, trzymamy gęby na kłódkę.

- Jak to widać? Nawet w tych ciemnościach?
- Światło reflektorów odbija ci się w tej taśmie, palancie.
- Już dobrze, dobrze. Wyprostuj się wreszcie, żebyśmy mogli pogadać.
- Dobra, jesteś ode mnie trochę wyższy, i co z tego? Mam iść do miasta i kupić sobie buty na wysokim obcasie albo szcudła? O co chodzi?
- To znaczy, że... - Brokey pochylił się, wysuwając do przodu szyję. - Ty nie jesteś Hawkins!
- Chwila, moment, kolego! - wrzasnął Mangecavallo. - Ty też nie jesteś Hawkins! Mam jego zdjęcia!
- Więc kim jesteś?
- Kurwa, a kim ty jesteś?
- Miałem spotkać się z Hawkinsem... O, tam!
- Ja też!
- Masz rudą perukę...
- I ty też, do diabła!

„... - On miał taką samą w Forcie Benning! (,•,, - Ja kupiłem swoją w Miami Beach.

- A ja wziąłem swoją z garderoby mojego oddziału. »!' - O czym ty mówisz, do cholery?

- O czym ty mówisz, do cholery?

Zaczekaj! - Wybałuszone oczy Brokemichaela skierowały się ku drzewu stanowiącemu umówione miejsce spotkania. - Spójrz tam! Widzisz to samo co ja?

- Mówisz o tym kościstym księżulku w czarnym garniturze z koloratką, obwąchującym to drzewo niczym doberman, któremu zebrało się na szczanie?

- Właśnie o nim.

- No i co? Może po prostu chce usiąść na ławce. O, tamte cizie też szukają miejsca.

- Wiem, wiem... - szepnął Brokey, wytężając wzrok. - Przyjrzyj

mu się polecił, kiedy duchowny wyszedł z cienia rzucanego przez drzewo. - Co widzisz?

- Koloratkę, garnitur i rude włosy. I co z tego?
- Amatorszczyzna! - prychnął z pogardą twórca Samobójczej Szóstki. - To nie włosy, ale peruka, w dodatku bardzo nędzna, podobnie jak twoja. Za długa na karku i za szeroka w skroniach... Dziwne, ale wydaje mi się, że już go gdzieś widziałem...
- O czym ty gadasz? Co ma z tym wspólnego uczesanie?
- Nie uczesanie, tylko peruka. Jest źle dopasowana.
- Człowieku, ja mam się spotkać z tym facetem w najważniejszej sprawie w moim życiu, a ty chrzanisz jakieś głupoty!
- Może peruki mają stanowić jakiś symbol?...
- Czego, na litość boską? Protestujemy przeciwko czemuś?
- Nie rozumiesz? Kazał nam założyć rude peruki!
- Mnie nic nie kazał, do stu diabłów! Już ci mówiłem: kupiłem swoją w sklepie w Miami Beach.
- A ja znalazłem swoją w garderobie mojego oddziału...
- Jakiego znowu oddziału?
- Ale on przyszedł do mnie właśnie w rudej peruce... Mój Boże, w ten sposób wpłynął na moją podświadomość!
- Że co?
- Przypomnij sobie, czy w rozmowie z tobą użył słowa rudy?
- Nie pamiętam. Raczej nie, już prędzej słowa czerwony, bo przecież w tej awanturze chodzi o czerwonoskórych. Ale ja go nawet nie widziałem, tylko rozmawiałem z nim przez telefon!
- To właśnie to! Wykorzystał swój głos w charakterze nośnika impulsów oddziałujących na podświadomość. Stanisławski pisał o tym w swoich pracach.
- To jakiś komuch?
- Stanisławski, twórca nowoczesnego teatru.
- Polak, tak? Cóż, czasem trzeba przymknąć oko...
- Jaka awantura? - ocknął się Brokey, spoglądając z góry na nieznanego mężczyznę. - O jakiej awanturze mówisz?
- No, o tym pozwie, który te Wop*-coś-tam złożyli w Sądzie Najwyższym
- Mangecavallo naturalnie miał na myśli Indian Wopotami, ale w amerykańskim slangu słowo wop stanowi pogardliwe określenie osób pochodzenia włoskiego (przyp. tłum.)

169

Brokemichael wyprostował się dumnie.

- W wojsku, mój panie - oznajmił wyniosłym tonem - nie pozwalamy sobie na żadne uwagi deprecjonujące kogoś wyłącznie & względu na jego pochodzenie. Potomkowie Michała Anioła i Machia-vellego wnieśli ogromny wkład w rozwój naszego kraju. Osobnicy w rodzaju Ala Capone i Joego Yalachiego stanowią jedynie mało istotny margines.

- W takim razie pójdę jutro do kościoła i zapalę świeczkę w twojej intencji na wypadek, gdybyś miał się spotkać z tym „marginesem”. Dobra, a co zrobimy teraz?

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z naszym rudowłosym księdzem.

- Dobry pomysł. Chodźmy!

- Jeszcze nie! - odezwał się donośny głos za ich plecami. - Miło mi, że stawiliście się na spotkanie, panowie - dodał Jastrząb, wyłaniając się zza drzewa. Słaby poblask padł na jego krótko przystrzyżoną rudą perukę. - Cieszę się, że znowu cię widzę, Brokey... Dowódca Y, jeśli się nie mylę? To zaszczyt dla mnie poznać pana, kimkolwiek pan jest.

Sekretarz stanu Warren Pease był z siebie nawet zadowolony, oczywiście na tyle, na ile pozwalały mu dręczące go obawy. Kiedy przed hotelem Hay-Adams zobaczył jakiegoś księdza wymyślającego taksówkarzowi za zawyżenie opłaty za przejazd, wpadł na genialny pomysł: pójdzie na spotkanie w przebraniu duchownego! Jeśli cokolwiek mu się nie spodoba, szybko zniknie, nie ujawniając swojej tożsamości. Poza tym nikt nie zaatakuje w publicznym miejscu księdza ani pastora, bo po pierwsze, tak się po prostu nie robi, a po drugie, w ten sposób zwróciłby na siebie uwagę.

Natomiast niestawienie się w wyznaczonym miejscu - wbrew temu, co powiedział

przez telefon temu przekłętemu admirałowi, bez przerwy dostarczającemu rachunki za podróże służbowe do miejsc, w których nigdy nie był, w celu odbycia spotkań z ludźmi, z którymi nigdy się nie spotkał, w sprawach zleconych przez Departament Stanu, których nikt nigdy nikomu nie zlecał - byłoby całkowitym szaleństwem. Pease po prostu zwymyślał starego admirała, bynajmniej nie w związku z popełnianymi przez niego nadużyciami, ale po to, żeby przekonać się, co tamten wie... A teraz wiedział dokładnie tyle

170

samo. Odpowiedzi, które uzyskał, okazały się na tyle niejasne i niepokojące, że Warren uznał za wskazane odwołać wszystkie przewidziane na wieczór zajęcia i zaopatrzyć się w koloratkę oraz gors. Miał już czarny garnitur, w którym występował podczas uroczystych pogrzebów, a tknięty genialną myślą dodał jeszcze do tego rudą perukę.

Teraz przechadzał się wśród tłumów oblegających pomnik Lincolna, rozpamiętując rozmowę z admirałem.

- Panie sekretarzu, mój długoletni towarzysz broni poprosił mnie, abym przekazał panu wiadomość, która może przyczynić się do rozwiązania najpoważniejszego z gnębiących pana problemów. Mówiąc o nim, użył nawet słowa kryzys.

- O co panu chodzi? Departament Stanu codziennie ma do czynienia z dziesiątkami kryzysów, a ponieważ czas mojego pobytu w Waszyngtonie jest bardzo ograniczony, byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał pan wyrażać się nieco jaśniej.

- Obawiam się, że tego właśnie nie mogę zrobić. Mój stary towarzysz broni dał mi jasno do zrozumienia, że ta sprawa przerasta mnie o kilka głów.

- To też nic mi nie mówi. Proszę konkretniej, żeglarzu.

- Powiedział, że ma to coś wspólnego z grupą prawowitych Amerykanów cokolwiek to znaczy - oraz jakimiś ważnymi instalacjami wojskowymi.

- O Boże! Co jeszcze powiedział?

- Posługiwał się wyłącznie ogólnikami, ale dał mi do zrozumienia, że istnieje sposób na nasmarowanie pańskich nart.

- Na co?... Czego?...

- Nart... Muszę szczerze przyznać, panie sekretarzu, że nie uprawiam żadnych sportów zimowych, ale podejrzewam, iż chciał w ten sposób powiedzieć, że istnieje rozwiązanie, dzięki któremu osiągnie pan cel znacznie szybciej i łatwiej, niż to się panu do tej pory wydawało. Aby tak się stało, musi pan jednak spotkać się z nim najszybciej, jak to tylko możliwe, i to właśnie stanowi najważniejszą część wiadomości którą miałem panu przekazać.

- Jak się nazywa pański przyjaciel, admirał?

- Gdybym ujawnił jego nazwisko, wplątałbym się w sprawę, z którą nie mam nic wspólnego. Jestem tylko łącznikiem, panie sekretarzu, niczym więcej. Mógłby sobie wybrać kogokolwiek innego i, szczerze mówiąc, żałuję, że tego nie zrobił.

171

- A ja mógłbym przyjrzeć się bliżej przedstawianym przez pana rachunkom i zbadać celowość zwiadowanych podróży, które odbywa pan rządowymi samolotami! Co ty na to, żeglarzu?

- Ja tylko przekazuję wiadomość! O niczym nie wiem!

- O niczym nie wiesz, co? Tak twierdzisz, ale dlaczego miałbym ci uwierzyć? Może ty też bierzesz udział w tym paskudnym, śmierdzącym spisku?

- W jakim spisku, na litość boską?!

- Aha, chciałoby się, prawda? Marzysz o tym, żebym opowiedział ci o tej okropnej aferze, a ty natychmiast napisałbyś książkę, tak jak ci wszyscy wspaniali, kryształowo uczciwi urzędnicy państwowi, których niesłusznie oskarżono o coś, czego by nigdy w życiu nie zrobili, a co robili tyle razy, że sami już stracili orientację?!

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi!

- Nazwisko, żeglarzu! Chcę znać nazwisko!

- Żeby p a n mógł napisać książkę i obsmarować mnie, ile dusza zapagnie? Nic z tego!

- Cóż, skoro i tak zmarnował mi pan już tyle czasu, równie dobrze może pan przekazać mi do końca tę idiotyczną wiadomość. Gdzie i kiedy mam się spotkać z pańskim bezimiennym przyjacielem, naturalnie, o ile uznam to za stosowne?

Admirał poinformował go gdzie i kiedy.

- Znakomicie! Już zapomniałem, co mi pan powiedział. A teraz znikaj, żeglarzu, i już nigdy do mnie nie dzwoń, chyba że po to, aby mi powiedzieć, że rezygnujesz z posady konsultanta!

- Ależ, panie sekretarzu, ja nie miałem nic złego na myśli, słowo honoru... Może pogadam z Subagaloo, przyjacielem prezydenta, a on potwierdzi, że...

- Z Arnoldem? Nie rozmawiaj z nim, nigdy z nim nie rozmawiaj! Zaraz umieści cię na swojej liście, na tej okropnej, wstrętnej, obrzydliwej liście!

- Dobrze się pan czuje, panie sekretarzu?

- Czuję się świetnie, znakomicie, jak jeszcze nigdy w życiu, ale zrób, jak ci mówię, i nigdy nie rozmawiaj z Arnoldem Subagaloo, bo znajdziesz się na jego odrażającej, ohydnej, paskudnej, niewiarygodnej liście!... Bez odbioru, żeglarzu, czy jak wy gadacie w tym swoim głupim wojsku.

Dałem popalić tej cholernej pijawce - pomyślał Pease, uśmiechając

172

się słodko do drobnej starszej pani o twarzy pokrytej grubą warstwą makijażu, która wpatrywała się w niego spojrzeniem pełnym uwielbienia. WaiTen doszedł do wniosku, że spotkanie odbędzie się w pobliżu rozłożystego klonu, do którego właśnie się zbliżał. Ciekawe, dlaczego MacKenzie Hawkins, alias Grzmiąca Głowa, wódz niegodziwych Wopotami, wybrał akurat to miejsce? Panował tu półmrok, co jednak mogło stanowić zaletę, a w odległości trzydziestu metrów kręciło się mnóstwo ludzi.. Ale to także wcale nie było złe. Obecność ludzi zapewniała maksimum bezpieczeństwa. Rzecz jasna, ten wariat Hawkins myślał wyłącznie o swoim bezpieczeństwie, nie o korzyściach sekretarza stanu. Zapewne spodziewał się, że rząd wyśle specjalne oddziały, których zadaniem będzie go zaaresztować, ale ludziom prezydenta nie w głowie były teraz takie pokazy siły. Jakież by to zrobiło wrażenie na wyborcach, gdyby prasa i telewizja dowiedziały się, że zastawiono pułapkę na starego żołnierza, dwukrotnie odznaczonego przez Kongres Medalem za Odwagę! Pease skrzywił się z niesmakiem i zerknął na zegarek, ledwo widoczny w półmroku panującym pod rozłożystą koroną drzewa: miał jeszcze pół godziny. Bardzo dobrze Znakomicie. Teraz odejdzie na bok i zaczeka, uważnie obserwując teren. Przeszedł na drugą stronę drzewa, lecz nagle stanął jak wryty, gdyż ujrzał najwyraźniej czekającą na niego starą damę z nadmiernie pokolorowanymi policzkami.

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam! - powiedziała piskliwym, drżącym głosem, blokując mu drogę.

- Tak, oczywiście... *Vox popali*, i tak dalej. Nie wszyscy jesteśmy doskonali, ale tak to już wygląda...

- Chciałabym się wypowiedzieć, ojcze. M u s z ę się wypowiedzieć!

- Znakomicie, córko, ale nie wydaje mi się, żeby to było odpowiednie miejsce. Poza tym trochę się śpieszę.

- W Biblii napisano, że w oczach Pana nawet pustynia może stać się Domem Bożym, jeśli tylko zapagnie tego dusza grzesznika.

- To tylko chrzaniecie, a ja naprawdę się śpieszę. A ja ci mówię, żebyś wlaź z powrotem za drzewo!

- Już dobrze, dobrze. Wybaczam ci wszystko, co zrobiłaś albo mogłabyś zrobić, gdybyś... Co powiedziałaś?

- Doskonale słyszałaś, anielska dupo! - warknęła damulka znacznie niższym i bardziej chrapliwym głosem, po czym nagłym ruchem wyszarpnęła spod fałd sukienki brzytwę i otworzyła ją

173

sprawnie. - A teraz wlaź za drzewo» bo jak nie, to przestanie ci grozić złamanie ślubu czystości!

- Boże, ty jesteś mężczyzną!

- Nie byłbym tego taki pewien, ale na pewno mam kosę i uwielbiam jej używać. No, ruszaj się!

- Proszę, nie rób mi krzywdy!... Och, mój Boże... Nie skalecz mnie, błagam! - Drżąc na całym ciele, sekretarz stanu cofnął się posłusznie w cień drzewa. - Napaść na księdza to bardzo ciężki grzech!

- Zauważyłem cię już kwadrans temu, anielska dupo! - syknął osobnik przebrany za kobietę, wydymając z odrazą uszminowane wargi. - W tej paskudnej peruce na łbie

przynosisz wstyd wszystkim uczciwym zbrojcom!

- Proszę?...

- Jak śmiesz pokazywać się w takim stroju? Szukasz małych chłopców, flejo? Przebrany za księdza? To odrażające!

- Kiedy ja naprawdę... Proszę pani, to *znaczy*, proszę pana... Wszystko jedno, kim jesteś...

- A teraz jeszcze mnie obrażasz, padalcu?

- Skądże znowu, nigdy bym nie śmiał! - Lewe oko Pease'a zataczało szaleńcze kręgi.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie rozumiesz...

- Rozumiem, spokojna głowa! Tacy jak ty zawsze mają przy sobie mnóstwo floty na wypadek, gdyby wpadli w jakieś tarapaty. Wywalaj kieszenie, zwyrodnialcu!

- Mówisz o pieniądzach? Bardzo proszę, bierz wszystko, co mam! - Sekretarz stanu sięgnął do kieszeni i wyszarpnął z niej zwitek wymiętych banknotów. - Proszę, bierz!

- Co mam brać? To gówno? Najpierw potnę ci kieszenie, a potem zabiorę się za ciebie.

- Przebrany potwór przyparł Pease'a do pnia. - Piśniesz tylko słówko, a będziesz zbierał wargi z ziemi, świntuchu!

- Proszę! - błagał rozpaczliwie sekretarz stanu. - Nie wiesz, kim jestem...

- Ale my wiemy! - zagrział z tyłu czyjś donośny głos. - W porządku, Brokey... Dowódco Y, przygotować się do rozbrojenia napastnika. Teraz!

Wiekowy absolwent West Point i zażywny *capo supremo* z Brook-lynu zaatakowali jak jeden mąż; pierwszy wytrącił brzytwę z dłoni

174

rzezimieszka i wykręcił mu ramię, drugi chwycił oburącz nogi spowite obfitą suknią.

- Cholera, to baba! - wrzasnął Mangecavallo.

- Akurat! - ryknął Brokemichael, zrywając siwą perukę z głowy bandyty

Vinrne Bam-Bam natychmiast zorientował się, że popełnił błąd i zaczął okładać pięściami ucharakteryzowanego osobnika.

- Ty spleśniały kawałku sera! - wrzasnął.

- Proszę go zostawić, dowódco! - rozkazał Jastrząb.

- Dlaczego? - zapytał Brokey. • Ten drań powinien trafić za kratki!

- Z połamanymi nogami! dodał tragicznie zmarły dyrektor CIA.

- Jesteście gotowi wnieść oskarżenie, panowie?

- Że co?... - Brokemichael cofnął się o krok, Mangecavallo zaś podniósł raptownie głowę, tak że peruka zsunęła mu się na czoło, prawie zupełnie zasłaniając oczy. - On ma rację, dowódco-jakiś--tam - powiedział Brokey.

- Może i prawda - przyznał Vinnie, po czym ulokował ostatni cios na żebrach łotrzyka. - Znikaj mi z oczu, gnido!

Rzezimieszek błyskawicznie zerwał się na nogi i nasadził perukę na głowę, po czym niespodziewanie obdarzył swoich pogromców szerokim uśmiechem.

- Chłopcy, a może wpadlibyście do mnie? - zaproponował. - Ale byłby bal!

- Zabieraj się stąd!

- Już dobrze, dobrze... - Łotr zawinął spódnicą i odszedł szybko, niknąc w tłumie.

- O mój Boże! Mój Boże!... - zajęczała postać leżąca u stóp Hawkinsa twarzą do ziemi, zasłaniając sobie rozpaczliwie głowę rękami - Dziękuję wam, ogromnie wam dziękuję! On mógł mnie zabić!

- Dlaczego więc nie wstaniesz i nie rozejrzysz się, żeby sprawdzić, czy chcesz żyć? - zapytał łagodnie Mac, wyjmując z kieszeni magnetofon

- Słucham?... O czym pan mówi? - Warren Pease powoli unosił się na rękach, odwrócił i usiadł na ziemi. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były nogawki munduru. Podnosił stopniowo wzrok, aż

175

wreszcie jego spojrzenie dotarło do twarzy mężczyzny. - Brokemi. chael! Co pan tu robi?

MacKenzie uruchomił magnetofon i w cieniu drzewa rozległ się głos Brokemichaela: „Sekretarz stanu. To dla niego pracuje w Bostonie moja Samobójcza Szóstka. Ten zezowaty Pease postanowił za wszelką cenę dobrać ci się do dupy!”

- Tyle tylko, że w niezbyt uczciwy sposób, prawda, panie sekretarzu? - zapytał Brokey, kiedy Mac wyłączył magnetofon. - Postanowił pan poświęcić nie tylko pewnego starego żołnierza, który, choć zrehabilitowany, nigdy nie uwolnił się do końca od ciężących

na nim podejrzeń, ale także dowodzony przez niego oddział złożony z młodych wspaniałych ludzi. Okazaliśmy się równie niepotrzebni jak Mac, który co prawda nigdy nie był moim najbliższym przyjacielem, ale na pewno nie zasługuje na to, żeby spuścić go z wodą w klozecie!

- O czym ty mówisz, do diabła?!

- Zdaje się, że zapomniałem go przedstawić. Oto były generał MacKenzie Hawkins, dwukrotnie odznaczony przez Kongres Stanów Zjednoczonych Medalem za Odwagę, którego najpierw chciał pan... powiedzmy... zneutralizować, a potem rozkazał porwać. Jego los oznaczono skrótem DPU, czyli do późniejszego ustalenia, ale z tego, co wiem, miał być związany z Daleką Pomocą.

- Niezbyt mi przyjemnie pana poznać, panie sekretarzu - powiedział Hawkins. - Wybacz mi pan chyba, jeśli nie podam mu ręki?

- To zupełne szaleństwo! Gra toczy się o wielką stawkę, o los tego kraju, o możliwość odpowiedzenia ciosem na cios!

- A jedyny sposób, w jaki można to załatwić, polega na pozbyciu się tych, którzy wnoszą jakieś zastrzeżenia? - zapytał MacKenzie. - Nie macie zamiaru rozmawiać, tylko od razu musicie zamknąć usta tym, którzy mają coś do powiedzenia? Nawiasem mówiąc, mogą poprzeć swoje słowa konkretnymi argumentami.

- Pan odwraca kota do góry ogonem! Chodzi o szalenie ważne sprawy, o wielkie pieniądze... Mój Boże, nawet o mój jacht, Metropolitan Club, zjazd absolwentów szkoły i o życie, na jakie zasługuję, do którego zostałem stworzony. Nic nie rozumiecie!

- Ja cię rozumiem, pajacu - odezwał się Vincent Mangecavallo, wychodząc z plamy głębokiego cienia. - Starasz się wykorzystać każdego, kogo się da, nie dając nic w zamian!

176

- Kim jesteś? Widziałem cię już, znam twój głos, ale nie mogę. nie mogę

- Być może dlatego, że dzięki znakomitemu przebraniu nie poznałaby mnie nawet moja własna matka, niech spoczywa w spokoju w Lauderdale. Vinnie ściągnął z głowy rudą perukę i przykucnął przed sekretarzem stanu. - Cześć, kapuściany łbie, jak się masz? Nie wydaje ci się, że twoi kolesie z klubu golfowego rozpieprzyli nie tę łódź, co trzeba?

- MangecavalloL. Nie, nieeee!... Przecież niedawno byłem na twoim pogrzebie... Ciebie nie ma, ty nie żyjesz! To nie może być prawda!

- - Może masz rację, wielki panie dyplomato. Może to tylko zły sen, który wyklął się w twojej zepsutej duszy. Może właśnie wyrwałem się z objęć Morfiniusza...

- Morfeusza, dowódco Y. M o r f e u s z a.

- Przecież mówię. Może przepłynąłem z powrotem przez tę wielką rzekę, żeby straszyć nędzne kutasiny, które myślą, że są tacy *superiore* i z.e to, co robią na sedesie, pachnie jak lody waniliowe. Tak, kapuściany łbie, znudziło mi się towarzystwo ryb, ale wracając stamtąd, zabrałem ze sobą parę rekinów. Oni mnie szanują, w przeciwieństwie do ciebie.

- Aaaaaa!... - Sekretarz stanu wydał przeraźliwy okrzyk, który wstrząsnął tłumem zebranych wokół pomnika Lincolna, po czym błyskawicznie zerwał się na równe nogi i, wciąż histerycznie wrzeszcząc, pognął na oślep przez porośnięty trawą teren.

Muszę złapać tego sukinsyna! - ryknął Mangecavallo, z trudem prostując swą otyłą postać. - Wszystko mi zepsuje!

Zostaw go - powiedział spokojnie Jastrząb. - Jest już skończony.

Co ty gadasz? Przecież mnie widział!

To nie ma znaczenia. Nikt mu nie uwierzy.

Mac, ty chyba bredzisz - wtrącił się zaniepokojony Brokey. - Wiesz, kto to jest?

- Jasne, że wiem, i wcale nie bredzę... Więc to naprawdę ty jesteś tym Włochem, który kierował Agencją?

- Tak, ale to długa historia, a ja nie lubię długich historii. Wrobili mnie i tyle. Cholera!

Umiejętność melodramatycznego przeżywania wszelkich wzru-

177

szeń stanowi jedną z najpiękniejszych cech pańskiego narodu, *signore*. Weźmy na przykład wielkie opery - nikt inny nie mógł ich napisać, tylko wy. *Capisce Italianol*

- Jasne, że tak.

- *Lo capirete inoltre.*

- Dobra, bardzo pięknie, ale ten kretyn rozpierniczy mi wszystko w drobny mak!

- Na pewno nie, *signor* Mangecavallo. Brokey, czy pamiętasz Franka Heffelfingera?
 - Palczastego Franka, który nie potrafił właściwie odczytać współrzędnych celu? A kto by go nie pamiętał? W Wonsan ostrzelał nie tę plażę co trzeba, ale żaden z nas nie pisnął o tym ani słowa, a tym bardziej nie piśnie teraz, kiedy został głównym ogierem w morskiej stajni prezydenta.
 - Rozmawiałem z Frankiem. To on ściągnął tu Pease'a.
 - I co z tego?
 - To, że teraz czeka przy telefonie na sygnał od nas. Kiedy go otrzyma, zadzwoni do swojego starego kumpla, który obecnie jest prezydentem Stanów Zjednoczonych.
 - Po co?
 - Żeby poinformować go o stanie umysłu Pease'a. Powie, że rozmawiał z nim dziś po południu, a potem myślał o tym przez cały czas, aż wreszcie doszedł do wniosku, że musi podzielić się swymi obawami z przyjacielem z Białego Domu... Ruszajmy, musimy szybko znaleźć budkę telefoniczną, bo jeszcze dziś wracam samolotem do Nowego Jorku.
 - Hej, G. I. Joe! - wykrzyknął Mangecavallo. - A co z tym przesłuchaniem?
 - Wszystko jest pod kontrolą, dowódco Y. Wystąpi pan razem z Indianami Wopotami. Naturalnie muszę znać pańskie wymiary, ale myślę, że zdołamy się z tym szybko uporać. *Squaws* są znakomitymi krawcowymi - prawie równie dobrymi jak pani Lafferty.
 - *Squawst* Mamy jakichś irlandzko-amerykańskich Indian? Ten człowiek jest *pazzo*
 - Spokojnie, panie dyrektorze. Myśli Jastrzębia wędrują tajemniczymi drogami.
 - Chodźmy, panowie - rozkazał MacKenzie. - Biegiem marsz! Widzę budkę telefoniczną zaraz za tamtym parkingiem.

178

Trzej mężczyźni w rudych perukach popędzili na przełaj przez rozległy trawnik. Każdy z nich sapał w innym rytmie, a jedyne słowa, jakie dały się słyszeć, pochodziły z ust Vinniego Bam-Bam:

-- *Mannaggia, mannaggia* \ Zupełnie powariowali! *Pazzo, pazzo, pazzo**

•••>• THE WASHINGTON POST
 SEKRETARZ STANU
 PRZEWIEZIONY NA ODDZIAŁ PSYCHIATRYCZNY SZPITALA
 WALTERA REEDA

Wczoraj wieczorem sekretarz stanu Warren Pease został zatrzymany w pobliżu pomnika Lincolna. Według relacji policji oraz zeznań licznych świadków, pan Pease biegał jak szalony, wrzeszcząc wniebogłosy, że jakiś „upiór”, którego nie mógł lub nie chciał zidentyfikować, „powstał z grobu” i „dręczy jego zepsutą duszę”. Twierdził także, jakoby „wyszminowany hermafrodyta z piekła” zagroził mu, że „potnie najpierw kieszenie, a potem jego”, ponieważ wziął go za (niecenzuralny wyraz), którym nie był, ponieważ „przebaczył jej wszystkie grzechy”.

Mimo drobiazgowych badań nie udało nam się ustalić, by sekretarz stanu został kiedyś wyświęcony na duchownego jakiegokolwiek obrządku, w związku z czym nie przysługuje mu prawo udzielania rozgrzeszeń.

Doniesienia, które otrzymaliśmy później z Białego Domu, mogą rzucić nieco światła na tło tego niewiarygodnego zdarzenia. Maurice Fitzpedler, sekretarz prasowy Białego Domu, oświadczył, że naród amerykański powinien odczuwać jedynie wielkie współczucie dla obciążonego ogromnymi obowiązkami pana Pease'a i jego rodziny. Jednak zaraz potem, zapytany o to wprost, musiał przyznać, że rozwiedziony pan Pease nie ma żadnej rodziny. Za pośrednictwem pana Fitzpedlera prezydent podał do publicznej wiadomości, że otrzymał wczoraj telefoniczną informację o nie najlepszym stanie psychicznym sekretarza stanu, mającym związek z wyczerpaniem pracą ponad ludzkie siły. Prezydent poprosił o modlitwę w intencji rychłego powrotu pana Pease'a do zdrowia oraz „jak najszybszego uwolnienia go z kaftana bezpieczeństwa”.

Należy zaznaczyć, że Arnold Subagaloo, szef personelu Białego Domu, uśmiechał się przez cały czas trwania konferencji prasowej. Zapytany przez dziennikarzy o przyczynę takiego zachowania pokazał wszystkim wyprostowany środkowy palec. ^, -

Kilka minut po północy MacKenzie Hawkins wszedł do holu hotelu Waldorf-Astoria i, zgodnie z ustaleniami, skierował się do recepcji, aby sprawdzić, czy są jakieś wiadomości dla apartamentu 12-A (żadnych nazwisk, tylko numer pokoju). Były dwie:

„Zadzwoń do Beverly Hills”.

„Skontaktuj się z Miastem Robaków”.

Ponieważ w Kalifornii było trzy godziny wcześniej, postanowił najpierw zadzwonić do Madge w Greenwich, w stanie Connecticut. Przeszedł na drugą stronę holu, gdzie znajdowały się automaty telefoniczne.

- Midgey, przepraszam, że dzwonię tak późno, ale dopiero wróciłem do hotelu.

- Nie szkodzi, kochanie. Wciąż jeszcze pracuję nad twoim zamówieniem. Skończę za jakąś godzinę i natychmiast wyślę kuriera. Powinien do ciebie dotrzeć około wpół do trzeciej. Mac, to niesamowite! Pełen odlot na wszystkich fajerkach!

- Madge, czy ty nie przesadzasz z tym hollywoodzkim slangiem?

- Przepraszam, najdroższy. Oczywiście masz rację, ale tutaj wszyscy mówią w ten sposób, żeby zwiększyć entuzjazm w pracy nad projektem. Wiesz, im większe zadęcie, tym lepsze wydęcie.

- Trzymaj się własnych zasad, dziewczyno. Jesteś za dobra na takie byle co.

- Nawet pisząc o robakach? *

- Cóż, tworzysz to, co ludzie chcą kupować.

180

- Możesz być tego pewien.

- Wracając do rzeczy: bardzo się cieszę, że twoim zdaniem z tej historii z Samobójczą Szóstką może wyjść coś interesującego. Szczerze mówiąc, ja też tak myślę.

- Kochanie, to czyste złoto! Znakomity oddział antyterrorystyczny złożony z samych aktorów... I w dodatku to prawda!

- Myślisz, że mógłbym zainteresować tym kogoś z zachodniego wybrzeża?

- Zainteresować? Zdaje się, że nie rozmawiałeś z Ginny, prawda?

- Nie, bo doszedłem do wniosku, że u nich jest jeszcze dość wcześnie, więc najpierw zadzwoniłem do ciebie.

- Przegadałyśmy przez telefon prawie całe popołudnie, zaraz po tym, jak przesłuchałam twoje taśmy. Przygotuj się na sporą niespodziankę, Mac. Ginny sieciuje już od wpół do czwartej czasu kalifornijskiego.

- Sieciuje?... Midgey, posługujesz się bardzo dziwnym językiem, a ja wcale nie jestem pewien, czy to mi się podoba. Sprawia wrażenie okropnie wydumanego.

- Ależ skąd, najdroższy, nie ma w nim nic niezwykłego. Po prostu wybierasz dowolny rzeczownik i zamieniasz go w czasownik.

- To już brzmi trochę lepiej...

- Mac, posłuchaj mnie! - przerwała mu Madge z Miasta Robaków. - Wiem, że czasem stajesz się wobec nas trochę nadopie-kuńczy, i my wszystkie kochamy cię za to, ale tym razem musisz mi coś obiecać

- Co?

- Nie spuszczaaj lania Manny'emu Greenbergowi. Nie przyjmuj jego propozycji, ale nie demoluj mu twarzy.

- Midgey, w tej chwili jesteś po prostu wulgarna...

- Muszę, Mac. Zbliżam się do końca roboty, a edytor tekstu już prawie zgotował mi się w komputerze. Zadzwoń do Ginny, kochanie. Całuję, jak zawsze.

»:, Tu rezydencja lorda i lady Cavendish - oznajmił zakatarzony głos z angielskim akcentem. - Kto mówi?

- Guy Burgess z Moskwy.

- W porządku, już jestem! - wtrąciła się pośpiesznie Ginny. On zawsze lubi sobie pożartować, Basil.

181

- Tak jest, proszę pani - odparł kamerdyner miażdżąc obojętnym tonem i odłożył słuchawkę.

- Mac, najdroższy, czekam na twój telefon od kilku godzin. Mam wspaniałe nowiny!

- Madge wspomniała mi coś o tym, żebym nie wyzywał Manny'ego na pojedynek bokserski.

- Ach, Manny... Rzeczywiście, nie rób tego. Może okazać się przydatny podczas licytacji, ale nie wtedy, jeśli będzie leżał w szpitalu. Jeśli mam być szczerą, to zaczęłam właśnie od niego, łamiąc zasadę, żeby nigdy nie rozmawiać z byłymi mężami, tylko wysyłać moich adwokatów do ich adwokatów. Udało się.

- Co się udało? O jakiej licytacji mówisz?

- Midgey twierdzi, że pomysł jest wręcz sensacyjny i jedyny w swoim rodzaju. Podobno jest tam wszystko, czego potrzeba! Aktorzy - sześciu aktorów przenoszących się błyskawicznie z jednego końca ziemi na drugi, uwalniających zakładników i obezwładniających terrorystów, a wszystko w dodatku prawdziwe! Wspomniałam Manny'emu słówko - naturalnie po tym, jak zgodziliśmy się pozostawić na boku sprawę obrazów - a kiedy powiedziałam mu, że Chauncey skontaktował się już z jakimiś fachowcami z Londynu, Manny natychmiast wrzasnął do sekretarki, żeby rezerwowała czas w studio.

- Na litość boską, Ginny, zwolnij trochę! Przeskakujesz z tematu na temat jak konik polny, a ja nic z tego nie rozumiem... Teraz powiedz mi jeszcze raz, co właściwie robi Manny, co robi Chauncey i kim on jest, u diabła?

- Moim mężem, Mac!

Ach, to ten grenadier. Prawda, już sobie przypominam. Znakomici żołnierze, co do jednego. Nie mieli sobie równych na polu bitwy. A co on robi?

Już ci mówiłam: jest twoim wielbicielem, a kiedy Madge wyjaśniła mi, co masz na tych taśmach, natychmiast połączyłam się z nim i poprosiłam, żeby wziął udział w rozmowie jako ekspert od spraw wojskowych, i tak dalej.

- I co on myśli na ten temat?

- Powiedział, że przypomina mu to Czwarty albo Czterdziesty Batalion Królewskich Komandosów, którzy jak to określił, „odnieśli tylko połowiczny sukces”, a to dlatego, że „ciągle łamali ciszę radiową”. Chce pogadać z tobą na ten temat i porównać notatki.

182

Do licha, dawaj go, Ginny!

Nie, Mac, teraz nie mamy na to czasu. Poza tym on jest teraz w Santa Barbara, gdzie gra w golfa z mieszkającymi tam Anglikami.

- W takim razie co zrobił?

- Mac, chyba jesteś zmęczony i przydałby ci się porządny masaż. *Przecież* już ci powiedziałam: uznał, że scenariusz, którego zarys przygotowuje dla ciebie Madge, może stać się superprzebojem i zadzwonił do swoich przyjaciół w Londynie, żeby ich o tym poinformować

- A oni?

- Wsiądą z samego rana w pierwszego concorde'a i będą tu wcześniej, niż wystartują.

- To znaczy gdzie?

- • W Nowym Jorku, żeby się z tobą spotkać.

- Jutro... Dzisiaj?

- Z twojego punktu widzenia, tak.

- A twój były, Greenberg?

- Jutro rano - dla ciebie dzisiaj rano. Ponieważ miałam zamiary kilku jego przyjaciół, którym bardzo na nim *zależy*, zadzwoniłam do nich i odrobinę uchyliłam rąbka tajemnicy. Czeka cię ciężki dzień, kochanie

- Na Cezara, jesteś wspaniała! Ale jeśli mam być szczerą, Gin-Gin, to byłem pewien, że moje dziewczęta zdołają mi wszystko zorganizować, choć spodziewałem się, że będzie to trochę później, na przykład w przyszłym tygodniu, bo akurat teraz mam mnóstwo innych zobowiązań i...

- Mac, ty to powiedziałeś, a ja ci to teraz powtórzę: „W jeden dzień!”
- Rzeczywiście, tak powiedziałem, ale myślałem tylko o napisaniu paru stron tekstu i zainteresowaniu nim ważniaków z Beverly Hills, żeby przeczytali go sobie przez weekend, a od poniedziałku wzięli się ostro do roboty.
- Słuchaj no, mój były wspaniały małżonku i najlepszy przyjacielu, jakiego kiedykolwiek miałam, co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?
- Chodzi o to, Gin-Gin...
- Daj sobie spokój z tą głupią Gin-Gin. Kiedy znalazłeś Lillian i doszedłeś do wniosku, że potrzebuje pomocy bardziej ode mnie, zacząłeś nazywać mnie Gin-Gin. Później Lii powiedziała mi, że została

183

Lilly-Lilly dokładnie wtedy, kiedy przerzuciłeś się na Midgey. Po co to robisz? Przecież doskonale wiesz, że wszystkie cię kochamy. Dlaczego nie możesz wziąć się ostro do roboty od samego rana? Jeżeli okaże się, że masz nową żonę, doskonale to zrozumiemy i weźmiemy ją pod nasze skrzydła, kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

- To zupełnie inna sprawa, Ginny. Coś szalenie ważnego dla wielu biednych, ciemniejących ludzi.
- Znowu walczysz z wiatrakami, najdroższy przyjacielu? - zapytała łagodnie lady Cavendish. - Zgoda, odwołam wszystko, jeśli tego chcesz. Mogę to zrobić bardzo prosto, nie reagując na dzwonki do drzwi. Te sępy znają tylko numer apartamentu, dwanaście A. Żadnych nazwisk.
- Nie, nie trzeba. Zajmę się tym... to *znaczy*, zajmimy.
- My?
- Chłopcy są tu ze mną. Pomyślałem sobie, że przechowam ich tutaj, dopóki nie uporam się z tym problemem.
- Samobójcza Szóstka?! - wykrzyknęła Ginny. - Oni są w Waldorfie?
- Całe pół tuzina, maleńka.
- I naprawdę wyglądają jak amanci?
- Co do jednego, a w dodatku we wszystkich rozmiarach. Co ważniejsze, oczekują czegoś ode mnie. <•• i
- Więc daj im to, Mac. Nigdy nie zawiodłeś żadnej z nas.
- Może z wyjątkiem jednej. •••'
- Annie?... Daj spokój. W zeszłym tygodniu dodzwoniła się do mnie przez jakiś radiotelefon. Strasznie szumiało, ale zrozumiałam, że właśnie przetransportowała chore dzieci z jakiejś wyspy na Pacyfiku do Brisbane. Jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, a czy nie o to właśnie chodzi? Przecież sam nas tego uczyłeś.
- Powiedz mi, czy ona czasem wspomina o Samie Devereaux?
- O Samie?...
- Przecież doskonale mnie słyszysz, Ginny.
- No... owszem, ale nie wydaje mi się, żebyś chciał wiedzieć, w jaki sposób.
- Owszem, chcę wiedzieć. To mój przyjaciel.
- Wciąż jeszcze?
- Tak, dzięki zbiegowi okoliczności.
- W porządku... Wspomina go jako jedyne **mężczyznę, z któ-**

184

rym była w łóżku. Nazywa to „**komunią miłości**!”. **Cała reszta poszła**

W zapomnienie

- Czy ona kiedyś wróci?
- Nie, Mac. Znalazła to, czego pomagałeś jej szukać... Czego pomagałeś szukać nam wszystkim. Dobre samopoczucie we własnej skórze - pamiętasz?
- Przekłete psychologiczne pieprzenie! - wybuchnął Hawkins, po raz drugi ocierając łzę, która wymknęła mu się spod powieki w trakcie rozmowy z automatu telefonicznego w holu Waldorf-Astorii - Nie jestem żadnym przeklętym wybawicielem zagubionych dusz! Po prostu wiem, kogo lubię, a kogo nie, i to wszystko, do cholery! Nie wstawiajcie mnie na żaden pieprzony piedestał!
- Jak sobie życzysz, Mac. Poza tym i tak byś go skruszył.
- Co bym skruszył?
- Piedestał. Dobra, co z jutrzejszym ranem?

- Zajmę się tym.
- Bądź miły dla sępów, Mac. Miły i pełen rezerwy. One tego nie cierpią
- Co masz na myśli?
- Im bardziej jesteś uprzejmy, tym bardziej się poca, a im bardziej się poca, tym lepiej dla ciebie.
- To coś takiego jak spotkanie z agentami nieprzyjacielskiego wywiadu w Stambule, zgadza się?
- To Hollywood, Mac.

Telefon w apartamencie 12-A zadzwonił z samego rana, a właściwie już o świcie. Leżący na podłodze w salonie Hawkins był na to przygotowany. O drugiej zero trzy otrzymał od Madge *Zarys scenariusza*, do trzeciej przeczytał kilka razy i wchłoniął każde słowo z osiemnastu naładowanych akcją stron, zdjął aparat telefoniczny z nocnego stolika, postawił go na dywanie w pobliżu swojej głowy, po czym ułożył się wygodnie, by złapać trochę snu. W obliczu bitwy odpoczynek stanowił broń równie ważną jak zmasowane przygotowanie artyleryjskie. Jednak Midgley spisała się tak znakomicie - każda strona tekstu niemal eksplodowała napięciem, akcją i dynamicznymi charakterystykami postaci - że pożądany sen nadszedł dopiero po

185

trzydziestu minutach, podczas których Jastrząb zastanawiał się, czy nie rozpocząć kariery producenta filmowego.

„Nie, do diabła! Omaha i Wopotami wymagają mojego całkowitego zaangażowania. Trzymaj się priorytetów, żołnierzu!” Nagle w pokoju rozległ się natarczywy brzęczyk telefonu.

- Słucham? - powiedział Mac, nie podnosząc głowy z podłogi.
- Tu Andrew Ogilvie, generale.
- Co takiego?
- Tak jest, nie przesłyszał się pan. Powiedziałem: generale. Obawiam się, że mój stary przyjaciel grenadier złamał zasady i zdradził mi, kim jesteś. Znakomicie sobie radzisz, staruszk. Jestem pełen podziwu.
- Ale chyba nie masz zegarka - odparł cierpko Jastrząb. - Naprawdę służyłeś w grenadierach?
- Oczywiście, podobnie jak Cawy.
- Cavvy?...
- Lord Cavendish, ma się rozumieć. On też dobrze sobie radził. Łaził w błoto po pas, jeśli było trzeba, i nie starał się nikomu lordować, jeśli wiesz, co mam na myśli.
- Owszem. Cóż, to świetnie, wręcz znakomicie. Niestety jest jeszcze dość wcześnie i mój oddział nie jest gotowy do musztry. Zrób sobie poranną herbatkę i zgłoś się za godzinę. Gwarantuję ci, że będziesz pierwszy.
- Ledwo MacKenzie zdążył odłożyć słuchawkę, kiedy rozległo się gwałtowne pukanie. Mac zerwał się na nogi i podszedł do drzwi w gatkach w maskujące płamy.
- Tak?
- Pewnie, a któż by inny! - wykrzyknął intruz z korytarza. - Wiedziałem, że to ty! Wszędzie poznałbym to warczenie!
- Greenberg?
- A kogo się spodziewałeś, maleńki? Moja urocza, wspaniała żona, która bez żadnego powodu wyrzuciła mnie z domu i puściła z torbami - ale to nieważne, bo ma niesamowitą klasę - szepnęła mi słówko, a ja od razu się domyśliłem, że chodzi o ciebie! Wpuść mnie, koleś, dobra? Założę się, że ubijemy interes!
- Jesteś drugi w kolejce, Manny.
- Co, już tam ktoś jest? Posłuchaj, kochaneczku, ja mam do dyspozycji wielkie studio, wszystko, czego potrzeba! Po co będziesz zawracał sobie głowę jakimiś amatorami?

186

- Ponieważ oni rządzą Anglią.
- Dobrze sobie! Robią te kretyńskie filmy, na których wszyscy tylko gadają, ale nikt nie wie o czym, bo mają rybnie ości w gębach!

- Inni mają na ten temat odmienne zdanie.
- Jacy inni?! Na każdego Bonda wypada im pięćdziesięciu Gandhich w kalesonach, na których nie zarabiają nawet tyle, żeby zwróciły im się koszty taśmy, i niech ci nie wmawiają, że jest inaczej!
- Inni mają na ten temat odmienne zdanie.
- Komu ty wierzysz? Bełkoczącym Angolom czy drugiemu Paulowi Reveresowi?
 - Wpadnij za trzy godziny, Manny, ale najpierw zadzwoń z recepcji
 - Mac, daj mi szansę! Całe studio liczy na mnie!
- Przecież ci daję, jurna ropucho. Może na dole w holu wpadnie ci w oko jakaś szesnastoletnia panienska?
 - To oszczerstwo! Podam tę sukę do sądu!
 - Idź już, Manny, bo nie będziesz miał po co wracać.
 - W porządku, w porządku...
- Ponownie zadzwonił telefon. Hawkins był zmuszony odejść od drzwi, choć wolałby zostać tam jeszcze przez chwilę i upewnić się, czy Greenbeig rzeczywiście sobie poszedł.
 - Tak? - powiedział, podnosząc aparat z podłogi.
 - Apartament dwanaście A?
 - A jeśli tak, to co z tego?
 - Mówi Arthur Scrimshaw, szef działu planowania Holly Rock Produfiions. Mamy siedzibę w Hollywoodzie, ale możemy się pochwalić tak rozległymi kontaktami zagranicznymi, że dostałby pan zawrotu głowy, gdybym je wymienił, a oprócz tego otrzymaliśmy szesnaście nominacji do Oskara w ciągu ostatnich... ehm... lat.
 - A ile Oskarów dostaliście, panie Scrimshaw?
 - Zawsze byliśmy w czołówce. Walka trwała do ostatniej chwili. A skoro już mowa o czasie, to udało mi się wygospodarować go tyle w moim niesłychanie napiętym rozkładzie dnia, że zdążylibyśmy zjeść razem śniadanie.
 - Proszę zgłosić się ponownie za cztery godziny...
 - Bardzo przepraszam, ale widocznie nie wyraziłem się wystarczająco jasno
 - Wyraziłeś się bardzo jasno, Scrimmy, podobnie jak ja teraz.

187

Jesteś trzeci na liście, a to oznacza, że możesz zadzwonić ponownie za cztery godziny. Ta dodatkowa godzina jest potrzebna moim ludziom do odbycia porannej musztry.

- Jest pan całkowicie pewien, że powinien w ten sposób traktować szefa działu planowania Holly Rock Productions?
- Nie mam wyboru, Artie. Ja też mam swój rozkład dnia.
- Cóż... W takim razie... Mieszka pan w apartamencie, prawda? Czy przypadkiem nie ma pan tam wolnego łóżka?
- Łóżka?
- To przez tych cholernych księgowych. Powinienem wywalić ich wszystkich na zbity pysk... Nie bardzo chcę rozliczać rezerwacje dokonywane w ostatniej chwili, a ja nawet nie zmrzyłem oka podczas nocnego lotu z L. A. Powiadam panu, jestem wykończony!
- Proszę dowiedzieć się w misji Armii Zbawienia w Bowery. Słyszałem, że można się tam przespać za dziesięć centów... Przypominam, cztery godziny! - Jastrząb rzucił słuchawkę na widełki i odstawił aparat na biurko, ale zanim zdążył odwrócić się, żeby podejść do drzwi najbliższej sypialni, telefon zadzwonił ponownie. - Co jest, do cholery?! - ryknął do mikrofonu.
- Tu Emerald Cathedral Studios - odpowiedział miodopłynny głos z wyraźnym południowym akcentem. - Bogobojny gołąb-patriota przyniósł nam wiadomość o wspaniałym patriotycznym filmie, który pragniesz zrealizować, filmie opartym na faktach! Zaręczam ci, chłopcze, nie mamy nic wspólnego z tymi wszystkimi żydłakami i czarnuchami, którzy trzęsą przemysłem filmowym. Jesteśmy porządnymi chrześcijanami, prawdziwymi Amerykanami kochającymi swoją ojczyznę, którzy wierzą, że rację ma tylko ten, kto ma siłę, i chcemy pomóc ci opowiedzieć tę historię o innych Amerykanach, którzy postępują zgodnie z bożymi przykazaniami. Mamy też mnóstwo dolarów - zdaje się, że będzie tego parę milionów. Nasze niedzielne nabożeństwa transmitowane przez telewizję i stacje sprzedaży używanych samochodów, gdzie pracują prawie sami duchowni, to prawdziwe kopalnie złota.
- Przyjdźcie dziś o północy pod pomnik Lincolna w Waszyngtonie - polecił Hawkins

przyciszonym głosem. - I założcie na głowy białe kaptury, żeby was rozpoznać!
- Czy nie będziemy za bardzo rzucać się w oczy?
- Co wy jesteście, jacyś strachliwi, pacyfistyczni, antyamerykańscy liberałowie?

188

- Skądże znowu! Jak coś robimy, to robimy to do końca, jesteśmy chłopcami Jessego!

- Jeśli to właściwy Jesse, to wskakujcie do samolotu i zameldujcie się wieczorem w Waszyngtonie. Czteryście stóp przed pomnikiem i sześćset w prawo. Znajdziecie tam budynek straży honorowej. Oni wam powiedzą, gdzie nas szukać.

- A więc umowa stoi?

- I to taka, jakiej nawet sobie nie wyobrażasz. Pamiętajcie o kapturach! To bardzo ważne.

- W porządku, chłopie!

Odłożywszy słuchawkę, MacKenzie podszedł do drzwi najbliższej sypialni i zastukał głośno.

- Pobudka, żołnierze! Macie godzinę na przygotowanie się do akcji. Nie zapomnijcie o mundurach i broni. Przekażcie wszystkie polecenia obsłudze.

- Zrobiliśmy to już wczoraj wieczorem, generale! - odkrzyknął Sły. Zameldujemy się za dwadzieścia minut.

- Czy to znaczy, że już wstaliście?

- Naturalnie, generale - odparł Marlon. - Zdążyliśmy już wrócić z porannego joggingu.

- Przecież wasza sypialnia nie ma połączenia z korytarzem!

- Zgadza się - potwierdził Sylvester.

- Nie słyszałem, jak wychodziliście, a ja słyszę wszystko!

- Potrafiemy zachowywać się bardzo cicho, generale - wyjaśnił Marlon. A pan był chyba bardzo zmęczony. Nawet pan nie drgnął. Teraz zebraliśmy się tutaj na *petit dejeuner*...

- Cholera! - zaklął Jastrząb. Ku jego niezadowoleniu telefon zadzwonił ponownie. Wściekły, choć jednocześnie zrezygnowany, wrócił do biurka i podniósł słuchawkę. - Tak?

- Ach, to plawdziwa lozkoś móg usłyszeć pański cudowny głos powiedział jakiś mężczyzna, ponad wszelką wątpliwość orientального pochodzenia. - Ma nędzna dusza cieszy się niezmielnie, mogąc pana poznać.

- Mnie też jest miło, ale kim pan jest, do diabła?

- Nazywam się Yakataki Motoboto, ale moi przyjaciele z Horry-woodu mówią do mnie Kłazownik.

- Jestem w stanie ich zrozumieć. Może pan zgłosić się za pięć godzin, ale najpierw proszę zadzwonić z recepcji.

189

- Ach, pan bez wątpienia łączy żaltować, ale być może zechce pan zlezygnować z tych walunków, ponieważ tak się składa, że jesteśmy właścicielami tego uloczego hoteru.

- Co ty wygadujesz, Motorówko?

- Jesteśmy także właścicielami trzech największych studiów firmowych w Horrywoodzie. Pozworę sobie zaploponować, aby spotkał się pan najpielw ze mną, bo w przeciwnym lazie z największą przykłością będziemy musieri pana wymerdować.

- Nic z tego, Godzillo. Koszta naszego pobytu pokrywa kredyt w wysokości stu tysięcy dolarów i dopóki nie ulegnie wyczerpaniu, nie możecie nas nawet ruszyć palcem. Takie jest prawo, Bonsai. Na s z e prawo.

- Ach, wypłóbowuje pan cielpliwość mej nędznej duszy! Leplezen-tuję Wydział Przedsięwzięć Filmowych Toyhondahai Enterprises, USA.

- Gratuluję. A ja reprezentuję sześciu wojowników, przy których wasi samuraje wyglądają jak zbieracze kurzego łajna... Za pięć godzin, żóltasie, albo zadzwonię do kolegów w Tokio, żeby przyjrzeni się dokładniej waszej podejrzaney firmie, której jedynym zadaniem jest zapewne niepłacenie podatków!

- Ach!

- Jeśli jednak zgłosisz się za pięć godzin, wszystko zostanie przebaczone.

Hawkins odłożył słuchawkę i otworzył turystyczną torbę stojącą na kanapie. Nadszedł czas, żeby się ubrać - tym razem w szary garnitur, nie w skórzane portki.

Dziewiętnaście minut i trzydzieści dwie sekundy później cała Samobójcza Szóstka stała wyprężona w pozycji zasadniczej: silni, wysportowani mężczyźni, znakomicie prezentujący się w polowych mundurach, z pistoletami kalibru 45 przytroczonymi do pasów opiętych na niewiarygodnie szczupłych taliach. Zniknęły wszelkie udawane cechy upodabniające ich do słynnych imienników; po jękaniu się, potrząsaniu głowami, zgarbionych plecach i wypiętych brzuchach nie pozostało nawet wspomnienie. Zamiast tego pojawiły się twarze o rysach jakby wyrzeźbionych w kamieniu, precyzyjny sposób wysławiania się oraz bojowa postawa stosunkowo młodych, ale już doświadczonych żołnierzy. W ich bystrych spojrzeniach można było dostrzec nie tylko zapal do walki, ale także żywą inteligencję. W tej chwili starali się jak najlepiej zaprezentować swemu zastępczemu dowódcy***, .**»**',....

190

- Znakomicie, chłopcy! - wykrzyknął z aprobatą Jastrząb. - pamiętajcie, że właśnie takie macie wyrzeźbić na nich wrażenie, kiedy po raz pierwszy was zobaczą. Twardzi, ale bystrzy, otrząskani z okropieństwami bitew ale ludzcy, ponadprzeciętni, ale nie zarozumiali Boże, uwielbiam, kiedy żołnierze wyglądają w ten sposób! Do cholery, potrzebujemy bohaterów! Potrzeba nam dzielnych młodych ludzi, którzy nie zawahają się dać nura prosto w czeluście śmierci, \paszczę piekieł...

- Przetawiał pan kolejność, generale. To idzie dokładnie na odwrót

- Co za różnica?

- Całkiem spora.

- Chyba chce wyglądać jak William Holden w ostatnich scenach *Mostu na rzece Kwai*. > ^
**••

- Albo jak John Ireland w *O.K. Corral*.

- Ewentualnie jak Dick Burton i Clint w *Tylko dla orłów*. .-••iH

- Lub jak Eroll Flynn w czymkolwiek.

- Nie zapomnijcie o Connerym w *Niedotykalnych*.

- Panowie, a co myślicie o sir Henrym Suttonie jako rykerzu w *Beckecie*

- Dokładnie!

- Właśnie, co z sir Henrym, generale? My jesteśmy tutaj, a gdzie on się podział? Uważamy go teraz za jednego z nas, szczególnie jeśli chodzi o nasz film.

- Chwilowo otrzymał inne zadanie. Niezmiernie ważne zadanie. Dołączy do was później... A teraz zajmijmy się tym, co nas czeka...

- Czy możemy stanąć na spoczynku, generale?

- Tak, oczywiście, tylko nie stracie tego... tego...

- Kolektywnego *image'ul* - podpowiedział cicho Telly.

- Właśnie o to mi chodziło. Przynajmniej tak mi się wydaje...

- I bardzo słusznie, panie generale - odezwał się Sły, absolwent Yale. - W gruncie rzeczy specjalizujemy się w scenach zbiorowych. Możemy wtedy w pełni wykorzystywać nasze zdolności improwizacyjne oraz uzyskiwać ~ całościową strukturę formalną złożoną z międzyosob-nicznych interakcji.

- Międzyosobniczych?... Tak, naturalnie... Dobra, a teraz słuchajcie: te typki z Hollywoodu i Londynu nie bardzo wiedzą, czego mają się spodziewać, ale kiedy zobaczą przed sobą sześciu amantów

191

w mundurach - takiego właśnie określenia użyła pewna bardzo mi bliska osoba, która doskonale zna ich mentalność - będzie im się wydawało, że widzą worki z pieniędzmi. Przede wszystkim dlatego, że jesteście prawdziwi, a to ogromna zaleta. Nie sprzedajecie siebie, tylko ich, nie jesteście towarem, tylko klientami, a nawet jeśli oni będą chcieli kupić, to wy wcale nie musicie się na to zgodzić. Po prostu nie schodźcie poniżej określonego standardu i już.

- Czy z tym nie wiąże się pewne niebezpieczeństwo? - zapytał Książę. - Pieniędzmi rządzą producenci, nie aktorzy, a już na pewno nie tacy, o których nie można powiedzieć, żeby rzucili Broadway na kolana, nie wspominając już o Hollywoodzie...

- Panowie, zapomnijcie o swoim dotychczasowym życiu i o wszystkim, czego dokonaliście lub nie dokonaliście - odparł Jastrząb. - Podbijecie świat dzięki temu, czym t e r a z jesteście. Ci ludzie natychmiast zdadzą sobie z tego sprawę. Jesteście nie tylko zawodowymi aktorami, ale przede wszystkim żołnierzami, komandosami zawsze i

wszędzie osiągniętymi wyznaczony cel!

- E tam... - mruknął Dustin, wzruszając ramionami. - Każdy, kto ma choć trochę zdolności aktorskich, zrobiłby to samo.

- Nigdy tak nie mów! - ryknął MacKenzie.

- Przykro mi, generale, ale naprawdę tak uważam.

- W takim razie zachowaj to w tajemnicy, synu - poradził mu Hawkins. - Mamy do czynienia z wielką sprawą, więc nie starajmy się jej pomniejszyć.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Sly.

- Nie wdawajcie się w szczegóły, bo oni i tak nic z tego nie zapamiętają. - MacKenzie podszedł do biurka, wziął do ręki spięte spinaczem kartki zawierające najświeższe literackie dokonania jego trzeciej żony, po czym odwrócił się ponownie do oddziału. - To coś nazywa się zarysem scenariusza, ogólną koncepcją artystyczną albo jakoś inaczej, ale też głupio. Najważniejsze, że istnieje tylko w jednym egzemplarzu - po to, żeby zachować ścisłą tajemnicę. Jest to podsumowanie waszej działalności z ostatnich kilku lat i powiadam wam, ma siłę bomby atomowej. Kiedy *zaczną* przychodzić te sępy, dam to każdemu do ręki i powiem, że ma piętnaście minut na przeczytanie i zadawanie pytań, na które odpowiedzi są tajemnicą państwową. Usiądziecie w tych ustawionych półkołem fotelach, żeby utrzymać wasz kolektywny... coś tam.

192

- Kolektywny *image* milczącej siły połączonej z inteligencją spostrzegawczością? - podsunął Telly.

- Właśnie. Aha, i byłoby dobrze, gdyby paru z was sięgało odruchowo do broni za każdym razem, kiedy powiem: bezpieczeństwo narodowe

- Najpierw ty, Sly, a potem ty, Marlon - polecił Księżę.

- Dobra.

- W porządku.

- Teraz najważniejsze - mówił dalej Jastrząb. - Na początku będziecie odpowiadać na pytania tych pajaców swoimi normalnymi głosami, ale potem, kiedy dam wam znak, wcielicie się w postaci, które odtwarzaliście dla mnie i pułkownika Cyrusa.

- Mamy w repertuarze jeszcze wiele innych - poinformował go Dustin.

- Te wystarczą - odparł Hawkins. Byliście cholernie przekonujący

- A po co to wszystko? - zapytał nieufnie Marlon.

- Myślałem, że od razu się domyślicie. Otóż w ten sposób udowodnimy ponad wszelką wątpliwość, że naprawdę jesteście utalentowanymi profesjonalistami i że osiągnęliście tak wielkie sukcesy wyłącznie dzięki temu, że każdy z was jest przede wszystkim aktorem.

- To na pewno nam nie zaszkodzi, wędrowcy - powiedział Księżę, powracając do swego historycznego wcielenia. - Do licha, po raz pierwszy będziemy mieli okazję zaprezentować nasze zawodowe umiejętności przed grubymi rybami przemysłu filmowego!

- Uwierzcie we własne siły! Na pewno wam się uda! - Ponownie rozległ się dzwonek telefonu. - Możecie siadać do śniadania, panowie oznajmił MacKenzie Hawkins. Zaczekał, aż Samobójcza Szóstka zajmie miejsca przy stolikach wniesionych nieco wcześniej do salonu przez kelnerów, a następnie sięgnął po słuchawkę.

- Tak, kto mówi?

- Dwunasty syn szejka Tizi Ouzou urodzony przez jego dwudziestą drugą żonę - odparł łagodny głos. - Jeżeli nasza rozmowa przyniesie soczyste owoce, staniesz się właścicielem trzydziestu tysięcy wielbłądów. Jeżeli owoce okażą się nic nie warte, sto tysięcy białych psów może stracić życie.

- Znikaj! Zgłoś się za sześć godzin albo zagrzeb swoje jaja na pustyni. Siedem godzin później okręt dowodzony przez Hawkinsa wpłynął

193

na wzburzone wody przemysłu filmowego, znacząc swoją drogę nieszczęśnikami unoszącymi się na falach i walczącymi rozpaczliwie o przeżycie. A byli to: dawny brytyjski grenadier nazwiskiem Ogilvi, miotający obelgi pod adresem niewdzięcznych mieszkańców kolonii-niejaki Emmanuel Greenberg, którego żalosne szlochanie wzruszyło wszystkich z wyjątkiem Jastrzębia; pewien wyczerpany całonocną podróżą szef działu planowania wytwórni Holly Rock nazwiskiem Scrimshaw, który ostatecznie oświadczył, że

wystarczy mu łóżko byleby tylko nie musiał za nie płacić; rozwrzeszczany Krążownik Motoboto, dający jasno do zrozumienia, że bliski jest dzień, kiedy w Horrywoodzie powstaną obozy koncentracyjne; wreszcie wyniosły szejk Mustacha Hafaiyabeaka, czyniący liczne i obraźliwe porównania między dolarem a wielbłądzim łajnem. Niemniej jednak każdy z tych mężczyzn marzył o tym, by zostać wybranym na producenta czegoś, co zapowiadało się jako najbardziej sensacyjny film naszych czasów. Każdy też, oszołomiony znakomitą prezencją sześciu aktorów-koman-dosów, zgodził się bez zastrzeżeń, by to oni właśnie odtwarzali główne role w tym filmie, opowiadającym przecież o ich wyczynach. Jedyna sugestia w tej kwestii pochodziła od Greenberga:

- Panowie, a może by tak dodać trochę golizny? Wiecie, parę dziewczynek, żeby nikomu nie przyszły do głowy głupie myśli...

Samobójcza Szóstka przystała entuzjastycznie na tę propozycję, a szczególnie Marlon, Sly i Dustin.

- Żyła trzydziestosześciokaratowego złota! - szepnął Manny, zacierając ręce.

Wymieniono wizytówki, ale Hawkins nie pozostawił żadnych wątpliwości: decyzje zostaną podjęte dopiero na początku przyszłego tygodnia. Kiedy ostatni interesant opuścił pokój - był nim pomrukujący gniewnie dwunasty syn szejka Tizi Ouzou, urodzony przez jego dwudziestą drugą żonę - MacKenzie spojrział na swój elitarny oddział i powiedział:

- Byliście wspaniali, co do jednego. Zahipnotyzowaliście ich i zupełnie zbiliście z tropu. Udało się wam!

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co właściwie zrobiliśmy - odparł erudyta Telly. - Naturalnie oprócz tego, że daliśmy niezłe przedstawienie.

- Postradałeś zmysły, synu? - zdumiał się Hawkins. - Nie słyszałeś, co mówili? Tak im się spodobał nasz projekt, że mało nie utopili się we własnej ślinie!

194

- Rzeczywiście, słyszałem mnóstwo hałasów, wrzasków i błagań - przyznał Dustin. - Najbardziej spodobał mi się płacz pana Greenberga, bo przypominał chór w greckiej tragedii, ale nie jestem pewien, czy wiem, co to wszystko oznacza.

- Nie zauważyliśmy, żeby któryś z nich wyciągnął z kieszeni kontrakt - dodał Marlon.

- Nie chcemy żadnych kontraktów. Jeszcze nie.

- Co to znaczy jeszcze, generale? - zapytał sir Lany. - Widzi pan, my już to wszystko znamy. Zawsze jest mnóstwo gadania, ale bardzo mało papieru. Papier oznacza konkretne zobowiązania, a reszta to tylko... gadanie.

- Jeśli się nie mylę, panowie, negocjacje prowadzą negocjatorzy. My jesteśmy stroną kreatywną; targi pozostawiamy innym.

- A kto prowadzi w naszym imieniu te negocjacje?

- Dobre pytanie, Duke. Myślę, że muszę zadzwonić do pewnej osoby

- Może być na mój koszt - zaofiarował się Sly. Jednak w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Hawkins podszedł szybko do biurka i złapał słuchawkę.

- Kto tam, do cholery?!

- Kochanie, nie mogłam już się doczekać! Jak wam poszło?

- Cześć, Ginny. Jak po maśle, ale według tego, co przed chwilą powiedzieli mi chłopcy, możemy mieć pewien problem.

- Manny?... Chyba go nie zabiłeś?!

- Skądże znowu. Wywarł na chłopcach spore wrażenie.

- Rozpłakał się?

- Dokładnie.

- On to potrafi, sukinsyn... W takim razie co to za problem?

- Chłopcy bardzo się cieszą, że te sępy są nimi zachwycone albo że przynajmniej tak udają, ale jak na razie nie dostaliśmy niczego na piśmie

- Wszystko jest już załatwione, Mac. Zajmuje się wami agencja Williaina Mornsii. a konkretnie Robbins i Martin we własnych osobach.

- Robbins i Martin? To brzmi jak nazwa drogiego sklepu z męską odzieżą.

- Rzeczywiście są drodzy, ale są też mądrzejsi od nas wszystkich razem wziętych. Poza tym mówią po angielsku, a nie w tym hollywoodzkim żargonie, dzięki temu można ich zrozumieć. W ten sposób

wprowadzają zamęt w szeregach przeciwników i załatwiają wszystko co chcą. Zabiorą się do pracy, jak tylko dam im znać.

- Zrób to na początku przyszłego tygodnia, dobrze?

- W porządku. Gdzie będę mogła cię znaleźć? I kto się zgłosił naturalnie oprócz Manny'ego?

- Mam ich wizytówki. - Jastrząb przeczytał swojej byłej żonie nazwiska ludzi, którzy w ciągu ostatnich kilku godzin przewinęli się przez apartament.

- Czy jeden z nich nie prowadzi jakiegoś zwariowanego studia w Georgii albo na Florydzie? Naturalnie nikt poważny nie będzie z nimi robił interesów, ale mają kilka kościołów wypełnionych pieniędzmi, więc przynajmniej podbiją stawkę.

- Obawiam się, że dziś wieczorem w Waszyngtonie napytają sobie poważnych kłopotów.

- Jak to?

- Nieważne, Ginny.

- Znam ten ton. Skoro nieważne, to nieważne. A co z tobą? Gdzie będziesz?

- Zadzwoń do Johnny'ego Calfnose'a w rezerwacie Wopotami koło Omaha. On będzie wiedział, gdzie mnie szukać. To jego prywatny numer. - Hawkins podyktował jej szereg cyfr. - Zapisłaś?

- Jasne, ale kto to jest Calfnose i co to, do wszystkich diabłów, jest Wopotami?

- Johnny jest zniewolonym członkiem tego uciskanego narodu.

- Twoje wiatraki, Mac?

- Robimy, co w naszej mocy, mała damo.

- Komu tym razem, najdroższy?

- Złym obrońcom republiki, mającym paskudne zamiary, Czyli wypierdkom z Waszyngtonu?

- Oraz ich przodkom, Ginny. Sięgamy ponad sto lat wstecz, >•

- Wspaniale!... Ale jak wplątałeś w to Sama?

- To człowiek z zasadami - naturalnie znacznie dojrzałszy niż kiedyś i obarczony siedmiorgiem dzieci. Potrafi odróżnić dobro od zła.

- Właśnie o to mi chodzi! W jaki sposób nakłoniłeś go do współpracy? Przecież ten uroczy chłopak uważa cię za uosobienie czterdziestu rozbójników Ali Baby!

- Jak już powiedziałem, zmienił się przez te lata. Prawdopodobnie ma to jakiś związek z jego nędznym wyglądem i reumatyzmem, który

196

Hokrumie go wyniszczył... Ale dziewięcioro dzieci zrobiłoby to z każdym mężczyzną

- Dziewięcioro? Przed chwilą mówiłeś, że siedmioro.

- Nie jestem pewien, zresztą podobnie jak on. Muszę jednak przyznać, że stał się znacznie bardziej tolerancyjnym człowiekiem.

- Dzięki Bogu, że przebolewał utratę Annie. Bardzo się o niego martwiłyśmy Zaraz, chwileczkę! Siedmioro dzieci... Dziewięcioro? Czyjego żona za każdym razem rodziła dwojaczki albo trójczki?

- No, właściwie to nie... - Na szczęście dla MacKenziego Hawkinsa w słuchawce coś pstryknęło, a zaraz potem rozległ się podekscytowany głos telefonistki:

- Apartament dwanaście A, mam do pana bardzo pilny telefon! Proszę przerwać rozmowę, żeby mogła pana połączyć.

- Na razie, Ginny. Niedługo się odezwę. MacKenzie położył słuchawkę na widełki, a kiedy po trzech sekundach rozległ się dzwonek, poderwał ją raptownie. Tu apartament dwanaście A. Kto mówi?

- Redwing, ty prehistoryczny potworze! - wrzasnęła Jennifer w Swampscou w stanie Massachusetts. - Wczoraj wieczorem Sam wysłuchał taśmę Brokemichaela. Cyrus, Roman i obaj Desi ledwo zdołali go zatrzymać! Cyrus wlał w niego prawie całą butelkę whisky...

- Kiedy wytrzeźwieje, odzyska zdolność logicznego myślenia - przerwał jej Jastrząb. - Z nim jest tak zawsze.

- Cieszę się, że tak uważasz, ale obawiam się, że nie będzie nam dane zobaczyć tego!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- On zniknął!

- Niemożliwe! Przecież pilnowali go moi adiutanci, Roman Z. i pułkownik!

- To podstępny sukinsyn, Grzmiąca Dupo. Zamknął od środka drzwi do pokoju i

wszyscy myśleliśmy, że śpi w najlepsze, ale pięć minut temu Roman zauważył na morzu motorówkę, która zbliżyła się do brzegu, a wtedy spomiędzy wydm wybiegła jakaś postać i wskoczyła na pokład!

-• Sam?

• Lornetka nie kłamie, a Roman Z. na pewno ma sokoli wzrok, w przeciwnym razie spędziłby w więzieniu znacznie więcej czasu.

• Cholera, znowu to samo! Już raz tak było, w Szwajcarii... Wtedy kiedy chciał cię powstrzymać przed... Niewiele brakowało, żeby mu się udało! - przerwał jej

197

Hawkins, wściekle obmacując kieszenie w poszukiwaniu środka, uspokajającego w postaci wymiętego cygara. - Widocznie dorwał się do telefonu i zadzwonił do kogoś.

- Z pewnością, ale do kogo?

- Skąd mam wiedzieć? Przez kilka lat nie miałem z nim żadnego kontaktu... Co teraz zrobimy?

- Wczoraj wieczorem wykrzykiwał coś o manipulatorach usadowionych na wysokich stołkach, o skorumpowanych urzędnikach, którzy wyprzedają kraj i których należy zdemaskować, i że on to zrobi...

- Tak, często o tym mówi i nawet w to wierzy.

- A ty nie? Wydawało mi się, generale, że w Ritzu słyszałam od ciebie dokładnie to samo!

- Jasne, że wierzę, ale teraz nie czas i miejsce na to, żeby dawać wyraz przywiązaniu do ideałów!... Cholera, co robić? Jeśli w jakiejś redakcji zjawi się nagle rozhisteryzowany prawnik o przekrwionych oczach i w przemoczonym ubraniu i opowie naszą historię, natychmiast odstawia go do czubków.

- Zdaje się, że o czymś zapomniałam...

- O czym?

- Zabrał ze sobą taśmę.

- Na Shermana w Atlancie, ty chyba żartujesz, czerwonoskóra damo!

- Obawiam się, że nie. Nie możemy jej nigdzie znaleźć.

- Na święte pistolety Pattona! On może rozpieprzyć całą sprawę! Musimy go powstrzymać!!!

- Ale jak?

- Zawiadomcie wszystkie gazety, stacje telewizyjne i rozgłośnie radiowe w Bostonie, że z największego szpitala psychiatrycznego w stanie Massachusetts uciekł niebezpieczny wariat.

- To nic nie da, jeśli usłyszą nagranie. Natychmiast skopiują taśmę i sprawdzą, czy to na pewno głos Brokemichaela. Wystarczy, że do niego zadzwonią.

- Więc powiem mu, żeby nie zbliżał się do telefonu!

- Do telefonu?... - mruknęła z namysłem Jennifer. - Tak, to jest to! W firmach telefonicznych komputery rejestrują wszystkie rozmowy. Na tej podstawie są obliczane rachunki. Jestem pewna, że pan Pinkus zdoła uzyskać nakaz prokuratora.

198

- Po co?

- Żebyśmy mogli sprawdzić, do kogo Sam dzwonił z telefonu Birnbauma: Dzisiaj nikt nie korzystał z tego aparatu.

- Owszem, korzystał. Nazywa się Devereaux.

.Dzięki wzorowym układom Aarona Pinkusa z władzami sugestii Jennifer Redwing mogła zostać błyskawicznie wprowadzona w życie.

- Panie mecenasie, tu kapitan Cafferty z bostońskiej Komendy Głównej. Zdobyliśmy informacje, o którą pan prosił.

- Ogromnie panu dziękuję, kapitanie Cafferty. Proszę mi wierzyć, że gdyby chodziło o mniej pilną sprawę, z pewnością nie nadużywałbym pańskiej uprzejmości.

- To żaden kłopot, proszę pana. Przecież co roku funduje nam pan na nasze święto befsztyk z kapustą.

- Jest to jedynie drobny wyraz uznania za waszą wspaniałą pracę.

- W każdym razie proszę się nie krępować i dzwonić do nas o każdej porze... A oto

co dostaliśmy od firmy telefonicznej: W ciągu ostatnich dwunastu godzin z tego telefonu w Swampscott, którego numer pan nam podał, dzwoniło tylko cztery razy. Ostatnio sześć minut temu do Nowego Jorku...

Tak, wiemy o tym, kapitanie. A pozostałe trzy rozmowy?

- Dwie były z pańskim domem, panie Pinkus. Pierwsza o szóstej trzydziści trzy wczoraj wieczorem, druga dziś rano...

- Rzeczywiście, dzwoniłem do Shirley... to znaczy do mojej żony.

- Wszyscy mieliśmy zaszczyt ją poznać, proszę pana. To prawdziwa dama, taka wysoka i pełna wdzięku...

- Wysoka? W rzeczywistości jest bardzo niska. To tylko fryzura... Zresztą, nieważne. A czwarta rozmowa?

- Została przeprowadzona z tego samego miejsca w Swampscott, ale z innego aparatu, o zastrzeżonym numerze. Rozmówcą był niejaki Geoffrey Frazier...

- Frazier? - przerwał Aaron policjantowi. - A to ciekawe...

- O tym Frazierze można powiedzieć mnóstwo rzeczy, panie Pinkus, a przede wszystkim to, że - przepraszam za wyrażenie - cholerny z niego wrzód na dupie.

- Jestem pewien, że jego dziadek używa znacznie gorszych słów.

199

- Rzeczywiście, słyszałem na własne uszy! Za każdym razem, kiedy pakujemy ptaszka za kratki, staruszek pyta, czy nie moglibyśmy potrzymać go kilka dni dłużej.

- Serdecznie panu dziękuję, kapitanie. Bardzo pan nam pomógł.

- Zawsze do usług.

Aaron odłożył słuchawkę i spojrzał z zastanowieniem na Jennifer.

- Przynajmniej wiemy, w jaki sposób Sam znalazł taśmę: rozmawiał z aparatu Sidneya, więc pewnie najpierw przesłuchał ją w jego gabinecie.

- Ale nie to wywarło na panu największe wrażenie, prawda? Chodzi o tego człowieka o nazwisku Frazier?

- Owszem. To jeden z najbardziej sympatycznych, czy wręcz uroczych ludzi, jakich można spotkać. Naprawdę miły gość, którego rodzice zginęli wiele lat temu w katastrofie samolotowej, kiedy pijany jak bela Frazier senior usiłował wylądować hydroplanem na bulwarze w Monte Carlo. Geoffrey jest kolegą szkolnym Sama z Andover.

- A więc dlatego zadzwonił do niego...

- Wątpię. Sam nie nienawidzi ludzi - jak widziałas na własne oczy, nie potrafił znienawidzić nawet Hawkinsa - ale na pewno wielu potępia.

- Potępia? Skoro tak, to czemu wybrał akurat tego Frazierza?

- Ponieważ Geoffrey nadużył swobody i zmarnował wszystkie swoje zalety. Jest teraz alkoholikiem, dla którego jedynym celem życia stało się poszukiwanie przyjemności oraz unikanie bólu. Sam nie chce mieć z nim nic wspólnego.

- Teraz jednak zechciał - nie dalej jak dziesięć minut temu na plaży!

- Generał ma rację! - oświadczył stanowczo Pinkus, sięgając po słuchawkę. - Musimy go powstrzymać.

- W jaki sposób?

- Na początek dobrze by było się dowiedzieć, dokąd popłynął tą motorówką.

- Dokądkolwiek!

- Niezupełnie - odparł Aaron. - Teraz to nie takie proste. Straż Przybrzeżna i wojsko patrolują bez przerwy linię brzegową, i to nie tylko ze względu na nieostrożnych żeglarzy, ale przede wszystkim po to, by wyłapywać małe jednostki dowożące na brzeg różne *zakazane* towary z dużych statków, które pozostają na pełnym morzu. Właściciele

200

domów lotniskowych są proszeni o meldowanie o wszystkich podejrzanych wydarzeniach, jakich byli świadkami.

- Ktoś więc mógł już ich zawiadomić - zauważyła Jennifer - Przecież motorówka płynęła w stronę brzegu!

Tak, ale Sam wsiadł na nią, a nikt z niej nie wysiadł.

Przypuszcza pan, że w związku z tym zadziałał syndrom „po-co-mam-się-w-to-mieszać”?

Właśnie.

Mimo to może byłoby jednak warto zadzwonić do Straży Przybrzeżnej?

Zrobiłbym to od razu, gdybym wiedział, jaka to była motorówka, jaki miała kształt, kolor, gdzie jest jej port macierzysty. - Pinkus zaczął wystukiwać numer. - Właśnie teraz przypomniałem sobie, że wiem coś jeszcze... a raczej, że z n a m kogoś jeszcze.

Jedną z koron wieńczących krajobraz Bostonu stanowi odizolowany skrawek terenu na szczycie Beacon Hill zwany Louisburg Square. Obszar ten, w latach czterdziestych ubiegłego wieku zabudowany eleganckimi domami, strzeżony jest od północy przez kamienną postać Krzysztofa Kolumba, od południa zaś przez pomnik Arystydesa. Ma się rozumieć, nie jest on całkowicie odizolowany wykonujący swoje obowiązki w ciągu dnia służący muszą mieć szansę dostania się tutaj w jakiś inny sposób niż samochodem, aby nie narażać swych pojazdów na stresujące towarzystwo rolls-royce'ów, porsche i innych eleganckich zabawek, które zwróciły na siebie uwagę dziedziców Louisburga. Dziedzice ci jednak są pod względem demograficznym niemal zdemokratyzowani, gdyż można tu spotkać zarówno bardzo stare, stare, nowe, a nawet zupełnie świeże pieniądze Dzielnicy zamieszkuje spadkobiercy fortun, brokerzy, prawnicy, kilku prezesów koncernów oraz lekarze, a wśród nich jeden, będący jednocześnie znakomitym amerykańskim pisarzem, którego koledzy po fachu najchętniej pochwaliby w stanie śpiączki, ale on jest na to za dobry zarówno jako lekarz, jak i jako pisarz.

Nie zważając jednak na demograficzną demokrację, w tej akurat chwili w Louisburgu zadzwonił tylko jeden telefon; stało się to w ozdobionym ze smakiem domu, wybudowanym za najstarsze pieniądze w Bostonie, a stanowiącym rezydencję R. Cooksona Frazier.

201

W momencie gdy rozległ się dzwonek, żwawy stary dżentelmen [!] w przepoconym dresie rzucił celnie piłkę do kosza w małej salce treningowej, którą kazał urządzić na najwyższym piętrze domu. Usłyszawszy ostry sygnał, odwrócił się w stronę aparatu, a podeszwy jego sportowych pantofli zaskrzypiały ze zdziwieniem na parkiecie. Wahanie dobiegło końca, kiedy po trzecim dzwonku przypomniał sobie, że gosposia pojechała do miasta po zakupy. Otarł spocone czoło, podszedł do wiszącego na ścianie aparatu i zdjął słuchawkę.

- Tak? - sapnął, lekko zadyszany. i - Pan Frazier? \ -

We własnej osobie.

- Mówi Aaron Pinkus. Spotkaliśmy się kilka razy, ostatnio na balu dobroczynnym w Muzeum Fogga, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Nie myli cię, Aaronie, ale skąd się wziął ten pan Frazier? Jesteś prawie tak stary jak ja, a zdaje się, iż obaj doszliśmy do wniosku, że nie wyglądałbyś na swoje lata, gdybyś więcej ćwiczył!

- Co prawda, to prawda, Cookson. Niestety, zawsze brakuje mi

- I zawsze będzie ci go brakować, choć nie przeczę, że zostaniesz najbogatszym umarlakiem na całym cmentarzu.

- Już dawno zrezygnowałem z takich ambicji.

- Wiem o tym. Po prostu dokuczam ci, żeby zyskać na czasie, bo jestem spocony jak świnia... To chyba nie najlepsze porównanie, bo podobno świnie wcale się nie pocą. Czym mogę ci służyć, stary przyjacielu?

- Obawiam się, że to ma związek z twoim wnukiem...

- Ty się o b a w i a s z? - przerwał Frazier Pinkusowi. - Ja już jestem przerażony! Co on tym razem nawyrabiał?

Aaron zaczął opowieść, ale po ośmiu sekundach, na pierwszą wzmiankę o motorówce, jego rozmówca wykrzyknął tryumfalnie-

- Wspaniale! Wreszcie go załatwię!

- Słucham?

- Unieruchomię go!

•; - Jak to?...

- Sąd zakazał mu prowadzenia motorówki, podobnie jak samochodu, motocykla albo skutera śnieżnego, gdyż stanowi zagrożenie dla wszystkiego, co się porusza.

- Wsadzisz go do więzienia?

- Do więzienia? Dobry Boże, skądże znowu! Po prostu umieszczę

go w jednej z tych instytucji, które pomogą mu wrócić na właściwą drogę. Moi prawnicy już wszystko przygotowali. Zgodnie z wyrokiem sądu. Jeśli chłopak złamie zakaz, ale nie narazi nikogo na żadne szkody cielesne ani majątkowe, wolno mi zastosować wobec niego własne środki dozoru.

- Chcesz wysłać go do sanatorium?

- Raczej do ośrodka rehabilitacyjnego, czy jak to tam się nazywa.

- Musiał ci nieźle zależeć za skórę...

- Rzeczywiście, ale chyba nie w taki sposób, o jakim myślisz. Dobrze znam tego chłopca i bardzo go kocham. Mój Boże, przecież jest ostatnim męskim potomkiem rodu Frazierów!

- Rozumiem cię, Cookson.

- Wątpię. Widzisz, kimkolwiek teraz jest, stał się nim z naszej winy, z winy rodziny, a przede wszystkim z mojej, bo po śmierci syna właściwie to ja go wychowywałem. Jak już jednak powiedziałem, dobrze go znam i wiem, że pod warstwą przesiąkniętego alkoholem osobistego uroku kryje się wspaniały umysł. Aaronie, we wnętrzu tego zepsutego chłopca znajduje się zupełnie inny człowiek! Jestem tego całkowicie pewien.

- Jest naprawdę bardzo sympatyczny, więc nie widzę powodu, dla którego miałbym ci zaprzeczać.

- Ale nie wierzysz mi, prawda?

- Nie znam go tak dobrze jak ty, Cookson.

- Natomiast dziennikarze i reporterzy myślą, że go znają. Jak tylko coś przeszkrobie, rzucają się na niego jak sępy. „Spadkobierca ogromnej fortuny znowu zalał się w trupa”, „Playboy z Bostonu przynosi wstyd całemu miastu”, i tak dalej, i tak dalej...

- Chyba jednak sam przyznasz, że nie wysysają tego z palca?

Oczywiście, że nie! I właśnie dlatego wiadomość, którą mi przekazałeś, tak bardzo mnie ucieszyła. Teraz mogę oficjalnie przejąć kontrolę nad tym przerosniętym dzieciakiem.

W jaki sposób? Jest na swojej motorówce i nikt nie wie, dokąd się skierował...

Powiedziałeś, że mniej więcej dwadzieścia minut temu podpłynął do plaży w Swampscott...

Może nawet niecałe dwadzieścia.

Powrót do przystani zajmie mu co najmniej czterdzieści lub czterdzieści pięć minut...

- A jeśli popłynął w przeciwną stronę?

- Najbliższa przystań, na północ od Swampscott, która sprzedaje paliwo obcym jednostkom, znajduje się w Gloucester. Te motorówki żłopia benzynę jak spragnieni Arabowie herbatę na pustyni. Mógłby tam dotrzeć w ciągu pół godziny i na pewno musiałby zatankować.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Ponieważ przez pięć kadencji byłem dowódcą bostońskiej Gwardii Narodowej. Tracimy czas, Aaronie! Muszę zaalarmować naszych przyjaciół z Gwardii i Straży Przybrzeżnej. Na pewno go znajdą.

- Jeszcze jedno, Cookson. Na pokładzie motorówki przebywa mój pracownik, niejaki Samuel Devereaux. Ogromnie zależy mi na tym, żeby zatrzymano go i przekazano w moje ręce.

- Coś przeszkrobał?

- Nie, tylko jest odrobinę zbyt popędliwy. Później wszystko ci wyjaśnię.

- Devereaux? Ma coś wspólnego z Lansingiem Devereaux?

- Tak się składa, że to jego syn.

- Świetny był gość z tego Lansinga. Wielka szkoda, że umarł tak młodo, bo miał ogromne zdolności. Dzięki niemu dokonałem kilku znakomitych inwestycji.

- Powiedz mi, Cookson, czy po jego śmierci kontaktowałeś się z wdową po nim?

- Pewnie, a co w tym dziwnego? Przecież to on główkował, a ja tylko wykładałem pieniądze. Przekazywałem na jej konto należne mu zyski. Uważasz, że na moim miejscu ktoś mógłby postąpić inaczej?

- Znam takich wielu...

- To pospolici złodzieje i krwio pijcy... Kończę już, Aaronie, bo muszę telefonować,

ale skoro już się zgadaliśmy, to może któregoś dnia zjedlibyśmy razem kolację?

- Z wielką przyjemnością.
- Naturalnie musisz zabrać ze sobą swoją żonę, Shelly. To naprawdę wspaniała, wysoka kobieta.
- Właściwie nazywa się Shirley i wcale nie jest wysoka, tylko... Zresztą, nieważne.

28

Niebo nagle zasnuło się chmurami, równie ciemnymi i skłębionymi jak rozciągający się pod nimi ocean. Sam Devereaux trzymał się kurczowo stalowego relingu motorówki, zastanawiając się, co go podkusiło, żeby zadzwonić do Geoffa Fraziera, człowieka, którego darzył serdeczną niechęcią... No, może słowo niechęć stanowiło zbyt ostre określenie, gdyż nikt, kto znał Szalonego Fraziego, nie mógł darzyć go autentyczną niechęcią. Człowiek ów miał bowiem serce dorównujące wielkością swojemu miesięcznemu stypendium i chętnie oddałby je w całości każdemu, kto znalazłby się w potrzebie. Teraz jednak Sama zaniepokoiły szaleńcze manewry Fraziera, który celował w największe fale dziobem smukłej, wyposażonej w dwa silniki łodzi.

- Muszę to robić, marynarzu! - wykrzyknął właściciel i zarazem sternik motorówki, w przekrzywionej kapitańskiej czapce na głowie. - Gdybyśmy dostali falę z boku, moglibyśmy przewrócić się do góry dnem!

- Chcesz powiedzieć, że możemy utonąć?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. - Spieniona fala załała dziób łodzi i rozbiła się o przednią szybę, opryskując obu mężczyzn fontanną wody. - Cholernie podniecające, nie uważasz?

- Geoff, czy ty jesteś trzeźwy?

- Łyknąłem sobie co nieco, ale to nic nie szkodzi! - odkrzyknął Frazier. - Jak jesteś na cyku, od razu inaczej patrzysz na wszystko.

205

Czujesz się silniejszy od natury, jeśli wiesz, co mam na myśli... Czy ty mnie w ogóle słyszysz, Devvy?

- Niestety tak, Frazie.

- Nic się nie martw. Te grzywacze pojawiają się nie wiadomo skąd, ale równie szybko znikną.

- To znaczy kiedy?

- Najdalej za jakąś godzinę - odparł Frazier z radosnym uśmiechem. - Nasz jedyny problem polega na tym, że musimy wcześniej znaleźć przystań.

- Dlaczego to ma być problem?

- Bo przy takiej pogodzie trudno mi będzie wcelować między główki.

- Gadaj po ludzku, do cholery!

- Przecież to robię. Mówię o główkach falochronu, który osłania przystań przed sztormem.

- Więc płyn na plażę!

- Tu wszędzie jest mnóstwo skał i mielizn, a tą łódką jest diabelnie trudno manewrować przy takim szkwale.

- Przy jakim szwale?!

- Nieważne.

- Do cholery, skreć w stronę brzegu! Przed nami jest piękna plaża bez żadnych skał i mielizn, a mnie się okropnie śpieszy!

- Skały i mielizny to nie jedyna przeszkoda, stary przyjacielu! - odkrzyknął Frazier. - Nikt nie lubi, kiedy łódź taka jak nasza przybija do brzegu na terenie prywatnej posiadłości, a tutaj, gdzie tylko sięgniesz okiem, są same prywatne działki.

- Pół godziny temu w Swampscott nie miałeś żadnych obiekcji!
- Zaryzykowałem, bo tam każdy płaci za kawałek plaży przylegający do swojej działki, dzięki czemu jest lepiej odgradzony od sąsiadów, a poza tym wszyscy znają dom Birnbaumów i wiedzą, że właściciele polecili do Londynu na aukcję nieruchomości. Tutaj to co innego, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę moje grzeszki...
- Jakie grzeszki?
- Drobne wykroczenia drogowe, naprawdę nic poważnego, staruszku. Nie ma się czym przejmować. Zresztą, jak doskonale wiesz, w każdym koszyku może trafić się parę zgniłych jabłek.
- Jakich jabłek? W jakim koszyku?! - ryknął Sam. W tej samej chwili kolejny grzywacz zalał go całego, przemaczając do suchej nitki.

206

- Ci cholerni gwardziści, którymi dowodzi mój dziadek. Sami kapusie^ a wszyscy serdecznie mnie nienawidzą, bo ich łodzie są wolniejsze od mojej!
- O czym ty mówisz, do cholery? - Nagły wyskok motorówki w górę i natychmiastowy spadek w głęboką dolinę między falami sprawiły, że Devereaux puścił reling. Jego wyciągnięta rozpaczliwie ręka trafiła na klamkę szafki ze sprzętem żeglarskim i nacisnęła ją, a następne chybnięcie łodzi spowodowało, że Sam zanurkował głową naprzód do ciasnego wnętrza. - Na pomoc! - wrzasnął. - Wpadłem gdzieś!
- Nic nie słyszę, Dewy, ale nie przejmuj się, chłopie! Widzę już światła przystani w Gloucester. Czerwone z prawej burty, jak to się mówi.
- Czerwone... mmmppffft... aaaaghhh?...
- Postaraj się mówić trochę wyraźniej, Dewy! Nic nie rozumiem przy tym wietrze, ale byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś zechciał otworzyć butelkę dom perry. W łódźce z tyłu powinno jeszcze być tego całkiem sporo... Najlepiej poturlaj ją po pokładzie, tak jak robiliśmy z dziewczynami z Holyoke, pamiętasz? Pod wpływem siły odśrodkowej rozlaniu ulega jedynie połowa zawartości butelki: pierwszy i drugi rok fizyki w starej, kochanej Andover! To najcenniejsza rzecz, jakiej tam się nauczyłem.
- Grrrgh... eeeech... aaaa! - stęknął Sam, wyciągając z szafki głowę przyozdobioną zwojem białej liny. - Każesz otwierać sobie szampana, kiedy znaleźliśmy się w samym środku huraganu?! Jesteś wariatem, Frazie, kompletnym wariatem!
- Daj spokój, kolego, to tylko silny szkwał, nic więcej. - Szeroko uśmiechnięty kapitan, z daszkiem czapki przekręconym nad prawe ucho, odwrócił się i spojrzał na swojego pasażera, rozciągniętego na pokładzie ze zwojem liny na głowie. - Co to ma być, twoja korona cierniowa? - zapytał, rycząc ze śmiechu.
- Nie otworzę ci żadnej butelki i żądam, żebyś natychmiast odstawił mnie u**bi**czK. bo w przeciwnym razie oskarżę cię o bezprawne kierowanie jednostką pływającą!
- Skażą mnie na dwieście lat na suchym lądzie?
- Doskonale wiesz, co chcę przez to powiedzieć! - Devereaux dźwignął się na kolana, lecz potężne uderzenie fali sprawiło, że ponownie rozciągnął się jak długi na pokładzie. - Frazier! - zawył,

207

chwytając się rozpaczliwie relingu. - Czy ciebie naprawdę nie obchodzi nic poza tobą?
- Skądże znowu, choć muszę *przyznać*, że i tak miałbym się wtedy o co troszczyć. Obchodzą mnie starzy kumple, którzy w dalszym ciągu uważają mnie za przyjaciela. Ty też mnie obchodzisz, bo wezwałeś mnie w potrzebie.
- Rzeczywiście, nie mogę temu zaprzeczyć. - Devereaux postanowił mimo wszystko wyjąć z łódźki butelkę szampana, gdyż doszedł do wniosku, że Frazierowi może się jednak przydać świadomość, że ma przewagę nad siłami natury.
- Och, nie! - wykrzyknął nagle dowódca łodzi. - Mamy kłopoty, Devvy!
- Jakie kłopoty?
- Zdaje się, że wypatrzył nas jeden z kapusiów dziadka! "
- Jak to?!
- Mamy za rufą kuter Straży Przybrzeżnej.
- Cholera... - szepnął Sam na widok ostrego dzioba kutra patrolowego Straży Przybrzeżnej, białego z czerwonym pasem, podskakującego na falach kilkaset metrów za nimi. W chwilę potem poprzez wycie wiatru do jego uszu dobiegł ryk syreny. - Chcą nas zatrzymać? - zapytał.

- Chyba tak, chłopie. To raczej nie jest przyjacielskie pozdrowienie.
 - Ale ja nie mogę zostać zatrzymany! - wrzasnął Devvereaux, otwierając butelkę. Zgodnie z poleceniem poturlał ją po mokrym pokładzie w kierunku dowódcy jednostki. - Muszę zawiadomić władzę, policję, FBI, „The Boston Globe”, kogokolwiek! Muszę zdemaskować jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Waszyngtonie, który dopuścił się strasznej rzeczy! Muszę to zrobić! Jeśli Straż Przybrzeżna albo ktoś inny przechwyci dowody, będą chcieli zamknąć mi usta!
 - Wygląda na to, że to poważna sprawa, przyjacielu! - wrzasnął Frazier, podnosząc butelkę. - Czy mogę zadać ci jedno pytanie? Chyba nie masz przy sobie małych pastyleczek albo paczuszek z białym proszkiem?
 - Skądże znowu!
 - Nie zrozum mnie źle, Devvy. Po prostu muszę mieć pewność. - - Uwierz mi, Frazie! - błagał Sam, przekrzykując ogłuszający

208

ryk fal i wiatru. - Tu chodzi o człowieka kształtującego politykę całego państwa, który jest uważany za drugą postać w rządzie, zaraz po prezydencie! To kłamca i oszust wynajmujący płatnych morderców! Mam wszystko w kieszeni!

- Czyjaś spowiedź? ;
 - Nie, taśmę, która potwierdza istnienie całego spisku!
 - - A więc to naprawdę poważna sprawa, co? ;
 - Proszę cię, Frazie, wysadź mnie jak najprędzej na brzeg!
 - W takim razie trzymaj się mocno, staruszkule!

Następne minuty - ile ich naprawdę było, tego ogarnięty histerią Devvereaux nigdy nie miał się dowiedzieć - przypominały szaleńczą, rozkołysaną, moką podróż przez wszystkie kręgi piekła. Szalony Frazier nagle przeistoczył się w opętanego Ahaba, tylko że zamiast starać się zabić wielką bestię, czynił wszystko, co w jego mocy, by uniknąć jej potężnych szczęk. Niczym demoniczny kapitan żeglujący po spienionych wodach piekiel, szeroko uśmiechnięty Geoffrey Frazier miotał łodzią w lewo i prawo, od czasu do czasu pociągając z butelki dom pengnon, z niezrównanym mistrzostwem lawirując między falami nadciągającymi jedna za drugą.

Znacznie mniej zwrotnym kutrem patrolowym dowodził z pewnością jakiś rozwścieczony oficer Straży Przybrzeżnej, gdyż groźne dźwięki syreny zostały zastąpione słowami wykrzykiwanymi przez megafon:

- Zmniejszyć moc silników i skierować się na północny zachód, do boi numer siedem! Powtarzam, idioto: przestań się wygłupiać i płyn na północny zachód!

- To najlepsze, czego mogliśmy się spodziewać! - poinformował kapitan Szalony Frazier swego zdumionego pasażera. - Porządny z niego facet!

- Co ty wygadujesz?! - wrzasnął Sam. - Przecież wedrą się na pokład z kordelasami, nożami i rewolwerami i wezmą nas do niewoli!

- Mnie na pewno, stary brachu, ale nie ciebie, jeśli zrobisz dokładnie to, co ci powiem. - Frazier nie zredukował obrotów, ale ustawił łódź w taki sposób, że płynęła mniej więcej na północny zachód - Słuchaj mnie uważnie, Devvy! Dość dawno nie byłem w tej okolicy, ale wiem, gdzie jest boja numer siedem: jakieś sto pięćdziesiąt metrów w lewo od sporej grupy skał wystających z wody, o które rozbija się wiatr wiejący od morza. Żeglarze często skarżą się, że mają tam sto dwadzieścia metrów martwego powietrza.

209

- Skały?... Martwe powietrze?... Na litość boską, Frazie, ja walczę o swoje zdrowe zmysły, o honor mojego kraju!

- Chwileczkę, chłopcze! - Kapitan łodzi stuknął butelką w krawędź nadbudówki. - Ułamałeś korek, który teraz zatkał szyjkę... Dobra, już w porządku. - Frazier pociągnął kolejnego łyka. - Tak, teraz dużo lepiej. O czym to ja mówiłem?...

- Boże, jesteś niemożliwy!

- Zdaje się, że już to gdzieś słyszałem... - Nagłe uderzenie fali w burtę sprawiło, że fontanna wody trafiła go prosto w twarz. - Cholera! Nigdy nie lubiłem mieszać szampana ze słoną wodą!

- Błagam cię, Frazie...

- Ach tak. No więc, słuchaj mnie, Dewy; kiedy dotrzemy do boi numer siedem, wprowadzę łódź na spokojniejszą wodę, a ty przygotujesz się do opuszczenia pokładu.

- Mam wyskoczyć za burłę, żeby wyłowili mnie ci faszyci, którzy nas ścigają?
- Powiedziałem przygotujesz się, a nie wykonasz.
- Na litość boską, wyrażaj się trochę jaśniej!
- Kiedy zwolnię, przeczołgaj się na sterburłę, ale staraj się nie wychylać nad okrężnicę. Potem nagle dodam gazu i wykonam szeroki skręt, dzięki czemu znajdziemy się jakieś dziesięć do piętnastu metrów od plaży. Dopiero wtedy błyskawicznie wyslizgniesz się za burłę - rozpryski sprawią, że nikt tego nie zauważy - a ja znowu *zacznę* się ścigać z naszymi przyjaciółmi z kutra.
- Naprawdę zrobisz to dla mnie, Frazie?
- Przecież poprosiłeś mnie o pomoc.
- Jasne, ale tylko dlatego, że masz szybką łódź i że... że... To znaczy, pomyślałem sobie...
- Że Szalony Frazie może ci się przydać, właśnie dlatego, że jest taki, jaki jest?
- Okropnie mi przykro, Geoff. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.
- Nie przejmuj się, staruszkule! To naprawdę świetna zabawa.
- Możesz narobić sobie poważnych kłopotów, a ja wcale tego nie chciałem. Uwierz mi.
- Oczywiście, że ci wierzę. Jesteś najbardziej wkurzająco uczciwym facetem, jakiego spotkałem w życiu. A teraz trzymaj się, Dewy, ruszamy!

210

Smukła łódź wpłynęła na spokojne wody przesmyku i raptownie zwolniła, pozwalając kutrowi Straży Przybrzeżnej zbliżyć się na odległość dziesięciu metrów.

- A teraz słuchaj mnie uważnie! - ponownie rozległ się gniewny głos z kutra. - Zostałeś zidentyfikowany jako Geoffrey Frazier, a człowiek, który jest z tobą, nazywa się Samuel Devereaux. Jesteście obaj aresztowani! Nie ruszajcie się z miejsca i zaczekajcie na naszych ludzi, którzy wejdą na pokład!

- GeoffFL. -jęknął Sam Devereaux, leżący przy burcie łodzi. - Ja naprawdę nie przypuszczałem, że...

- Zamknij się, do cholery! Za parę chwili - jak tylko spuszczą szalupę? podpłyniemy do plaży. Dam ci znak, kiedy zbliżymy się na najmniejszą odległość, a ty wtedy wskoczysz do wody. Rozumiesz?

- Rozumiem i nigdy ci tego nie zapomnę! Będę cię bronił w sądzie całym potencjałem, jakim rozporządza firma Aarona Pinkusa.

- To bardzo miło z twojej strony... W porządku, Dewy. Ruszamy!

Potężne silniki ryknęły pełną mocą i łódź ruszyła nagle z miejsca, unosząc w górę dziób niczym startujący łabędź. Warkot był tak donośny, że zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Motorówka ponownie wypłynęła na bardziej wzburzone wody, a następnie, zgodnie z obietnicą Fraziera, wykonała szeroki skręt w lewo; fontanny wody tryskające spod dzioba wzdłuż całej sterburty zasłoniły łódź, uniemożliwiając obserwację tego, co działo się na pokładzie.

Frazier machnął ręką i wykrzyknął do zdeterminowanego, choć zarazem niemal sparaliżowanego strachem Sama:

- Dalej, stary draniu! Wiem, że dasz sobie radę! Przecież byłeś członkiem reprezentacji szkoły w pływaniu!

- Nie, Frazie! Nie w pływaniu, tylko w tenisie. Byłem za słaby...

- Och, przepraszam... Skacz!

Miotany falami Sam starał się maksymalnie długo utrzymać głowę pod wodą, czekając, aż kuter Straży Przybrzeżnej minie go, ścigając jego szkolnego kolegę.

- Nawet jeśli nam uciekniesz, to nie uda ci się nigdzie schować, ty przekłety sukinsynu! - ryczał głośnik. - Tym razem się nie wywiniesz- odmowa podporządkowania się poleceniom umundurowanych funkcjonariuszy, spożywanie alkoholu podczas prowadzenia jednostki pływającej, lekkomyślne narażenie na szwank zdrowia i życia pasażera, który też jest aresztowany. Popamiętasz mnie, draniu!

211

Nagle odezwał się znacznie silniejszy głośnik, tym razem z łodzi Fraziera, wprawiając kołyszącego się na falach Sama w jeszcze większe oszołomienie. Odgłos, który się z niego wydobył, można by określić jako ogłuszające, radosne beknięcie.

„Który też jest aresztowany...” „Nazywa się Samuel Devereaux...” Aresztowany? Został aresztowany? Usłyszał te słowa, kiedy leżał rozplaszczony na pokładzie, lecz

ogromne napięcie, w jakim się znajdował, sprawiło, że ich wówczas nie zrozumiał. Aresztowany! Znają jego nazwisko! Mój Boże, jestem uciekinierem - przemknęła mu rozpacziwa myśl. Szukają go, a może nawet rozesłano za nim listy gończe. Mogło to oznaczać tylko jedno: Aaron, Jenny, Cyrus, Roman, Desi Pierwszy i Drugi, wszyscy zostali zatrzymani i zmuszeni do mówienia! A Mac... Jego prawdopodobnie rozstrzelają. Jenny, nowa największa miłość jego życia... Zrobią jej krzywdę, może nawet będą torturować! Zdesperowani ludzie z Waszyngtonu nie zawahają się przed niczym.

W swoich rachubach jednak nie wzięli pod uwagę Samuela Lansinga Devereaux, błyskotliwego adwokata, obrońcy uciśnionych i największego wroga korupcji, który pobierał nauki u znakomitego mistrza - prawda, że błądzącego i trochę już zabytkowego, ale jednak mistrza! Uczył się od niego kłamać, fałszować i oszukiwać, czyli wszystkich tych umiejętności, które uczyniły z Hawkinsa Żołnierza Stulecia. Teraz Sam użyje metod, które poznał dzięki Hawkinsowi, aby rozgłosić prawdę i uwolnić przyjaciół, a także oswobodzić ojczyznę ze szponów zdradzieckich manipulatorów oraz połączyć na zawsze swój los ze wspanią Jennifer Jutrzenką Redwing! Osiągnie to dzięki zamkniętej w wodoszczelnej torebce taśmie, którą znalazł w kuchni Birnbauma, a teraz miał w najgłębszej kieszeni spodni. Kaszłąc, prychając i łykając morską wodę, Devereaux płynął najszybciej, jak mógł, walcząc z prądem i falami miotającymi nim we wszystkie strony. Musi jak najprędzej uruchomić kreatywną część swego umysłu, aby zgodnie z naukami Jastrzębia, móc w każdej chwili wyprodukować dowolne kłamstwo służące uwiarygodnieniu fałszywych faktów. Na przykład: „O rety, ale mam szczęście! Moja łódź wywróciła się do góry dnem”.

212

Italo, proszę pana! - zawołała kilkunastoletnia dziewczyna, która wybiegła mu na spotkanie z pobliskiego domu. - Ale ma pan szczęście! Czy pańska łódź wywróciła się do góry dnem? Eee... Tak, właśnie tak. Okropnie dziś kołysz. Wystarczy mieć dobry kil. Albo jeśli pływa pan śmierzdem, schować się przy boi numer siedem.

- Młoda damo, ja nie używam takich substancji.

- - Słucham? »- Nie palę „śmierdzieli”, jak była pani uprzejma to nazwać.

- Śmierdzieli?... Ma pan na myśli trawkę? Ja też jej nie palę, ani żaden z moich przyjaciół. Mówiąc śmierziel miałam na myśli motorówkę

- Ach, oczywiście! Wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie po kąpieli Sam stanął niezbyt pewnie na nogach i dyskretnie pomacał się po kieszeni, taśma była na miejscu. - Tak się składa, że trochę mi się śpieszy, więc...

- Wierzę panu - przerwała mu dziewczyna. - Na pewno chce pan zadzwonić na przystań, do Straży Przybrzeżnej albo do swojej firmy ubezpieczeniowej. Może pan skorzystać z naszego telefonu.

- Czy nie jesteś zbyt ufna? - zapytał Devereaux, w którym odezwała się dusza prawnika. - Przecież rozmawiasz z nieznanym mężczyzną, którego morze wyrzuciło na brzeg...

- A mój starszy brat jest mistrzem Nowej Anglii w zapasach. O, właśnie idzie!

- Doprawdy? - Sam spojrzał w kierunku domu i ujrzał przystojnego, krótko ostrzyżonego goryla schodzącego po schodach prowadzących na plażę. Goryl miał potwornie umięśnione ramiona, a jego ręce sięgały znacznie poniżej kolan. - Bardzo elegancki młody mężczyzna.

Jasne, wszystkie dziewczyny szaleją za nim, ale niech tylko dowiedzą się prawdy!

Prawdy? - Devereaux był niemal pewny, że zaraz zostanie ujawniony jakiś wstydlivy rodzinny sekret. - Moja droga, niektórzy ludzie mają nieco odmienne upodobania, ale mimo to wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi, jak uczą nas prorocy. Bądź tolerancyjna.

Dlaczego? Przecież on chce być prawnikiem! Czy to coś wstydlivego?

- I to jeszcze jak! - mruknął Sam, zerkając na zbliżającego się mistrza Nowej Anglii w zapasach. - Przepraszam, że was niepokoję -

213

zwrócił się do niego. - Miałem marny kitel... to znaczy kil, i wywróciłem się do góry dnem.

- Na zdrowie – odparł Tadeusz Mikulski, agent specjalny FBI. Jego ponury ton i kwaśna Mina pozostawały w rażącej dysharmonii

215

z tym życzeniem. Agent Mikulski przyglądał się dziwnej postaci siedzącej przed nim na krześle - był to bardzo czymś zdenerwowany mężczyzna w jednym bucie i kompletnie przemoczonym ubraniu, z którego ściekały na podłogę strużki wody, tworząc szybko powiek-szającą się kałużę - i powtarzał sobie w duchu, że do emerytury zostało mu już tylko osiem miesięcy, cztery dni i sześć godzin. - W porządku, panie Deverooox - powiedział wreszcie, przenosząc wzrok na rozłożone przed nim na biurku dokumenty w różnym stadium przemoczenia, które miały poświadczyć tożsamość dziwnego osobnika. - Zaczniemy jeszcze raz od początku.

- Przede wszystkim, nazywam się Devereaux - poprawił go Sam.

- Panie Devereaux, może mi pan nie uwierzy, ale znam angielski, polski, rosyjski, litewski, czeski, a nawet fiński, lecz nigdy nie udało mi się opanować francuskiego. Może to naturalna awersja po tym, jak kiedyś spędziłem z żoną tydzień w Paryżu, a ona zdołała w tym czasie wydać ponad połowę moich rocznych zarobków... Teraz rozumie pan już, skąd się wzięła moja pomyłka, więc myślę, że możemy przystąpić do *rzeczy*.

- Chce pan powiedzieć, że nie zna pan mojego nazwiska?

- Jestem pewien, że to wielki błąd z mojej strony, ale wątpię, czy pan z kolei słyszał o Kazimierzu Wielkim, królu Polski, który władał nią w czternastym wieku?

- Oszalał pan?! - wykrzyknął Devereaux. - Przecież to był jeden z najświetniejszych władców swojej epoki! Jego siostra zasiadała na tronie Węgier, a on skorzystał z jej rad, by zbudować potęgę Polski. Układy, które zawarł ze Śląskiem i Pomorzem stanowią po dziś dzień wzór prawniczego kunsztu.

- Już dobrze, dobrze! W takim razie słyszałem pańskie nazwisko w telewizji albo widziałem je w gazetach. Zadowolony pan?

- Nie o to mi chodzi, agencie Mikulski. - Sam pochylił się konspiracyjnie do przodu, co spowodowało, że spod jego koszuli wypłynął mały wodospad. - Mówię o listach gończych!

- Chodzi o jakiś stary film?

- Nie, o mnie!... Przypuszczam, że listy zostały rozesłane przez tych drani z Waszyngtonu, ponieważ moi przyjaciele zostali pojmani, a może nawet zmuszeni torturami do ujawnienia faktu, że uciekłem na łodzi Frazier, ale prędzej czy później nadchodzi czas, kiedy wszyscy podwładni muszą dostać lekcję pod tytułem „Ja tylko wykonywałem

216

rozkazy .. Nie może mnie pan zamknąć, Mikulski! Musi pan jVysłuchać wszystkiego, co mam do powiedzenia, i posłuchać taśmy, która potwierdzi to, co panu powiedziałem!

Na razie jeszcze nic mi pan nie powiedział, tylko zrobił kałużę na podłodze i zapytał, czy mam zainstalowany podsłuch.

- Dlatego że macki tego tajnego rządu-w-rządzie sięgają wszędzie! Oni nie zawahają się przed niczym! Ukradli już pół Nebraski!

- Nebraska?

- Tak, ponad sto lat temu!

- Sto lat... Serio?

- Niestety tak, agencie Mikulski! Mamy na to dowody, a oni uczynią wszystko, żeby tylko nie dopuścić nas jutro przed oblicze Sądu Najwyższego, gdzie mamy stawić się *personae delectael*

- Ach tak, oczywiście... - Funkcjonariusz FBI wcisnął przycisk na konsolce. - Sprowadźcie psychiatrę - powiedział cicho do mikrofonu

- Nie! - wrzasnął Sam, wyciągając z kieszeni plastikową torebkę zawierającą kasetę. - Niech pan tego posłucha! - *zażądał*.

Agent Mikulski wziął od niego torebkę, otworzył ją, co spowodowało mały potop na jego biurku, wyjął kasetę, włożył ją do stojącego przed nim magnetofonu, po czym uruchomił urządzenie. Rozległ się nieprzyjemny szum, po czym z magnetofonu trysnął strumień wody, zalewając twarze obu mężczyzn, a w ślad za nim wystrzeliła pomięta i częściowo poszarpana taśma, układając się na podłodze w fantazyjne wzory Jej zawartość z całą pewnością uległa zniszczeniu.

- Nie wierzę! - zawył Sam. - Przecież to miała być wodoszczelna torebka! Zamknąłem

ją według instrukcji: żółta kreska przy niebieskiej, następnie mocno ścisnąć... Co za bezczelne oszustwo!

- Albo wzrok pana zawiódł - podpowiedział Mikulski. - Choć muszę przyznać, że ja też miałem kłopoty z tymi torebkami.

- Wszystko tam było... Wszystko! Generał, sekretarz stanu, cały spiszek...

• Żeby ukraść Nebraskę?

- Nie, to zrobiono sto dwanaście lat temu. Agenci federalni podpalili bank, w którym Wopotami trzymali podpisane traktaty.

- To nie ja, kolego. Sto dwanaście lat temu moi dziadkowie przerzucali krowie łajno pod Poznaniem... Wopo-co?

- Inny generał - mój generał - zebrał wszystko do kupy dzięki

217

archiwalnym dokumentom, a szczególnie dzięki tym, które powinny być, a których nie było!

- Dokumentom?

.•<•,

- W Biurze do Spraw Indian, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć...

•

- Widzi pan, udało mu się to zrobić, bo jest jeszcze jeden generał, który nosi takie samo nazwisko jak ten, którego podstępem zwerbował sekretarz stanu. Musiał przejść na emeryturę, bo wszystko popieprzyło się z tymi nazwiskami, kiedy oskarżyłem jego kuzyna o organizowanie przemytu narkotyków...

- Skoro już doszliśmy do tego tematu... - przerwał mu Mikulski. - Jaki gatunek papierosów pan pali?

- Staram się rzucić palenie i panu też radzę to zrobić... W każdym razie to był duży błąd i tamten generał dostał posadę w Biurze do Spraw Indian, a mój generał, który jest jego przyjacielem, dostał się podstępem do archiwum i napisał pozew, opierając się na tym, co tam znalazł i czego nie znalazł. To naprawdę bardzo proste.

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparł Mikulski doskonale obojętnym tonem, wpatrując się w Sama szeroko otwartymi oczami i jednocześnie powoli przesuwając rękę w kierunku przycisku na konsolce.

- Bo widzi pan, Wopotami są prawnymi właścicielami terenów, na których leży Omaha!

- Omaha... Naturalnie.

- Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych, agencie Mikulski! Zgodnie z prawem, jeśli właściciel nielegalnie zagarniętego terenu udowodni swoje prawa do tegoż terenu, może otrzymać go w całości wraz ze wszystkimi budowlami, jakie zostały tam wzniesione! To podstawowa zasada.

- Rzeczywiście, podstawowa.

- A ponieważ pewne skorumpowane osoby zasiadające w rządzie nie chcą przystąpić do negocjacji, usiłują rozwiązać problem, po zbywając się powodów, to znaczy starając się nie dopuścić ich przed oblicze Sądu Najwyższego, który uznał zasadność pozwu złożonego przez szczerp Wopotami i nie jest wykluczone, że wyda wyrok na ich korzyść.

«

- Doprawdy?...

^

- Mało prawdopodobne, ale możliwe. Ci dranie z Waszyngtonu

218

wynajęli niejakiego Goldfarba, a potem nasłali na nas Paskudną Czwórkę i Samobójczą Szóstkę!

- Goldfarb?... - wyjąkał oszołomiony Mikulski, przymykając na chwilę oczy. - Paskudna Czwórka i Samobójcza-ileś-tam?...

- Paskudną Czwórkę odesłaliśmy w workach na zwłoki.

- Zabiliście ich?!

- Nie, Desi Arnaz Drugi wyspał im do jedzenia środek nasenny, a w workach zrobiliśmy dziury.

- Desi Arnaz?... - Agent Mikulski nie mógł wykrztusić nic więcej. Był ruiną człowieka.

- Czy teraz wreszcie zrozumiał pan, że musimy działać możliwie najszybciej, żeby

zdemaskować sekretarza stanu i jego współpracowników, którzy używając brutalnej siły chcą pozbawić Indian Wopotami należnych im praw?

Milczenie.

A potem:

- Proszę mnie posłuchać, panie Devereaux - powiedział cicho funkcjonariusz FBI, przywołując na pomoc wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały. - Ponad wszelką wątpliwość zrozumiałem jedynie to, że ma pan bardzo poważne kłopoty, w których, obawiam się, nie jestem w stanie panu pomóc. Pozostają mi do wyboru trzy możliwości: zadzwonić do szpitala w Gloucester i *zaządać* konsultacji psychiatrycznej, zadzwonić do naszych przyjaciół z policji i poprosić, żeby przymknęli pana, póki nie przestanie działać to, czego się pan naćpał, albo zapomnieć, że kiedykolwiek zjawił się pan w moim biurze w jednym buciku i ociekający wodą, i pozwolić panu stąd wyjść, mając nadzieję, że dzięki swojej wyobraźni trafi pan do przyjaciół, którzy zdołają panu pomóc.

- Pan mi nie wierzy! - wykrzyknął Sam.

- A od czego miałbym zacząć? Od Desiego Arnaza Drugiego i człowieka nazwiskiem Goldfarb? A może od dziurawych worków na zwłoki i od trzech generałów, których najdalej po dwóch minutach wywieziono by z Pentagonu w kaftanach bezpieczeństwa?

- Kiedy to wszystko jest prawda!

- Nie wątpię, że pan naprawdę tak uważa, i życzę panu wszystkiego najlepszego. Jeśli pan chce, mogę nawet wezwać panu taksówkę. Ma pan w portfelu dość forsy, żeby pojechać do Rhode Island, gdzie mieści się najbliższa placówka FBI poza granicami naszego stanu.

219

Zaniedbuje pan swoje służbowe obowiązki, agencie Mikulski!

- Moja żona powtarza to samo, kiedy trzeba płacić rachunki. Cóż mogę powiedzieć? Rzeczywiście, jestem do niczego.

- Jest pan zasmarkanym urzędnikiem, który boi się przeciwstawić ludziom usiłującym zachwiać podstawami, na których opiera się ten kraj, i zmiażdżyć nasze konstytucyjne prawa!

- Przecież ma pan po swojej stronie tego Arnaza, Goldfarba i dwóch generałów. Na co jeszcze ja miałbym się tam przydać?

- Gardzę panem!

- Proszę uprzejmie... Dobra, a teraz, jeśli nie ma pan zamiaru umyć podłogi i wytrzeć biurka, to radzę, żeby się pan stąd zabierał. Mam mnóstwo roboty. Pierwsza klasa ze szkoły podstawowej w Cape Ann organizuje dziś pikietę przed ratuszem, domagając się pełnych praw wyborczych.

- Bardzo zabawne.

- Też tak uważam.

- Ale ja nie, i nie potrzebuję pańskiej taksówki! Tak się składa, że mój kierowca jest mistrzem Nowej Anglii w zapasach.

- Jeśli sprzedaje pan bilety na jego walki, to proszę zostawić jeden dla mnie - odparł agent FBI, po czym zgarnął z biurka ociekający wodą dobytek Sama i wręczył mu go.

- Nie zapomnę panu tego, Mikulski - odparł Devereaux z największą godnością, jaką może wykrzesać z siebie przemoczony do suchej nitki człowiek w jednym buciku. - Mam zamiar wnieść przeciwko panu oskarżenie do Departamentu Sprawiedliwości. Nie można tolerować podobnego lekceważenia obowiązków!

- Proszę bardzo, kolego, tylko nie zrób błędu w nazwisku, dobrze? Chyba nie chciałbyś wywołać takiego samego zamieszania jak z tymi dwoma generałami? W tej okolicy aż roi się od Mikulskich.

- Myśli pan, że oszalałem, prawda?

- O tym zadecydują lekarze, ale jeśli mam być szczerzy, to przychyliam się do tej opinii.

- Jeszcze zobaczymy! - Sam Mściciel odwrócił się i pokuśtykał do drzwi, z trudem utrzymując równowagę na mokrej podłodze. - Jeszcze pan o mnie usłyszy! - dodał, po czym z całej siły trzasnął drzwiami.

Tak się niefortunnie złożyło, że agent Mikulski usłyszał o Samie dokładnie w trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund po jego odejściu.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy przetykał czwartą w tym dniu porcję lekarstwa na wrzód żołądka. Wcisnął przycisk służbowej linii i podniósł słuchawkę.

- Mikulski, FBI.

- Cześć, Teddy, tu Gerard - usłyszał głos dowódcy okręgowego oddziału Straży Przybrzeżnej.

- Czym mogę ci służyć, żeglarzu?

- Pomyślałem sobie, że mógłbyś mi wyjaśnić, o co chodzi w tej aferze z Devereaux i Frazierem?

- Co takiego?... - wykrztusił agent. - Powiedziałeś: Devereaux?

- Tak, zgarnęliśmy Frazia, zresztą pijanego jak bela, ale po Devereaux ani śladu, a Frazier nie powiedział ani słowa. Siedział tylko na krześle z przyklejonym do gęby uśmiechem, a potem skorzystał z prawa do jednej rozmowy telefonicznej.

- Siedział?... Skorzystał?...

- To jakieś kompletne szaleństwo, Teddy. Musieliśmy go puścić, i tego właśnie zupełnie nie rozumiem. Po co było ogłaszać ten głupi alarm? O mało nie rozpieprzyliśmy silnika, trzech ludzi musiało płynąć szalupą przy cholernie wysokiej fali, a na końcu rozwaliliśmy trzy boje w przystani, za które będziemy musieli zapłacić. I po co to wszystko? Devereaux zniknął, a my nawet nie wiemy, dlaczego go szukają. Pomyślałem, że może ty szepniesz mi słówko...

-- U nas nie było żadnego alarmu - odparł głucho Mikulski. - Opowiedz mi dokładnie, co się stało. - Kiedy jego życzeniu stało się zadość, agent pobladł i sięgnął po flakonik z lekarstwem. - Ten sukinsyn Devereaux wyszedł ode mnie kilka minut temu. To zupełny świrus! Cholera, co ja narobiłem?...

- Nic, skoro nie ogłosili wam alarmu. My wysłaliśmy szczegółowy raport i to wszystko... Zaczekaj, właśnie dostałem wiadomość, że dzwoni jakiś Cafferty z komendy policji w Bostonie. Znasz go?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Kurczę, przecież ta cała afera zaczęła się właśnie od nich! No, już ja dam do wiwatu temu sukinsynowi! Odezwę się później, Teddy.

- Osiem miesięcy, cztery dni i pięć i pół godziny... - szepnął agent Mikulski, wysuwając szufladę, na której dnie leżał kalendarz z pieczołowicie skreślanymi kolejnymi dniami.

29

Mistrz Nowej Anglii w zapasach zatrzymał jeepa na podjeździe przed domem Birnbauma w Swampscott.

- Jesteśmy na miejscu, panie Devereaux. Widziałem ten dom z wody, ale nigdy od strony lądu. Niezła chata, co?

- Zaprosiłbym cię do środka, chłopcze, ale rozmowa, która ma się tam odbyć, będzie ściśle poufna i bardzo poważnej natury.

- Wierzę panu. Najpierw zjawia się pan nie wiadomo skąd na naszej plaży, potem FBI, a wreszcie t o... Proszę mnie źle nie zrozumieć, wcale nie chciałem się narzucać. Zniknę stąd, zanim zdąży pan policzyć do pięciu, a jeśli zapyta mnie ktoś, kto nie będzie miał odpowiednich dokumentów, to nigdy w życiu pana nie widziałem.

- Dobrze powiedziane. Mimo to chciałbym się jakoś odwdziżyć...

- Nie ma mowy, panie Devereaux, to był dla mnie zaszczyt. Pozwoliłem sobie tylko zapisać panu moje nazwisko i adres. Może kiedyś, w przyszłości, zechciałby pan wziąć mnie na aplikanturę... Naturalnie nie chcę korzystać z żadnych przywilejów.

- Jestem tego pewien, chłopcze - odparł Sam. Biorąc od chłopaka kartkę, spojrzął mu prosto w jasne szczerze oczy. - Lecz chyba nic nie poradzisz, jeśli mimo wszystko postanowię ci je zapewnić.

- Proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się, że sam muszę stać się wystarczająco dobry. Nauczyłem się tego na macie.

- W takim razie ujmijmy rzecz w następujący sposób: nie będziesz musiał nas szukać, to my poszukamy ciebie... Jeszcze raz wielkie dzięki, chłopcze.

222

- Powodzenia!

Devereaux wysiadł z jeepa, który zawrócił na podjeździe i zniknął za bramą. Sam spojrzął na imponujący fronton letniego domu Birnbauma, westchnął ciężko, a następnie pokuśtykał wyłożoną płaskimi kamieniami ścieżką wiodącą do drzwi budynku. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym miał oba buty - pomyślał, naciskając przycisk dzwonka.

- A niech mnie licho! - ryknął na jego widok potężnie zbudowany najemnik-chemik. - Nie wiem, czy powinienem cię uściskać, czy spuścić ci porządne lanie, ale włącz do środka, Sam!

Devereaux wszedł nieśmiało do holu, z zażenowaniem prezentując wszystkim przemoczone ubranie, zmierzwiłone włosy i niekompletne obuwie. Wszystkimi byli: Cyrus, Aaron Pinkus... oraz największa miłość Sama, Jennifer Redwing, wpatrująca się w niego z odległego końca salonu. W jej czujnym, a może gniewnym spojrzeniu było coś, czego nie mógł zidentyfikować.

- Sammy, wszystko słyszeliśmy! - wykrzyknął Aaron, który raczej nie miał zwyczaju podnosić głosu, wstając z kanapy i biegnąc na spotkanie swego pracownika. Przywitał go, obejmując serdecznie i przyciskając posiwiałą głowę do lewego policzka Sama. - Dzięki Abrahamowi, że żyjesz!

- Och, to nie było aż takie groźne - odparł Devereaux. - Frazie może jest wariatem, ale świetnie sobie radzi z motorówką, a potem spotkałem chłopaka, który jest mistrzem Nowej Anglii w zapasach, więc...

- Wiemy, przez co przeszedłeś, Sammy! - przerwał mu Pinkus. - Co za odwaga, jakie męstwo! A wszystko dlatego, że działałeś w obronie zasad, w które wierzysz!

- To było cholernie głupie, Devereaux - stwierdził Cyrus - ale muszę przyznać, że wymagało nieliczej odwagi.

- Gdzie matka? - zapytał mściciel, unikając wzroku Jenny.

- Zabrała Erin i wróciła do Weston - poinformował go Aaron. - Wygląda na to, że kuzynka Córa wpadła do butelki, tak że jej prawie nie widać

A Desi Pierwszy i Drugi patrolują plażę z Romanem Z. - dodał Cyrus.

- Przepuścili jeepa, którym przyjechałem stwierdził Sam z nutą dezaprobaty w głosie.

223

- Wcale nie - zaprzeczył najemnik. - Jak myślisz, skąd wziąłem się przy drzwiach? Desi Pierwszy zawiadomił nas przez radio, że duży *loco* wraca do domu.

- On zawsze miał talent do treściwych określeń. - Devereaux powoli odwrócił głowę i spojrzął na Jenny. - Cześć... - bąknął niepewnie.

To, co rozegrało się potem, przypominało sfilmowaną, a następnie odtwarzaną w zwolnionym tempie pawanę. Aaron Pinkus i Cyrus M. z wdziękiem odsunęli się na bok, Jennifer Redwing ze łzami w oczach pobiegła po wyłożonej dywanową wykładziną podłodze, Sam zaś zszedł z gracją, choć może trochę chwiejnie, po marmurowych stopniach łączących salon z holem. W chwili spotkania udało mu się jednak utrzymać równowagę; zaraz potem dwoje młodych ludzi objęło się mocno, a ich usta zetknęły się w gorącym, rozkosznym pocałunku.

- Sam! - wykrzyknęła Jenny, kiedy wreszcie oderwali się od siebie, by zaczerpnąć oddechu. - Och, Sam, Sam! To było znowu to samo co w Szwajcarii, prawda? Mac o wszystkim mi powiedział. Zrobiłeś to, bo uważałeś, że tak właśnie należy postąpić, bo tak nakazywało ci sumienie i poczucie moralności. Mój Boże, wyskoczyłeś z łodzi i płynąłeś wiele kilometrów wśród rozszalałych fal...

- No, nie tak znowu wiele, najwyżej sześć albo osiem.

- Ale z r o b i ł e ś to! Jestem z ciebie taka dumna!

- Ech, to nic takiego... - Wręcz przeciwnie!

- I tak nic z tego nie wyszło, bo taśma utonęła.

- Ale ty nie, kochanie!

Nagle z radiotelefonu Cyrusa dobiegły donośne szумы i trzaski, a w chwilę potem rozległ się skrzeczący głos z wyraźnym hiszpańskim akcentem:

- Hej, *mon!* Wielgachna limuzyna grzeje w stronę domu! Mamy ją zdmuchnąć?

- Jeszcze nie, Desi! - odparł najemnik. - Pilnujcie drzwi, a ty, Roman, podejdź do domu od frontu. I miejcie broń gotową do strzału!

Chwilę później walkie-talkie przemówiło ponownie, tym razem głosem Romana Z.

- Wysiadł tylko jeden stary mężczyzna o siwych włosach. Kierowca siedzi w środku i słucha radia. Okropna muzyka.

- Zostańcie na pozycjach! - rozkazał Cyrus, wyjmując pistolet

224

Z kabury pod pachą. - Jeśli otworzę ogień, skonsolidujcie szeregi i ruszcie do przeciwwuderzenia!

- Skon... co?

- Nieważne, starszek nie wygląda na takiego, co miałby jakiegoś gnata

Bez odbioru. Zachowajcie gotowość!

Do czego?

-Bez odbioru!,

- Że jak?...

Kiedy rozległ się dzwonek, Cyrus nakazał ruchem ręki, żeby Pinkus, Jenny i Devereaux usunęli się z linii ognia, po czym doskoczył do drzwi i z bronią gotową do strzału otworzył je gwałtownym szarpnięciem.

- Przypuszczam, że pełni pan tu funkcję kamerdynera - powiedział R. Cookson Frazier z galanterią, której nie zmniejszyły nawet niepokój i zdenerwowanie. - Muszę zobaczyć się z pańskim pracodawcą To sprawa niezwyklej wagi.

- Cookson! - wykrzyknął Aaron Pinkus, wyłaniając się z okiennej wnęki. - Co tu robisz?

• To nie do wiary, Aaronie, wprost nie do wiary! - powiedział Frazier Wszedł szybkim krokiem do salonu, wymachując ściskanym w dłoni kawałkiem papieru. - Ty, ja i cały Boston zostaliśmy wystrychnięci na dudka! Wyszliśmy na idiotów!

- Czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Proszę, sam zobacz! - W tej samej chwili z kąta salonu wyłoniły się połączone uściskiem postaci Devereaux i Redwing. - A kto to jest, u diabła?! - wykrzyknął Frazier.

- Ten młody człowiek w jednym bucie i mokrym ubraniu nazywa się Sam u c' Devereaux...

- Aha, syn Lansinga. Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem, chłopcze. Wielka szkoda, że odszedł tak wcześnie.

- Natomiast ta młoda dama nazywa się Jennifer Redwing... Jenny, to jest Cookson Frazier.

- Wspaniała opalenizna, moje dziecko. Z pewnością niedawno wróciłaś z Karaibów. Mam tam dom - zdaje się, że na Barbados. Koniecznie musisz tam kiedyś wpaść z synem Lansinga. Ja też chętnie bym się wybrał, bo nie byłem już tam od lat.

stało, Cookson?

»

- Co się właściwie

225

- Sam się przekonaj! - Stary dżentelmen podał Aaronowi kawałek papieru. - Przesłano mi to kilka minut temu faksem, specjalną poufną linią, kodowaną i zabezpieczoną przed podsłuchem... Zaraz, chwileczkę, stary przyjacielu. Czy ci ludzie są godni zaufania?

- Daję ci na to moje słowo. No więc, co tam jest napisane?

- Proszę, przeczytaj. Ja wciąż jeszcze nie otrząsnąłem się z wrażenia.

Aaron wziął skrawek cienkiego papieru, przebiegł pismo wzrokiem, po czym opadł na najbliższy fotel.

- Nic z tego nie rozumiem... - wyszeptał.

- A co to właściwie jest? - zapytał Devereaux, opiekuńczo obejmując Jennifer.

- Cytuję: „Informacja o najwyższym stopniu tajności, przeznaczona wyłącznie dla osób piastujących najbardziej odpowiedzialne stanowiska w wymiarze sprawiedliwości. Zniszczyć natychmiast po przeczytaniu. Geoffrey C. Frazier, pseudonim Rumdum, jest znakomitym i wielokrotnie odznaczanym tajnym agentem rządu federalnego. Zaleca się okazanie mu wszelkiej pomocy i zastosowanie się do jego wszystkich żądań". Podpisane przez dyrektora Agencji do Spraw Zwalczania Narkotyków... Niesamowite!

- Ten chłopak to jakiś cholerny kameleon! - jęknął Cookson Frazier, osuwając się na fotel obok Aarona. - Co ja mam teraz zrobić?

- Przede wszystkim powinieneś być niezmiernie dumny i zadowolony. Przecież sam twierdziłeś, że we wnętrzu twego wnuka kryje się zupełnie inny człowiek, i okazało się, że miałeś rację. To nie darmozjad, lecz znakomity profesjonalista!

- Owszem, stary przyjacielu, ale wszystko wskazuje na to, że aby utrzymać się przy życiu i kontynuować karierę, będzie musiał w dalszym ciągu przynosić hańbę rodzinie!

- Tego nie wziąłem pod uwagę - przyznał Pinkus, marszcząc z namysłem brwi. - Nie wątpię jednak, że pewnego dnia prawda zostanie ujawniona, a wtedy Frazierowie z Bostonu będą cieszyli się tak wielkim szacunkiem, jak nigdy dotąd.

- Jeśli ten dzień rzeczywiście nadejdzie, Aaronie, to ostatni męski potomek naszego rodu będzie musiał zmienić nazwisko i przenieść się na Ziemię Ognistą.

- Tego także nie wziąłem pod uwagę...

- Ochrona - odezwał się Cyrus, wchodząc do salonu.

226

potrzebna mu doskonała ochrona, a to jest coś, co można kupić, panie prazier

- Och, wybacz mi, Cookson. Przedstawiam ci pułkownika Cyrusa, specjalistę w dziedzinie bezpieczeństwa.

- Dobry Boże, serdecznie pana przepraszam, pułkowniku! Zachowałem się jak głupiec. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

- Nie ma sprawy. W tej okolicy łatwo o taką pomyłkę. Poza tym w rzeczywistości wcale nie jestem pułkownikiem.

- Proszę?...

- On chciał przez to powiedzieć, że odszedł z wojska! - wtrącił się pośpiesznie Sam, posyłając najemnikowi znaczące spojrzenie. - Teraz nie służy już w żadnej armii... to znaczy, w ogóle nigdzie nie służy.

- Ach, rozumiem - odparł Frazier, po czym odwrócił się ponownie do lekko zdziwionego Cyrusa. - Jednak nie wątpię, że potrafi pan zrobić użytek ze swego doświadczenia. Wiem, że Aaron zatrudnia wyłącznie najlepszych ludzi. Nie chciałbym zwracać panu głowy drobnostkami, ale zainstalowałem w domu system alarmowy, który często uruchamia się bez żadnego powodu, w związku z czym muszę go ciągle wyłączać...

- Zanieczyszczone styki albo przebicia w obwodzie - powiedział bez namysłu Cyrus, mierząc Sama uważnym spojrzeniem. - Proszę zadzwonić do firmy, która go panu zakładała, żeby przyjechali i sprawdzili wszystkie złącza.

- Naprawdę? I to wszystko?

Tego typu awarie w domowych instalacjach zdarzają się bardzo często - odparł najemnik, skupiony na odczytywaniu dziwnych min Wystarczy lada wahnięcie napięcia w sieci, a od razu pojawiają się kłopoty.

- Jestem pewien, że pułkownik z przyjemnością sprawdzi to osobiście. Prawda, pułkowniku? - odezwał się Devereaux, kiwając jak szalony głową za plecami Frazia.

- Naturalnie... Jak tylko skończę u pana Pinkusa - bąknął zdezorientowany najemnik-chemik. - Powiedzmy, gdzie w przyszłym tygodniu

- Wspaniale! - wykrzyknął Frazier i klepnął z uciechą poręcz fotela, ale zaraz potem znowu się zafrasował. - Doprawdy, nie mogę wierzyć w tę historię z moim wnukiem... To wręcz niesamowite!

- Dlaczego jeśli tylko zamknę powieki, widzę Szalonego Fraziego,

227

z przekrzywioną kapitańską czapką na głowie i butelką szampana przytkniętą do ust? - zapytał Sam. - Choć, muszę przyznać, że nigdy nie widziałem, żeby ktoś prowadził łódź z równie wielką wprawą. Nawet na filmie.

W tej samej chwili, jakby przywołany wzmianką o filmie, rozległ się dzwonek telefonu. Słuchawkę podniósł pułkownik Cyrus, który stał tuż przy białym zabytkowym stoliku.

- Słucham?

- Ruszamy, żołnierzu - powiedział MacKenzie Hawkins z Nowego Jorku. - Rezygnujemy z planu A jako zbyt ryzykownego i przystępujemy do realizacji planu B, który omówiliśmy godzinę temu. Są jakieś wiadomości o poruczniku Devereaux?

- Jest tutaj, generale - odparł cicho Cyrus, zaśnaniając ręką mikrofon; pozostałe osoby zebrane w salonie rozpoczęły ożywioną dyskusję na temat przygód, jakich doświadczył

Sam u boku tajnego agenta Fraziera. - Zjawił się kilka minut temu i jest w opłakanym stanie. Chce pan z nim rozmawiać?

- Mój Boże, za nic w świecie! Wiem, w jakiej jest teraz fazie: Prawomyślny Królik. Jakie są rozmiary strat?

- Trudno powiedzieć, ale chyba niewielkie, bo nikt mu nie uwierzył, a taśma prawdopodobnie uległa zniszczeniu.

- Dzięki Hannibalowi za wszystkie łaski, wielkie i małe. Wiedziałem, że to się tak skończy... Domyślałem się, pułkowniku, że jeszcze nie omówiliście z nim naszych planów?

- Z nikim ich nie omówiłem, bo nie było na to czasu. Odkąd Straż Przybrzeżna nadała wiadomość, że przechwycili łódź, na której znajdował się Sam, pan Pinkus .wisił przy telefonie i rozmawiał z policją.

- Łódź? S t r a ż P r z y b r z e ż n a ?

- Zdaje się, że to był niezły pościg, przynajmniej sądząc z wyglądu pańskiego porucznika. Jeden but, mokre ubranie, i w ogóle...

- Cholera, znowu ta Szwajcaria!

- Domyśliliśmy się tego, a przynajmniej jego dziewczyna. Obtań-cowuje go, jakby wrócił z wojny z jedną nogą - pewnie dlatego, że zgubił jeden but.

- Świetnie! Wyjaśniając nasz plan, proszę skoncentrować się na dziewczynie. Jeśli pan ją przekona, ona przekona jego. Wiem od moich żon, jaki on jest, kiedy czuje miętę do jakiejś kobitki.

228

- Nie bardzo pana rozumiem, generale...

- Nie szkodzi. Pamiętajcie tylko, pułkowniku, że nasi nieprzyjaciele są w najwyższym stopniu zdesperowani i że mogą nas powstrzymać tylko w jeden sposób, to znaczy uniemożliwiając nam dostęp do Sądu Najwyższego. Dopiero tam Sam może wygarnąć wszystko, co myśli, i zdemaskować, kogo tylko chce - ale nie wcześniej, pułkowniku. Ci dranie będą zaciekle bronić swoich stołków i wyślą go w kawałkach na orbitę, jeżeli teraz zaczniesz robić zbyt wiele zamieszania

- Całkowicie się z panem zgadzam, generale - odparł Cyrus. - Ale dlaczego zdecydował się pan na plan B? Przecież zgodziliśmy się, że plan A rokuje największe szanse powodzenia...

- Nie mam pojęcia, skąd dokładnie pochodzą informacje, ale mój informator, o którym panu wspominałem...

- Ta szychą z rządu, o której wszyscy myślą, że nie żyje? - przerwał mu najemnik.

- Ten sam, i powiem wam, pułkowniku, że on pragnie krwi. Skoro już o tym mowa, to powiedział mi, że grozi nam fizyczna likwidacja.

- Mój Boże, posunęliby się aż tak daleko?

- Nie mają wyboru, żołnierzu. Dzięki fuzjom i potajemnym wykupywaniom pakietów kontrolnych ci chłopcy mają w swoich rękach siedemdziesiąt procent naszego przemysłu obronnego i siedzą po uszy w takich długach, że trzeba by trzeciej wojny światowej, żeby ich z tego wyciągnąć!

- Jak pan myśli, generale, jaką zastosują strategię?

- Nie muszę myśleć, bo ją znam! Po to, żeby nas powstrzymać, wynajęli największe męty, jakie chodzą po ziemi: płatnych morderców, dywersantów? , prawdopodobnie także najemników takich jak pan, tyle że zainteresowanych wyłącznie pieniędzmi.

Tak działa wolny rynek - odparł szeptem Cyrus, zerkając ukradkiem na Aarona, Jenny i Sama, którzy ze swojej strony zaczęli coraz częściej zerkać na niego. - Tym bardziej jeśli w grę wchodzi tak wielkie sumy... Muszę już kończyć, generale. Czy pański pozornie nieżyjący informator powiedział panu, kiedy i gdzie zjawią się ci nieprzyjemni' osobnicy?

- Będą wszędzie! W tłumie, wśród strażników, nawet we wnętrzu budynku!

229

- W takim razie czeka nas diabelnie trudne zadanie.

- Plan B przewiduje podjęcie niezbędnych działań pułkowniku. Nikogo to nie cieszy, a już na pewno nie Wopotmami, ale oni też są przygotowani, żeby zrobić, co do nich należy.

- A jak sobie radzi z tym wszystkim ten palant Sutton? -. zapytał Cyrus. - Na pewno nie jest moim ulubieńcem, ale muszę przyznać, że świetny z niego aktor.

- Cóż mogę panu powiedzieć? Twierdzi, że wespnie się na szczyty swoich umiejętności.

- Mam nadzieję, że zdoła przeżyć wystarczająco długo, by przeczytać recenzje... Kończę, generale. Do zobaczenia jutro rano.
- A co z Desim Pierwszym i Drugim, i Romanem Z.? - zapytał niespodziewanie Hawkins. - Nie włączyłem ich do scenariusza, podobnie jak Samobójczej Szóstki.
- Jeśli myśli pan, że pozostawię ich na uboczu, to znaczy, że powinien pan sprzątać latryny, generale.
- Podoba mi się wasza odpowiedź, pułkowniku.
- Bez odbioru.

Wstrząśnięty do głębi R. Cookson Frazier wrócił swoją limuzyną na Louisburg Square, pozostawiając w domu na skraju plaży zdumioną grupkę wpatrującą się wybałuszonymi oczami w Cyrusa M., upozowanego niedbale przed białym zabytkowym stolikiem. Jennifer Redwing siedziała na kanapie między Aaronem Pinkusem i Samem Devereaux, natomiast obaj Desi stali z tyłu, po obu stronach ich nowego przyjaciela, Romana Z. Oprócz wybałuszonych oczu wspólną cechą sześciorga twarzy były także szeroko rozdziawione usta.

- I na tym właśnie polega nasz plan - zakończył potężnie zbudowany czarnoskóry najemnik. - Jako rzecznik generała powiem wam jeszcze tylko, że jeśli ktoś z was chce się wycofać, to niech to zrobi teraz. Moim zdaniem jednak - a brałem udział w wielu podobnych operacjach - ten scenariusz należy do najlepszych, o jakich słyszałem. Generał Hawkins nie stał się legendą bez powodu; naprawdę jest cholernie dobry, a ja nie rzucam takich słów na wiatr.

- Kurczę, dobrze gada, jak na czarnego brata, co nie, D-Jeden?

230

Stul pysk, D-Dwa. Dziękuję za uznanie, Desi.

- Nie ma sprawy.
- Jeżeli można... - odezwał się Aaron Pinkus, pochylając się do przodu w fotelu. - Ten wyrafinowany plan, choć bez wątpienia nadzwyczaj starannie obmyślony, wydaje mi się nieco zbyt... no, zbyt skomplikowany, nadmiernie teatralny i zanadto uduziwniony. Czy to naprawdę konieczne?
- Uduziwniona teatralność stanowi najlepszy sposób na odwrócenie uwagi, panie Pinkus.
- Wiemy o tym - odparła Jennifer, ściskając Sama za rękę. - Ale, jak powiedział pan Pinkus, czy to naprawdę konieczne? Wydaje mi się, że pomysł Sama, żeby po prostu przylecieć samolotem i wsiąść do taksówki, byłby całkowicie wystarczający.
- W normalnych warunkach na pewno, ale tym razem nie mamy do czynienia z normalnymi warunkami. Macie zdecydowanych na wszystko i wpływowych przeciwników... Bardzo wpływowych, takich jak ten, którego Sam chce zrzucić z rządowego stołka, czego wszyscy byliśmy dzisiaj świadkami. Nawet za cenę swojego życia.
- On był cudowny! - wykrzyknęła Jennifer, po czym przywarła ustami do lewego policzka Sama. - Przepłynął tyle kilometrów wśród szalejących fal...
- Nie było ich wcale tak dużo - zaprzeczył skromnie Deve-reaux - Najwyżej dziesięć, może dwanaście... Jeżeli dobrze cię zrozumiałem, Cyrus, to odwrócenie uwagi, o którym mówisz, jest absolutnie konieczne, ponieważ nasi wpływowi przeciwnicy zamierzają uniemożliwić nam wejście do budynku. Zgadza się?
- Ogólnie rzecz biorąc, tak.
- Ogólnie rzecz biorąc?
- To znaczy, jeżeli ograniczymy się do głównego wątku - wyjaśnił zwięźle najemnik.
- Nawet nie będę próbował udawać, że cokolwiek rozumiem, ale jeśli mamy powód wierzyć w istnienie zagrożenia, to myślę, że możemy wrócić się do policji z prośbą o ochronę. Jeżeli dodamy do tego was naturalnie jeśli zostaniecie z nami - to czego jeszcze będzie nam trzeba? .
- Paru rzeczy, o których nie wspominałem. ,
- Jak to?

- Wy troje jesteście prawnikami, ja nie, a Waszyngton to nie Boston, gdzie pan Pinkus zdobył sobie przychylną policję dzięki swojemu befsztykowi z kapustą. W Waszyngtonie musisz mieć bardzo ważne powody, żeby zwrócić się do policji z taką sprawą. Oni i bez tego ledwo dają sobie radę.
- ' - Te ważne powody oznaczałyby zapewne konieczność wymienienia nazwisk kilku wysoko postawionych osobistości, a my nie mamy już taśmy, która stanowiłaby dowód na potwierdzenie naszych podejrzeń - wtrąciła się Jennifer. - Oczywiście zakładając, że odważylibyśmy się z niej skorzystać.
- Czemu nie?! - wykrzyknął z wściekłością Devereaux. - Już rzygać mi się chce od tego chodzenia na paluszkach! Nadużyto społecznego zaufania i naruszono prawo, więc dlaczego nie mielibyśmy powiedzieć o tym na głos?
- Kot nie bez powodu potrafi chodzić tak, że nikt nie jest w stanie go usłyszeć - powiedział Pinkus z lekkim wyrzutem w głosie.
- No tak, jeszcze tylko tego było mi trzeba! Mój szef został Ipendzabskim prorokiem z Himalajów! Może zechciałbyś zejść z wyżyn na ziemię i wyjaśnić, co miałeś na myśli, Aaronie?
- Kochanie, jesteś trochę zdenerwowany...
- Też mi nowina! Przecież przepłynąłem piętnaście kilometrów przy szalejącym huraganie!
- Chcę przez to powiedzieć - odparł spokojnie Pinkus, wpatrując się w swojego pracownika błyszczącymi oczami - że zazwyczaj lepiej jest zbliżyć się ukradkiem do zwierzyny, niż z daleka ogłaszać wszem wobec o swoim przybyciu.
- Ujmę to inaczej - odezwał się ponownie Cyrus. - Żaden policjant w Waszyngtonie, wszystko jedno, z taśmą czy bez taśmy, nie uwierzy w takie zarzuty postawione sekretarzowi stanu.
- Przecież zamknęli go w szpitalu dla obłąkanych!
- Tym bardziej Departamentowi Stanu będzie zależało na wyciszeniu sprawy - powiedział czarny najemnik, wruszając ramionami. - Wierz mi, wiem coś na ten temat.
- Oni są tam wszyscy skorumpowani! - ryknął Sam. Jennifer potrząsnęła głową.
- Tylko kilku. Większość to przemęczeni, zaangażowani bez reszty w swoją pracę, źle wynagradzani biurokraci. Biurokraci w naj-

232

- lepszym znaczeniu tego słowa: mężczyźni i kobiety starający się ze wszystkich sił wyłowić autentyczne problemy z milionów spraw, jakimi zasypują ich politycy walczący o głosy wyborców. To naprawdę niełatwe zadanie, najdroższy. Devereaux uwolnił rękę z uścisku dziewczyny, przyłożył ją do czoła opadł na oparcie kanapy.
- W porządku... - wymamrotał ze znużeniem. - Jestem naj-pszym dzieciakiem na podwórku. Ludzie robią okropne rzeczy, ale nie udają, że niczego nie widzą. Nikt nie słyszał o czymś takim jak odpowiedzialność.
- Nieprawda, Sam - zaprotestował Aaron. - Zbyt dobrze cię znam, Na pewno nie przedstawiłbyś w sądzie tak chaotycznej argumentacji. Wiem, że jeszcze przed pierwszym wystąpieniem masz gotową ripostę na każdy kontrargument, jaki może przedstawić druga strona. Właśnie dlatego jesteś najlepszym pracownikiem mojej firmy, wtedy gdy weźmiesz się w garść, ma się rozumieć.
- Już dobrze, dobrze! Jutro i tak wszyscy wystąpimy w roli clownów... Cyrus, o jakich to rzeczach nam jeszcze nie wspominałeś?
- O kamizelkach kuloodpornych i stalowych hełmach - odparł najemnik takim tonem, jakby wyliczał składniki świątecznego ciasta.
- Co t a k i e g o ?
- Słyszeliście, co powiedziałem. To poważna gra, mecenasie, w końcu stawką jest więcej miliardów, niż pomieści się nawet w twojej niewiarygodnej, wyobraźni.

-• *Caramba*\ - wrzasnął Desi Drugi. - Ale ma gadane.
 - Stul pysk! Możemy być *muerto*\
 - Leję na to! On ma rację!
 - Ja też, *amigo*, a wiesz, co to znaczy? *Že obaj jesteřmy loco*\
 - Wyczytałem to w kartach tarota, przyjaciele! - wykrzyknął Roman Z. i zakręcił się błyskawicznie w miejscu, niemal niedostrzegalnym ruchem wyciągnąwszy zza pasa nóż rzeźnicki. - To cygańskie ostrze poderżnie gardło każdemu, kto ośmieli się wystąpić przeciwko naszej świętej sprawie... cokolwiek by to było.
 - Cyrus! - ryknął Devereaux. - W tych okolicznościach jest chyba oczywiste, że nie pozwolę, by Jenny i Aaron brali w tym jakikolwiek udział!
 - Zabraniam ci mówić w moim imieniu! - parsknęła miedziano-skóra Afrodyta. ••••>

233

- Ja także, młody człowieku! - zawtórował jej Pinkus, podnosząc się z kanapy. - Zapomniałeś, że brałem udział w desancie na plaży Omaha. Może nie odegrałem tam wielkiej roli, ale wciąż noszę w sobie odłamek pocisku jako dowód moich wysiłków. Wtedy rzeczywiście walczyliśmy w świętej sprawie, bardzo podobnej do tej, z jaką mamy teraz do czynienia. Jeśli ktoś odmawia innym należnych praw nieodmiennie prowadzi to do tyranii, a ja nie będę tolerował czegoś takiego w naszym wspaniałym kraju.
 - Aaaaaaa... psik! Apsik! Apsik! ;

30

5.45

Kiedy niebo nad Waszyngtonem rozjaśnił pierwszy brzask, podobny do rozkwitającego powoli rumieńca, puste do tej pory, wyłożone marmurowymi płytami pomieszczenia Sądu Najwyższego wypełniły tłumy sprzątaczek przepychających swoje wózki od jednych drzwi do drugich. Na wózkach piętrzyły się pachnące mydełka, świeże ręczniki i opakowania jednorazowych chusteczek, pod nimi zaś wisały plastikowe worki przeznaczone na odpadki dnia wczorajs^ego

Jeden z mnóstwa wózków, sunących powoli po wnętrzu wspaniałej budowli wzniesionej ku chwale praw boskich i ludzkich, różnił się jednak nieco od innych, podobnie jak pchająca go siwowłosa kobieta. Jeżeli chodzi o ścisłość, to różnica między nią a pozostałymi kobietami przemierzającymi długie korytarze była znacznie większa niż między wózkami. Uważny obserwator zauważyłby starannie uczesane włosy, dyskretny makijaż oraz bransoletę, wysadzaną diamentami i rubinami, której wartość wielokrotnie przewyższała łączne roczne zarobki wszystkich sprzątaczek zatrudnionych w tym budynku. Kobieta miała przypiętą do kieszeni roboczego fartucha plastikową kartę iden-; tyfikacyjną z napisem: „Zezwolenie tymczasowe”.

Wózek różnił się od pozostałych wyglądem plastikowej torby na odpadki, była ona pełna, jeszcze zanim kobieta dotarła do pierwszego biura. Rzekoma sprzątaczką minęła pomieszczenie nawet do niego nie zaglądając, a gdyby ktoś zbliżył się do niej, usłyszałby mamrotane pod nosem słowa:

Escremento\. Vincenzo, ty *pazzol* Najlepsze i najbardziej

235

ukochane dziecko mojej najdroższej siostry powinno leżeć w szpitalu dla *dementi*. Gdybym chciała, kupiłabym wszystkie posągi w tym budynku! Dlaczego ja to właściwie robię? Ano dlatego, że mój ukochany siostrzeniec jest zdania, że mój mąż wałkoń nie musi wcale pracować. *Mannaggia*... No, wreszcie jest ta szafa. *Bene*\ Zostawię tu wszystko, wrócę do domu, obejrzę trochę telewizji, a potem pojedę z dziewczynkami na zakupy. *Motto benel*

Cztery nie rzucające się w oczy, brązowe i czarne samochody zatrzymały się z piskiem opon na Pierwszej Ulicy w pobliżu skrzyżowania z Capitol Street. Z każdego z nich wysiadło trzech ubranych w ciemne garnitury mężczyzn o zmarszczonych brwiach i nieruchomych oczach, podobnych do oczu robotów. Byli to rewolwerowcy wynajęci do wykonania konkretnego zadania; w razie niewywiązania się groził im los gorszy niż śmierć, to znaczy powrót do poprzedniej pracy w charakterze ochrony przywódców związków zawodowych. Dwunastu bezwzględnych profesjonalistów nie miało pojęcia, komu ani czemu właściwie służą. Wiedzieli tylko jedno: żaden z dwóch ludzi, których zdjęcia otrzymali, nie może wejść do znajdującego się po drugiej stronie ulicy budynku Sądu Najwyższego. Nie ma sprawy. Przecież nikt nigdy nie odnalazł ciała Jimmy'ego Hoffy.

Dwa samochody z rządowymi tablicami rejestracyjnymi zatrzymały się na krótko przed Sądem Najwyższym. Zgodnie z poleceniami wydanymi przez prokuratora generalnego, ośmiu mężczyzn, którzy z nich wysiedli, miało zatrzymać dwóch osobników jposzukiwanych w związku z odrażającymi przestępstwami, jakie popełnili na szkodę swojego kraju. Każdy agent FBI miał przy sobie zdjęcia przedstawiające byłego, całkowicie skompromitowanego generała MacKenziego Hawkinsa oraz jego współnika, działającego nielegalnie prawnika nazwiskiem Samuel Lansing Devereaux, na którym dodatkowo ciążył zarzut dopuszczenia się zdrady ojczyzny, który to czyn popełnił podczas ostatnich dni operacji w Wietnamie. Jego zbrodnie były jeszcze bardziej ohydne niż generała - między innymi

236

Szargał dobre imię przełożonych, uzyskując dzięki temu znaczne korzyści materialne. Agenci federalni szczerze nienawidzili takich typków, gdyż nie byli w stanie pojąć motywów ich działania.

10.22

Granatowa półciężarówka zahamowała przy krawężniku Capitol Street po stronie budynku Sądu Najwyższego. Otworzyły się tylne drzwi i z samochodu wyskoczyło siedmiu komandosów w połowych zielono-czarnych mundurach. Broń ukryli w szerokich kieszeniach, aby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Cel ich operacji określił ustnie, nie pisemnie - sam sekretarz obrony:

- Panowie, powiem wam tylko tyle, że te dwie szuje chcą zniszczyć pierwszą linię amerykańskiej obrony powietrznej. Trzeba ich powstrzymać za wszelką cenę. Jak to powiedział pewien wielki dowódca. „Daj im w skórę, Scotty, żeby popamiętali!”

Komandosi nienawidzili takich szuj. Poza tym jeżeli ktokolwiek miał utrzcę nosa „panom pilotom”, to właśnie oni. Tamci zbierali wszystkie laury, podczas gdy komandosi czołgali się po uszy w błocie, wykonując najbardziej niewdzięczne zadania. Teraz okaże się, gdzie służą prawdziwi obrońcy ojczyzny!

12.03

- •, • •••' '

MacKenzie Hawkins, podparłszy się pod boki i kiwając z aprobatą głową, uważnie przyglądał się stojącej w hotelowym pokoju postaci Henry'ego Irvinga Suttona.

- Do licha, panie aktor! Wygląda pan dokładnie tak jak ja!

- To nic trudnego, *mon general* - odparł Sutton, zdejmując oficerską czapkę ze złotym otokiem, spod której wyłoniły się krótko ostrzyżone, siwe włosy. - Mundur pasuje jak ulał, a baretki są naprawdę imponujące. Cała reszta to tylko sprawa odpowiedniej intonacji, co jest wręcz banalnie proste. Dzięki reklamom, do których nagrywałem ścieżkę dźwiękową - naśladowałem nawet zdychającego kota - udało mi się przepchnąć jedno z moich dzieci przez cały college. Żebym jeszcze pamiętał które...

Mimo to wolałbym, aby założył pan hełm... Proszę nie robić sobie żartów. W ten sposób osłabiłbym efekt

i wywarłbym odmienny skutek od zamierzonego. Moje zadanie polega \

na przyciągnięciu ludzi, a nie na ich odstraszeniu. Widok hełmu : 237

bojowego sugeruje zbliżający się konflikt, a to z kolei każe przypusz-

czać, że zostały zastosowane jakieś środki zaradcze, na przykład uzbrojona ochrona

osobista. Należy zawsze mieć czystą i spójną motywację, generale. W przeciwnym razie traci się publiczność.

- Pan także może sporo stracić... Przecież zdaje pan sobie sprawę, że wystawia się na cel.

- Nie wydaje mi się - odparł aktor z błyskiem w oku. - Biorąc pod uwagę to, co pan zamierza tam zrobić... W porównaniu z Afryką Północną to prawdziwa błahostka. Ryzyko jest niewielkie, a wynagrodzenie całkowicie wystarczające. A tak a propos: co słyhać u naszych miłośników Stanisławskiego z Samobójczej Szóstki?

, - Musieliśmy zrobić małą korektę planów...

i - Naprawdę? - Sir Henry spojrzał podejrzliwie na pierwowzór

! odtwarzanej przez siebie postaci.

- Wyłącznie dla ogólnego dobra, ma się rozumieć - dodał pośpiesznie Hawkins, który doskonale zrozumiał wyraz niepokoju malujący się na twarzy aktora. W tym zawodzie „Jesteś wspaniały, kochanie” znaczyło często tyle, co „To jakiś koleś, znajdźcie mi kogoś sensownego”. - Jeszcze dziś o czwartej po południu wylądują w Los Angeles. Moja żona - to znaczy, jedna z moich żon, a ściślej rzecz biorąc pierwsza - postanowiła otoczyć ich macierzyńską opieką.

- To bardzo miło z jej strony. - Aktor musnął palcami dwie gwiazdki błyszczące na kołnierzyku munduru. - Mimo to będę jednak zupełnie szczerzy i zapytam pana wprost: czy zmieni to coś w kwestii mojego udziału w filmie?

- Skądże znowu! Chłopcy chcą pana, więc muszą pana dostać.

- Jest pan tego pewien? Proszę nie zapominać, że mają jeszcze dość niski iloraz uznania.

- Cokolwiek to jest, oni tego nie potrzebują. Dostali przecież do łapy najsmakowitszy kawałek ciasta, jaki widziano od początku istnienia przemysłu filmowego. Poza tym wszystko i tak spoczywa w rękach agencji Williama Morrisa, więc...

- - W i l l i a m a M o r r i s a? Chyba tak się właśnie nazywa?

- Nawet na pewno! Zdaje się, że jedna z moich córek jest doradcą w ich dziale prawnym. Przypuszczalnie dostała tę pracę

238

właśnie dlatego, że jest moją córką. Tylko jak ona się nazywa, u licha? Widuję ją raz w roku, na Boże Narodzenie...

- Naszą sprawą zajmują się niejacy Robbins i Martin. Moja żona - to znaczy, moja pierwsza żona - twierdzi, że są najlepsi.

- Tak, oczywiście. Słyszałem o nich. Wydaje mi się, że moja córka, Becky, Betty... była zaręczona z tym Robbinsem... a może z Martinem! Na pewno są bardzo dobrzy, bo to szalenie zdolna dziewczyna. Już wiem, ma na imię Antoinette! Zawsze daje mi na Gwiazdkę sweter o trzy numery za duży, ale nie mam jej tego za złe, bo na scenie wydają się większy niż w rzeczywistości. To też trzeba potrafić, generale.

- Naturalnie. A więc chłopcy właśnie lecą na zachodnie wybrzeże, rzecz jasna pierwszą klasą i ze wszystkimi wygodami, jak zameldowała mi Ginny.

- A pewnie, pewnie. Przecież nikt nie wysłał sześciu diamentów kolejką podmiejską i bez żadnej opieki. Szczerze mówiąc, dziwię się, że nie wynajęli prywatnego odrzutowca.

- Moja była żona wyjaśniła mi, dlaczego tego nie zrobili. Otóż wszystkie wytwórnie i agenci w Hollywoodzie zatrudniają ludzi, których jedynym zadaniem jest monitorowanie lotów wszystkich małych odrzutowców. Jeżeli mają jakieś podejrzenia, przekupują pilotów żeby się dowiedzieć, kto wynajął maszynę. Podobno trzy tygodnie temu nad Alaską zaginął właśnie taki samolot i odnalazł się dopiero wczoraj, dokładnie w dwie godziny po podpisaniu kontraktu przez nieszczęśnika, który miał pecha znaleźć się na pokładzie.

Rozległ się dzwonek do drzwi, zaskakując obu mężczyzn.

- Kto to może być, do diabła? - szepnął Jastrząb. - Henry, czy mówiłeś komuś, że...

Skądże znowu! - odparł aktor także szeptem, ale ze znacznie dłuższą emfazą. - Postępowałem dokładnie według scenariusza, bez żadnych improwizacji. Zameldowałem się jako sprzedawca fajek z Akron; garnitur z poliestru, ociężały chód... Wydaje mi się, że odegrałem bardzo przekonujący epizod.

W takim razie kto mógł nas tu znaleźć? Zostaw to mnie, *mon general*. - Sutton rozluźnił krawat, zesciowo rozpiął marynarkę i podszedł do drzwi, upodabniając się okamgnieniu lekko zawianego osobnika. - Schowaj się w szafie, acKenzie! - szepnął, po

głosem: - Czego tam, do diabła? To prywatne przyjęcie i ani ja, ani moja dziewczyna nie życzymy sobie żadnych dodatkowych gości!

- Hej, *fazool* - nadeszła przytłumiona odpowiedź z drugiej • strony drzwi. - Jeśli myślisz, że uda ci się zrobić mnie w bambuko a tak jak wtedy w Bostonie, to chyba się dzisiaj nie myłeś. Wpuść mnie, kurwa mać!

Z szafy natychmiast wysunęła się pobladła ze zdumienia twarz MacKenziego Hawkinsa.

- Mój Boże, to Mały Józef!... Wpuść go, szybko!

- No i co? - zagadnął Joey, kiedy już znalazł się w pokoju, a drzwi zostały za nim błyskawicznie zamknięte. Założył ręce do tyłu i wyprostował się na całą swoją, niezbyt imponującą, wysokość. - Jeśli ten łeb, który wystaje z szafy, należy do twojej dziewczyny, żołnierzu, to możesz mieć spore kłopoty.

- Wystawiłeś się jak kaczką na strzelnicy, *faza* numer dwa. Jak tylko spiknąłeś się z tym wielkim gościem, wykręcony jak korkociąg i machając ręką, jakby nagle trafił cię paraliż, od razu wiedziałem, że właśnie ciebie muszę obstawiać. Nikogo nie udałooby ci się nabrać.

- Czyżby p a n kwestionował moją technikę, którą oszołomiłem setki krytyków w całym kraju?

- Kim właściwie jest ten zgrywus? - zapytał Mały Joey Jastrzębia, który wreszcie wyłonił się w całości z szafy. - Zdaje się, że Bam-Bam i ja powinniśmy to wiedzieć, nie uważasz?

- Józefie, co ty tutaj robisz?! - ryknął MacKenzie z wściekłością, która zajęła miejsce niedawnego zdumienia.

- Spokojnie, *fazool*. Pamiętaj, że Vinnie robi wszystko z myślą o tobie, a ja jestem Zasłonka - nikt mnie nie widzi, nikt mnie nie *zauważa*, a potem wuuut! - i już mnie nie ma. Ty też mnie nie zauważyłeś, kiedy dziś rano przyleciałeś z Nowego Jorku, a ja siedziałem ci cały czas na ogonie.

- I co z tego?

- Parę *rzeczy*. Bam-Bam chce wiedzieć, czy ma wezwać mocnych chłopców z Toronto.

- Absolutnie nie!

- W porządku. On też tak pomyślał, a poza tym i tak nie ma już

240

czasu Jego kochana ciocia Angelina zrobiła, co chciała, bo jej mąż *occo* jest leniwym sukinsynem, a ona bardzo kocha swojego siostrzeńca Vincenzo. Towar czeka w drugiej szafie w holu po prawej stronie

Świetnie.

Nie za bardzo. Bam-Bam ma swoją dumę, a twoi czerwono-skórzy kolesie nie są dla niego zbyt dobrzy. Skarży się, że traktują go jak śmiecia i dali mu za mały pióropusz!

B

12,15

Hf

Kierownik hotelu Embassy Rów przy Massachusetts

Bkvenue był całkowicie zaskoczony zachowaniem jednego ze swoich ulubionych gości, znanego adwokata Aarona Pinkusa. Jak zwykle, kiedy znakomity prawnik przybywał do Waszyngtonu, jego pobyt w hotelu był otoczony ścisłą tajemnicą - podobnie jak każdego gościa który by sobie tego zażyczył. Jednak tego popołudnia pan Pinkus przekroczył wszelkie granice: zażyczył sobie mianowicie, by jemu i jego przyjaciółom pozwolono korzystać z windy towarowej oraz wejścia dla personelu, by o jego obecności w hotelu wiedział jedynie kierownik, by do książki meldunkowej wpisano fikcyjne nazwiska, a wreszcie, by informować wszystkich, którzy dzwoniliby do niego, że

żaden Aaron Pinkus nie figuruje w spisie gości, co zresztą byłoby całkowitą prawdą. Gdyby jednak telefonująca osoba podała tylko numer zajmowanego przez niego pokoju, należy ją natychmiast połączyć

Takie żądania były zupełnie niepodobne do pana Pinkusa, ale kierownik doszedł do wniosku, że wie, co jest ich przyczyną. W ostatnich dniach Waszyngton bardziej przypominał zoo niż cokolwiek innego, a świetny prawnik został zapewne poproszony o wyjaśnienie Kongresowi jakiejś zawilej kwestii związanej z prowadzonym na szeroką skalę dochodzeniem w sprawie ogromnych nadużyć finansowych na szczeblu federalnym. Nic dziwnego więc, że tym razem pan Pinkus nie przybył sam, lecz zabrał ze sobą kilku najlepszych specjalistów ze swojej firmy.

Łatwo więc sobie wyobrazić zdumienie kierownika, kiedy podczas rutynowej inspekcji recepcji ujrzał mężczyznę w jedwabnej pomarańczowej koszuli, przepasanego również jedwabną błękitną szarfą, ze

241

złotym kolczykiem w lewym uchu, który podszedł do kontuaru i zapytał, gdzie jest „jakaś drogeria albo coś w tym stylu”.

- Czy jest pan gościem naszego hotelu? - zapytał podejrzliwie recepcjonista.

- A jakże? - odparł Roman Z., pokazując klucz do pokoju. Kierownik dostrzegł na przywieszce numer apartamentu pana Pinkusa.

- Tam, proszę pana - powiedział spotulniały recepcjonista, wskazując kierunek.

- Dzięki. Wyszła mi już cała woda kolońska. Zobacze, czy mają coś, co mi podpasuje.

Zaledwie kilka sekund później przy kontuarze zjawili się dwaj mężczyźni w mundurach, które kierownik widział po raz pierwszy w życiu. Pewnie z jakiejś rewolucyjnej południowoamerykańskiej armii - pomyślał.

- Gdzie on polazł?! - wykrzyknął wyższy, prezentując liczne braki w uzębieniu.

- Kto? - zapytał recepcjonista, odsuwając się o krok.

- Ten *gitano* ze złotym kółkiem w uchu - odparł drugi osobnik. - Ma klucz od naszego pokoju, ale mój *amigo* nacisnął nie ten guzik co trzeba, i on pojechał na dół, a my do góry!

- Jechaliście dwoma windami?...

- Chodzi o *seguridad*, człowieku.

- Bezpieczeństwo?

- Się wie, *gringo* - potwierdził ten bez kilku zębów, przyglądając się uważnie smokingowi recepcjonisty. - Masz klawe ciuchy, zupełnie jak ja parę dni temu. Jak oddasz je z samego rana, to wezmą tylko połowę stawki.

- Tak, ale... To mój smoking, proszę pana.

- Kupujesz takie aliganckie szmaty?... *Madre de Dios*, musisz mieć niezłą robotę!

- Rzeczywiście, to bardzo dobra praca, proszę pana - odparł zdumiony recepcjonista, zerkając na jeszcze bardziej zdumionego kierownika. - Znajomy panów poszedł do drogę... to znaczy, do sklepu z kosmetykami. To tam, w głębi holu.

- *Gracias, amigo*. Pilnuj tej fuchy, druga taka może ci się nie trafić!

- Oczywiście, proszę pana... - wymamrotał recepcjonista, kiedy Desi Pierwszy i Drugi pognali w ślad za Romanem Z. - Kim są ci

242

ludzie? zapytał kierownika. - Ten pierwszy miał klucz od jednego z najlepszych apartamentów.

Może to świadczy? - bąknął kierownik, czepiając się ostatniej deski ratunku. - Tak, nawet na pewno - dodał głośniejszym głosem, z nadzieją w głosie. - Widocznie przesłuchanie będzie dotyczyło umyślowo upośledzonych.

- Proszę?

'''

B

- Nieważne, i tak pojutrze wyjeżdżają.

W apartamencie, który Aaron Pinkus wynajął dla Jennifer, Sama i siebie, znakomity prawnik wyjaśniał chełpliwie przyczyny, które skłoniły go do zatrzymania się właśnie w tym hotelu:

- Najlepszy sposób na ludzką ciekawość to stawić jej czoło - powiedział. - Szczególnie jeśli macie do czynienia z instytucją, która dzięki wam czerpie znaczne zyski. Gdybym tym razem wybrał inny hotel i tam przedstawił te wszystkie żądania, natychmiast pojawiłyby się plotki.

- A ty jesteś dość znany w tym mieście - uzupełnił Devereaux. - Czy możesz ufać kierownikowi?

- Tak, to porządny człowiek. Ponieważ jednak każdy miewa chwile słabości, a dziennikarze specjalizujący się w wyszukiwaniu skandali przypominają sępy krążące bez przerwy w poszukiwaniu informacyjnej padliny, dałem mu jasno do zrozumienia, że nikt poza nim nie wie o naszym przyjeździe. Szczerze mówiąc, mam z tego powodu wyrzuty sumienia, bo to chyba nie było potrzebne.

- Lepiej się zawczasu zabezpieczyć, niż później żałować, panie Pinkus powiedziała Jennifer, podchodząc do okna i spoglądając w dół na ulicę. - Jesteśmy tak blisko... Nawet nie bardzo wiem czego, ale mimo to bardzo się boję. Za kilka dni moi ziomkowie zostaną uznani albo za wielkich patriotów, albo za pariasów, ale na razie wszystko wskazuje na to drugie.

- Jenny... - zaczął Aaron ze smutkiem w głosie. - Właściwie nie chciałem cię niepokoić, ale po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że nigdy byś mi nie wybaczyła, gdybym ci o tym nie powiedział

- O czym?

Redwing odwróciła się raptownie od okna i spojrzała najpierw na Pinkusa, a potem na Sama, który pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że nic nie wie o rewelacjach Aarona.

243

- Dziś rano rozmawiałem ze starym przyjacielem, a raczej kolegą z dawnych lat, który jest teraz jednym z sędziów Sądu Najwyższego.

- Aaronie! - wykrzyknął Devereaux. - Chyba nie wspomniałeś mi nic o dzisiejszym popołudniu, prawda?!

- Oczywiście, że nie. To była zwykła towarzyska rozmowa. Powiedziałem mu, że mam tu do załatwienia kilka spraw i zapytałem, czy nie zechciałby zjeść ze mną kolacji.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Jennifer.

- To on wspomniał o dzisiejszym popołudniu - dodał Pinkus głosem niewiele donośniejszym od szeptu. »?

- Słucham?

- Co takiego?

- Nie mówił nic konkretnego, po prostu nawiązał do mojej propozycji... Powiedział mianowicie, że nie wie, czy zdoła z niej skorzystać, bo wiele wskazuje na to, że będzie ukrywał się w podziemiach gmachu, pilnowany przez uzbrojonych strażników.

- Jak to?

- Przecież słyszeliście...

- I?...

- Powiedział też, że dzisiejszy dzień należy do najbardziej niezwykłych w historii Sądu Najwyższego. Otóż po południu ma się odbyć wstępne przesłuchanie w sprawie, która jak żadna do tej pory podzieliła sędziów. Nikt nie wie, jak ostatecznie będą głosować koledzy, ale wszyscy są zgodni co do jednego - żeby skorzystać z przysługującego im prawa do poinformowania opinii publicznej o tym, czego dotyczy sprawa, a dotyczy ona najcięższego oskarżenia, jakie kiedykolwiek postawiono ludziom sprawującym władzę w tym kraju. Uczynią to natychmiast po zakończeniu przesłuchania.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Jennifer. - Jeszcze dzisiaj?

- Początkowo wszystko było trzymane w tajemnicy ze względów bezpieczeństwa narodowego oraz po to, żeby nie dopuścić do nacisków na stronę wnoszącą pozew, czyli, jak przypuszczam, na szczerp Wopotami. Potem władze zażądały utajnienia sprawy na dłuższy okres.

- Dzięki niech będą temu, kto wpadł na ten pomysł! - westchnęła Redwing.

- Czyli przewodniczącemu Reebockowi, który z pewnością nie jest najbardziej lubianym człowiekiem na świecie, choć nie sposób odmówić mu sporej inteligencji. Zupełnie niespodziewanie, i wbrew

244

uwomi dotychczasowym zwyczajom, Reebock przychylił się do prośby Białego Domu.

Kiedy dowiedzieli się o tym pozostali sędziowie, większość, do której należy także mój przyjaciel, wszczęła bunt, gdyż władza wykonawcza w żadnym wypadku nie ma prawa wywierać nacisku na władzę sądowniczą... Czasem .wszystko sprowadza się do urażonych ambicji, prawda? Dajcie sobie spokój ze sporządzaniem precyzyjnych bilansów dobra i zła, bo i tak ambicja odegra decydującą rolę.

- Panie Pinkus, moi ludzie będą wtedy na ulicy, na stopniach budynku! Zostaną zlinczowani!

- Na pewno nie, jeśli generał wyłoży swoje karty.

- Nawet jeśli byłyby najgorsze z możliwych, to on je wyłoży! - wrzasnęła Jennifer. - Ten osobnik jest kwintesencją nienawiści! Nie istnieje człowiek, którego nie potrafiłby obrazić!

- Ale przecież ty masz decydujący głos - przerwał jej Deve-reaux. - Nie może nawet kiwnąć palcem bez twojej zgody. Umowa, którą zawarliście, wciąż obowiązuje.

- A czy coś takiego kiedykolwiek zdołało go powstrzymać? Z tego czego dowiedziałam się o twoim prehistorycznym dinozaurze, wynika, że do tej pory zdołał już wdeptać w ziemię prawo międzynarodowe, swój własny rząd, Kolegium Szefów Sztabów, Kościół katolicki, powszechną koncepcję moralności, a nawet ciebie, choć głosi wszem wobec, że kocha cię jak syna! To nie ty staniesz za pulpitem na sali sądowej, by ogłosić o wielkiej niesprawiedliwości, lecz on, i żeby postawić na swoim, doprowadzi do tego, że mój naród stanie się największym zagrożeniem, jakie pojawiło się przed tym krajem od Traktatu Monachijskiego z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Będzie niczym piorun, niczym błyskawica, którą należy jak najprędzej uziemić, zanim członkowie stu innych mniejszości dowiedzą się, że oni też zostali oszukani przez rząd, i zanim na ulicach wybuchną rozruchy... Możemy naprawić dawne krzywdy cierpliwością i wytrwałością ale nie w taki sposób, nie poprzez wywoływanie chaosu!

- Ona ma sporo racji, Aaronie.

- Rzeczywiście to znakomita mowa, moja droga, ale zapomniałaś w niej o pewnym podstawowym prawie natury.

- O jakim, panie Pinkus?

- Można go powstrzymać, tylko trzeba oblać go gęstym ciastem i szybko zapiec.

245

- Jak to zrobić, na litość boską?!

W tej chwili drzwi apartamentu otworzyły się gwałtownie, uderzając z hukiem w ścianę, i do pokoju wpadł rozwścieczony Cyrus M. Był to jednak zupełnie inny Cyrus: w kosztownym prążkowanym garniturze, eleganckich półbutach i z fularowym krawatem pod szyją.

- Uciekli, sukinsyny! - ryknął. - Są tutaj?

- Roman i dwaj Desi? - wykrztusił Sam z przerażeniem. - Zdezzerterowali?

- Gdzież tam, po prostu zachowują się jak dzieciaki w Dis-neylandzie: muszą wszystko obejrzeć. Na pewno wrócą, ale postąpili wbrew wyraźnemu rozkazowi.

- Co pan ma na myśli, pułkowniku? - zapytał Pinkus.

- Wyszedłem do... do toalety, ale kazałem im zostać w pokoju. Kiedy wróciłem, już ich nie było!

- Przed chwilą powiedziałeś, że na pewno wrócą - przypomniał mu Devereaux. - Skoro tak, to w czym problem?

- Chciesz, żeby te niedorozwinięte małpoludy ganiały po całym hotelu?

- Mogłoby to być nawet dość zabawne - odparł Aaron, tłumiąc chichot. - Może trochę rozruszalbysy tych nabzdyczonych dyplomatów, którzy chodzą tak sztywno, jakby wszyscy cierpieli na ostre wzdęcie... Wybacz mi, moje dziecko.

- Nie musi pan przepraszać, panie Pinkus - odparła dziewczyna, wpatrując się w czarnoskórego najemnika. - Och, Cyrus, wyglądasz tak... nie wiem, jak to powiedzieć... dystygowanie.

- To dlatego, że zawsze widziałeś mnie w starych łachach. Ostatni raz miałem na sobie taki garnitur ładnych parę lat temu, kiedy cała rodzina zrobiła zrzutkę i kupiła mi go na obronę pracy doktorskiej. Ani wcześniej, ani tym bardziej później nie mogłem sobie pozwolić na takie ekstrawagancje. Cieszę się, że ci się podoba. Mnie też. Zawdzięczam go uprzejmości pana Pinkusa, którego krawcy potrafią precyzyjnie przecisnąć się przez ucho igły, jeśli on sobie tego zażyczy.

- Nieprawda, przyjacielu - zaprotestował Aaron. - Po prostu wiedzą, co to znaczy n a p r a w d ę pilne zamówienie... Czyż nasz pułkownik nie prezentuje się wspaniale?
- Całkiem nieźle - przyznał niechętnie Sam.
- Jak Kolos Rodyjski zaproszony na posiedzenie rady nadzorczej IBM - dodała Redwing, kiwając z aprobatą głową.

246

Arnold Subagaloo usadowił swój otyły korpus w fotelu

wiedząc o tym, że wysokie poręcze mebla pomogą mu utrzymać nieruchomo ciało, gdy będzie oddawał się swojej ulubionej biurowej rozrywce Kiedy uniesie rękę z gotową do rzutu strzałką, gruszkowaty tułów nawet nie drgnie, pozwalając na spokojne celowanie, a następnie na precyzyjny rzut. Bądź co bądź Subagaloo był inżynierem, a ze swoim współczynnikiem inteligencji przekraczającym 785 wiedział wszystko o wszystkim, poza polityką, dobrymi manierami i dietetycznym żywieniem.

Naciśnięciem guzika uruchomił mechanizm, który rozsunął bogato udrapowaną zasłonę wiszącą na przeciwległej ścianie. Ściana za zasłoną była od góry do dołu pokryta zdjęciami przedstawiającymi powiększone

247

twarze dokładnie stu sześciu mężczyzn i kobiet. Sami wrogowie! Liberałowie rodem z obu partii, skretyniali obrońcy środowiska, którzy nigdy nie potrafiliby zrozumieć prostej zasady bilansowania zysku i strat, feminazistki usiłujące walczyć z ustanowioną przez Boga dominacją mężczyzn, a przede wszystkim senatorowie i kongresmani, którzy mieli kiedykolwiek czelność powiedzieć mu, że n i e j e s t p r e z y d e n t e m ! . . . Może i nie jest, ale kto, ich zdaniem, myśli za prezydenta? Bez przerwy, w każdej godzinie i minucie?

W chwili kiedy Subagaloo rzucił pierwszą strzałkę, zadzwonił jego specjalny telefon, co sprawiło, że ostro zakończony pocisk zboczył mocno w lewo i wyleciał przez otwarte okno, zza którego dobiegł przeraźliwy wrzask ogrodnika zajętego pielęgnacją Różanego Ogrodu:

- Kurwa, ten wariat znowu się tym bawi! Odchodzę!

Arnold zlekceważył obelżywą uwagę; powinien był trafić tego typka prosto między oczy. Na pewno należy do jakiegoś cholernego socjalistyczno-komunistycznego związku zawodowego i teraz będzie się domagał dwutygodniowej odprawy po nędznych dwudziestu latach pracy.

Subagaloo nie mógł wstać z fotela, ponieważ jego szerokie biodra utknęły na dobre między poręczami, więc powlókł się do brzęczącego natrętnie telefonu, ciągnąc za sobą ciężki mebel jak pozbawiony czucia odwłok.

- Kim jesteś i skąd masz ten numer? - warknął do słuchawki.

- Spokojnie, Arnold. Tu Reebok. Tym razem wylądowaliśmy po tej samej stronie.

- Ach, szanowny pan przewodniczący! Chcesz może wcisnąć mi kolejny problem, którego wcale nie potrzebuję?

- Wcale nie. Właśnie rozwiązałem największy, jaki miałeś do tej pory.

- Wopotami?

- A kogo oni obchodzą? Niech sobie zdychają w tym swoim zakichanym rezerwacie.

Wczoraj wieczorem urządziłem małe przyjęcie dla wszystkich kolegów z Sądu. Ponieważ, jak wiesz, mam najlepsze wina w całym Waszyngtonie, wszyscy nawalili się jak baki, z wyjątkiem szacownej damy, ale ona teraz się nie liczy. Przeprowadziliśmy przy basenie bardzo amerykańską, intelektualną dyskusję. Naprawdę, każdy mógłby pozazdrościć nam erudycji.

Gwarantowane sześć do trzech na niekorzyść tych dzikusów. ' . Dwaj koledzy trochę się wahali, ale i oni dostąpili łaski oświecenia, kiedy apetyczne kelnerki rozebrały ich do naga i urządziły małe

I co? zawody pływackie. Co prawda obaj twierdzą, że zostali zniecka wepchnięci do basenu, ale ze zdjęć wynika coś zupełnie innego. Takie : nieprzystojne zachowanie... Każda popołudniówka zapłaciłaby krocie,

żeby opublikować te fotografie. Dałem im to zresztą jasno do zrozumienia

Reebeck, jesteś geniuszem! Oczywiście nie takim jak ja, ale i tak radzisz sobie całkiem nieźle... Myślę jednak, że powinniśmy zachować tę wiadomość dla siebie, nie uważasz?

- Mówimy tym samym językiem, Subagaloo. Naszym zadaniem jest zepchnięcie tych antypatriotycznych zbrojeńców tam, gdzie ich miejsce, czyli na najdalszy margines. Są szalenie niebezpieczni. Wyobrażasz sobie, gdzie byśmy byli bez podatku dochodowego i praw obywatelskich '

- W niebie, Reebeck, w niebie!... Pamiętaj, że ta rozmowa nigdy nie odbyła.

- A jak myślisz, dlaczego zadzwoniłem właśnie pod ten numer?

- Skąd go zdobyłeś?

- Mam swojego człowieka w Białym Domu. ' .

- Kogo, na litość boską?!

- Daj spokój, Arnold. To nie *fair*.

« * '&'••" .

- Rzeczywiście, chyba nie, bo ja z kolei mam swojego w Sądzie Najwyższym.

Stare decisis, przyjacielu.

Otóż to - odparł Arnold Subagaloo.

12.37

Ogromny autobus linii Trailblaze, wynajęty przez osobę, której nikt w całej firmie nigdy nie widział na oczy, zatrzymał się przed okazałym wejściem do budynku Sądu Najwyższego. Kierowca z westchnieniem ulgi i ze łzami w oczach osunął się na kierownicę, wdzięczny niebiosom, że podróż dobiegła wreszcie końca. Koszmar zaczął się wiele kilometrów wcześniej, gdy kierowca najpierw grzecznie ^informował swoich pasażerów, a potem zaczął krzyczeć z coraz

249

większym przerażeniem, że w autobusie nie wolno niczego gotować, szczególnie na otwartym ogniu.

- My nic nie gotujemy - poinformował go stanowczy głos. - Mieszamy tylko farby, a do tego jest potrzebny rozpuszczony wosk.

- Co takiego?

- Sam zobacz.

Nagle przed oczami kierowcy pojawiła się groteskowo pomalowana twarz, w wyniku czego wielki autobus zatańczył niebezpiecznie na autostradzie.

Wydarzenia, które nastąpiły później, pozwoliły kierowcy zrozumieć rozpaczliwe wrzaski właściciela motelu w pobliżu Arlington, dobiegające zza ogromnej sterty toreb podróżnych:

- Prędej wysadź się w powietrze, zanim ich tu jeszcze raz wpuszczę! Niech to szlag trafi! Pieprzone tańce wojenne dokoła pieprzonego ogniska na pieprzonym parkingu! Inni goście uciekali jak przed *zarazą* i oczywiście zapomnieli mi zapłacić!

- Człowieku, coś ci się pomyliło. To były tylko tańce błagalne - wiesz, coś w rodzaju modlitw o deszcz, wyzwolenie z niewoli albo o kobietę.

- Wynocha stąd!!!

Po załadowaniu bagaży - ze względu na ich nadzwyczajną liczbę część musiała zostać przytroczona do dachu autobusu - przyszła kolej na następne okropieństwa, rozgrywające się w kłębach cuchnącego dymu wydzielanego przez topione nad ogniem świecowe kredki.

- Jeśli wymieszać je z parafiną i rozmasować po twarzy, to pod wpływem ciepła zaczynają się rozpuszczać, dając znakomity efekt. Blade twarze boją się tego jak cholera... Spójrz.

Kierowca spojrział i zobaczył jaskrawe barwy spływające po twarzy osobnika nazwiskiem Calfnose, w wyniku czego niewiele brakowało, by autobus wjechał do wnętrza dyplomatycznej limuzyny z flagą Tanzanii. Skończyło się jednak tylko na wgięciu tylnego zderzaka, gdyż po gwałtownym skręceniu kierownicy autobus przeskoczył na sąsiedni pas i przemknął obok samochodu osobowego, ścinając mu boczne lusterko. Z

wnętrza limuzyny kilka czarnych twarzy wpatrywało się wybałuszonymi z przerażenia oczami w kilkadziesiąt znacznie bardziej kolorowych, miotających się za szybami pędzącego autokaru.

Potem rozległy się basowe dźwięki co najmniej dziesięciu bębnow: bum-bum... bum-bum... bum-bum... Niemal natychmiast zawtórowały

250

im dzikie wrzaski, narastające w historycznym *crescendo*, aż wreszcie głowa oszołomionego kierowcy zaczęła wbrew jego woli poruszać się w przód i w tył, jakby był kogutem w rui zastanawiającym się nad wyborem partnerki. Cisza, która nastąpiła niespodziewanie, przynosząc ze sobą niewysłowioną ulgę, bez wątpienia miała związek z czyjąś

Zdaje się, dziewczęta i chłopcy, że coś nam się pochrzańilo! - wykrzyknął terrorysta nazwiskiem Calfnose. - Czy to przypadkiem nie pieśń na noc poślubną?

- Mnie tam raczej przypominała *Bolero* Ravela! - odkrzyknął ktoś z końca autobusu.

- A kto się na tym pozna? - zapytała jakaś kobieta.

- Może i nikt - odparł Calfnose - ale Grzmiąca Głowa wiedział, że Biuro do Spraw Indian może po cichu przysłać paru pertów

- Jeśli to będą Mohawkowie, to dadzą nam w dupę! - zawołał ktoś inny. Sądząc po głosie, był to jeden ze starszych członków szczepu - Legendy mówią, że kiedy tylko zaczynał padać śnieg, wyrzucali nas z naszych wigwamów!

- W takim razie na wszelki wypadek przeciwiczny pieśń na powitanie słońca. Myślę, że będzie całkiem na miejscu. A która to, Johnny? - zapytała jakaś kobieta. - Ta, która przypomina trochę tarantellę... - Ale tylko wtedy, gdy śpiewa się ją *vivace* - wtrącił się wymalowany zuch z przodu autokaru. - W tempie *adagio* brzmi jak motyw żałobny z Sibeliusa.

- W porządku, dziewczyny! Idźcie na tył i przeciwczcie jeszcze raz swój taniec. Pamiętajcie, że Grzmiąca Głowa chce mieć parę gołych nóg dla telewizji, ale bez żadnych pończoch i podwiązek.

- O, rety!...

A niech mnie! - rozległy się męskie głosy.

- Dobra, zaczynamy jeszcze raz!

- Ponownie rozległo się bicie w bębny i zapanowały dzikie wrzaski, którym tym razem towarzyszyło jeszcze tupanie bosych kobiecych stóp. Kierowca usiłował skoncentrować się na prowadzeniu autokaru w gęstym ruchu; może by mu się nawet udało, gdyby nie to, że ktoś przewrócił naczynie z rozpuszczonymi czerwonymi kredkami, wyniku czego spódniczka jednej z tancerek stanęła w płomieniach.

251

Kilku wojowników rzuciło się ofiarnie na pomoc, nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo.

- Won z tymi łapami! - wrzasnęła rozwścieczona indiańska dziewczyna.

Kierowca podskoczył jak dźgnięty szpilką, a autokar wjechał prawymi kołami na chodnik i zmiotł hydrant przeciwpożarowy; na Independence Avenue trysnął potężny gejzer, zalewając strumieniami wody samochody i przechodniów. Według przepisów obowiązujących w firmie kierowca pojazdu, któremu zdarzył się taki wypadek, powinien się natychmiast zatrzymać, zawiadomić przez radio dyspozytora i czekać na przybycie policji. Przepisy jednak nie wspominały ani słowem, czy obowiązek ten dotyczy także kierujących autobusem pełnym dzikich terrorystów wymazanych od stóp do głów roztopionymi kredkami świecowymi. Ponieważ do celu podróży pozostało już zaledwie pięć przecznic, kierowca postanowił, że dojedzie tam, pozbędzie się ładunku wrzeszczących jak pomyśleńcy, odzianych w skórzane stroje barbarzyńców wraz z ich bagażami i kociołkami z farbami, a następnie wróci czym prędzej do bazy, wręczy dyspozytorowi rezygnację, pogna do domu, złapie żonę pod pachę i wsiądzie z nią do najbliższego samolotu odlatującego do najbardziej oddalonego miejsca na kuli ziemskiej. Na całe szczęście ich jedyny syn jest prawnikiem i zajmie się zatuszowaniem sprawy. Do diabła, przecież tylko ojcu może zawdzięczać to, że w ogóle ukończył studia!... Po trzydziestu sześciu latach spędzonych za kółkiem człowiek potrafi wyczuć, kiedy zbliża się krytyczna chwila. Zupełnie jak we Francji podczas drugiej

wojny światowej, kiedy dostawali łupnia od szkopów i dowodzenie dywizją przejął wielki generał Hawkins. Powiedział im wtedy prosto w twarz: „Żołnierze, zawsze nadchodzi taki czas, kiedy trzeba albo odciąć przynętę, albo zdecydować się powalczyć z dużą rybą. Ja podjąłem decyzję, że będziemy walczyć. Idziemy do ataku!”

I poszli. Wspaniały człowiek miał wówczas rację, ale teraz nie było nic, co można by zaatakować - żadnego nieprzyjaciela o morderczych zamiarach, tylko banda wariatów, którzy postanowili za wszelką cenę odwieść go od zdrowych zmysłów! Trzydzieści sześć lat pracy... Dobrze, sensowne życie. Ale teraz, w tej krytycznej chwili, kiedy nie pozostał żaden cel do atakowania, należy odciąć przynętę. Ciekawe, co powiedziałyby wielki generał Hawkins... Zapewne coś w tym rodzaju:

- Jeśli nieprzyjaciel nie jest wart wysiłku, znajdź sobie innego!

252

Kierowca postanowił odciąć przynętę. Nieprzyjaciel nie był wart wysiłku. Jako ostatni wysiadł z autokaru terrorysta o nazwisku Calfnose, i z twarzą ociekającą stopionymi kolorowymi kredkami.

- Masz - powiedział dzikus, wręczając kierowcy małą monetę o niewielkiej lub prawie żadnej wartości. - Wódz Grzmiąca Głowa kazał dać to temu, kto dostarczy nas do „punktu przeznaczenia”. Cholera wie, co miał na myśli, ale teraz to jest twoje, kolego.

Z tymi słowami Calfnose dał susa na chodnik, trzymając na ramieniu drąg z jakimś wymalowanym na kartonie hasłem.

„...aż do punktu przeznaczenia. Po tym, co zrobimy, już nic nie będzie takie jak było. Do ataku!” Tak powiedział przed czterdziestu laty we Francji generał MacKenzie Hawkins.

Kierowca spojrział na monetę i aż wstrzymał oddech ze zdumienia. Była to replika ich dywizyjnej odznaki sprzed czterdziestu lat, z wizerunkiem genialnego dowódcy! Czyżby sygnał z nieba? Raczej mało prawdopodobne, jako że już od dłuższego czasu ani on, ani żona nie zaglądali do kościoła. Niedzielne popołudnia istniały po to, żeby oglądać te wszystkie telewizyjne programy, w których politycy dosypywali węgla do gniewnego ognia płonącego w jego duszy, żona zaś gasiła go kolejnymi szklaneczkami Krwawej Mary. Dobra z niej kobieta. Ale żeby coś takiego? Odznaka niezapomnianej dywizji i słowa najwspanialszego dowódcy, jaki kiedykolwiek pojawił się na świecie? Boże, trzeba stąd zmykać. Dziwna sprawa!

Kierowca uruchomił silnik, wdusił w podłogę pedał gazu i popędził Pierwszą Ulicą. Zerknąwszy we wsteczne lusterko przekonał się, że ściga go gromada ludzi z pomalowanymi twarzami.

- Pieprzę was! - wrzasnął co sił w płucach. - Mam już dosyć! Wyjeżdżam z kobietą na zachód, może nawet tak daleko na zachód, f że aż na wschód, na przykład na Samoa!

Zapomniał jednak o przytroczonych do dachu autobusu trzydziestu siedmiu torbach podróżnych.

31

13.06

I kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, Aaron i Sam przemknęli do sypialni, by uniknąć ewentualnego rozpoznania, Jenny zaś obrzuciła pokój uważnym spojrzeniem, po czym zapytała:

- Kto tam?

- Szybko, panno Janey! - odparł głos należący ponad wszelką wątpliwość do Romana Z. - To ciężkie jak diabli!

Redwing otworzyła drzwi i ujrzała stojącego w progu Romana, a za nim mokrych od potu Desich, dźwigających ogromny kufer.

- Dobry Boże, dlaczego nie powiedzieliście w recepcji, żeby dostarczono go na górę?

- Mój najdroższy przyjaciel, który chwilowo jest brutalnym i obłąkanym „pułkownikiem”, kazał nam, żebyśmy sami go przynieśli. - Cygan wszedł do pokoju. - W przeciwnym razie, gdyby kufer otworzył się i jakiś nieszczęśnik zobaczył jego zawartość, musiałbym osobiście poderżnąć mu gardło. Chodźcie, moi prawie najdrożsi przyjaciele!

- Nie wierzę, żeby Cyrus wydał taki rozkaz - odparła Jennifer. Desi Pierwszy i Drugi wtaszczyli kufer do apartamentu i postawili go pionowo. - Przynajmniej mogliście wziąć wózek.

- Znaczy się, samochód? - zdziwił się Desi Drugi, ocierając pot z czoła.

- Nie, mały wózek na czterech kółkach, służący do przewożenia bagaży.

- A ty powiedziałaś, że nie wolno! - wrzasnął D-Jeden na Romana.

254

- Dlatego że znakomity „pułkownik” był zajęty rozmową z tymi zwariowanymi ludźmi z ciężarówki i bąknął tylko: „Bierzcie to, szybko. Nie powiedział: „Wsadźcie to na wózek, szybko!” Mój najdroższy przyjaciel jest bardzo cwany; nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie zastawił pułapki. Próbowaliście kiedyś uciec z supermarketu, pchając wózek z zakupami? Od razu włącza się alarm, prawda, panno Janev

- To dlatego, że na towarach znajdują się kody magnetyczne, które są neutralizowane przy kasie...

- A widzicie? Mój najdroższy przyjaciel ocalił nam życie!

- Otrzymacie godziwe wynagrodzenie za wasz wysiłek - oświadczył Aaron Pinkus, który wraz z Samem wyszedł z sypialni. - Czy ktoś mógłby to otworzyć? - dodał, spoglądając na kufer.

- Nie ma klucza - oznajmił Roman Z. - Tylko małe cyferki przy zamkach.

- Ja znam szyfr - powiedział nienagannie ubrany Cyrus, wchodząc do apartamentu i natychmiast zamykając za sobą drzwi. - Przykro mi, panie Pinkus, ale musiałem obciążyć firmę rachunkiem za transport

- Podał im pan moje nazwisko?!

- Oczywiście, że nie, ale dostawca może do pana dotrzeć, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.

- Ja się tym zajmę! - wykrzyknął Sam. - Zatrudnianie do wykonywania nielegalnych zadań zbiegłych więźniów i najemników poszukiwanych listami gończymi... Błahostka!

- Kochanie, my robimy dokładnie to samo - przypomniała mu Jennifer.

- Jak to?

- Na litość boską, otwórzcie wreszcie ten kufer! Czuję na karku Oddech Shirley, a zapewniam was, że to nic przyjemnego. Ostatni raz rozmawiałem z nią wczoraj rano.

- Daj mi pan jej numer - zażądał Roman Z., poprawiając błękitną jedwabną szarfę na pomarańczowej jedwabnej koszuli. - Różne są baby na świecie, ale żadna z nich nie może oprzeć się moim wdziękom. Prawda, przyjaciele?

- Shirley natychmiast kazałaby pana aresztować - zapewnił go Aaron. Wątpię, czy zadowoliliby ją stan pańskich finansów.

-- Jest! - wykrzyknął Cyrus M. i otworzył kufer.

255

- Mój Boże... - szepnęła Jennifer Redwing. - Tyle żelastwa!

- Mówiłem ci, Jenny - odparł Cyrus, spoglądając na metalowe napierśniki i hełmy wiszące na wieszakach obok przedziwnych strojów. - To poważna gra.

13.32

Zawartość kufra została rozdzielona wśród zebranych, którzy bezzwłocznie zaczęli się przebierać. Zgodnie z rozkazami Jastrzębia (nieco uzupełnionymi i skorygowanymi przez Cyrusa, który pełnił obecnie funkcję jego głównego doradcy do spraw wojskowych), podstawowym celem było zmylenie zwiadowców nieprzyjaciela, którzy będą poszukiwać ich w tłumie oblegającym gmach Sądu Najwyższego, a tym samym uzyskanie możliwości wejścia do budynku. Znalazłszy się we wnętrzu,

należało przedostać się przez kordon strażników w taki sposób, żeby nikt nie rozpoznał Sama, Aarona, Hawkinsa ani Jennifer. MacKenzie był pewien, że strażnicy otrzymali dokładne rysopisy jego i Devereaux, a być może także Aarona, który przecież był pracodawcą Sama. Ponieważ Jenny występowała już kiedyś przed Sądem Najwyższym i łatwo było ustalić, że należy do plemienia Wopotami, istniało spore prawdopodobieństwo, że ona także znalazła się na czarnej liście. Jasne, że nikt nie mógł mieć całkowitej pewności, że tak jest w istocie, ale niewyobrazalna potęga finansowa wrogów „tragicznie zmarłego” Vincenta Mangecavallo kazała poważnie liczyć się z tą ewentualnością.

Pokonanie trzeciej przeszkody zależało w głównej mierze od tego, czy przed wpuszczeniem do sali posiedzeń Sam, Aaron i Hawkins zdołają znaleźć męską, Jennifer zaś damską toaletę. Według szczegółowych planów budynku, zdobytych w jakiś sposób przez „krewnych” Bam-Bama, a potwierdzonych przez jego ukochaną ciotkę Angelinę, na pierwszym piętrze, gdzie mieściły się sale posiedzeń, znajdowały się dwa takie przybytki, po jednym na końcu wyłożonego marmurem korytarza. Konieczność odwiedzenia toalet wiązała się bezpośrednio z podstawowym celem, jakim było oszukanie zwiadowców penetrujących tłum zgromadzony przed gmachem. Jednak zawartość kufru sprawiła, że z sypialni dobiegł przeraźliwy krzyk Jennifer:

- Sam, to niemożliwe!

;-

256

O czym mówisz? - zapytał Devereaux, wyłaniając się niepewnie z drugiej sypialni. Miał na sobie bufiasty garnitur w wielką kratę, w którym sprawiał wrażenie co najmniej o połowę cięższego, niż był naprawdę, ale największe zdziwienie musiał budzić widok jego głowy. Znajdowała się na niej brązowa skołtuniona peruka, której długie kędziory wyłaniały się spod filcowego kapelusza z okrągłym denkiem i podwiniętym rondem, bardzo przypominającego ulubione nakrycie głowy kościelnych dostojników z lat dwudziestych. Sam pchnął uchylone drzwi sypialni, w której przebierała się Jenny, i stanął w progu. - Mogę ci pomóc?

,- AaaaaL.

* - Czy twój krzyk ma oznaczać tak czy nie?

- Co to ma być?

- Według prawa jazdy i karty wyborczej, dołączonych do ubrania, nazywam się Alby-Joe Scrubb i jestem właścicielem fermy drobiu... A co t o ma być, do wszystkich diabłów?

- Była tancerka z music-hallu! - warknęła Jenny, usiłując po raz kolejny zapiąć metalowy napierśnik na swym imponującym biuście. - No, wreszcie. Teraz jeszcze ta cholerna żarowiasta bluzka, która nie podniecałaby nawet wyposzczonego goryla.

M n i e podnieca - zauważył skromnie Sam.

Bo jesteś głupszy od goryla, a w dodatku widocznie łatwiej się podniecasz

- Hej, daj spokój! Przecież jesteśmy po tej samej stronie. A tak zupełnie serio, to kim właściwie masz być?

Przypuszczalnie zepsutą kobietą, której wypukłości, dodatkowo uwidocznione dzięki temu kuloodpornemu gorsetowi, mają odwrócić uwagę strażników i zmniejszyć ich czujność.

Jastrząb myśli o wszystkim.

Nawet o libido - zgodziła się Redwing, wciągając przez głowę jaskrawozk: na bluzkę. Poprawiła ją, obciągnęła żółtą króciutką spódniczkę i pochyliła się lekko do przodu, spoglądając w dół, na doskonale widoczne w głębokim dekolcie piersi. - To wszystko, co udało mi się zrobić... - stwierdziła z ciężkim westchnieniem.

Pozwól, może trochę pomogę...

Precz z łapami. A teraz najtrudniejsze: „zabezpieczenie części głowowej”, jak by zapewne powiedział pewien żyjący zabytek z okresu gorączki złota.

257

- Właśnie, co się stało z twoimi włosami? - zdziwił się Sam. - Są takie jakby przyлизane i dziwnie spięte z tyłu...

- To przedostatni etap zemsty twojego neandertalczyka. - Jenny sięgnęła do wielkiego kartonowego pudła stojącego na łóżku i wyjęła z niego platynową perukę przymocowaną do stalowego hełmu. - Ten kuloodporny skalp jest tak ciężki, że do końca roku będę

chodziła ze sztywnym karkiem - naturalnie zakładając, że w ogóle dożyje końca roku.

- Ja też dostałem coś takiego - poinformował ją Sam. - Możesz kręcić głową, ale uważaj, żebyś nią nie skinęła, bo złamiesz sobie nos.

- Czy kobieta, która wygląda w ten sposób, może kręcić głową?

- Rozumiem, co masz na myśli. Powiedziałaś, że to przedostatni etap zemsty Hawkinsa; na czym polega ostatni?

- Wydawało mi się, że to oczywiste. Wyda mnie na pastwę obyczajówki i aresztują mnie jako dziwkę.

- Sam! - zawołał Aaron Pinkus z salonu. - Na pomoc!

- Ostatnio jestem diabelnie popularny - mruknął Devereaux, wybiegając z sypialni. Jennifer pośpieszyła za nim. Ich oczom ukazał się najbardziej nieprawdopodobny widok, jaki mogliby sobie wyobrazić, naturalnie zakładając, że wcześniej nie zobaczyliby swojego odbicia w lustrze. Zamiast drobnej, lecz mimo to dystygowanej postaci najlepszego bostońskiego prawnika, ujrzeni przed sobą odzianego w długi czarny płaszcz chasydzkiego rabina, w płaskim czarnym kapeluszu, spod którego wyłaniały się dwa kosmyki kręconych czarnych włosów. - Chcesz wysłuchać naszej spowiedzi, naturalnie o ile praktykujecie coś takiego? - zapytał Sam.

- Wcale nie jesteś zabawny - odparł Aaron, czyniąc w jego stronę kilka niepewnych kroków. Niemal jednak natychmiast zachwiał się i aby odzyskać równowagę, chwycił stojącą na biurku lampę, która naturalnie runęła na podłogę. - Jestem cały zakuty w żelazo! - wykrzyknął gniewnie.

- To dla pańskiego dobra, panie Pinkus - wyjaśniła Jennifer. Minęła Sama, podbiegła do starszego mężczyzny i chwyciła go pod ramiona. - Przecież Cyrus powiedział wyraźnie, że musimy się zabezpieczyć.

- Te zabezpieczenia zabiją mnie, moje dziecko. Na plaży Omaha niosłem na plecach dwudziestokilogramowy plecak, przez który o mało co nie utonałem w wodzie głębokości jednego metra, a wtedy byłem

258

przecież znacznie młodszy. Zbroja, którą mam na sobie, waży znacznie więcej niż dwadzieścia kilogramów.

- Tak naprawdę będzie panu ciężko tylko na schodach przed budynkiem sądu. Potem musimy się rozdzielić, ale powiem Johnny'emu Calfnose, żeby przysłał panu kogoś do pomocy.

- Calfnose? Mam wrażenie, że przypominam sobie to nazwisko. Nie należy ono do tych, które się łatwo zapomina.

A - Mac kieruje poprzez niego szczepem - wyjaśnił Sam.

- Ach, rzeczywiście. To właśnie on zadzwonił do domu Sidneya, zaraz potem Jennifer i nasz generał rozegrali mecz na wrzaski.

* - Johnny Calfnose i MacKenzie Hawkins tworzą znakomity zespół. Świetnie się uzupełniają, jak szlam i ścieki. Calfnose wciąż jeszcze nie oddał mi pieniędzy za kaucję, a Hawkins złamał mi życie i karierę... Tak czy inaczej, Johnny na pewno znajdzie kogoś, kto panu pomoże. Jeśli nie, to oskarżę go o zdefraudowanie części pieniędzy, którymi generał Grzmiący Dureń przekupił Radę Starszych.

- Naprawdę to zrobił? - zdumiał się Devereaux.

- Szczere mówiąc, nie mam pojęcia, ale to byłoby coś dokładnie w jego stylu.

Rozległo się donośne pukanie do drzwi. Otworzył je Sam.

- Proszę wejść, pułkowniku - zaprosił Cyrusa, po raz kolejny lekko oszołomiony nienaganą elegancją najemnika. - Choć, szczerze mówiąc, wyglądasz jak nieco przyciemniona wersja Daddy'ego Warbuckska.

- Niezły pomysł, Sam. W takim razie pozwól, że przedstawię ci moich dwóch przyjaciół, a właściwie przyjaciół sędziego Oldsmobile'a... Na pewno w ten sposób przyczynię się do rozszerzenia twoich horyzontów. - Cyrus wszedł do pokoju i dał znak obu Desim, żeby uczynili to samo. Nie byli to jednak ci sami Arnazowie, których zebrani w apartamencie znali do tej pory. D-Jeden, z ponownie uzupełnionymi brakami w uzębieniu, miał na sobie staromodny szary garnitur i elegancką granatową koszulę zwieńczoną białą koloratką. D-Dwa - także duchowny, ale innego wyznania - wystroił się w czarny garnitur, koloratkę i złoty krzyż na gorsie koszuli. - Oto wielbny Elmer Pristin, pastor Kościoła episkopalnego, oraz ojciec Hector Alizongo z katolickiej diecezji w Górach Skalistych.

- Wielkie nieba! - stęknął Aaron, opadając bez sił na fotel.
- Mój Boże! - zawtórowała mu jasnowłosa ulicznica, czyli Jenny.
- On słyszy cię, dziecko - odparł D-Dwa, czyniąc znak krzyża,

259

po czym natychmiast zreflektował się i pobłogosławił wszystkich zebranych odwrotnie, niż należało.

- Uważaj, *blasfemo*! - warknął Desi Pierwszy.
- Czego chcesz, *locol* Ciebie też pobłogosławiłem, choć jesteś durny protestant!
- W porządku, chłopcy - wtrącił się Devereaux. - I tak zrozumieliśmy... Cyrus, o co tu chodzi?
- Przede wszystkim muszę sprawdzić, czy znaleźliście wszystko, co było dla was przeznaczone. W kufrze znajdowała się szczegółowa lista. - Jennifer, Sam i Aaron skinęli głowami. - Znakomicie - ciągnął najemnik. - Były jakieś kłopoty z wypkamem?
- A co to takiego? - zapytał Pinkus z fotela.
- Skrót od wyposażenia kamuflażowego. Chcemy, żebyście czuli się tak swobodnie, jak tylko możliwe. A więc, były jakieś problemy?
- Szczerze mówiąc, pułkowniku, powinien pan chyba wynająć jakiś mały dźwig, żeby mną poruszać - odpowiedział Aaron.
- To żaden kłopot, Cyrus - odezwała się pośpiesznie Re-dwing. - Panu Pinkusowi pomoże jeden z członków plemienia.
- Przykro mi, Jenny, ale nie ma mowy o żadnych kontaktach z twoimi ludźmi. Poza tym nie będzie takiej potrzeby.
- Zaraz, chwileczkę! - wtrącił się Devereaux. - Mój czcigodny szef prawie nie może chodzić w tej średniowiecznej zbroi!
- Przez cały czas będą mu towarzyszyć dwaj duchowni.
- Nasi Arnazowie? - zdumiała się Jennifer.
- Tak jest. To pomysł Hawkinsa - muszę przyznać, że znakomity... Wielebny Pristin oraz ojciec Alizongo przybyli wraz z rabinem Rabinowitzem do Sądu Najwyższego, by zaprotestować przeciwko ostatnim decyzjom, które uważają za antychrześcijańskie i jednocześnie antyżydowskie. Brakuje jeszcze tylko jakiegoś murzyńskiego przywódcy, ale wtedy zmniejszyłoby się zainteresowanie telewizji.
- Rzeczywiście, niesamowity pomysł - przyznał Sam. - A gdzie się podział Roman Z.?
- Nawet boję się o tym myśleć - odparł Cyrus.
- Chyba nas nie opuścił? - zaniepokoiła się Jenny.
- Skądże znowu. Głęboko wierzy w mądrość cygańskiego przysłowia, nawiasem mówiąc, ukradzionego Chińczykom, które mówi, że ten kto ocali życie drugiemu człowiekowi, ma prawo do końca s w o j e g o życia *ządać* od niego, by go utrzymał.

260

Chyba coś pokręcił - stwierdził Aaron. - Zdaje się, że jest ładnie na odwrót. Oczywiście - zgodził się Cyrus - ale Cyganie zmienili ołowie, i tylko to się teraz liczy. A więc, gdzie on jest? - nie ustępowała Jennifer. Dałem mu pieniądze, żeby wypożyczył kamerę wideo, ale podejrzewam, że właśnie w tej chwili kradnie ją ze sklepu pod pozorem, że chce sprawdzić refrakcję soczewek w świetle słońca. Mogę się mylić, ale mocno w to wątpię. On nie cierpi płacić za cokolwiek.

- Podejrzewam, że według niego jest to głęboko nieetyczne. - Powinien ubiegać się o fotel w Kongresie - mruknął Sam. - Po co nam kamera? - pytała dalej Redwing. - Tym razem ja to wymyśliłem. Wydaje mi się, że powinniśmy rejestrować manifestację Indian Wopotami, ze szczególnym uwzględnieniem ewentualnych prób przeszkodzenia im w tym, do czego mają pełne prawo, to znaczy w zwołaniu zgromadzenia i dostarczeniu petycji najwyższej władzy sądowniczej w kraju.

- Wiedziałem! - zawołał słabo Pinkus ze swego fotela. - Może i jest zawodowym żołnierzem i chemikiem, ale przede wszystkim to prawnik

- Wcale nie - zaprzeczył Cyrus. - Po prostu miałem dość burzliwą młodość, w związku z czym przekonałem się na własnej skórze, jakie prawa gwarantuje mi konstytucja.

Zaraz, chwileczkę - odezwał się Sam z nutą sceptycyzmu w głosie • Spuśćmy na chwilę z tonu i przyjrzyjmy się temu dokładniej. Jeśli się nie mylę, nie zmontowane nagranie wideo, z podawaną przez cały czas datą i godziną, jest uważane za niepodważalny dowód, prawda?

Myślę, że twoje słowa poparłoby co najmniej kilku kongres-manów i senatorów, a także jeden lub dwóch burmistrzów - odparł najemnik z czymś w rodzaju ledwo uchwytnego uśmiechu na twarzy. - Szczególnie ci, którzy ostatnio zainteresowali się używaniem i dystrybucją białego drogiego proszku.

Otóż to. Jeśli więc będziemy dysponować taśmą z wizerunkami osób usiłujących przeszkodzić w proteście zorganizowanym z poszanowaniem wszelkich przepisów prawa...

• ...i jeśli te osoby - wpadła mu w słowo Jennifer - zostaną zidentyfikowane jako pracownicy lub współpracownicy jakichś rządowych agencji, zyskamy poważny argument przetargowy.

261

- Nie chodzi tylko o agencje rządowe - wyjaśnił Cyrus. - W tłumie będą także najemni bandyci, którym zapłacono za to, żeby was powstrzymali. Ich mocodawcy są tak przerażeni, że na samą myśl o was gryzą ściany, robiąc jednocześnie w portki.

- Próba przeszkodzenia w czynnościach prawnych z użyciem brutalnej siły... - mruknął Sam. - Perspektywa dziesięciu lat odsiadki złamie podczas procesu każdego z tych rzezimieszków.

- Pułkowniku, proszę przyjąć wyrazy najwyższego szacunku! - powiedział Aaron, wstając z fotela przy akompaniamencie odgłosów tarcia metalu o metal. - Nawet jeśli wszystko pójdzie nie tak jak trzeba, mamy przygotowaną drugą linię obrony.

- Ja nazywam to przypiekaniem tyłków tym, którzy chcieli przypiec je nam.

- Bardzo słusznie! Wie pan co?... Bez względu na to, czy skończył pan prawo, czy nie, chętnie zatrudnię pana w mojej firmie - powiedzmy, jako stratega w dziale przestępstw kryminalnych.

- Czuję się bardzo zaszczycony, ale chyba będzie lepiej, jeśli najpierw porozmawia pan ze swoim przyjacielem, Cooksonem Frazie-rem. Pan Frazier ma dom na Karaibach, dwa domy we Francji, mieszkanie w Londynie oraz kilka, niestety, nie pamięta dokładnie ile, w górskim rejonie Utah albo Kolorado. Ostatnio dokonano tam licznych włamań, więc zaproponował mi, żebym zajął się zorganizowaniem systemu zabezpieczającego jego własność przed niepożądanymi gośćmi.

- Wspaniale! Otrzyma pan bardzo wysokie wynagrodzenie. Naturalnie zgodzi się pan?

- Może na kilka tygodni. Jednak najbardziej zależy mi na tym, żeby wrócić do laboratorium. Bądź co bądź jestem inżynierem chemikiem i uważam, że właśnie ten zawód jest najbardziej ekscytujący.

Devereaux potrząsnął głową.

- Teraz usłyszałem już wszystko, co miałem usłyszeć - mruknął z niedowierzaniem.

Nagle rozległo się walenie do drzwi. Wszyscy podskoczyli nerwowo, tylko Cyrus zachował niezmałony spokój.

- Zostańcie na miejscach - polecił. - To Roman. Uważa, że zawsze powinien wchodzić do pokoju z fasonem - szczególnie jeśli ucieka przed policją.

Najemnik otworzył drzwi. W korytarzu rzeczywiście stał Roman Z.,

262

tylko, że zamiast jednej kamery, miał cztery, po dwie w każdej ręce, oraz wielką reporterską torbę, która wisiła mu na szyi na szerokim pasku. Jedwabna pomarańczowa koszula, jedwabna błękitna szarfa, obcisłe czarne spodnie i złoty kolczyk ustąpiły miejsca strojowi, w jakim zwykle widzi się reportera wyskakującego z telewizyjnego mikrobusu na miejscu jakiegoś poważnego wypadku albo pożaru. Roman Z. miał na sobie czyste, choć mocno sprane levisy oraz białą bawełnianą koszulkę z wielkim napisem na piersi:

WFOG-TY PRASA

Zadanie wykonane, najdroższy przyjacielu... to znaczy pułkowniku - oznajmił, wchodząc do pokoju. Na widok Sama, Jenny i Aarona stanął jak wryty, po czym zapytał z zainteresowaniem: - A gdzie tańczący niedźwiedź?

- Sam nim jesteś - warknął Cyrus. - Niedźwiedzie też uwielbiają plądrować... Po co aż cztery kamery?
- Którejś może się stać coś złego - odparł Cygan z uśmiechem. - Mamy też mnóstwo kaset - dodał, wskazując na torbę. A gdzie rachunek?
- Że co?
- Papier, na którym napisano, ile zapłaciłeś za wypożyczenie | jaki dałeś zastaw.
- Och, nic takiego mi nie dali. Są bardzo chętni do współpracy.
- O czym ty mówisz, Roman? - zapytała Redwing.
- Wszystko załatwiłem, panno Janey... Jeśli to pani jest pod tym pięknym strojem.
- W jaki sposób?! - wykrzyknął Devereaux.
- Wziąłem sprzęt na firmę! - wyjaśnił Cygan, wypinając dumnie pierś. - Bardzo mi się śpieszyło, a oni mnie zrozumieli.
- Przecież nie ma takiej firmy! - ryknął Cyrus.
- Może kiedyś wyślę im list z przeprosinami.
- Pułkowniku, nie mamy czasu na remanenty - powiedział Inkus, przy pomocy Jennifer wstając z fotela. - Co teraz?
- To bardzo proste - odparł Cyrus. - Wcale takie nie było.
- ∴*....

263

14.16

Bum-bum!... Bum-bum!... Bum-bum-bum-bum!... Bum-bum!...

Aiiiiiya, aaaaaaia! Aiiiiiya, aaaaaaia!...

Na schodach prowadzących do budynku Sądu Najwyższego rozpętało się indiańskie szaleństwo: bębny bębniły, tancerki tańczyły, wymachiwano transparentami, a zgromadzony tłum zaczęło ogarniać coraz większe otumanienie. Turyści, a raczej turystki nie posiadały się z wściekłości, natomiast ich mężowie nie mieli nic przeciwko temu, że biorące udział w proteście tancerki są niezwykle atrakcyjne i noszą krótkie, powiewające spódniczki.

- Jebediah, nie przejdziemy tędy!
- Właśnie.
- Gdzie jest policja?
- Właśnie.
- Olaf, ci szaleńcy nie chcą nas przepuścić!
- Właśnie.
- Czy ich nie obowiązują żadne prawa?
- Właśnie.
- Stavros, przed świątynią Ateny coś takiego [^]byłoby nie do pomyślenia!
- Właśnie.
- Przestań się gapić!
- Odczep się... O, rety! Przepraszam, Olimpio...

Za rogiem, na Capitol Street, w cieniu jednej z bram ukryli się dwaj wysocy mężczyźni. Jeden z nich miał na sobie wspaniały generalski mundur, drugi obszarpany strój włóczęgi. Włóczęga opuścił na chwilę kryjówkę, ostrożnie wystawił głowę z bramy, po czym wrócił pędem do generała.

- Wszystko toczy się zgodnie z planem, Henry - zameldował MacKenzie Hawkins. - Robi się coraz bardziej gorąco!
- Czy są już reporterzy? - zapytał Sutton. - Dałem ci jasno do zrozumienia, że nie rozpocznę występu, dopóki nie zjawiają się kamery.
- Jest chyba kilka stacji radiowych, bo widziałem paru ludzi z mikrofonami.
- To za mało, mój drogi. Chodzi mi o kamery.
- Wiem, wiem! - Jastrząb ponownie wybiegł z bramy, ale zaraz wrócił. - Właśnie przyjechała ekipa telewizyjna!
- Z jakiej stacji? A może to ogólnokrajowa sieć?
- Skąd mam wiedzieć, do cholery?
- Więc dowiedz się, *mon general*. Mam swoje wymagania. [^]
- Święty Jezu na trampolinie!
- Błuznierstwa nic ci nie pomogą. Wyrzyj raz jeszcze. Jesteś niezdolny,

Henry!

Mam nadzieję. W tym zawodzie to jedyny sposób, żeby cokolwiek osiągnąć. Pośpiesz się, bo ogarnia mnie coraz większa ochota, żeby dać popis prawdziwego kunsztu aktorskiego. Zupełnie tak samo jak w teatrze, kiedy słyszę za kulisami publiczność zapełniającą widownię.

Nigdy nie masz tremy?

Mój przyjacielu, jeśli chodzi ci o to, czy boję się sceny, to wiedz, to ona się mnie boi, gdyż moje pojawienie się na niej przypomina uderzenie gromu!

Cholera!

Jastrząb popędził na punkt obserwacyjny, ale tym razem nie wrócił natychmiast do aktora, tylko został tam dłużej, gdyż zobaczył to, na co czekał: po drugiej stronie Pierwszej Ulicy zatrzymały się jedna za drugą cztery taksówki. Z pierwszej wysiedli ksiądz, pastor i stary rabin, któremu pomagali obaj chrześcijańscy duchowni. Z drugiej wyłoniła się podobna do Marilyn Monroe panienka lekkich obyczajów - może falowanie biodrami ustępowało nieco oryginałowi, ale komu to przeszkadzało? Trzecia taksówka wypuła jakiegoś wieśniaka w baloniastych spodniach w kratę i takiej samej marynarce. Na głowie miał dziwaczny kapelusz, a ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wytarzał się w kurzym łajnie. Zawartość czwartej taksówki wyrównała z nawiązką rozczarowanie, jakie mógł wywołać banalny wygląd tej piątki; czarnoskóry, nienagannie ubrany mężczyzna, który stanął na chodniku, był tak potężnych rozmiarów, że stojący obok niego samochód zaczął nagle przypominać pojazd dla krasnali. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Jennifer, Sam i Cyrus rozeszli się w przeciwne strony, nie dając po sobie poznać, że się znają, ale żadne z nich nie poszło w kierunku gmachu Sądu Najwyższego. Trzej duchowni pozostali na miejscu; chyba doszło między nimi do jakiegoś nieporozumienia, gdyż głowa rabina wykonywała ruchy w górę i w dół, natomiast dwaj chrześcijańscy kapłani zdawali się czemuś zaprzeczać.

Jastrząb sięgnął do kieszeni nędznego płaszcza i wyciągnął krótko-falówkę

- Calfnose! Calfnose, odezwij się!

W tym przypadku nie było potrzeby wymyślenia pseudonimu.

- Nie drzyj się tak, G. G. Mam to w uchu! .^^ (i, •. 265 - Właśnie

przybył nasz kontyngent...

- Podobnie jak połowa jurnej ludności Waszyngtonu. Druga połowa ma ochotę oskalpować nasze dziewczęta.

- Niech nie przestają ani na chwilę!

- A jak daleko mają się posunąć? Przecież kazałeś im zdjąć podwiązki!

- Po prostu niech ciągle tańczą, śpiewają i walą mocno w bębny. Potrzebuję jeszcze dziesięć minut.

- Załatwione, G. G.!

Jastrząb popędził z powrotem do bramy. »<

\$

- Henry, wchodzisz za dziesięć minut!

- Dopiero?

- Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, a kiedy wrócę, bierzemy się ostro do roboty. >.

- Co to za sprawy?

- Muszę wyeliminować kilku nieprzyjaciół.

- Co takiego?

- Nic, czym należałoby się przejmować. Są jeszcze młodzi i niedoświadczeni.

Z tymi słowami MacKenzie odwrócił się na pięcie i zniknął.

Wkrótce potem, w niewielkich odstępach czasu, wszyscy czterej komandosi ubrani w czarno-zielone polowe mundury poczuli na ramieniu czyjąś rękę, każdy z nich odwrócił się i został natychmiast pozbawiony przytomności, i wszyscy spoczęli przy krawężniku, z twarzami skropionymi odrobiną Południowej Rozkoszy, by spokojnie czekać na ocucenie.

Dziesięć minut jednak wydłużyło się do dwunastu, potem dwudziestu, a wreszcie do niemal półgodziny, co przyczyniło się do nasilenia niepokoju sir Henry'ego. Stało się tak dlatego, że Jastrząb dostrzegł pięciu agentów federalnych o smutnych twarzach i w pozapinanych od góry do dołu płaszcach oraz sześciu dżentelmenów, których szerokie płaskie czoła i rozrośnięte zmarszczone brwi świadczyły o bliskim pokrewieństwie z gorylami. Hawkins rozprawił się z nimi w taki sam sposób jak z komandosami.

- Amatorzy! - mruknął pod nosem. - Ciekawe, kto nimi dowodzi?... » ..

Kimkolwiek byli, na pewno mieli znakomicie zorganizowaną ' współpracę z telewizją, gdyż jakiś sukinsyn w bawełnianej koszulce filmował ich z zapałem, prawdopodobnie po to, by dostarczyć mocodawcom dowodu na to, że z pewnością nieliche pieniądze, jakie wydano na zorganizowanie tej akcji, nie zostały wyrzucone w błoto.

A to dopiero kawał! Mac kilka razy podkradał się do skurczybyka z kamerą, ale tamten zawsze w ostatniej chwili zdążył zakręcić się jak jakiś cholerny baleciarz i zniknąć w tłumie.

A tłum gęstniał coraz bardziej. Mac wrócił biegiem do bramy, po to tylko, by przekonać się, że sir Henry Irving Sutton zniknął! Gdzie on się podział, do jasnej cholery?!... Aktor stał kilka metrów dalej, wychylając się zza narożnika budynku i obserwując ze zdumieniem bijatykę, jaka wybuchła na schodach przed gmachem Sądu Najwyższego. Najdziwniejsze było to, że szarpanina zdawała się nie mieć nic wspólnego z czterdziestokiluosobową grupą tańczących, śpiewających, walących w bębny i wymachujących transparentami Indian.

- O mój Boże! - wysapał Hawkins, kładąc rękę na ramieniu Suttona. - Nie jestem już taki młody jak kiedyś. - Ani ja. I co z tego?

- Kilka lat temu żaden z tych drani nie podniósłby się tak szybko... Chyba że było ich jeszcze więcej, niż mi się wydawało. O kim mówisz?

O tych palantach, którzy tłuką się między sobą w tłumie turystów

Istotnie, tłukli się, ile wlezie. Osobnicy w pozapinanych od góry do dołu płaszczach rzucali się z krzykiem na komandosów w polowych mundurach, odpierając jednocześnie ataki uzbrojonych w kastety i pałki płatnych rzeźmieszków, dla których każda walka oznaczała konieczność odniesienia zwycięstwa lub powrót do śmiertelnie niebezpiecznej pracy polegającej na ochranianiu przywódców związkowych. Szarpanina przeradzała się powoli w regularną bitwę uliczną. Rozwścieczeni turyści, potracani i obijani przez walczących zawodowców, wrzeszczeli, coś w płucach; z kolei okładający się pięściami osobnicy, zdezorientowani brakiem znaków rozpoznawczych, które ułatwiłyby im identyfikację nieprzyjaciół, atakowali wszystko, co nawinęło im się pod rękę. Ogólnego zamieszania dopełniał kretyn z kamerą wideo na ramieniu, który co chwila wykrzykiwał: *Gloriosol* i nurkował w tłum, zawzięcie filmując kłębiące się ciała.

- Ruszaj, Maselniczka! - krzyknął Hawkins **do mikrofonu**.

- W porządku, Żonkil, tylko że mamy pewien **problem - odezwał się** z krótkofalówki głos pułkownika Cyrusa.

- Jaki problem?!

- Trzej kapłani są na miejscu, ale zgubiliśmy panienkę i wieśniaka.

- Co się stało, do cholery?

- Któraś z turystek wrzasnęła coś po grecku i rzuciła tancerkom pod nogi paczkę sztucznych ogni. Pocahontas wściekła się jak diabli i pognęła za babą, a Sam za nią.

- Sprowadźcie ich z powrotem, na litość boską!

- Naprawdę chce pan, żeby sędzia Oldsmobile wszedł w ten młyn i zaczął rozbijać głowy?

- Cholera, nie mamy czasu! Już prawie za piętnaście trzecia, a przecież musimy jeszcze wejść do środka, przebrać się i najpóźniej o trzeciej dotrzeć do sali posiedzeń!

- Przypuszczam, że możemy doliczyć jeszcze kilka minut - odparł Cyrus. - Sędziowie na pewno wiedzą o tym zamieszaniu.

- O zamieszaniu spowodowanym przez Wopotami, Maselniczko! Wiem, że nie mogliśmy się bez tego obejść, ale mimo wszystko to nie działa na naszą korzyść.

- Zaraz, chwileczkę... Wraca nasz wiejski brutal, ciągnąc za sobą Pocahontas. Zdaje się, że założył jej nelsona.

- Ten chłopak zawsze da sobie radę!... Powiadomcie ich o obecnej sytuacji i ruszajcie!

- Tak jest. Kiedy pojawi się generał?

- Jak tylko wieśniak i księżniczka przedostaną się na drugą stronę ulicy. Ale niech idą pojedynczo, ona pierwsza!... A gdzie te trzy świętoszki? Nigdzie ich nie widzę.

- Wcale się nie dziwię, bo są z tej strony i właśnie przepychają się przez tłum. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że ludzie okażą więcej szacunku duchownym osobom... Desi Pierwszy i Drugi powalili już co najmniej dziesięciu bandziorów, a D-Jeden podwędził pięć

zegarków.

- Tego tylko nam trzeba! Kapłani-złodzieje...
- Nie mamy wyboru, Żonkil... Dobra, są nasi dwaj pracownicy, Punch i Judy.
- Doprowadźcie ich do porządku, pułkownik. To rozkaz!
- Słuchaj, *massa*, ciesz się, że jestem sprytniejszy od ciebie, bo w przeciwnym razie mógłbym się obrazić.

268

- Słucham?
- Nic takiego. Ważne, że dobrze myślisz, Żonkil. Bez odbioru. Jastrząb schował walkietalkie do kieszeni sfatygowanego płaszcza wrucił się do Suttona.
- Jeszcze tylko kilka minut, Henry. Jesteś gotowy?
- Czy jestem gotowy? - powtórzył aktor, z trudem panując nad dekleścią. - Ty idioto! W jaki sposób mam zapanować nad sceną jeśli akurat tu i teraz odbywa się koniec świata?
- Daj spokój, Hank. Przecież niedawno sam powiedziałeś, że to dla ciebie błahostka.
- To była obiektywna analiza, a nie subiektywna interpretacja. Nie istnieją małe role, są tylko mali aktorzy.
- He?...
- Nie masz żadnego wyczucia w sprawach sztuki, MacKenzie.
- Naprawdę?
- Urocza Jennifer właśnie przechodzi przez jezdnię... Na Boga, Projektant kostiumów powinien natychmiast wylecieć na bruk! Zrobił z niej uliczkę!
- O to właśnie chodziło. Widzę też Sama...
- Gdzie?
- To ten gość w garniturze w kratę.
- I w idiotycznym kapeluszu na głowie?
- Wygląda inaczej niż wszyscy, prawda?
- Wygląda po prostu jak debil!
- Bo tak miało być. Teraz nie czas i miejsce **dla eleganckich** prawników.
- Mój Boże! - wykrzyknął aktor. - Widziałeś?
- Co takiego?
- Ten pastor w szarym garniturze! Tam, wchodzi po schodach z księdzem i kimś, kto wygląda na starego rabina!
- A, rzeczywiście. I co z tego?
- Przysięgam ci, że walnął jakiegoś człowieka w brzuch i ściągnął mu z ręki zegarek!
- Niech to jasna cholera! Powiedziałem pułkownikowi, że tylko go nam trzeba: pasterza okradającego swoją trzódkę.
- Znasz go? Oczywiście, że znasz! Ten człowiek w stroju rabina Aaron, a tamci, przebrani za pastora i księdza, to ci dwaj faceci z Argentyny albo Meksyku!

269

- Z Puerto Rico, ale to nieważne. Dotarli na górę... Weszli do środka! Twoja kolej, generale!

Z kieszeni Hawkinsa dobiegł głośny szum. Jastrząb wyszarpnął krótkofalówkę i wcisnął przycisk.

- Przechodzę na drugą stronę ulicy - rozległ się głos Cyrusa. - Trzymajcie kciuki.
- Wszystko działa, pułkowniku!... Calfnose, odezwij się!
- Jestem tutaj, nie krzycz. O co chodzi?
- Kończcie z tymi indiańskimi wyciami i zaśpiewajcie **hymn** narodowy.
- Nasz jest lepszy. Przynajmniej da się wysłuchać.
- Teraz, Johnny! Generał już rusza!
- W porządku, blada twarzy.
- Dawaj, Henry! I spisuj się na medal!
- Ja zawsze spisuję się na medal, idioto! - warknął aktor, po czym odetchnął głęboko kilka razy, wyprostował się na całą imponującą wysokość i ruszył w kierunku skłębionego tłumu otaczającego grupę Indian Wopotami, którzy właśnie rozpoczęli *Gwiazdzisty sztandar*. Efekt, jaki osiągnęli, przerósł wszelkie wyobrażenia: wznoszące się pod niebo głosy oraz widok czterdziestu wrzuszonych, pomalowanych twarzy prawowitych właścicieli Ameryki wywarł na ludziach wstrząsające wrażenie. Nawet agresywni komandosi, zwarci w śmiertelnym starciu z płatnymi mordercami i agentami rządowymi, zamarli

w bezruchu, zaciskając palce na gardłach przeciwników, którzy z kolei opuścili ręce uzbrojone w kastety i pałki i skierowali spojrzenia na tragiczne postacie śpiewające, co sił w płucach, na znak miłości do ziemi, którą im ukradziono. W wielu oczach pojawiły się łzy.

- Oto nadeszła pora zapłaty za nasze krzywdy! - ryknął sir Henry Irving Sutton swoim najdonośniejszym głosem. Wspiął się na czwarty stopień i odwrócił twarzą do tłumu. - Niech psy ujadają do woli, lecz nasza wizja jest dobra i czysta! Wyrządzono nam okropne zło, a teraz przyszliśmy tutaj, żeby je naprawić. Być albo nie być, na tym polega nasz dylemat...

- Ten sukinsyn może tak gadać przez godzinę - szepnął Hawkins do mikrofonu. - Gdzie jesteście? Meldujcie się kolejno.

- Jesteśmy w wielgachnym kamiennym holu, henerale, ale mamy mały problem...

270

- Są ze mną księżniczka i wieśniak - wtrącił się Cyrus - my też mamy problem, i to wcale nie taki mały.

- O czym wy mówicie, do cholery?

- O pewnej drobnostce, której nie wziął pan pod uwagę - odparł najemnik. - Są tu wykrywacze metalu, więc jeśli Sam, Jenny Ibo pan Pinkus pojawią się w ich pobliżu, uruchomią wszystkie alarmy w tym budynku, a przypuszczam, że także w co najmniej połowie Waszyngtonu.

- A niech to! Dokąd zmierza ten kraj?

- Powiniennem chyba odpowiedzieć, że zło należy usunąć wraz z korzeniami, ale nie zrobię tego, bo zostaliśmy załatwieni na amen.

- Jeszcze nie, Maselniczko! - wrzasnął MacKenzie Hawkins. - Calfnose, jesteś tam?

- Pewnie, że jestem, G. G., ale my też mamy kłopoty. Moi ludzie poróżnili się z twoim przyjacielem Vinniem. Krótko mówiąc, porządnie załatwił nam za skórę.

- Co takiego zrobił? Przecież był z wami dopiero od rana, więc chyba nie miał dość czasu, żeby narozrabiać!

- Najpierw bez przerwy narzekał, a potem zjawił się jego kumpel, ten kurdupel, który mówi jak kurczak, i zanim zdążyłbyś policzyć do dziesięciu, cały motel zamienił się w jeden wielki salon do gry w kości, a ci dwaj, to znaczy Vinnie i Joey-jakiś-tam, biegali tylko z pokoju do pokoju i włączali się do gry. Mieli swoje kości i dali naszym takiego łupnia, że aż miło. Ogolili ich do gołej skóry.

- Johnny, nie mamy teraz na to czasu!

- Będzie lepiej, jeśli wygospodarujesz go trochę, G. G., dopóki jeszcze twój generał - nawiasem mówiąc, jest cholernie podobny do 'ciebie - drze się jak opętany. Chłopcy i dziewczęta są wściekli jak diabli i powiedzieli, że dłużej nie będą tego znosić. Chcą pozbyć się tych dwóch oszustów i odzyskać swoje pieniądze!

- Dostaną pięćdziesiąt razy więcej, niż stracili! Daję im na to moje słowo!

- A niech mnie jasna cholera!... Widzisz to, co ja widzę, G. G.?

- Wychylałam się zza rogu, ale tam u was jest takie zamieszanie, że...

- Gromada jakichś typków w zielono-czarnych mundurach przedziera się przez nasze linie... Chwileczkę! Za nimi idą inni, coś jakby zawodo\~ kulturyści albo małpy w garniturach! Wszyscy kierują się w stronę twojego generała!

271

- Wykonać plan B, najwyższy priorytet! Wyciągnijcie go stamtąd! Nie możemy pozwolić, żeby coś mu się stało... Zaczynjcie znowu śpiewać i tańczyć. Szybko!

- A co z tymi oszustami, Vinniem i kurczakiem?

- Usiądźcie na nich!

- Już to zrobiliśmy w autobusie, ale mały ugryzł Orle Oko w dupę.

- Wyk o n a ć! Już do was idę!

.Pułkownik Tom Deerfoot, z pewnością nie najbys-trzejszy oficer Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale za to jeden z najpoważniejszych kandydatów do objęcia stanowiska przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, wybrał się na przechadzkę ulicami Waszyngtonu, by pokazać siostrzeńcowi i siostrzenicy najważniejsze budowle miasta. Kiedy cała trójka skręciła w prawo w Constitution Avenue,

kierując się w stronę gmachu Sądu Najwyższego, do uszu Deerfoota dotarły dźwięki, które zachowały się w najgłębszych pokładach jego pamięci z odległych lat dzieciństwa; były to plemienne śpiewy, jakich słuchał często ponad czterdzieści lat temu w północnej części stanu Nowy Jork, w pobliżu granicy z Kanadą. Tom Deerfoot był bowiem czystej krwi Mohawkim, a słowa i rytmy, które wpadały teraz do jego uszu, były niemal identyczne z zapamiętanymi z dzieciństwa.

- Wujku Tommy! - wykrzyknął szesnastoletni siostrzeniec pułkownika. - Tam są jakieś rozruchy!

- Może powinniśmy wrócić do hotelu? - zaproponowała czternastoletnia siostrzenica.

- Nic wam nie grozi - odparł wujek. - Zostańcie tutaj, zaraz do was wrócę. Dzieje się coś dziwnego.

Deerfoot - w języku swego plemienia nazywał się Rączy Jeleń - rzeczywiście był mistrzem w bieganiu, dzięki czemu dotarcie do zdeorientowanego, wzburzonego tłumu kłębiącego się na schodach prowadzących do gmachu Sądu Najwyższego zajęło mu niespełna trzydzieści sekund. Szaleństwo! Indianie - tam ci Indianie - z twarzami pomalowanymi barwami wojennymi, tańczyli, tupali i wyli wniebogłosy, najwyraźniej protestując przeciwko czemuś, ale nie bardzo wiadomo przeciwko czemu.

Zaraz potem jednak wspomnienia powróciły wezbraną falą, a wraz

272

z nimi legendy przekazywane z pokolenia na pokolenie. Język, który słyszał, był bardzo podobny do języka jego plemienia, podobnie jak taniec rytmiczne walenie w bębny. Dobry Boże, przecież to Wopotami! Według starych opowieści kradli wszystko, co nawinęło im się pod rękę, więc czemu mieliby darować językowi, a w dodatku w ogóle nie wychodzili z wigwamów, kiedy padał śnieg! Pułkownik Deerfoot nagle ryknął śmiechem i zgiął się wpół, przyciskając obie ręce do żołądka. Niewiele brakowało, a osunąłby się na chodnik, wstrząsany histerycznymi drgawkami, gdyż rozpoznał pieśń, śpiewaną przez podskakujące przytupujące postaci. Była to *Noc poślubna młodej pary*. Ci Wopotami zawsze musieli coś pochrzanić!

C^alfnose, odezwij się! - szepnął Hawkins do mikro-fonu, przedarłszy się przez gromadę tancerzy okupujących podnóże schodów przed gmachem Sądu.

- Jestem, jestem. Co teraz? Wywlekliśmy twojego generała, choć wrzeszczał, że jeszcze nie skończył. Mały Joey ma rację, *tofazooll*

- Mały Joey?... *Fazooff*

- Tak, doszliśmy do porozumienia. Zwróci połowę pieniędzy, ja wezmę z tego dwadzieścia procent za rozstrzygnięcie sporu.

- Johnny, sytuacja jest kryzysowa!

- Wcale nie. Ci dwaj krętacze siedzą teraz w barze kilkadziesiąt metrów stąd. Winnie nie bardzo pasował do reszty grupy z tą swoją cholernie rudą peruką. Był trochę trefny, chwytasz?

- Boże, przecież ty mówisz tak samo jak on!

- To wcale nie jest taki zły facet, tylko trzeba go poznać trochę bliżej. Czy ty wiesz, że w Las Vegas Indianie cieszą się sporym poważaniem? Kiedyś Newada była ich rdzennym terytorium.

- Ja mówię o tym, co jest teraz! Plan B, część druga: zdobycie gmachu Sądu Najwyższego pokojowymi środkami!

- Chyba coś ci spadło na twoją pieprzoną głowę! Przecież wystrzelają nas jak kaczki!

- Na pewno nie, jeśli po wdarciu się do środka padniecie na kolana i zaczniecie zawodzić, co sił w płucach. Żaden porządny Amerykanin nie zastrzeli kłęczącego człowieka.

Kto tak twierdzi?

To jest zapisane w konstytucji. Nie strzela się do kłęczącego,

273

bo najprawdopodobniej on właśnie się modli, a więc pójdzie prosto! do nieba, jego zabójca zaś zostanie potępiony na wieki. "?

- Nie żartujesz?

- Skądże znowu. Ruszajcie!

Jastrząb schował krótkofalówkę do kieszeni sfatygowanego płaszcza i wkroczył do głównego holu budynku. Znajdowali się tam już Aaron, Jenny, Sam i obaj Arnazowie, a także Cyrus, który starał się utrzymać całą grupkę z dala od wykrywaczy metalu.

- Słuchajcie mnie uważnie - powiedział najemnik-chemik. - Kiedy wpadną tu Wopotami, D-Jeden i D-Dwa podniosą sznury, a wtedy wy - Sam, Jenny i pan Pinkus - przejdziecie pod nimi i pobiegniecie na piętro. Możecie też pojechać windą, wszystko jedno. Najważniejsze, żebyście dotarli do drugiej szafki po prawej stronie. Znajdziecie tam plastikową torbę, a w niej ubrania. Przebierzecie się w toaletach, a potem spotkacie się przy wejściu do sali w zachodniej części korytarza. Będę tam na was czekał.

- A Mac? - zapytał Devereaux.

- Jeśli go znam, a wydaje mi się, że już zdążyłem go poznać, dotrze do szafki *jeszcze przed* wami. Kurczę, żałuję, że ten spryciarz nie dowodził kilkoma operacjami, w których brałem udział! Ja jestem niezły, ale on to prawdziwa światowa superliga, autentyczny diabeł wcielony.

- Czy to ma być rekomendacja? - zainteresował się Pinkus.

- Możecie mi wierzyć, rabinie. Bez chwili wahania poszedłbym z nim do piekła, bo wiedziałbym, że na pewno wrócę!

- Może i tak, ale on nie przepłynął trzydziestu kilometrów podczas szalejącego huraganu...

- Cicho bądź, Sam... Uwaga, idą!

- Na brodzie Abrahama... - szepnął Aaron Pinkus na widok hordy Indian, z pomalowanymi w jaskrawe barwy, zalanymi łzami twarzami, która wtargnęła do wnętrza budynku przez szerokie drzwi i natychmiast padła na kolana, zawodząc błagalną pieśń i wznosząc ręce ku kryjącym się gdzieś na wysokościach bogom. (Ma się rozumieć, wykonywanym utworem była ciągle *Noc poślubna młodej pary*).

Strażnicy błyskawicznie wydobyli broń i wycelowali ją w intruzów, ale nikt nie pociągnął za spust. Nawet jeżeli w konstytucji nie umieszczono *zakazu* strzelania do osób pogrążonych w modlitwie, to *zakaz* ten na pewno znajdował się w głowach strażników. Zamiast

274

tego uruchomili alarmy, które zwabiły do głównego holu kolejnych strażników, a także urzędników i personel pomocniczy. Chaos potęgował się z każdą chwilą.

Teraz! - szepnął Cyrus. Desi Pierwszy i Drugi podnieśli grube, [ozdobne sznury, a Sam, Aaron i Jenny prześlizgnęli się pod nimi, korzystając z potwornego zamieszania, jakie rozpętało się w gmachu Sądu Najwyższego.

Niemal w tej samej chwili MacKenzie Hawkins minął wykrywacze metali, uklonił się grzecznie nie bardzo wiadomo komu, po czym, co sił w nogach, pognął ku schodom prowadzącym na pierwsze piętro.

Na piętrze pojawił się problem. Jakżeby inaczej, iigehna, ukochana ciotka Vinniego Bam-Bam, pomyliła drugą szafkę prawej stronie z pokoikiem mieszczącym urządzenia klimatyzacyjne, związku z czym stracili kilka minut na poszukiwania bezcennej torby z ubraniami. W pewnej chwili rozległa się przytłumiona eksplozja na którą żadne z nich nie zwróciło uwagi.

- Mam! - ryknął Sam. W podnieceniu tak gwałtownie wyszarpał plastikową torbę, że przy okazji pchnął dźwignię sterującą systemem klimatyzacji w całym budynku. - Przestało szumieć... - zauważył, lekko stropiony nagłym zamilknięciem potężnej maszynierii. Kogo to obchodzi? - syknęła Jennifer, podtrzymująca przez cały czas Pinkusa. W tej samej sekundzie zza zakrętu korytarza wypadł Hawkins i pogalopował w ich stronę, ściągając w biegu wymięty płaszcz.

- Jesteście! - ryknął. - Ta cholerna klatka schodowa była od zewnątrz!

Wiec jak się przedostałeś? - zapytał Devereaux, wyciągając z torby ubranie dziewczyny.

Zawsze noszę przy sobie mały ładunek wybuchowy. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

- Rzeczywiście... - wysapał potwornie zmęczony Pinkus. - Wydawało mi się, że słyszę jakąś eksplozję.

- Bo słyszał pan - odparł Hawkins. - Szybko, chodźmy!
- Gdzie jest damska toaleta? - zapytała Redwing.
- Tam, na końcu korytarza - poinformował ją Mac, wskazując na wschód.

275

- A męska? - zainteresował się Sam.
- *Znacznie* bliżej, zaraz po lewej stronie.
Rozbiegli się w przeciwnych kierunkach, ale nagle Jennifer stanęła jak wryta, odwróciła się i zawołała co sił w płucach:

- Sam! Mogę przebrać się z tobą? Zostały tylko trzy minuty, a ja mam do przebiegnięcia dwie długości boiska!

- Rety, jak ja na to czekałem!

Ulicznica o platynowych włosach, wyrastających ze stalowego hełmu, wróciła do Alby'ego-Joe Scrubba i wszyscy razem udali się do męskiej toalety. Jenny weszła do kabiny, natomiast mężczyźni pozostali w głównym pomieszczeniu, aby zamienić peruki i dziwaczne przebrania na nieco bardziej cywilizowane stroje. Z wyjątkiem Jastrzębia. Na samym dnie plastikowej torby na odpadki leżał starannie złożony, uroczysty kostium Grzmiącej Głowy, wodza plemienia Wopotami. W skład tego stroju wchodził najdłuższy i najwspanialszy pióropusz, jaki widziano w Ameryce od czasów, kiedy Okeechobees powitali w miejscu, które później miało się nazywać Miami Beach, zbłąkanego farmaceutę nazwiskiem Ponce de Leon *. Mac błyskawicznie pozbył się obszarpanych spodni i brudnej koszuli, zastępując je spodniami z kozłej skóry i także skórzaną kurtką ozdobioną mnóstwem frędzli. Następnie, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia Aarona i Sama, ostrożnie wsadził na głowę gigantyczny pióropusz, którego końce sięgały aż do wyłożonej kafelkami posadzki.

Minutę później z kabiny wyszła Jennifer Redwing. Miała na sobie elegancką, ciemną garsonkę, w której wyglądała jak uosobienie pewnej siebie, odnoszącej sukces za sukcesem pani adwokat, ani trochę nie stremowanej perspektywą wystąpienia przed zdominowanym przez *mężczyzn* Sądem Najwyższym. Nie była jednak przygotowana na widok, jaki ukazał się jej oczom, w związku z czym w toalecie rozległ się przeraźliwy kobiecy wrzask.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedział Devereaux.

- Generale - przemówił Pinkus tonem łagodnej, lecz stanowczej perswazji. - Nie wybieramy się na paradę z okazji Święta Róż w Pasadenie. Mamy stanąć przed ciałem sędziowskim złożonym z najbardziej szanowanych i zasłużonych przedstawicieli naszego

* Ponce de Leon (1460-1521) - hiszpański podróżnik, który poszukując legendarnej Fontanny Młodości przypadkiem odkrył Florydę (przyp. tłum.).

276

wymiaru sprawiedliwości, a pański strój, choć bez wątplenia wspaniały, nie wydaje się odpowiedni na tę okazję. - A cóż to za okazja, komendancie?

• Doprawdy, niewielka. W grę wchodzi jedynie przyszłość plemienia Wopotami i los bardzo istotnej części ogólnonarodowego systemu obrony strategicznej.

Mnie interesuje tylko ta pierwsza sprawa. Poza tym to jedyne ubranie, jakie mam. Chyba że chcecie, bym wszedł na salę jako Anonimowy Włóczęga... Właściwie, jeśli się zastanowić, to nawet niezły pomysł.

Lepiej zostanmy przy pióropuszu, generale - wtrąciła się pospiesznie Jennifer.

Ten wyświniony płaszcz na pewno leży jeszcze w korytarzu - ciągnął Hawkins. - Nie miał go kto znaleźć, wszyscy są na dole... Pomyślcie tylko: znękany przedstawiciel najbiedniejszych mieszkańców .tego kraju, odziany w łachmany, a może nawet skrzęcający się z głodu...

- Mac, nie! - ryknął Sam. - Natychmiast zabraliby cię do

lwszawiema!

Jastrzęb zmarszczył brwi.

To miasto jest pozbawione

- Całkiem możliwe - zgodził się. cru

Trzydzieści pięć sekund - oznajmiła

Redwing, spoglądając na zegarek. - Lepiej już chodźmy.

Nie wydaje mi się, żeby minuta lub dwie miały jakieś znaczenie powiedział Aaron. - Na parterze toczy się przecież prawdziwe powstanie. Wzburzone masy szturmują barykady i w ogóle...

Nie szturmują, komendancie, tylko się modlą. To spora różnica. On ma rację, Aaronie - poparł Hawkinsa Devereaux. - Niestety, to nie przemawia na naszą korzyść. Jak tylko strażnicy zorientują się, że demonstracja ma pokojowy charakter, alarm zostanie odwołany i wszyscy wrócą na stanowiska... Zdaje się, szefie, że brałeś już kiedyś udział w takich przesłuchaniach?

- Trzy albo cztery razy - odparł Pinkus. - Najpierw ustala się tożsamość powodów, ich adwokatów oraz wszystkich *amid curiae*, którzy stawili się przed sądem, a potem przedstawia się sprawę.

- Kto stoi przy drzwiach, komendancie?

- Strażnik i urzędnik sądowy.

- Bingo! - wrzasnął Hawkins. - Jeden z nich, a może obaj,

277

będą mieli listę z naszymi nazwiskami. Natychmiast nadadzą wiadomość przez radio, wszyscy rzucą się na nas i odciągną za kołnierze. Nigdy się tam nie dostaniemy!

- Chyba pan żartuje, generale - zaprotestowała Jennifer. - To przecież Sąd Najwyższy. Nikomu nie uda się przekupić urzędników i strażników, żeby zrobili coś takiego.

- Moja droga, a cóż znaczy marnych kilkaset tysięcy dolarów w porównaniu z miliardowymi długami i wysokimi stołkami w Pentagonie, Departamencie Stanu, Sprawiedliwości, a także w Kongresie i Senacie?

- Mac ma rację - przyznał Sam.

- Ciało jest słabe - zauważył sentencjonalnie Aaron.

- W takim razie zabierajmy się stąd, do jasnej cholery! - zakończyła dyskusję dziewczyna.

Cała czwórka postąpiła zgodnie z jej radą i popędziła ku ozdobnym drzwiom sali posiedzeń z największą prędkością, jaka pozwalała na zachowanie resztek godności. Ku swojej ogromnej uldze ujrzeli tam potężną postać Cyrusa, a ku niewysłowionemu zdumieniu także obu Desich przebranych za duchownych, klęczących po jego obu stronach z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

- Pułkowniku, co tu robią moi adiutanci?

- Generale, co pan ma na głowie?

- Oznakę mego urzędu, ma się rozumieć. A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

- To był pomysł Pierwszego. Powiedział, że co prawda nie bardzo rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi, ale skoro dotarli już tak daleko, to powinni zostać z panem, bo być może będzie pan potrzebował dodatkowej ochrony. Nie mieli żadnych kłopotów z wejściem na piętro - cały parter wygląda jak szpital dla umyślowo chorych, w którym wybuchło zbrojne powstanie.

- To ładnie z ich strony - powiedziała Jennifer.

- To idiotycznie z ich strony! - wybuchnął Devereaux. - Zostaną zdemaskowani, aresztowani i poddani przesłuchaniom, a wszyscy razem znajdziemy się na pierwszych stronach gazet!

- Nic pan nie rozumiesz - odezwał się Desi Pierwszy, podnosząc pochyloną do tej pory głowę. - *Numero uno*, siedzimy cicho jak myszy pod miotłą. *Numero dos*, jesteśmy *misioneros*, którzy nawracają biednych *barbaros* na wiarę Chrystusa. Kto mógłby aresztować takich

278

adres' Nawet jak spróbują, to przez parę miesięcy nie będą mogli się poruszać, a żaden nie wejdzie za wami do sali.

Niech mnie kule biją! - mruknął Jastrząb, spoglądając z roz-czuleniem na klęczących adiutantów. - Dobrze was wyszkoliłem, chłopcy. Podczas tajnych operacji zawsze należy mieć w odwodzie najlepszych ludzi; zwykle nie posyła się ich na pierwszą linię, bo wiadomo, jakie mają szansę na przeżycie, ale wy zgłosiliście się sami, na ochotnika. Jestem z was dumny, żołnierze.

- Klawo, generale - odparł D-Dwa. - Ale niech się pan nic nie obawia, nie będzie pan potępiony. Ja sam się tym zajmę, nie mój *amigo*. Widzi pan, ja jestem *catolico*, a on tylko

zwykły *protestante*, więc się nie liczy.

W korytarzu rozległ się nagle grzmiący odgłos ciężkich, szybkich kroków. Wszyscy spojrzeli z niepokojem w kierunku, z którego dobiegł, ale natychmiast się uspokoili na widok pędzącego w ich stronę Romana Z. w przepoconej koszulce z napisem WFOG-TV, z kamerą w każdej ręce i z reporterską torbą objającą mu się przy każdym kroku o biodro.

Moi najdrożsi, najukochańsi przyjaciele! - wysapał, łapiąc z trudem powietrze. - Nie uwierzycie, jak wspaniale się spisałem! Sfilmowałem po kolei wszystkich, łącznie z trzema typkami, którzy na widok mojego noża zgodzili się przyznać, że zostali przysłani przez prokuratora generalnego i jakiegoś kurdupla od czegoś, co nazywali sekretariatem obrony. Mam też zeznanie wielkiego futbolisty, który twierdził, że reprezentuje jakieś Stowarzyszenie Fanny Hill... Też mi coś! U nas, na Serbii, mamy lepsze stowarzyszenia.

- Wspaniale! - ucieszył się Sam. - Ale jak się tutaj dostałeś?

To nic trudnego. Na dole, w tym wielkim marmurowym holu, wszyscy tańczą, śpiewają, śmieją się i płaczą, jak za najlepszych czasów, które widzieli moi cygańscy przodkowie. Jacyś ludzie w zwariowanych strojach i z pomalowanymi twarzami rozdają butelki z napitkiem, a wszyscy tak się cieszą, że aż mi to przypomina nasze obozy na Morawach. Mówię wam, wspaniała sprawa!

O Boże! - wykrzyknęła Jennifer. - Wyciąg z korzenia

- Z czego, moja droga?

- Z korzenia yaw-yaw, panie Pinkus. To najmocniejszy narkotyk, jaki kiedykolwiek został wyprodukowany przez człowieka. Mohaw-

279

kowie twierdzą, że to oni go wynaleźli, ale my opracowaliśmy nową metodę destylacji, dzięki czemu stał się dwudziestokrotnie silniejszy. W rezerwacie jego produkcja jest już od dawna zabroniona, ale jeśli ktoś mógł ją uruchomić na nowo, to tylko ten drań Johnny Calfnose!

- Wydaje mi się, że akurat w tej chwili powinniśmy być mu za to wdzięczni - zauważył Devereaux.

- A więc w taki sposób radziliście... to znaczy, radziliśmy sobie z białymi osadnikami - mruknął Jastrząb.

- Generale, to bez znaczenia...

- Owszem, ale mimo wszystko bardzo interesujące.

- Wchodźmy do środka! - powiedział Cyrus rozkazującym tonem. - Ten narkotyk ma bardzo specyficzne działanie: najpierw oszalał i sprowadza zapomnienie, a potem nagle przypomina o zaniedbanych obowiązkach, co wywołuje natychmiastową panikę, a tego na pewno nie chcemy. Ja otworzę drzwi. - Uczynił to, po czym dodał: - Pan pierwszy, generale.

- Słusznie, pułkowniku.

W chwili kiedy MacKenzie Hawkins wraz ze swoją świtą wkroczył dostojnie do sali posiedzeń, w wyłożonym mahoniem pomieszczeniu rozległy się ogłuszające dźwięki indiańskiej pieśni wojennej, bicie w bębny i przeraźliwe wrzaski. Sędziowie, siedzący z marsowymi minami na półkolistym podwyższeniu, zareagowali panicznym przerażeniem; wszyscy, co do jednego, dali nura pod stół, by dopiero po dłuższej chwili ostrożnie wychylić zza niego głowy. Przerażenie nie minęło, ale w wybałuszonych oczach pojawiła się ulga, że nie doszło do żadnych aktów przemocy. Cały skład sędziowski z szeroko otwartymi ustami wpatrywał się w stojącego pośrodku sali pierzastego potwora.

- Co ty wyrabiasz, do cholery? - szepnął Sam do Jastrzębia.

- To mała sztuczka, której nauczyłem się w Hollywoodzie - odparł półgłosem MacKenzie. - Podkład dźwiękowy potrafi wywołać wrażenie, jakiego nie da się osiągnąć żadnymi słowami. Mam w kieszeni odporny na wstrząsy magnetofon z potrójnym wzmacniaczem,

- Natychmiast wyłącz to gówno!

- Zaraz to zrobię, ale najpierw niech do tych roztrzęsionych dyń dotrze, że widzą przed sobą Grzmiącą Głowę, wodza plemienia Wopotami.

Oszołomieni sędziowie podnieśli się z wolna na kolana. Zgiełk

przycichł, a wreszcie zupełnie umilkł, oni zaś spojrzeli niepewnie na siebie, po czym, jeden po drugim, wrócili na fotele.

Wysłuchajcie mnie, mądrzy starcy, którzy czynicie w tym kraju sprawiedliwość! ryknął Grzmiąca Głowa, a jego głos odbił się od wyłożonych drewnem ścian. - Wasi ludzie zawiązali zdradziecki spisek, [który miał na celu pozbawienie nas praw do naszego dziedzictwa, do [naszych pól, gór i rzek, które dają nam pokarm i schronienie. Skazaliście nas na życie w jałowych gettach, gdzie rosną jedynie nikomu nie potrzebne [chwasty. Czyż to nie był nasz kraj' Kraj, w którym tysiąc szczepów żyło obok siebie w pokoju i wojnie, tak samo jak wy żyliście z Hiszpanami, Francuzami i Anglikami? Czyż nie powinniśmy mieć tych samych praw, [co ci, których pokonaliście, a następnie zapomnieliście o wzajemnych krzywdach i przyjęliście do swojej kultury? Czarni mieszkańcy tego kraju [mają za sobą dwieście lat niewolnictwa. My przeżyliśmy pięćset takich lat. Czy teraz, w naszych czasach, pozwolicie, aby trwało to w dalszym ciągu?

- Ja nie - odezwał się szybko jeden z sędziów.

- Ani ja - zapewnił natychmiast drugi.

- Ja na pewno nie - zaprotestował trzeci, potrząsając gwałtownie głową.

- Boże, czytałam ten pozew trzy razy i za każdym razem nie [mogłam powstrzymać się od płaczu - powiedziała jedyna kobieta wchodząca w skład Sądu.

- Nie powinna była pani tego robić - stwierdził przewodniczący, spoglądając na nią z dezaprobatą, po czym natychmiast wyłączył mikrofony, by Sąd mógł się spokojnie naradzić.

- Kocham go! - szepnęła Jennifer do Sama. - Ujął wszystko w zaledwie kilku zdaniach!

- Może i tak, ale nigdy nie przepłynął pięćdziesięciu kilometrów na otwartym morzu i podczas szalejącego cyklonu.

- Nasz generał jest nadzwyczaj elokwentny - zauważył Pin-kus. - W dodatku wie, o czym mówi.

- Niezbyt mi się spodobało to nawiązanie do Murzynów - powiedział półgłosem Cyrus. - To znaczy, właściwie ma rację, tyle że jego indiańscy przyjaciele nigdy nie byli zakuwani w kajdany i sprzedawani na targu.

- Masz rację, Cyrusie - przyznała Redwing. - Nie byliśmy. Nas tylko wycinano w pień albo zapędzano na tereny, gdzie umieraliśmy z głodu.

281

- W porządku, Jenny. Obustronny szach. Ponownie włączono mikrofony.

- Tak... ehm... to znaczy... - odezwał się sędzia siedzący z prawej strony stołu. - Ponieważ towarzyszy panu znakomity bostoński prawnik, pan Aaron Pinkus, nie będziemy wymagać potwierdzenia pańskiej tożsamości. Chcieliśmy natomiast zapytać, czy zdaje pan sobie sprawę z wagi tego oskarżenia?

- Chcemy dostać tylko to, co nasze. Cała reszta jest do uzgodnienia.

- W pozwie nie było to sformułowane tak jednoznacznie, wodzu Grzmiąca Głowo - odezwał się czarnoskóry sędzia, biorąc do ręki pojedynczą kartkę. - Pańskim adwokatem jest niejaki Samuel Lansing Devereaux, *zgadza się?*

- Tak jest, wysoki sędzie - potwierdził Sam, wysuwając się przed Hawkinsa. - To ja.

- Znakomicie sformułowany pozew, młody człowieku.

- Bardzo dziękuję, ale *szczerze* mówiąc...

- Prawdopodobnie dostanie pan za to kulkę w głowę - ciągnął sędzia, jakby Devereaux nie odezwał się ani słowem. - Podczas lektury odniosłem jednak wrażenie, że bardziej niż na sprawiedliwości *zależy* panu na zemście.

- Najbardziej oburzyła mnie *n i e s p r a w i e d l i w o ś ć*, jaka się wydarzyła.

- Nie dostaje pan pieniędzy za to, żeby się oburzać, mecenasie, - zabrał głos sędzia z lewej strony stołu - lecz za to, żeby zgodnie z prawdą przedstawić racje swojego klienta. Pańskie insynuacje są dość zdumiewające, tym bardziej że ludzie, których dotyczą, dawno już nie żyją, a co za tym idzie, nie mogą się bronić.

- Opierałem się na niedawno odkrytych materiałach. Te insynuacje, czy też, jak ja je nazywam, spekulacje, mają potwierdzenie w udokumentowanych źródłach historycznych.

- Jest pan może zawodowym historykiem, panie Devereaux? - zapytał inny sędzia.

- Nie, wysoki sędzie. Jestem zawodowym prawnikiem, który podobnie jak pan, potrafi czytać i łączyć w logiczną całość uzyskane wiadomości.

- To miło z pańskiej strony, że tak wysoko ocenił pan naszego kolegę.

282

Nie chciałem nikogo urazić.

A jednak, jak sam pan niedawno powiedział, był pan do głębi wzburzony - zauważyła sędzina. - Wynika z tego, że potrafi pan wywoływać oburzenie.

- Tylko wtedy, gdy uważam, że mam po temu prawo.

- Właśnie to miałem na myśli, panie Devereaux, kiedy wspomniałem o chęci zemsty, którą wyczułem w pańskim pozwie. Uderzyło mnie, że zażądał pan całkowitej i bezwarunkowej kapitulacji naszego [rządu, co stanowiłoby potężny wstrząs dla całego narodu, wstrząs, po [którym długo wracałby do równowagi.

- Jeśli wysoki sąd pozwoli... - wtrącił się Grzmiąca Głowa. - [Mój znakomity młody adwokat ma opinię człowieka łatwo tracącego panowanie nad sobą, jeśli jest przekonany, że występuje w słusznej sprawie

- Co takiego?! - syknął Sam, wbijając Jastrzębiowi łokieć w żebra. - Jak śmiesz...

Ośmiela się wówczas deptać świętości, na które nawet aniołowie nie mają odwagi podnieść oczu, ale kto z nas może mieć o to pretensje i o kryształowo uczciwego człowieka, który wszystkie swoje siły wkłada walce o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych? Sam pan stwierdzi, panie sędzio, że ten młody człowiek nie bierze pieniędzy za to, żeby się oburzać. Miał pan słuszność tylko w połowie, ponieważ [on w ogóle nie dostaje wynagrodzenia i oburza się z własnej inicjatywy, | nie licząc na żadne przyszłe korzyści. Co zaś się tyczy przekonań, które każą mu tak gorąco i jednoznacznie opowiedzieć się po naszej stronie Wysoki sąd pozwoli, że mu to wyjaśnię. Albo, zamiast wyjaśnień z mojej strony, proponuję, aby każdy z państwa odwiedził rezerwy zamieszkiwane przez nasze plemię. Zobaczycie wtedy na własne oczy, co biały człowiek uczynił z nami, ongiś dumnymi i niezależnymi władcami Ameryki. Zobaczycie nasze ubóstwo, naszą nędzę i naszą beznadzieję. Zadajcie sobie wtedy pytanie, czy potrafilibyście nie oburzać się, żyjąc w takich warunkach. Ta ziemia należała niegdyś do nas, a kiedy ją nam odebraliście, pomyśleliśmy sobie, że powstanie jeden wielki naród, i pragnęliśmy zostać jego częścią. Niestety, nie pozwolono nam na to. Odepchnęliście nas, usunęliście na bok, zamknęliście w odizolowanych rezerwach, nie pozwalając na korzystanie z owoców postępu. Tak właśnie wygląda, udokumentowana historia i nikt nie może twierdzić, że było inaczej.

283

Dlatego, jeżeli nasz uczony mecenas nasycił pozew odrobiną gniewu lub chęcią zemsty, jeśli wolicie, to i tak wejdzie do prawniczych kronik dwudziestego wieku jako współczesny Clarence Darrow. Dla nas, nieszczęsnych Indian z plemienia Wopotami, jest człowiekiem godnym uwielbienia.

- Uwielbienie nie ma tu nic do rzeczy, wodzu Grzmiąca Głowa - odparł czarnoskóry sędzia, krzywiąc się z niesmakiem. - Można wielbić jakiegoś boga, posążek albo święty obraz, ale nie ma to i nigdy nie powinno mieć wpływu na działalność sądu. My, zgromadzeni tutaj, wielbimy tylko prawo, a wydając wyrok, opieramy się na potwierdzonych faktach, a nie na choćby najbardziej przekonujących spekulacjach osnutych wokół mało konkretnych zapisków sprzed ponad stu lat.

- Zaraz, chwileczkę! - wykrzyknął Sam. - Czytałem ten pozew i...

- Czytał pan, mecenasie? - przerwała mu sędzina. - Wydawało nam się, że pan go napisał.

- Tak... To znaczy, to zupełnie inna historia. W tej chwili chodzi mi o to, że jestem naprawdę niezłym prawnikiem. Zapoznałem się dokładnie z pozvem i muszę stwierdzić, że historyczne materiały, na których się opiera, są absolutnie nie do podważenia! Jeżeli ten sąd odrzuci tak jednoznaczne dowody, to będzie znaczyło, że jesteście bandą cholernych... cholernych...

- Bandą czego, mecenasie? - zapytał sędzia z lewej strony stołu.

- Tchórzów!

- Kocham cię, Sam - szepnęła Jennifer.

Gwar oburzonych głosów, który wybuchł za sędziowskim stołem, ucichł natychmiast, jak tylko w sali rozległ się stentorowy głos wodza Grzmiącej Głowy, *alias* MacKenziego Lochinvara Hawkinsa:

- Czy wysłuchacie mnie, o najsprawiedliwsi w tym kraju, który ukradliście naszym przodkom?

- Co takiego, ty opierzony termicie?! - zawył przewodniczący Reebcock.

- Przed chwilą byliście świadkami wybuchu gniewu uczciwego człowieka, znakomitego prawnika, który zdecydował się zrezygnować ze wspaniałej kariery tylko dlatego, że odkrył prawdę w tajnych dokumentach, które miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Tacy jak on, bezkompromisowi ludzie, uczynili ten kraj wielkim, gdyż

284

potrafili stawić czoło prawdzie i docenić jej wielkość. Prawda, jakakolwiek by była, musi zostać przez każdego przyjęta w całym swoim majestacie, nawet jeśli wiązałaby się z tym konieczność dokonania ogromnych poświęceń, gdyż tylko ona może poprowadzić naród do prawdziwej wielkości. Wszystko, czego pragnie ten młody człowiek, czego my pragniemy i czego pragną pozostałe indiańskie plemiona, to [stać się ponownie częścią tego gigantycznego kraju, który kiedyś nazywaliśmy naszą ojczyzną. Czy naprawdę jest to dla was takie trudne?

Z twarzy czarnoskórego sędziego zniknął grymas niechęci.

- Musimy brać pod uwagę interes całego narodu - odparł. - ' Rozwiązanie, które pan proponuje, pociągnęłoby za sobą niewyobrażalne koszty. Nie wolno nam zgodzić się na to. Nie powiem nic nowego, jeśli stwierdzę, że nie żyjemy w najlepszym z możliwych światów.

- W takim razie przystąpcie do negocjacji! - wykrzyknął Grzmiąca Głowa. - Orzeł nie pastwi się nad zranioną jaskółką, lecz jak powiedział nasz młody mecenas, krąży wysoko na niebie, poruszając majestatycznie mocarnymi skrzydłami, budząc zazdrość swym niezwykłym mistrzostwem, a także, co najważniejsze, stanowiąc wieczny symbol potęgi wolności.

- Ja to powiedziałem?

- Zamknij się!... Dostojni sędziowie, pozwólcie zranionej jaskółce odnaleźć nadzieję w cieniu wielkiego orła. Nie odpychajcie nas, gdyż nie mamy już dokąd się udać. Okażcie nam szacunek, którego zawsze nam odmawiano, i dajcie nadzieję, której rozpaczliwie potrzebujemy, by znaleźć w sobie siły konieczne do przetrwania. Bez tego zginiemy i rzeź dobiegnie końca. Czy chcecie, żeby nasza krew splamiła wasze ręce?... Czy i bez tego nie są one wystarczająco zakrwawione?...

Odpowiedziała mu głucha cisza, którą naruszył dopiero ledwo [słyszalny szept Sama:

- Całkiem nieźle, Mac.

- Wspaniale! - zawtórowała mu Jennifer.

- Spokojnie, turkaweczko - odparł półgłosem Hawkins, odwracając do niej głowę. - Teraz nadchodzi przełomowy moment, tak jak wtedy, kiedy mój przyjaciel generał McAuliffe nawymyślał szkopom podczas ofensywy w Ardenach.

- Co ma pan na myśli? - zapytał Aaron Pinkus.

285

- Bądźcie cicho i słuchajcie! - szepnął Cyrus. - Wiem, co się święci: teraz generał kopnie ich tam, gdzie najbardziej boli, dzięki czemu całe to pieprzenie przybierze konkretną formę.

- To nie było pieprzenie, tylko prawda! - zaprotestowali Redwing.

- Dla nich to było cholernie prawdziwe pieprzenie, Jenny ponieważ znaleźli się między twardym młotem a jeszcze twardszym kowadłem.

Ponownie wyłączono mikrofony, aby dać sędziom czas na naradę. Kiedy wreszcie doszli do porozumienia, przemówił najchudszy z nich rodem z Nowej Anglii.

- To była wzruszająca przemowa, wodzu Grzmiąca Głowo - powiedział spokojnym tonem. - Takie oskarżenia jednak można przedstawić w imieniu wielu mniejszości narodowych na całym świecie. Z przykrością muszę stwierdzić, że historia nie jest sprawiedliwa dla tych ludzi. Jak powiedział jeden z naszych prezydentów: „Życie nie *gra fair*”, lecz mimo to musi trwać, ku pożytkowi większości, nie dla pechowych mniejszości, które doznają wielkich krzywd. Wszyscy, ja tu jesteśmy, z radością zmienilibyśmy ten scenariusz, lecz to zadanie przekracza nasze możliwości.

Schopenhauer opisał to zjawisko jako „brutalność historii”. Całą duszą sprzeciwiam

się tej konkluzji, ale muszę uznać jej słuszość. Mógłby pan zburzyć tamę, co doprowadziło by do tragicznej powodzi, która dotknęłaby ludzi w całym kraju łącznie z tymi, którzy nigdy w życiu nie słyszeli o pańskim narodzie

- Do czego pan zmierza, panie sędzio?

- Biorąc pod uwagę wszystko, co zostało tu powiedziane, jaka byłaby wasza reakcja, gdyby sąd podjął decyzję na waszą niekorzyść?

- To bardzo proste - odparł wódz Grzmiąca Głowa. - Wypowiedzielibyśmy wojnę Stanom Zjednoczonym Ameryki, wiedząc, że możemy liczyć na poparcie wszystkich czerwonoskórych braci na kontynencie. Wielu białych ludzi straciłoby życie. Naturalnie ponieśli byśmy porażkę, ale wy także.

- Niech to jasna cholera! - wybuchnął przewodniczący Rebock. - Mam dom w Nowym Meksyku...

- Może na terenach należących do wojowniczych Apaczów? - zapytał Jastrząb z niewinną miną.

Przewodniczący Sądu Najwyższego z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Cztery kilometry od rezerwatu...

286

- Apacze są naszymi braćmi. Oby Wielki Duch zesłał panu [szybką i stosunkowo mało bolesną śmierć.

- A co z Palm Beach? - zapytał ze zmarszczonymi brwiami członek sądu.

Seminole to nasi krewniacy. Mają zwyczaj gotowania krwi białych ludzi w celu usunięcia z niej nieczystości. Ma się rozumieć, gotują ją wtedy, kiedy jeszcze jest w ciele. Dzięki temu mięso zyskuje na delikatności.

- Aspen?... - szepnął nieśmiało kolejny sędzia. - Kto tam mieszka?

- Popędliwi Czironkezi, panie sędzio. Są z nami jeszcze bliżej spokrewnieni niż Seminole, choć często dawaliśmy im do zrozumienia, że nie pochwalamy sposobu, w jaki rozprawiają się ze schwytanymi wrogami. Mają paskudny zwyczaj kładzenia ich twarzą w dół na mrowisku.

Jennifer raptownie nabrała powietrza w płuca.

- Je... Jezioro George? - zapytał dziwnie poblady sędzia z lewej strony stołu. - Mam tam śliczny domek letniskowy...

- Czy to może północna część stanu Nowy Jork? - zainteresował się uprzejmie MacKenzie. - Tereny łowieckie Mohawków, a także ich prastare cmentarzyska?

Zdaje się, że... że tak. -•-«.,,-."-

- Nasze plemię wywodzi się z wielkiej rodziny Mohawków, lecz, niestety, doszliśmy do wniosku, że musimy się od nich oddzielić. przenieść się jak najdalej na zachód. \$

•. - Dlaczego?

- Cóż, bez wątpienia mają najodważniejszych i najbardziej bitnych wojowników, jakich można sobie wyobrazić, ale... Chyba sam pan rozumie...

- Co mam rozumieć?

- Jeżeli zostaną sprowokowani, podpalają w nocy wigwamy nieprzyjaciół, podobnie jak ich cały dobytek. Uznaliśmy, że polityka spalonej ziemi jest dla nas nieco zbyt brutalna. Naturalnie Mohaw-kowie w dalszym ciągu uważają nas za swoich. Więzy krwi nie rozluźniają się w ciągu życia jednego czy nawet kilku pokoleń. Bez wątpienia przyłączyliby się do naszej walki.

- Myślę, że powinniśmy się powtórnie naradzić! - powiedział przewodniczący Sądu Najwyższego. Głośniki zamilkły po raz kolejny,

- 287

a sędziowie zaczęli gorączkowo szeptać między sobą, zwracając głowy to w lewą, to w prawą stronę.

- Mac! - syknęła Redwing. - Wygadywałeś same kłamstwa! Apacze pochodzą z Athabaski i nie mają z nami nic wspólnego, Czironkezi nigdy nie kładli nikogo na mrowisku, a Seminole są najbardziej pokojowo usposobionym plemieniem w całej Ameryce! Natomiast jeśli chodzi o Mohawków, to owszem, lubią grać w kości, bo w ten sposób można zarobić pieniądze, ale zawsze walczyli tylko z tymi, którzy napadli ich pierwsi, a już na pewno nigdy by niczego nie podpalili, bo wtedy ich konie nie miałyby

co wziąć do pyska!

- Zamilknij, córo plemienia Wopotami! - odparł Jastrząb, schylając przyozdobioną pióropuszem głowę, by spojrzeć z góry na Jennifer. - Co mogą o tym wiedzieć głupie blade twarze?

- Oczerniasz wszystkie indiańskie plemiona!

- Czyżby oni przez te wszystkie lata postępowali wobec nas inaczej?

- Wobec nas?

W głośnikach rozległo się pyknięcie, a w chwilę potem wydobył się z nich nosowy głos przewodniczącego Sądu Najwyższego:

- Sąd Najwyższy na swym dzisiejszym posiedzeniu postanowił zalecić rządowi Stanów Zjednoczonych, aby ten bezzwłocznie przystąpił do rozmów z plemieniem Wopotami w celu uzgodnienia możliwego do przyjęcia dla obu stron sposobu zadośćuczynienia nadużyciom popełnionym w minionych latach. Sąd podtrzymuje skargę złożoną przez powodów i ogłasza przerwę w rozprawie *sine die* - Sędzia Reebock odsunął się od mikrofonu, po czym dodał, zapomniawszy o tym, że urządzenie wciąż działa: - Niech ktoś zadzwoni do Białego Domu i powie Subagaloo, żeby się wypchał! Ten sukinsyn jak zwykle wpuścił nas w maliny. Zdaje się, że kazał też wyłączyć nam klimatyzację, bo pot ścieka mi aż do rowka w dupie!... Przepraszam, moja droga.

W ciągu zaledwie kilku minut wiadomość o tryumfie Wopotami dotarła do głównego holu i schodów przed gmachem Sądu Najwyższego. Wódz Grzmiąca Głowa, w pełnym paradnym stroju, wszedł do windy, oczekując wielkiej radości i oznak uwielbienia ze strony swego ludu. Istotnie, radość była ogromna, tyle że radujący się wyglądali na ludzi, którym jest dokładnie wszystko jedno, z czego się

288

cieszą. Wielki hol, łącznie ze wszystkimi galeriami, był wypełniony mężczyznami i kobietami w różnym wieku, tańczącymi i wykonującymi dzikie podskoki w takt dobiegających z głośników dźwięków indiańskich pieśni, tylko że odtwarzanych w przyśpieszonym tempie. Do zabawy dołączyli nawet turyści, strażnicy i policjanci, w związku z czym dostojny gmach zamienił się w arenę dzikiego karnawału.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Jutrzenka Jennifer Redwing, wysiadłszy z windy w towarzystwie Sama i Aarona.

- Nie ma się czemu dziwić - odparł Pinkus. - Twój ludzie mają powód do radości.

- M o i ludzie? To nie są moi ludzie!

- Jak to? - zapytał Devereaux.

- Spójrz! Widzisz wśród tańczących choć jedną wymalowaną twarz albo indiańską spódniczkę?

- Rzeczywiście, na galeriach nie ma ani jednej, ale mnóstwo Wopotami kreci się między ludźmi w samym holu.

- Nie wiesz przypadkiem, co tam robią?

- Zdaje się, że chodzą od grupki do grupki i zachęcają do... Zaraz, zdaje się, że noszą...

- Plastikowe kubki! I butelki! Roman miał rację: częstują wszystkich wyciągiem z korzenia yaw-yaw! * - Nie częstują, lecz sprzedają - poprawił ją Sam.

- Zabiję tego Calfnose'a!

- Mam inną propozycję, Jennifer - powiedział Aaron, tłumiąc chichot. - Zrób go naszym skarbnikiem.

EPILOG

Waszyngton, D. C., piątek. Ku powszechnemu zaskoczeniu Sąd Najwyższy uznał zasadność skargi zamieszkującego Nebraskę plemienia Wopotami na rząd Stanów Zjednoczonych. Sąd stwierdził jednomyślnie, że teren o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych, na którym znajduje się między innymi miasto Omaha, zgodnie z traktatem z 1878 roku stanowi własność Indian Wopotami. Na obszarze tym wybudowano główną kwaterę Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych. Izba Reprezentantów i Senat zebrały się na nadzwyczajnych posiedzeniach, a tysiące firm prawniczych wyraziło zainteresowanie uczestnictwem w mających się niebawem rozpocząć negocjacjach.

IŁ PROGRESSO ITALIANO

Questo giornale muove obležone all'insensibilita' del „Daily News” facendo uno di un'espressione denigratora netta tastata di ieri. Noi non siamo dei „pellarossa sahaggi”!

(Nasza gazeta odnotowuje z oburzeniem gruboskórność redaktorów „Daily News”, którzy we wczorajszym wydaniu swego pisma użyli w jednym z nagłówek obraźliwego rysztokowego wyrażenia. Nie jesteśmy czerwono-skórymi dzikusami!).

291

HOLLYWOOD YARIETY

Beverly Hills, środa. Panowie Robbins i Martin, czołowi specjaliści z agencji Williama Morrisa, poinformowali o podpisaniu poważnego kontraktu między ich klientami - o których na razie wiadomo tylko tyle, że jest to sześciu pierwszorzędnym aktorów działających przez ostatnie pięć lat w rządowym oddziale antyterrorystycznym - a wytwórnią Consolidated-Colossal, reprezentowaną przez producenta Emmanuela Greenberga. Kontrakt dotyczy realizacji filmu o przewidywanym budżecie około stu milionów dolarów, w którym aktorzy-komandosi będą grać samych siebie. Podczas konferencji prasowej wystąpił także znany aktor charakterystyczny Henry Irving Sutton, który oświadczył, że tak bardzo wzruszył się tematem filmu, iż postanowił powrócić na ekran, by *zagrać* jedną z głównych ról. Greenberg także sprawiał wrażenie bardzo wzruszonego, gdyż szlochał spazmatycznie, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Zdaniem większości dziennikarzy miało to związek z zaszczycem, jakiego dostąpił jako producent, mogąc realizować tak wzniosłe dzieło, ale inni twierdzili, że jeszcze nie doszedł do siebie po negocjacjach. Na konferencji pojawiła się także była żona Greenberga, lady Cavendish. Uśmiechała się przez cały czas.

THE NEW YORK TIMES

DYREKTOR CIA ODNALEZIONY CAŁY I ZDROWY nA JEDNEJ Z WYSEPEK ARCHIPELAGU SUCHEJ TORTUGAS

Miami, czwartek. Załoga jachtu „Contessa”, stanowiącego własność międzynarodowego przemysłowca Smythingtona-Fontiniego, dostrzegła dym pochodzący z ogniska rozpalonego na plaży jednej z bezludnych wysepek w archipelagu Suchej Tortugas. Kiedy jacht zbliżył się do brzegu, załoga i pasażerowie usłyszeli wołanie o pomoc po angielsku i hiszpańsku, a zaraz potem zobaczyli trzech mężczyzn, którzy wbiegli po kolana w wodę, dziękując Opatrzności za ocalenie. Jednym z nich był Vincent F. A. Mangecavallo, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, który w ubiegłym tygodniu zaginął na pełnym morzu. Pana Mangecavallo uznano za zmarłego po tym, jak odnaleziono szczątki jego jachtu, „Gotcha Baby”, który zatonął podczas tropikalnego sztormu. Wśród szczątków łodzi znajdowały się również przedmioty stanowiące osobistą własność dyrektora CIA.

Historia walki o przetrwanie pana Mangecavallo dowodzi jego nadzwyczajnego heroizmu. Według zeznań dwóch argentyńskich członków załogi, którzy natychmiast zostali odesłani samolotem do rodzin w Buenos Aires,

292

swoje ocalenie zawdzięczają wyłącznie dyrektorowi, który przeholował ich przez pełne rekinów wody, płynąc niestrudzenie w kierunku bezludnej wysepki. Na wiadomość o ocaleniu prezydent powiedział: „Wiedziałem, że mój stary kumpel z marynarki da sobie jakoś rade!” Jak już informowaliśmy, dowództwo marynarki ograniczyło się do lakonicznego stwierdzenia: „Bardzo nam miło”.

W Brooklynie, w Nowym Jorku, niejaki Rocco Sabatini, czytając przy śniadaniu poranną gazetę, powiedział do żony:
- Co tu jest grane, do cholery? Przecież Bam-Bam nie potrafi

THE WALL STREET JOURNAL LAWINA BANKRUCTW WSTRZĄSA FINANSOWYMI KRĘGAMI AMERYKI

Nowy Jork, piątek. W korytarzach największych amerykańskich biurowców panuje ożywiony ruch. Ogarnięci paniką prawnicy biegają od gabinetu do gabinetu, usiłując nie dopuścić do rozpadu chwiejących się finansowych kolosów. Według powszechnej opinii jest to niemożliwe, ponieważ niedawna hossa na giełdzie doprowadziła do powstania ogromnych zadłużeń, natomiast masowe wykupywanie pakietów kontrolnych doprowadziło do tego, że najwięksi przemysłowi giganci mają teraz puste kieszenie, nabiegłe krwią twarze, a większość z nich najchętniej czym prędzej wyjechałaby z kraju.

Podobno na międzynarodowym lotnisku im. Kennedy'ego prezydent jednej z największych firm wykrzykiwał histerycznie: „Wszędzie, tylko nie do Kairu! Nie chcę czyścić pisuarów!” Niestety, nie bardzo wiadomo, co miał na myśli.

STARS AND STRIPES UCIEKINIERZY Z KUBY OTRZYMUJĄ STOPNIE OFICERSKIE

Fort Benning, sobota. Generał Ethelred Brokemichael, sekretarz prasowy Pentagonu, poinformował oficjalnie, że po raz pierwszy w historii naszej armii nadano stopnie oficerskie dwóm byłym oficerom wojskowej maszyny Fidela Castro, specjalistom w dziedzinie sabotażu, tajnych operacji, wywiadu i kontrwywiadu.

293

Desi Romero oraz jego kuzyn Desi Gonzalez, którzy opuścili swój kraj z powodu „panującej tam, niemożliwej do zniesienia, sytuacji”, po przeszkoleniu językowym i kilku zabiegach stomatologicznych staną na czele nowo tworzonego w Forcie Benning oddziału Sił Specjalnych. Armia z radością wita w swych szeregach dzielnych i doświadczonych żołnierzy, którzy ryzyko wali życie w walce o wolność i honor. Jak powiedział generał Brokemichael: „O ich przygodach można by nakręcić wspomniały film. Myślę, że wkrótce się tym zajmujemy”.

"" Lato zbliżało się do końca, a wraz z nim letargiczny nastrój, ustępując miejsca bardziej energicznym poczynaniom towarzyszącym zawsze nadejściu jesieni. Wiejący z północy wiatr stawał się coraz chłodniejszy, przypominając mieszkańcom Nebraski, że już wkrótce stanie się zimny, potem wręcz lodowaty, aż wreszcie pewnego dnia przyniesie ze sobą pierwszy zimowy śnieg. Jednak Indianie Wopotami nie zaprzęтали sobie głów takimi przykrymi myślami, gdyż trwały właśnie negocjacje z rządem Stanów Zjednoczonych, Waszyngton zaś uznał za stosowne przysłać do rezerwatu dwieście dwanaście najnowszych przyczep mieszkalnych, aby przed nadejściem zimowych mrozów zastąpiły skórzane namioty i sklecone z byle czego szałaszy. Naturalnie Waszyngton nie miał pojęcia o tym, że zaledwie kilka tygodni wcześniej kilkaset identycznych przyczep zostało zgniecionych gąsienicami buldożerów i że wcześniej w całym rezerwacie było tylko kilka namiotów, ustawionych przy bramie dla turystów. MacKenzie Hawkins, jak każdy dobrze wyszkolony żołnierz, starał się brać wszystko pod uwagę. Bez tego nie mogło być mowy o żadnej rozsądnej strategii, a bez dobrej strategii nikomu nigdy nie udało się wygrać żadnej bitwy.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Jennifer do Sama. Trzymając się za rękę

szli gruntową drogą wzdłuż pola zastawionego luksusowymi przyczepami; każda z nich miała zainstalowaną na dachu antenę do odbioru telewizji satelitarnej. - Wszystko odbywa się dokładnie tak, jak przewidywał Mac.

- A więc negocjacje posuwają się naprzód?

- Niewiarygodnie szybko i łatwo. Wystarczy, że zmarszczymy brwi, bo coś jest niezbyt jasne, a oni natychmiast wycofują się i składają lepszą propozycję. Kilka razy musiałam przerywać ludziom z rządu i wyjaśniać im, że nie mamy nic przeciwko zaproponowanym

294

warunkom finansowym i że tylko chcemy wyjaśnić pewne drobne nieścisłości. Kiedyś wstałam z miejsca, a ich prawnik wykrzyknął: „W porządku, rezygnujemy z tego punktu!”

- Miło mieć taką siłę przekonywania. ;;&•

- Ale ja chciałam tylko wyjść do łazienki...

- Cofam swoją uwagę. Czy możesz mi jednak wyjaśnić, dlaczego traktujecie ich tak łagodnie?

- Daj spokój, Sam! Przecież to, co nam zaproponowali, przerasta o głowę nasze najśmielsze oczekiwania. Byłoby zbrodnią targować się jeszcze o coś.

- W takim razie po co w ogóle te negocjacje? Co chcecie osiągnąć?

- Przede wszystkim wiążące zobowiązanie do zaspokojenia naszych najpilniejszych potrzeb, takich jak przyzwoite mieszkania, dobre szkoły, utwardzone drogi i porządne miasteczko, w którym można by uczciwie żyć i pracować. W drugiej kolejności przydałoby się kilka udogodnień, takich jak ogólnie dostępne baseny, trasa narciarska i wyciągi na Górze Orłów, restauracja... Choć, ma się rozumieć, możemy to urządzić także we własnym zakresie, naturalnie po otrzymaniu niezbędnych funduszy. Trasa i wyciągi to pomysł Charliego; on uwielbia jeździć na nartach.

- Jak on sobie radzi?

• Kochanie, własnoręcznie zmieniałam mu pieluszki, a teraz są chwile, kiedy niemal czuję się winna kazirodztwa. Słucham?

Charlie tak bardzo przypomina ciębie! Jest inteligentny i bystry, zabawny

Wypraszam sobie - przerwał jej Devereaux z uśmiechem. - Jestem poważnym prawnikiem!

- Jesteś szaleńcem, kochanie, tak samo jak on, ale wasze szaleństwo równoważą: znakomity refleks, doskonała pamięć oraz umiejętność sprowadzania skomplikowanych problemów do postaci prostych rozwiązań.

Nawet nie wiem, co to znaczy.

On też nie, ale obaj tak właśnie postępujecie. Czy uwierzysz, że to właśnie on wygrzebał w zamierzchłej historii naszej praworządności zupełnie szalony, zapomniany precedens zwany *non nomen amicus curiae*, kiedy okazało się, że autorem pozwu jest nie kto inny jak Hawkins? Kto oprócz niego wiedziałby, co to jest, a tym bardziej pamiętał, że coś takiego miało kiedyś miejsce?

295

- Ja. Sprawa Jackson przeciwko Buckleyowi, rok tysiąc osiemset dwudziesty siódmy, dotycząca kradzieży świń... - - - - -

- Och, zamknij się!

Jenny puściła jego rękę tylko po to jednak, by zaraz ponownie ją chwycić.

- Czym chce się zająć, kiedy zamieszanie dobiegnie końca?

- Spróbuję zrobić go radcą prawnym szczepu. Zimą będzie mógł zajmować się prowadzeniem ośrodka sportów narciarskich.

- Czy to nie jest trochę ograniczające?

- Być może, choć nie wydaje mi się. Ktoś musi dopilnować, żeby Waszyngton wywiązał się z całej umowy. Kiedy chodzi o budowę na taką skalę, zawsze lepiej mieć u boku prawnika, który wyjaśni ewentualne niejasności. Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się, żeby ekipa remontująca twój dom skończyła pracę w terminie? Chyba nie muszę dodawać, że w umowie są przewidziane wysokie kary za niedotrzymanie ustalonych terminów.

- Charlie będzie miał pełne ręce roboty. Co jeszcze udało ci się wyciągnąć od Szalonego Miasta, jak mawia nasz generał? Naturalnie oprócz podstawowych potrzeb?

- Niewiele. Zobowiązanie Departamentu Skarbu do wypłacania plemieniu przez najbliższe dwadzieścia lat kwoty dwóch milionów dolarów rocznie, powiększanej o wskaźnik inflacji.

- Dałaś się wykiwać, Jenny! - wykrzyknął Sam.
- Wcale nie, kochanie. Jeżeli przez ten czas nie uda nam się niczego osiągnąć, to znaczy, że nie zasługujemy na nic więcej. Poza tym nie chodzi nam o darmowe dowiedzenie do mety, lecz o to, żebyśmy otrzymali szansę wzięcia udziału w głównym wyścigu. Znając mój naród, jestem pewna, że zwyciężymy, a kto wie, czy za dwadzieścia lat wasz prezydent nie będzie nosił przydomku „Jutrzenka” albo „Promień Księżyca”... Jak sam widziałeś, potrafimy zrobić użytek z wyciągu z korzenia yaw-yaw.

- A co teraz? - zapytał Devereaux.

- To znaczy?

- Co będzie z nami?

- Czy koniecznie musiałeś poruszyć ten temat?

- Chyba już najwyższa pora, prawda?

- Oczywiście, ale ja się boję.

- Obronię cię.

- Ty? Przed kim?

296

- Jeśli zajdzie taka potrzeba. Przecież sama powiedziałaś, że Charlie i ja potrafimy sprowadzać najbardziej skomplikowane zagadnienia do postaci prostych rozwiązań, zrozumiałych dla każdego.

- O czym mówisz, do diabła?

- O sprowadzeniu skomplikowanej sytuacji do postaci bardzo prostego rozwiązania.

- A co to ma być, jeśli wolno zapytać?

- Nie chcę spędzić reszty życia bez ciebie i wydaje mi się, że ty masz na ten temat podobne zdanie.

- Zakładając, że w tym, co mówisz, jest ziarenko prawdy, a nawet całkiem duża pestka, to w jaki sposób chcesz osiągnąć swój cel? Przecież ja pracuję w San Francisco, a ty w Bostonie. Chyba przyznasz, że nie jest to najlepszy układ?

- Aaron zatrudniłby cię w ciągu pięciu minut, i to za dowolnie wysoką pensję.

- Springtree, Basl i Karpas w ciągu minuty zrobiliby cię współ-nikiem.

- Doskonale wiesz, że nie mogę opuścić Aarona, ale ty rozstałaś się już z jedną firmą w Omaha. Jak więc widzisz, problem został sprowadzony do prostego albo-albo - oczywiście zakładając, że oboje popełnimy samobójstwo, jeśli nie będziemy mogli być ze sobą.

- Nie posunęłabym się aż tak daleko.

- A ja tak. Jesteś tego pewna?

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie.

- Mimo wszystko udało mi się znaleźć wyjście z tej patowej sytuacji.

- Jakie?

- Mac dał mi kiedyś pamiątkowy medalion jego dywizji, która podczas drugiej wojny światowej przedarła się przez Ardeny. Od tej pory zawsze noszę go przy sobie. - Devereaux wyciągnął z kieszeni okrągły kawałek lekkiego metalu z wytłoczonym wizerunkiem Mac-Cenziego Hawkinsa. - Podrzucę go i pozwolę mu spaść na ziemię. Ja biorę orła, ty reszkę. Jeśli wypadnie reszka, wrócisz do San Francisco oboje będziemy cierpieć katusze rozłąki. Jeśli będzie orzeł, pojedziesz ze mną do Bostonu.

- Zgoda.

Medalion poszybował w górę i obracając się w powietrzu, spadł na drogę. Jennifer pochyliła się nad nim.

297

- Mój Boże, orzeł...

Wyciągnęła rękę, by podnieść kawałek metalu, ale Sam chwycił ją za ramiona.

- Nie, Jenny! Nie wolno ci tego robić!

- To znaczy czego?

- Możesz sobie nadwerężyć stawy krzyżo-biodrowe.

- Co ty wygadujesz, do diabła?

- Najważniejszym zadaniem męża jest chronić żonę.

- Przed czym?

- Przed nadwężeniem stawów krzyżo-biodrowych. - Devereaux szybko podniósł medalion i cisnął go daleko w pole. - Teraz nie potrzebuję już żadnych szczęśliwych amuletów - powiedział, przygarniając Jenny do piersi. - Mam ciebie, a to jest największe szczęście, na jakie kiedykolwiek liczyłem i jakiego pragnąłem.

- A może po prostu nie chciałeś, żebym zobaczyła drugą stronę medalu... - szepnęła Jennifer, po czym delikatnie ugryzła go w ucho. - Jastrząb dał mi taki sam w Hooksett. Jego twarz jest po obu stronach. Gdybyś powiedział, że wybierasz reszkę, rozszarpałabym cię na kawałki.

- Lubieżna suka... - odparł również szeptem Sam, próbując sięgnąć wargami jej ust, co upodobniło go do szympansa szukającego orzeszków ziemnych. - Znasz tu jakiś odosobniony zakątek, który moglibyśmy odwiedzić?

- Nie teraz, zuchu. Mac czeka na nas.

- Wykreślam go na zawsze z mojego życia! Tym razem to już koniec.

- Ja też mam taką nadzieję, kochanie, ale będąc realistką nie bardzo w to wierzę.

Minęli zakręt i ich oczom ukazało się ogromne, wielobarwne tipi ze sztucznej skóry, trzepoczącej cicho w podmuchach wiatru. Z otworu w górnej części namiotu wydobywał się dym.

- Jest tutaj - powiedział Devereaux. - Pożegnajmy się szybko i zwyczajnie, ale tak, żeby zrozumiał, że już nigdy nie chcemy mieć z nim nic wspólnego!

- Jesteś niesprawiedliwy, Sam. Spójrz, co zrobił dla mojego ludu.

- Naprawdę nie rozumiesz, że dla niego to była tylko zabawa?

- A dla ciebie nie ma znaczenia, że to dobra i pożyteczna zabawa?

- Sam już nie wiem... - mruknął Devereaux. - On zawsze potrafi zamieszać mi w głowie.

298

- Nieważne - przerwała mu dziewczyna. - Właśnie wychodzi. Mój Boże, spójrz na niego!

Sam wybałuszył ze zdumieniem oczy. Generał MacKenzie Lochin-var Hawkins, *alias* Grzmiąca Głowa, wódz plemienia Wopotami, w najmniejszym stopniu nie przypominał żadnej z tych osób. Nie pozostało w nim ani trochę wojskowego dostojeństwa, nie wspominając już o godności indiańskiego wodza. Królewska galanteria ustąpiła miejsca bylejakości prostego człowieka, która jednak, nie wiadomo z jakiego powodu, sprawiała wrażenie bardziej naturalnej i opartej na solidniejszych podstawach. Krótko strzyżone siwe włosy skrywał częściowo żółty beret, pod orlim nosem zaś pojawił się rzadki, uczerniony wąsik. Strój dziwnej postaci składał się z jedwabnej różowej koszuli, fioletowego krawata, obcisłych jaskrawoczerwonych spodni oraz białych pantofli od Gucciego. Całości dopełniała walizka - naturalnie z firmy Louisa Yuitton.

- Mac, co to ma być, na litość boską?! - wrzasnął Devereaux.

- A, to wy - ucieszył się Jastrząb, nie odpowiadając na pytanie. - Bałem się, że będę musiał wyjechać bez pożegnania. Okrutnie mi spieszo.

Okrutnie mi spieszo? - powtórzyła Jennifer. ,

- Kim jesteś, do diabła?

- Mackintosh Quartermain - przedstawił się skromnie Hawkins. - Weteran regimentu szkockich grenadierów. Zostałem współ-producentem filmu Greenberga i jego doradcą technicznym.

- Doradcą filmu?...

• Nie, Manny'ego. Muszę kontrolować jego finansową wyobraźnię, a przy okazji zajmę się paroma innymi sprawami. Hollywood chyli się ku upadkowi, możecie mi wierzyć. W tej chwili najbardziej potrzebują tam odważnych ludzi z jasno

sprecyzowanymi ideami... Słuchajcie, okropnie się cieszę, że na was wpadłem, ale teraz już muszę zniknąć. Jestem umówiony na lotnisku z moim nowym adiutantem... to znaczy, asystentem, pułkownikiem Romanem Zabrzyckim z byłej radzieckiej Wojskowej Kroniki Filmowej. Lecimy razem na zachodnie wybrzeże.

- Roman Z.?... - wykrztusiła zdumiona Redwing.
- A co się stało z Cyrusem? - zapytał Sam.
- Jest gdzieś w południowej Francji, w jednej z willi Frazier. Zdaje się, że znowu było tam włamanie.

299

- Myślałem, że będzie chciał wrócić do laboratorium...
- Cóż, biorąc pod uwagę jego więzienną przeszłość i w ogóle... Ale obiło mi się o uszy, że Frazier ma zamiar kupić jakąś fabrykę środków chemicznych... Słuchajcie, laleczki, miło mi, że o mnie zahaczyliście, ale ja już się zmywam. Daj buzi, złotko, a gdybyś chciała kiedyś zgłosić się na zdjęcia próbne, to wiesz, gdzie mnie szukać. - Zdumiona Jennifer odwzajemniła się Hawkinsowi uściskiem. - A wy, kapitanie - ciągnął MacKenzie, obejmując mocno Devereaux - jesteście najlepszym prawniczym umysłem na tej planecie, może z wyjątkiem komendanta Pinkusa i tej młodej damy.

- Mac! - wrzasnął Sam. - Znowu zaczynasz? Zetrzesz Los Angeles z powierzchni ziemi!

- Mylisz się, synu, bardzo się mylisz. Ja tylko przywrócę temu miastu dawną chwałę.
- Jastrząb wziął do ręki walizkę od Louisa Vuitton i ukradkiem otarł zdradziecką łzę. - *Ciao*, kochani - rzucił, po czym odwrócił się szybko i ruszył polną drogą jak człowiek, który ma do wypełnienia niecierpiącą zwłoki misję.

- Dlaczego jestem niemal pewien, że któregoś dnia w Bostonie zadzwoni telefon i okaże się, że chce ze mną rozmawiać niejaki Mackintosh Quartermain? - zapytał Devereaux. Objął Jennifer i oboje odprowadzili wzrokiem niknącą w oddali postać Hawkinsa. .; - Ponieważ tego nie da się uniknąć, kochanie, a poza tym żadne z nas nie zniosłoby myśli, że mogłoby być inaczej.

Koniec